

**MONS
KALLENTOFT
& MARKUS LUTTEMAN**

LOON



**MONS
KALLENTOFT
& MARKUS LUTTEMAN**

LOON

Przełożyli
Anna Krochmal i Robert Kędzierski



Dom Wydawniczy REBIS

Kto obedrze ze skóry złocistego potwora jego własnymi pazurami?

Kto się zapuści w głąb najciemniejszej pieczary?

Kto ocali dziecko z Nemei?

Nasz bohater, nasz bohater, nasz bohater.

Prolog

SZTOKHOLM, 22 GRUDNIA

Dżinsy zsuwają się po nogach i czuje, że człowieczeństwo ulatuje z niego powoli i zastępuje je coś większego. Coś czystsze.

Zdejmuje spodnie, zostawia je na podłodze. Ściąga szary sweter z dekoltem w szpic i bordową koszulę.

Powietrze jest wilgotne i duszne. Natarczywe. Stare.

Mroczne.

Jak w piekielnej jamie.

Jak w jaskini lwa.

Z czarnego worka na śmieci wyciąga długi strój z futra. Kształtem przypomina królewski płaszcz, ale z rękawami.

Głaszcze go. Delektuje się jego miękkością. Siłą.

Powoli wsuwa w rękaw jedną rękę. Potem drugą. Poddana specjalnej obróbce skóra jest szorstka, ale dobrze się układa.

Zapina sprzączkę pod szyją, ale guzików już nie.

Znów się pochyla, sięga do worka na śmieci i wyjmuje sztywną lwią głowę. Czaszkę i żuchwę usunięto. Ale grzywa została. Długa, gęsta i złocista, układa się na jego ramionach, gdy naciąga skórę z głowy zwierzęcia na swoją i kątem oka widzi świeżo naostrzone kły w górnej szczęce.

Przez chwilę stoi bez ruchu. Wczuwa się w siłę swojego stroju. Czuje, jak przechodzi ze zwierzęcia na niego samego.

Odpręża się. Jego oddech staje się głęboki i regularny.

Potem wsuwa dłonie w lwie łapy. Unosi jedną do oczu i przygląda się pazurom. Starannie je naostrzył, chciał, żeby to były najostrzejsze pazury, jakie kiedykolwiek istniały.

Przesuwa nimi po nagiej skórze na piersi. Czuje piekący ból.

Wygląda na zewnątrz, w mrok. Widzi zarysy roślin i wielkie skały za nimi.

Świat lwa.

Potem się odwraca i podchodzi do wąskich metalowych drzwi. Zagląda do środka przez małe, brudne okienko. Metalowe pręty klatki połyskują w słabym świetle gwiazd, sączącym się jak blada mgła z okna w górze. Chłopiec siedzi skulony w kącie, chude nogi podciągnął wysoko pod brodę. Ukrył twarz między kolanami. Jego ciało się trzęsie. Głowa drży od czasu do czasu.

Jak zwierzyna.

Jak zdobycz lwa.

Lwa, który wie, jak odpłacić za krzywdy, jak pokazać, kto jest najsilniejszy.

Z jego gardła wydobywa się głęboki, wibrujący dźwięk. Otwiera usta i wyrzuca ręce w powietrze. Potem zamyka oczy. Widzi w wyobraźni, jak pazurami rozrywa gardło chłopca. Jak go rozcina. Jak rozrywa delikatną ludzką skórę i wypełnia cały świat krwią.

Pazury przywrócą porządek.

Wkrótce.

Ale jeszcze nie teraz.

Spogląda na cyfrowy zegar nad drzwiami, który miarowo odlicza czas. Zostało czternaście dni, trzy godziny i cztery sekundy. Trzy. Dwie. Jedna.

Przesuwa pazurami po drzwiach. Widzi, że chłopiec zaczyna się jeszcze bardziej trząść.

Już niedługo.

Odwraca się i niemal bezgłośnie wychodzi w mrok.

Chłopiec w klatce podnosi głowę. Szeroko otwartymi oczami spogląda na drzwi.

Co to był za dźwięk?

Teraz się zacznie?

Nie chcę tu być.

Muszę się stąd wydostać.

Ale nie może się ruszyć. Tylko drżenie sprawia, że jego ciało się wzdryga.

Nasłuchuje kolejnych ruchów od strony drzwi.

Ale zapada cisza.

Chłopiec spogląda w okienko umieszczone nad głową. Widzi zimne gwiazdy w górze. Milczą w ciemności. Patrzą na niego, ale nie obchodzi ich to.

Wszystkim jest to obojętne.

Próbuje rozróżnić jakieś gwiazdozbiory, ale nie potrafi. Znajdują się w niewłaściwych miejscach, jakby ktoś postawił niebo na głowie. Mimo to wciąż wpatruje się w lśniące punkty.

No chodź, szepczą. Chodź, jeśli potrafisz.

Chciałby to potrafić. Unieść się w powietrzu, przecisnąć przez zakurzone okno i poszybować w zimnym powietrzu. W górę, w górę. Przez cienkie pasma chmur, jak najdalej od tej jaskini. W czern. I spojrzeć w dół. Jak gwiazdy. Na Sztokholm w lodowatym zimowym stroju.

Obserwować. Ale nie interweniować.

Pozwalać, by czas mijał.

I czas mija.

Dni, tygodnie.

Coraz dotkliwszy mróz zaciska się na gardle miasta. Lód rozrasta się niemal do zewnętrznych szkierów. Trzyma w swym uścisku skaliste wysepki. Cały Sztokholm sztywnieje.

Dwóch bezdomnych umiera pod podartymi kocami przy Götgatan. Gdy przychodzi po nich śmierć, siedzą tuż obok siebie, a gdy mają zostać zabrani, okazuje się, że ich ubrania przymarzły do asfaltu.

Wszystko jest zimne.

Powietrze, ziemia.

I lufa rewolweru przystawiona do skroni.

Drżąca ręka trzymająca kolbę jest wilgotna od zimnego potu, choć w ciasnym lokalu w piwnicy przy Tegnérunden jest gorąco. Ostatnie wilgotne pliki banknotów zmieniają właścicieli i gwar cichnie. Ludzie przestają krzyczeć mu do uszu. Około

trzydziestu osób w pomieszczeniu się uspokaja.

Zapada cisza. Szkliste oczy wpatrują się w Zacka Herry'ego. W jego idealny prosty nos, jasne kręcone włosy opadające na kark.

Wpatrują się niecierpliwie, żarłocznie.

Dym papierosowy gryzie w oczy, z górnej wargi jakiegoś mężczyzny kapie pot. Stoi za blisko; śmierdzi potem i ma wodniste spojrzenie. Wszyscy stoją za blisko.

Palec na spuście. Zimny metal, może w komorze jest kula. A może nie.

Nie chcę, myśli Zack. To nie ja. Nie będę siedział przy tym stoliku, otoczony tymi ludźmi.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę nie nacisnąć spustu.

Uświadamia sobie, że patrzy prosto w oczy jakiemuś starszemu mężczyźnie o ziemistych policzkach i w szarym filcowym kapeluszu na głowie. Kołnierzyk jego koszuli pożółkł i całe jego ciało wydaje się tęsknić za śmiercią.

Co to za miejsce? I co to za ludzie?

Spadaj stąd, Zack. Odsuń lufę od skroni. Wstań od stolika i wyjdź.

Nie, zostań.

Muszę to zrobić.

Dla tego dziecka.

Kładzie palec na spuście. Chce nacisnąć mocniej, ale całe ciało się przeciw temu buntuje. W jego głowie pojawiają się i znikają głosy. Ojciec biorący go w silne i zdrowe ramiona. Dziecięcy głos Abduli na klatce schodowej w Bredäng. Martwe spojrzenie mamy. Rana w jej szyi, z której wypływa krew. Jej zwłoki w ciemnym tunelu. Płaczący tata, leżący na podłodze w przedpokoju, z telefonem w ręce.

Przynajmniej nie będzie musiał zostać poinformowany o jej śmierci.

A kto będzie płakał po mnie? Mera? Deniz?

Ester. Czeka na mnie na schodach. Ester, która się rozpromienia, kiedy mnie widzi. I zawiedziona wraca na górę do siebie, kiedy nie otwieram drzwi.

Ale pieprzyć je.

Pieprzyć wszystko.

Teraz nacisnę.

Wilgotna skóra pod lufą rewolweru jest śliska. Zack coraz mocniej przyciska broń do głowy.

Wszystkie te oczy w pomieszczeniu. Ich źrenice się zwężają i wydaje mu się, że lecą na niego jak kule, ale nie mogą zabijać. Ponaglają tylko:

Zrób to.

Zrób to.

Dobra.

Niech będzie, do diabła.

Naciska spust do oporu i dziura, która się w nim otwiera, jest większa niż wszystko. Połyka go eksplozja czerni, każda komórka w jego ciele skręca się z bolesnej rozkoszy i wszystko znów jest dobrze, a mimo to ma ochotę krzyczeć i...

Klik.

Cisza krótsza niż oddech.

Potem piekło.

Mężczyźni wrzeszczą. Wyrzucają ręce w powietrze, zmięte pliki banknotów zmieniają właścicieli. Ktoś zahacza ręką o żarówkę zwisającą na kablu z sufitu. Światło nad stolikiem się kołysze, jakiś człowiek potyka się o krzesło Zacka i prawie je przewraca.

Zack odkłada rewolwer. To podniszczony FN Barracuda, broń używana kiedyś przez belgijską policję. Lufa jest krótka, czarny metal matowy i porysowany.

Zack zgina i rozprostowuje palce i czuje ich ruch wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd.

Mężczyzna w średnim wieku, z szyją jak sęp, siada po drugiej stronie okrągłego drewnianego stolika. Zack nie zna jego imienia. Wie tylko, że to on rządzi tu na dole.

Facet z szyją sępa podsuwa mu niebieski plastikowy koszyk zawierający pięć brązowych kopert.

Zack bierze drugą od dołu i rozdziera ją drżącymi palcami.

Pusta.

Co jest, kurwa?

Ma ochotę wyrwać temu facetowi koszyk z kopertami i uciekać. Ale wie, że to na nic. Od drzwi dzieli go co najmniej dwadzieścia osób, a tuż przy nich stoi dwóch uzbrojonych strażników.

Pierdolić tę kopertę. Wyjdź, idioto. Wyjdź stąd.

Wstaje.

Siedzący naprzeciw niego mężczyzna odstawia koszyk z kopertami i wyjmuje złocisty lśniący nabój .357 Magnum. Podsuwa go pod nos Zackowi.

– *One more? Okay?*

Zack wpatruje się w niego.

– *Zabiję cię* – szepcze.

Mężczyzna się śmieje, odsłaniając poźółkłe zęby.

– *One more. Yes? No?*

Ludzie tłoczący się wokół stołu ponaglają go:

– *Do it, do it.*

Ktoś unosi butelkę ze śmierdzącą tanią whisky.

Tyłu ludzi tu na dole. Tyle dymu i potu. Płuca nie chcą tłoczyć powietrza, zupełnie jakby jego pierś przygniótł jakiś drapieжник.

Zack spogląda na rewolwer.

– *Yes. One more.*

W pomieszczeniu znowu wrze. Ludzie zwietrzyli śmierć.

Jego śmierć.

Mężczyzna siedzący naprzeciw otwiera bęben rewolweru. Unosi nabój, żeby wszyscy go zobaczyli. Następnie powolnym, niemal rytualnym ruchem wsuwa nabój po przeciwnej stronie tego, który jest już w bębnie. Unosi wysoko broń, błyskawicznie przesuwając dłonią po bębnie, sprawiając, że ten szybko się obraca.

Kładzie rewolwer na stoliku przed Zackiem.

Gwar znów cichnie.

Zack podnosi rewolwer. Strach i zwątpienie. Ale również inne uczucie. Jakies

ciepło gdzieś głęboko w nim.

Przykłada broń do głowy. Rewolwer waży ponad kilogram i ręka trzęsie mu się, jakby był na głodzie po bezsennej nocy na koce.

Lufa przy skroni.

Zimny metal na spoconej skórze.

Widzi chłopca na łące i czuje zapach trawy i krwi.

Naciska spust.

Sześćdziesiąt siedem procent szans na przeżycie.

Klik.

Znów połyka go dziura. Wywraca na drugą stronę, stawia na głowie. Pochłania go i wypluwa, i znów jest na swoim krześle, tu i teraz, w sposób, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył.

Mężczyzna podsuwa mu pod nos plastikowy koszyk z kopertami. Zostały cztery. Zack bierze tę z samej góry. Odgłos rozrywanego papieru huczy mu w uszach.

Pusta.

Znowu.

Facet z sępią szyją zachowuje kamienną twarz, ale Zack żałuje, że się nie szczerzy, bo wtedy miałby pretekst, by go uwolnić od paru pozółkłych zębów.

Zack wskazuje głową na rewolwer i mówi:

– *One more.*

Mężczyzna wyjmuje trzeci nabój.

Znów kręci bębniem. Broń znów klika.

Muszę znaleźć odpowiedź.

Muszę uratować to dziecko.

Tym razem, gdy podnosi rewolwer, ręka nie trzęsie się już tak bardzo. Strach i zwątpienie nie są już tak silne.

Naciska spust. Nie słyszy już ponaglających głosów. Ledwie zauważa banknoty przechodzące z rąk do rąk nad jego głową, żar z papierosa, który spada mu na dłoń, szturchańce i poklepywanie po plecach.

Znajduje się w tunelu światła, a dźwięki, ruchy i ludzie są światłem.

Czwarta kula.

Powoli – nieskończenie powoli – mężczyzna wsuwa ją do bębna.

Pomieszczenie wypełniają wstrzymywane, podniecone oddechy. A Zack tęskni za tym, by nacisnąć spust, niczego bardziej nie pragnie.

Podnosi rewolwer i przysuwa go do skroni. Myśli, że liczy się tylko tu i teraz. Nic poza tym.

Patrzy w oczy facetowi z sępią szyją i naciska spust.

Pomieszczenie się rozpada. Ludzie znikają jak dym rozwiewający się nad polem bitwy.

Na całym świecie zostałem tylko ja, myśli. Tylko ja, i trzymam w ręce brązową kopertę, otwieram ją i jest pusta, i to nie ma żadnego znaczenia, bo to nie w niej jest odpowiedź. Odpowiedź jest gdzie indziej. Na stoliku przede mną, w podniszczonym rewolwerze, który ktoś bierze do ręki i wkłada piąty nabój, a ja podnoszę rewolwer

i zastanawiam się, czy kiedykolwiek istniało coś innego prócz tej chwili. Czy kiedykolwiek istniało coś innego prócz mnie samego i mojego palca na spuście.

Teraz mam lufę przytkniętą do skroni. Lubię, kiedy tam jest. Musi tam być.

Nic poza tym nie ma znaczenia.

Mój palec powoli naciska spust.

Mocniej, mocniej.

PONIEDZIAŁEK, 19 STYCZNIA
(SZEŚĆ DNI WCZEŚNIEJ)

Sztokholm, wpół do ósmej rano. Czternaście stopni poniżej zera, z północnego wschodu wieje lodowaty wiatr. Ulice pokrywają lód i piach. Resztki starego, zasikanego przez psy śniegu mieszają się z piaskiem, który będzie śmierdział, kiedy zrobi się ciepło.

I ciemność. Gęsta i nieprzenikniona. Żądna zemsty, jakby chciała karać ludzi za grzechy.

Mieszkańcy miasta przechodzą obok w drodze do pracy jak bezsenne duchy. Nikt się nie uśmiecha, nikt nie ma siły rozmawiać, nawet przez komórkę.

Od piętnastu dni z rzędu temperatura utrzymuje się poniżej minus dziesięciu stopni, a przy Sveavägen ktoś powybił szyby w dwóch biurach podróży. Niczego nie ukradł. Pozrywał tylko plakaty ze skąpanymi w słońcu plażami i uśmiechniętymi, opalonymi na brąz rodzinami. Mówią o tym wydarzeniu na kanale P4 sztokholmskiego radia. Robią z tego zabawną historię. Sympatyzują ze sprawcą.

Zack Herry siedzi z Ester Nilsson w 7-Eleven przy Fridhemsplan i słuchając programu ze sklepowych głośników, zastanawia się, czy ten, kto to zrobił, poczuł się od tego lepiej. Czy gdy nie musiał już oglądać zdjęć pokazujących, jakie mogłoby być życie, gdyby mieszkał w innym miejscu na świecie, mróz i mrok stały się łatwiejsze do zniesienia.

Czy może potem zimno stało się jeszcze bardziej dokuczliwe?

Zack upija łyk kawy z papierowego kubka i wygląda przez okno. Nagłówki na afiszach kuszą obietnicami ocieplenia i listami najlepiej zarabiających dyrektorów naczelnych, ale żaden z przechodniów nie ma siły, by choć odwrócić głowę. Z ich zsiniałych od zimna ust unosi się biała para i wygląda to tak, jakby nagle całe miasto postanowiło, że znów zacznie palić papierosy.

Ester macza rogalik w kubku z czekoladą i odgryza duży kęs.

Rudawe włosy związała w kucyk; szczupła szyja dwunastolatki opatulona jest w owinięty kilka razy pomarańczowy szalik.

– Pomyśleć tylko, że jeśli pewnego dnia pojedę do Paryża, będę mogła codziennie takie jadać – mówi, gdy kończy przeżuwać.

Stała pod drzwiami Zacka, gdy wcześniej rano wszedł na klatkę schodową. Oboje byli równie zdziwieni.

– Cześć – powiedziała wtedy. – Już wychodziłeś?

– Spałem dziś w nocy u Mery, ale muszę zajrzeć do domu i zabrać parę rzeczy w drodze do pracy.

– Znów zapomniałeś zabrać z domu pistolet?

Uniósł palec do ust.

– Szz... Nie tak głośno.

Zachichotała.

– A co ty tutaj robisz? – spytał. – Nawet ty się do mnie nie dobijasz tak wcześnie

rano.

– Chciałam spytać, czy mogę pożyczyć trochę mleka. Nic nam w domu nie zostało.

Mówiąc to, wbiła wzrok w podłogę, próbując uniknąć spojrzenia Zacka, ale dostrzegł wstyd w jej oczach. Zawsze tak było, gdy opowiadała mu coś o swoim codziennym życiu. Wstydzi się za swoją matkę Veronicę, która tak głęboko pogrążyła się w depresji, że leki psychotropowe zdają się przynosić jej o wiele więcej radości niż własna córka.

– Wejdz – rzucił. – Wezmę tylko parę rzeczy, a potem zapraszam cię na śniadanie w 7-Eleven. Może być?

Kiwnęła głową i nawet nie próbowała ukryć uśmiechu.

Do automatu z kawą w 7-Eleven stoi długa kolejka, a za ludźmi wchodzącymi z ulicy ciągnie się zimny podmuch, gdy mijają stolik Zacka i Ester.

Dziewczyna wsuwa do ust resztę rogalika i strzepuje z dłoni okruszki.

– Chcesz jeszcze coś zjeść? – pyta Zack.

– Nie, dzięki. Ale było pyszne.

Uśmiecha się, a Zack myśli, że ją oszukał. Sprawił, by uwierzyła, że przyszedł tu tylko ze względu na nią. Że nie miał innej sprawy do załatwienia.

Nie zasługuje na jej zaufanie.

Ani trochę.

W ciągu ostatnich miesięcy kilka razy ją zbył, gdy zapukała do jego drzwi.

Czasem nawet nie otwierał.

Jest przekonany, że Ester wie, że był wtedy w domu.

Kilka tygodni temu leżał na sofie i czuł, że amfetamina zaczyna działać. Zapukała wtedy trzy razy, ostrożnie, tak jak zawsze. Przez chwilę tak stała, a potem usłyszał, że usiadła i oparła się plecami o drzwi. Próbował być cicho, nie ruszać się, ale z kilku minut zrobiło się pół godziny i w końcu zaczął myśleć, że przyszła, żeby go dorwać. Że jest szpiegiem, który od kilku lat wkrada się w jego życie wyłącznie w jednym celu: żeby go posadzić za przestępstwa narkotykowe.

Oczywiście, że musiało tak być. Bo w przeciwnym razie po co by tak często dzwoniła do jego drzwi? Po co miałyby tam siedzieć i podsłuchiwać?

Wyciągnął broń. Stał z szeroko otwartymi oczami, pulsowało mu w skroniach. I trzymał pistolet wymierzony w drzwi. Wydawało mu się, że trwa to całą wieczność.

Dopóki sobie nie poszła.

Patrzy teraz na Ester, jak ogrzewa białe, zziębnięte dłonie o kubek.

Celowaleś do niej.

Jak mogłeś?

Był wtedy kompletnie wykończony. Zawikłana sprawa otrutego multimilionera z Täby pochłaniała jego energię przez cały grudzień.

W tamtym czasie i później często bywał u Mery. U niej mógł się odciąć od całej reszty.

Od narkotyków.

Od wspomnień. Mroku.

Ale to nie było dobre miejsce. W ciągu ostatniego roku niewiele robili wspólnie,

tylko pracowali, pracowali i jeszcze raz pracowali. Zwłaszcza Mera. Z usług jej agencji PR zaczęła korzystać Ikea, i pożerają ją, tak jak pożerają wszystko na świecie.

On nie ma czasu dla niej, ona dla niego, i stali się dla siebie jak maszyny. Mera zdaje się nie rozumieć, ile Zack bierze narkotyków, nie zauważa tego.

Uprawiają seks, ale nie dają sobie prawdziwej bliskości.

Ale dziś w nocy bliskość była prawdziwa.

Kochali się długo i spokojnie. Kiedy do niej przyszedł, tuż przed jedenastą wieczorem, zrobiła kolację. Jakąś drogą rybę, którą kupiła na hali targowej w Östermalmie, i prawdziwe purée ziemniaczane, takie, jakie robił jego tata przy tych nielicznych okazjach, kiedy pozwalało mu na to zdrowie.

Po jedzeniu poszli do sypialni. Spokojnie się rozebrali i pozwolili, by to się stało, powoli i bez pośpiechu, i gdy patrzył na nią, na Merę Leosson, na jej ostry nos, ciemne włosy i powieki skrywające inteligentne, mądre oczy, pomyślał, że naprawdę mogliby ze sobą być. Na serio. Że mogliby się pobrać i mieć dzieci. Czuł jej miękkie, ciepłe ciało i myślał, że takie życie byłoby możliwe.

Chwilę później, gdy zostawił ją śpiącą i zamknął za sobą drzwi, nadal w to wierzył.

A potem wyszedł na ulicę, przy której mieszkała, spojrzął na okazałe domy z kamienia, poczuł lodowaty wiatr znad Nybroviken i to uczucie w nim umarło.

Była starsza, miała inne życie i pragnęła innej przyszłości. Nie wiedział jakiej, ale nie takiej, jaką mógłby z nią dzielić.

Próbował odsunąć myśli o Merze.

Kiedy mu się nie udało, wysłał esemesa do Abduli.

– Masz nową kurtkę? – pyta Ester, wyrywając Zacka z zamyślenia.

Spogląda na siebie, jakby musiał sprawdzić, w co się ubrał.

– Tak. Dość nową.

– Dostałeś ją od Mery?

– Nie, aż taka droga nie jest.

Poprzednim razem, gdy Mera kupiła mu kurtkę od Ricka Owensa, dowiedział się przypadkiem, że kosztowała dwadzieścia dwa tysiące koron. Tę tutaj kupił za dwa tysiące pięćset na wyprzedaży, a i tak uważał, że to za drogo. Ale jak dotąd było mu w niej ciepło na mrozie.

– Ładna – mówi Ester, przesuwając dłonią po czarnej, pokrytej goretexem tkaninie.

Potem szybko spogląda nad ramieniem Zacka i wystraszona się cofa.

Zack wyczuwa obecność potężnego mężczyzny, jeszcze zanim się odwraca i go widzi.

– Cholera, nie wiedziałem, że masz córkę! Masz jeszcze jakieś tajemnice? – mówi grzmiącym głosem mężczyzna, wyciągając na powitanie pięść.

Zack przytyka do niej swoją, wstaje i mocno ściska Abdulę.

– Co tam u ciebie?

– Mogłoby być całkiem nieźle, gdyby jakiś idiota nie obudził mnie w środku nocy esemesem i nie kazał mi wychodzić na ten paskudny mróz.

– W środku nocy? Daj spokój, dochodziła siódma. A poza tym dobrze ci to robi. Wiesz, co powiedział lekarz.

– Tak, tak. Długie spacery, gotowane warzywa i sałatki. Człowiek żałuje, że w ogóle się obudził w tym szpitalu.

Zack zwraca się do Ester:

– To mój przyjaciel Abdula. Na pewno ci o nim opowiadałem. Znamy się, odkąd byliśmy małymi gówniarzami. Ganialiśmy razem po Bredäng.

Dziewczyna nieśmiało wyciąga rękę.

– Cześć. Jestem Ester Nilsson.

Abdula ujmuje jej dłoń i lekko się kłania.

– Abdula Kahn, do usług, moja piękna.

Ester cofa rękę i chichocze.

– On już taki jest – wyjaśnia Zack. – Można się przyzwyczaić... prawie.

Abdula wysuwa krzesło i siadając, krzywi się z bólu.

– Brzuch? – pyta Zack.

– Myślałem, że mi przejdzie, ale pogorszyło się od tego mrozu.

– I wciąż nie chcesz brać leków przeciwbólowych?

– Nie. To niebezpieczne rzeczy. – Abdula pochyla się w stronę Ester. – Słyszałaś? Nigdy nie stań się taką dziewczyną, która zaczyna dzień od tabletek na ból głowy.

Zack mimowolnie wybucha śmiechem. Facet, który przez lata wciągał w siebie kilogramy koki i innego gówna, teraz wygłasza kazania, jak niebezpieczny jest paracetamol.

Ale Ester się nie śmieje i kiedy Zack zauważa wyraz jej twarzy, komentarz Abduli nie wydaje mu się już zabawny.

Ester wie lepiej od innych, jaki wpływ na życie mogą mieć tabletki.

Ale to dobrze, że Abdula zachował poczucie humoru. Że chyba nie wpłynęło na niego to, co się wydarzyło w Skärholmen w czerwcu zeszłego roku, gdy został postrzelony w brzuch i przez trzydzieści dziewięć dni leżał w śpiączce, z kiepskimi rokowaniami.

Ubiegłego lata Zack spędził dużo czasu przy jego szpitalnym łóżku. Przesiadywał tam godzinami i opowiadał nieprzytomnemu przyjacielowi wspomnienia z przeszłości. O ich niebezpiecznych zabawach w metrze, o niedzielnych popołudniach w narkomańskiej melinie Ernesta Santosa, o meczach na podwórku, które zawsze wymykały się spod kontroli. I o tym, jak biegali i potem sprawili, że inni też zaczęli biegać.

Gdy Zack siedział przy łóżku Abduli, wiele razy myślał, że to już koniec, że stracił go na zawsze. Ale Abdula odzyskał przytomność. Dochodził do siebie szybciej, niż prognozowali lekarze.

Wygląda na to, że nic go nie zabije. A że ciało po czymś takim się buntuje, to co z tego?

Ester lekko puka Zacka w ramię.

– Muszę już iść – mówi. – Zaraz zaczynają się lekcje.

– Mam cię odprowadzić?

Dziewczyna przewraca oczami i wstaje.

Wkłada puchową kurtkę, rękawiczki i czapkę i zarzuca na ramię torbę z książkami.

Szybko ściska Zacka, macha nieśmiało do Abduli i rusza w stronę drzwi.

Abdula spogląda za nią.

– To ta, która mieszka w tej samej klatce co ty? Ta z porąbaną matką?

– Tak.

Abdula się krzywi.

– Najważniejsze, żeby nie trafiła w złe towarzystwo. To znaczy między takich jak ja – mówi, i Zack znów wybucha śmiechem.

Abdula podaje mu książkę w miękkiej oprawie, jakąś podniszczoną powieść Michaela Connelly’ego.

– Spodoba ci się – mówi.

Zack wsuwa książkę do wewnętrznej kieszeni. Wie, że niektóre strony są powycinane i że między okładkami kryje się woreczek zawierający 0,6 grama boliwijskiej kokainy. Według Abduli, luksusowy towar, aż siedemdziesiąt procent czystości.

Nagle tęskni za tym, by przewinąć ten dzień do przodu i zatrzymać czas dopiero w nocy, w piwnicznym lokalu z tańczącymi ludźmi i basami z głośnikami, wdzierającymi się głęboko między żebra.

Zack czuje na karku uporczywy zimny powiew i się odwraca. Widzi jakąś mamę z wózkiem, koło utknęło w drzwiach. Półroczne dziecko leży opatulone w kożuszek, kołysze się, gdy matka szarpie wózek. W końcu kobiecie udaje się wjechać do środka i ustawia się w coraz krótszej kolejce do automatu z kawą.

Zack widzi kątem oka, jak dwóch około dwudziestoletnich mężczyzn wchodzi do sklepiku. Jeden jest przyszczaty, blady i długowłosa, drugi niższy, z kilkudniowym zarostem i o ciemniejszej karnacji. Obaj są spięci i wciskają ręce do kieszeni zbyt cienkich kurtek.

Mają rozbiegane spojrzenia i do Zacka dociera, że coś jest nie tak, na jakąś sekundę przed tym, zanim ten przyszczaty wyciąga pistolet i krzyczy:

– Wszyscy morda w kubeł, okej! – Jego głos przechodzi niemal w falset, a matka pośpiesznie zasłania sobą wózek. Jakiś starszy mężczyzna w czapce stojący przy automacie oblewa się kawą i krzyczy, gdy gorący napój spływa mu po ręce.

– Morda w kubeł, mówiłem!

Kolega przyszczatego szybko podchodzi do młodej ekspedientki, ale dziewczyna jest szybsza; rzuca się do pomieszczenia za kasą i zatrząskuje za sobą drzwi.

– Wracaj, dziwko! – wrzeszczy napastnik, przeskakuje za kasę i szarpie drzwi. Na próżno.

Pryszczaty omiata pistoletem sklepik i krzyczy:

– Bierz kasę, Yussuf. Olej tę dziwkę!

Yussuf się odwraca i próbuje wyrwać kasę.

Mężczyzna, który oblał się kawą, chce wyjąć serwetki z pojemnika, ale ciągnie tak mocno, że metalowe pudełko spada na podłogę.

Pryszczaty aż podskakuje i mierzy do niego.

– Co ty wyprawiasz, stary?! Kładź się na podłogę!

Zack patrzy na Yussufa. Stoi pochylony nad kasą i próbuje wymyślić, jak ją wyciągnąć. Doskonale.

Zack w dwóch szybkich krokach podchodzi do lady, równocześnie wyciągając z kabury pod kurtką teleskopową pałkę i wykonuje szybki ruch nadgarstkiem. Lekka czarna stal z metalicznym dźwiękiem wysuwa się z uchwytu. Yussuf podnosi wzrok zaledwie na ułamek sekundy przed tym, jak pałka trafia go mocno w grzbiet nosa, ciskając nim w tył na stojak z kartami upominkowymi.

Zack wyciąga swojego sig sauera i celuje w faceta z pistoletem; równocześnie słyszy, jak Yussuf zatacza się po podłodze za ladą.

– Policja! – mówi głośno Zack. – Rzuć broń.

Kobieta z wózkiem zaczyna płakać. Starszy mężczyzna, który rozlał kawę, stoi na czworakach na podłodze, a pozostałe trzy osoby z kolejki do automatu starają się nie wykonywać żadnych ruchów.

– Rzuć broń. Już! – mówi Zack, ale przyszczaty wciąż trzyma pistolet w wyciągniętej ręce, rozgląda się rozbieganym wzrokiem, a potem zaskakująco szybko przesuwa się w bok i chwyta matkę z wózkiem. Kobieta krzyczy przerażona, gdy ściska jej ramię i przysuwa pistolet do skroni.

Mężczyzna trzęsie się na całym ciele, patrzy wokół oszalałym wzrokiem. Żółtodziób, myśli Zack. Mimo użycia przemocy. Zdesperowany, żeby szybko zdobyć kasę. Bo jaki inny idiota mógłby wpaść na pomysł, żeby w poniedziałek rano chcieć obrabować zatłoczony 7-Eleven?

Ale dość już tego. Na nic więcej mu nie pozwoli.

Zack szybko, ale dokładnie mierzy, naciska spust i trafia mężczyznę w prawe ramię. Strzał nim obraca; upuszcza broń do wózka, spogląda na ramię, obmacuje je, zauważa krew i zaczyna wyć z bólu.

Zack kopniakiem podcina mu nogi. RzUCA go na podłogę, brzuchem w dół. Potem wykręca przyszczatemu ręce za plecy i zakłada mu kajdanki.

Mężczyzna drze się jeszcze głośniej.

– Przestań wyć jak pies – szepcze mu do ucha Zack i facet milknie.

Matka wciąż płacze, ale jej dziecko nadal smacznie sobie śpi pod kożuszką, na którym leży broń.

– Przyda się panu pomoc? – pyta jakaś kobieta, na którą Zack wcześniej nie zwrócił uwagi. Około trzydziestki, w długim, białym sztucznym futrze.

– Jasne. Niech pani na nim usiądzie i ściśnie powyżej ramienia, jeśli będzie stawiał opór.

– Dobrze.

Kobieta siada okrakiem na plecach przyszczatego, a Zack wyjmując z wózka broń i szybko podchodzi do drugiego napastnika. Ten wciąż leży nieprzytomny na podłodze.

Zack spogląda na Abdulę. Przyjaciel wciąż siedzi na krześle i pustym wzrokiem wpatruje się przed siebie. Drży na całym ciele.

Jednak się zmieniłeś, przyjacielu, myśli Zack.

Kilka przecznic dalej, na Kungsholmen, słychać słabe dźwięki policyjnych syren.

– Abdula – mówi Zack.

Żadnej reakcji.

– Abdula! – tym razem głośniej. To działa. Przyjaciel mruga i spogląda na niego

przytomnie.

Zack chce mu powiedzieć, żeby uciekał, zanim wpadnie tu policja, ale kilka osób jest za blisko, więc tylko wskazuje głową na wyjście.

Abdula wstaje z krzesła i nie odwracając się, rusza do drzwi.

Mały dron powoli z szumem zakręca nad dachami domów w Stocksund. Na tle ciemnego porannego nieba wygląda jak zmutowany, mechaniczny drapieżny ptak, lśniąca biel, cztery zaopatrzone w śmigła ramiona.

Czterdziestosześcioletni Lars Albinsson kieruje dronem za pomocą konsoli i równocześnie przez cały czas sprawdza na wyświetlaczu OLED, co pokazuje kamera.

Zastanawia się, czy nie pokierować drona nad willę Johanssonów, sprawdzić, czy skończyli już rozbudowę oranżerii. Albo „oranżeriiiii”, jak to wymawia żona Johanssona.

Daje sobie jednak spokój. Nie chce, by ktoś zwracał uwagę na drona. Wtedy zawsze może się przypętać jakiś sukinsyn, który będzie się domagał, żeby tego zakazać, i gadał coś górnolotnie o naruszaniu prywatności. Zacofani ludzie, którzy nie chcą zrozumieć, jakie możliwości daje technologia. Którzy chcieliby, żeby świat znów zajmował się oranżeriami.

To jego żona chciała się tutaj przeprowadzić, do tej zamożnej, konserwatywnej dzielnicy willowej. Sam wolałby mieszkać w centrum, w Vasastan. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, tutaj może przynajmniej używać drona.

Z usług Larsa Albinssona skorzystały już dwie duże firmy budowlane i sieć handlująca sprzętem elektronicznym; chcieli dokładniej obejrzyć teren, który zamierzali w przyszłości eksploatować.

Możliwości zarabiania są nieskończone, myśli Albinsson, a zwłaszcza z tym nowym modelem, który ma ruchomą kamerę Tele zoom i możliwość filmowania w jakości HD.

Pewnym ruchem zmusza drona, by oddalił się od dzielnicy willowej, przeleciał nad budką z tajskim jedzeniem i zamkniętą wypożyczalnią filmów, a potem wzniósł się nad szczytami świerków ku ruinom dawnej fabryki cementu.

Nieliczne wciąż działające reflektory rzucają ponury blask na teren fabryki. Większość zabudowań zrównano z ziemią. Wielkie sterty betonu, prętów zbrojeniowych i gruzu leżą częściowo przysypane odgarniętym przez pług starym śniegiem, który nie zdążył stopnieć, zanim nadpłynęło mroźne arktyczne powietrze.

Stary komin wciąż stoi. Ma czterdzieści metrów wysokości.

Lars Albinsson naciska przycisk na konsoli i zapalają się ostre reflektory drona. Wspaniale to wygląda na wyświetlaczu, gdy nagle komin wynurza się z ciemności.

Posyła drona coraz wyżej i wyżej. Obraz na wyświetlaczu jest ostry i wyraźny, mimo mroku i ciągłego ruchu.

Dron zbliża się do szczytu komina, płosząc kilka srok. Lars Albinsson nakazuje mu zwolnić, widzi, że na szczycie coś sterczy.

Coś, co wygląda nie tak.

Co jest, kurwa?

To przecież... Nie, to nie może być prawda.

Majstruje niezdarnie przy konsoli i dron ociera się o krawędź komina.

Szlag by to trafił.

Mroczny, palący strach w brzuchu.

Oddala drona na kilka metrów od komina i oddycha ciężko.

Nie przywidziało mu się?

To nie może być prawda.

Bierze kilka głębokich oddechów, a potem ciekawość przewycięża strach i Albinsson z powrotem kieruje drona w stronę komina. Tym razem trochę wyżej. Ponad szczyt.

Ustawia reflektory w dół, po skosie. Dwa stożki światła penetrują ciemność.

Autozoom w kamerze działa szybko i obraz staje się ostry.

O wiele za ostry.

Ściska mu się żołądek i udaje mu się przełknąć pierwszą, kwaśną falę wymiotów.

Ale kolejnej już nie.

Dron kołysze się w powietrzu wysoko w górze, a głodne sroki wracają w ciemności.

Stożki reflektorów podskakują na wyboistej żwirowej drodze, gdy inspektor policji kryminalnej Deniz Akin jedzie należącym do Jednostki do Zadań Specjalnych volvo V50 w stronę fabryki. Jest zupełnie tak, jakby zimowy mrok postanowił, że będzie dziś przepuszczał tylko zimną, bladoszarą poświatę, która jest jak parodia światła.

Deniz widzi swoje odbicie we wstecznym lusterku.

Długie ciemne włosy okalające twarz, proste, wydatne brwi, które sprawiają, że spojrzenie jej brązowych oczu wydaje się jeszcze bardziej zdeterminowane.

Wyraźnie widać jej kurdyjskie pochodzenie, ale nie jej historię. Deniz nie chce w tej chwili o niej myśleć. Chce myśleć o tym, co ich czeka.

Wciąż czuje obecność Corneli. Jej zapach, jej ciepły, szczery głos chwilę temu, przy śniadaniu.

Czy na to zasługuję? – myśli Deniz, a potem szybko spogląda na Zacka, który siedzi obok niej na miejscu pasażera. Mimo wszystko dziś wygląda całkiem nieźle. Pewnie spał u Mery, a wtedy nic nie bierze.

Deniz stara się nie zwracać uwagi na jego słabe punkty. Nie wie jednak, jak długo jeszcze będzie mogła to robić. Ani czy postępuje słusznie.

Skąd można wiedzieć coś takiego? Co jest dobre, a co złe dla innego człowieka?

Dla tego błyskotliwego, przystojnego, młodego policjanta.

Z problemami.

Chcę dla niego jak najlepiej, ale jak mogę mu pomóc? – myśli Deniz i wrzuca niższy bieg, zaciskając usta w kreskę.

Ma suche usta, myśli Zack. Tak suche, jak on sam po koce.

Zerka na zegar. 08.33, a on zdążył już postrzelić jednego faceta, a drugiemu złamać nos.

Powinien teraz siedzieć na przesłuchaniu w wydziale spraw wewnętrznych. Taka jest procedura w przypadku policjanta, który oddał strzał z broni służbowej.

Ale wtedy zadzwoniła Deniz i powiedziała mu o najnowszym zgłoszeniu. O tym chorym zgłoszeniu.

– Zgarnij mnie po drodze – powiedział.

Pieprzyć tych z wewnętrznego.

Na tylnym siedzeniu siedzi technik Samuel „Sam” Koltberg. Nic nie wie o próbie rabunku w 7-Eleven. W przeciwnym razie ze złośliwym uśmiechem zadzwoniłby już do oficera dyżurnego i zażądałby, żeby zgodnie z regulaminem natychmiast zgarnęli Zacka.

Zack czuje niechętnie spojrzenie Koltberga na karku. Wie, że według niego jest karierowiczem, który awansował dzięki zasługom matki policjantki, i jego awans na inspektora policji kryminalnej był czymś w rodzaju rekompensaty za to, że zginęła na służbie. Zdaje się nie mieć dla niego znaczenia, co Zack robi, by udowodnić, że jest inaczej; Koltberg zawsze potrafi znaleźć coś, co potwierdza jego tezę.

Deniz objeżdża świerkowy zagajnik i Zack widzi szary komin piętrzący się jak gigantyczny nagrobek na tle bezbarwnego nieba.

Dalej, przy uchylonej bramie, stoi niechlujnie zaparkowany radiowóz i czerwony passat. Obok jakiś policjant w mundurze przedziera się przez kolczaste zarośla, by przywiązać koniec taśmy odgradzającej teren do oszronionego pnia.

Deniz parkuje za furgonetką. Z tylnego siedzenia dobiega przeciągłe westchnienie, a potem słychać jak zwykle nadąsany głos Koltberga:

– No tak, pozostaje tylko trzymać kciuki, żeby nie okazało się, że zdążyli już zdeptać wszystkie ślady. Ale pewnie za dużo bym sobie życzył.

Zack otwiera drzwi od strony pasażera i czuje lodowaty podmuch wiatru na twarzy. Jeszcze raz zatraskuje drzwi i naciąga na uszy podszytą polarem czapkę. Leży tu trochę więcej śniegu, ale mało, zaledwie centymetr czy dwa, i gdy kierują się do wysokiej bramy, ostry żwir chrzęści im pod grubymi gumowymi podeszwami zimowych butów.

Na płocie wisi gigantyczna tablica.

NA TYM TERENIE JM BUDUJE

450 NOWYCH MIESZKAŃ

Pod tekstem znajduje się grafika komputerowa przedstawiająca idylliczne osiedle letnią porą. Zielone drzewa. Zielone trawniki. Zadowoleni ludzie w szortach i kolorowych T-shirtach.

Zack myśli o wybitych oknach w biurach podróży. O wściekłości, jaką wzbudziły obrazy lata.

Unosi taśmę, przepuszcza Deniz i Koltberga, po czym wkracza za nimi na teren fabryki. Wrażenie jest takie, jakby wędrowali przez jakąś baśniową krainę zła. Szarą i zimną. Z wysoką wieżą, która zdaje się rzucać cień na wszystko, co dobre w ludziach.

To ma być tam na górze?

Wydaje mu się, że widzi jakieś sroki kręcące się przy szczycie komina.

Jedzą to?

Wygląda na to, że Koltberg zauważył to samo, bo nagle jego krok się wydłuża. Z każdym metrem komin zdaje się rosnąć, a trzech mężczyźni, którzy stoją u jego podstawy i spoglądają w górę, wyglądają w porównaniu z nim jak karły.

Zack wita się z nimi. Per Karlsson, aspirant, Pelle Sörensson, kierownik budowy z JM, i Lars Albinsson, ubrany w pomarańczową sportową kurtkę i trzymający w ręku pilota, który wygląda jak te do gier.

Koltberg zadowala się posłaniem im chłodnego spojrzenia i mówi:

– Ach tak, oczywiście zdeptaliście już wszystko wokół miejsca zbrodni?

Trzej mężczyźni spoglądają po sobie z zakłopotaniem, ale zanim któryś z nich odpowiada, odzywa się Deniz:

– Do czego używano tego komina?

– Należał do starego pieca cementowego – odpowiada Pelle Sörensson. – Ale piec dawno temu wyburzono. Został tylko ten komin. Zamierzaliśmy go wysadzić na wiosnę.

Zack odwraca się do Albinssona.

– Jak to się stało, że używał pan drona tak wcześnie rano?

– Jest całkiem nowy. Chciałem go wypróbować po ciemku. Wydawało mi się, że to będzie dobre miejsce, opuszczony teren, gdzie nie będę nikomu przeszkadzał. Ludzie

tutaj są konserwatywni, a drony, no cóż, one należą do przyszłości, zwłaszcza że...

– Nakręcił pan film? – przerywa mu Zack.

– Tak. Chce pan obejrzeć?

Chcę?

Lars Albinsson sprawnie przewija film do momentu, kiedy dron zbliża się do szczytu komin. Deniz i Koltberg stają po obu stronach Zacka i razem patrzą, jak reflektor punktowo oświetla komin, a dron powoli go okrąża.

Beton, beton, beton.

A potem szczyt komin, jego szeroka, zaokrąglona krawędź.

Obraz na ukos, z góry.

Co to jest?

Wiem, co to.

Mała, zamrożona rączka. Jak szpon. Czerwonosina od mrozu. Przywiązana liną.

Potem odmrożona twarz.

Oko wpatruje się prosto w kamerę. Gigantyczna źrenica, z której uszło życie.

I wielka, wydziobana dziura w miejscu, gdzie powinno być drugie oko.

– Ożeż kurwa! Nie – mówi Deniz.

Potem obraz zaczyna się trząść i słyszeć głośne szuranie, gdy dron ociera się o komin.

Mija kilka sekund, nim obraz znów staje się stabilny i ostry i wtedy dron jest już wyżej. Widzą całą postać chłopca rozciągniętego nad otworem komin.

Ręce rozpostarte jak u Jezusa, stopy i dłonie przywiązane grubymi linami. Cienki T-shirt powiewa na wietrze, a ręce i twarz są poznaczone małymi czerwonymi dziurkami pozostawionymi przez ptasie dzioby.

Nie może być samotniej. Ani zimniej.

Muszę wejść do niego na górę, myśli Zack. Teraz. Natychmiast. Wcisną pauzę i nie zabiera sprzętu.

– Jak pan myśli, co się stało? – pyta Lars Albinsson.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Zack. – Ale nie będzie dalej tam wisiał.

Mężczyzna kiwa głową.

Zack zwraca się do Pellego Sörenssona.

– Jak można dostać się tam na górę?

– Po drugiej stronie jest drabina. Proszę ze mną, pokażę panu.

– Czekać! – krzyczy Koltberg. – Możecie pozacierać ślady.

– Ach! Przykro mi, ale już kilka razy obchodziliśmy komin.

Błada twarz Koltberga natychmiast przybiera purpurową barwę. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Zack go ubiega.

– W porządku – mówi do Sörenssona. – Ale teraz niech pan spróbuje iść po wcześniejszych śladach.

Obchodzą komin i Pelle Sörensson pokazuje, gdzie jest drabina.

– To tutaj. Możecie panowie wejść na górę, ale są dwa warunki. Musicie mieć kaski, a ja pójdę z wami i będę was ubezpieczał.

Zack śledzi wzrokiem czarne żelazne stopnie aż na sam szczyt.

Tam, wysoko w górze.

Chłopiec.

Stopy zwisają poza krawędź.

Zack szarpie blokadę drabiny i odwraca się do Koltberga.

– Mogę wejść pierwszy – mówi. – Będę ostrożny, niczego nie zniszczę. A może ty wolisz iść pierwszy?

Koltberg momentalnie blednie.

– Ja... Idź ty, ale zanim czegokolwiek dotkniesz, zrób kilka zdjęć. I daj mi najpierw pobrać próbki z najniższych stopni, nim wszystko zادةpczesz.

Aparat Nikon zwisa na pasku z pleców, gdy Zack odchyła się, by podpiąć karabińczyk do kolejnego oblodzonego stopnia.

Są mniej więcej w połowie drogi. Wiatr szarpie kurtkę, ale Zack dobrze się dzisiaj ubrał. Gruby wełniany golf pod spodem, wiatroszczelna czapka.

Zwykle kocha takie chwile. Wysięk fizyczny, poczucie zagrożenia – a równocześnie totalna wolność. Ale dziś ma wrażenie, jakby z każdym krokiem zbliżał się do miejsca, w którym nikt nie powinien się znaleźć.

Chce jednak dostać się na górę do chłopca.

Musi to zrobić.

– Wszystko w porządku? – woła Pelle Sörensson kilka metrów niżej. – Proszę powiedzieć, jeśli chce pan odpocząć.

– Wszystko w porządku – odpowiada Zack i wspina się dalej, w stronę zwłok na górze.

Spogląda na Sztokholm. To jak patrzenie na świat, z którego palety znikły wszystkie barwy prócz szarości, brązu i czerni. Nawet porozrzucone łąty śniegu wydają się brudnoszare w świetle sączącym się zza ponurych chmur.

Zack patrzy w górę. Nagły podmuch wiatru porusza stopą chłopca i przez krótką chwilę Zack sądzi, że dziecko żyje.

Weź się w garść. To niemożliwe.

Ale teraz wspina się szybciej.

Ze szczytu komina gapi się na niego kilka srok. Czekają jeszcze chwilę, ale gdy widzą, że się zbliża, odlatują.

Zack wspina się jeszcze kilka metrów, potem wyciąga rękę i dotyka bosych stóp chłopca.

Zamarznięty na kość. Skóra biała od szronu.

Zack podciąga się na krawędź komina.

Teraz jestem przy tobie, myśli.

Nie jesteś już sam.

Chłopiec leży przywiązany do zardzewiałej kraty zakrywającej cały otwór komina.

Zack chce zamknąć oczy, ale zmusza się, by patrzeć. Ale nie na twarz. Jeszcze nie.

Chłopiec ma na sobie biały, pokryty czerwonymi plamami T-shirt i czarne spodnie od dresu, z dziurami na kolanach. Nic poza tym.

Zostawił cię tutaj, żebyś zamarzł? – myśli Zack.

Potem dostrzega ciemne, głębokie nacięcie na szyi dziecka i zauważa, że na pierś spłynęły tylko cienkie strużki krwi.

Byłeś martwy, zanim tu trafiłeś.

I z jakiegoś powodu czuje się lepiej z taką wiedzą.

Nic nie może być gorsze od takiej śmierci.

A może jednak?

Podczepia się do kraty, po czym ostrożnie wstaje i bierze aparat.

Tyle drobnych ranek na skórze chłopca. Na ramionach, na policzkach, na kostkach u nóg. Pod żebrami w T-shircie jest szeroka dziura i głęboka rana. Jakby ptaki próbowały wydziobać mu narządy.

Pieprzone sroki.

Zack robi zbliżenie twarzy chłopca i dociera do niego, że nie ma znaczenia, jak się dzisiaj ubrał. Chłód, który rozlewa się po jego ciele, pochodzi z wewnątrz.

Jedynie oko spogląda na niego spod cienkiej warstewki lodu.

Blask zgasł, ale nadal widać strach.

Usta chłopca są rozchylone. Jakby chciał coś powiedzieć albo na próżno próbował po raz ostatni wciągnąć powietrze do płuc, zanim uszło z niego życie.

Co oni ci zrobili?

Zack ostrożnie porusza się po kracie, by zrobić ujęcie pod innym kątem. Czuje się jak intruz. Jak paparazzi na usługach śmierci.

Potem znów zarzuca aparat na plecy i próbuje poluzować węzły krępujące zsiniałe ręce chłopca. Nie daje rady. Lina jest sztywna, a on ma zgrabiałe palce.

– Ma pan jakiś nóż? – woła w dół do Pellego Sörenssona.

– Tak. Podać panu?

– Byłoby lepiej, gdyby wszedł pan tu na górę.

Słyszy kaszel Sörenssona i zdaje sobie sprawę, że mężczyzna próbuje zapanować nad mdłościami.

– Wszystko w porządku?

– Tak... chyba tak. Ale... ale... uch!

– Musimy go znieść na dół – mówi Zack. – Pomyślałem, że gdyby spróbował pan na początek przeciąć linę trzymającą ręce, moglibyśmy potem ruszyć zwłoki.

– A co dalej?

– Wezmę go na plecy. Będzie pan musiał go jakoś do mnie przywiązać.

Dziesięć minut później zaczynają schodzić. Ciało jest przytwierdzone do pleców i ramion Zacka tą samą liną, którą był przywiązany do komina.

Zack schodzi ostrożnie, stopień po stopniu. Ma wrażenie, że drętwieją mu plecy, jakby ze zwłok chłopca wnikał w niego chłód śmierci.

Jakaś część niego ma ochotę krzyczeć i zrzucić z siebie to brzmie, ale inna część chce je nieść.

Zerka w dół. Widzi, że jest tam teraz więcej osób. Pojawił się Douglas Juste, szef operacyjny jednostki specjalnej, i kolega Zacka Niklas Svensson.

W połowie drogi w dół Zack zaczyna się pocić. Zupełnie jakby chłopiec w końcu pogodził się z tym, że go niesie, i przestał promieniować śmiercią.

Zack patrzy w górę na szczyt komina i zastanawia się, kto mógł być na tyle zdeterminowany, by wspinać się czterdzieści metrów w górę z martwym dzieckiem na plecach.

I potem je tam przywiązać.

I zostawić.

Dlaczego?

Zostało dwadzieścia metrów. Zack oddycha ciężko.

Deniz też stoi tam na dole.

Myśli o niej. Miała zaledwie dwanaście lat, gdy wzięła na plecy młodszego brata i uciekała przez surowe górskie tereny w Kurdystanie.

Jak dała radę?

Może dlatego, że widziała, co ją czeka.

Widziała, jak jej starszy brat i kilku innych starszych mężczyzn podpalili jej najlepszą przyjaciółkę. Zbrodnia dziewczyny polegała na tym, że nie chciała wyjść za mąż za swojego dwudziestoletniego kuzyna.

Stopa Zacka ześlizguje się; mocno chwyta dłońmi stopień nad głową.

– Spokojnie – mówi Pelle Sörensson. – Cały czas pilnuję, by lina była napięta. Daleko pan nie spadnie, jeśli się pan puści.

– Dobra.

Zack patrzy w dół. Zostało tylko dziesięć metrów.

Podbródek chłopca zaczął mu się wbijać w ramię.

Jakby zabite dziecko domagało się jego uwagi.

Co takiego zrobiłeś? – myśli Zack.

Dlaczego ktoś uznał, że nie masz prawa dłużej żyć?

Ciężar na plecach zelżał. Niklas i Deniz chwytają zwłoki i gdy tylko Zack schodzi na ziemię, pomagają mu je zdjąć.

– Teraz ostrożnie – mówi Koltberg. – O tak, połóżcie go tutaj, na niezadeptanym śniegu.

Niklas wzdycha.

– Potworna śmierć – mówi.

Zack stoi pochylony, z rękoma opartymi na kolanach; chce odetchnąć, dać odpocząć plecom.

Słyszy, jak Deniz mówi do Larsa Albinssona i Pellego Sörenssona, że na czas oględzin zwłok muszą odejść kawałek dalej. Potem słyszy inne kroki i widzi dwa potężne, ale eleganckie buty marki Berluti, które zatrzymują się tuż przed nim.

Douglas Juste.

Zack podnosi wzrok.

Szyty na miarę, ciemny zimowy płaszcz jest rozpięty. Czarne futro kołnierza rozpościera się jak skrzydła wokół twarzy o ostrych rysach. Zadbanej, jak na pięćdziesięciolatka.

– Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę – mówi Douglas.

I to jest pierwsza rzecz, jaką masz mi do powiedzenia? – myśli Zack.

Jeszcze rok temu Douglas zapytałby chociaż Zacka, jak się czuje, zanim zacząłby mu machać przed nosem regulaminem. Może nawet powiedziała by „dobra robota” po tym, jak Zack zniósł chłopca na dół.

Ale od czasu zeszłorocznych wydarzeń w Skärholmen, gdy Zack był świadkiem tego, jak Douglas manipuluje materiałem dowodowym, wszystko się zmieniło. Szef stał się bardziej powściągliwy, bardziej oficjalny, chłodny. Kiedyś był dla Zacka jak ojciec albo przynajmniej starał się taki być. Dziś nie pozostał po tym nawet ślad.

O ile to możliwe, zaczął się ubierać jeszcze szywniej. Wcześniej, przynajmniej latem, potrafił czasem zostawić w domu krawat i włożyć jasne spodnie niepasujące do ciemnej marynarki, ale teraz zawsze wybiera odzież o ciemnych kolorach, dwurzędowe garnitury z jednokolorowym krawatem, tak jak należy. A o tej porze roku: płaszcz z kaszmiru z futrzanym kołnierzem.

– Chłopiec był tam przywiązany jak jakiś Jezus. Myślę, że morderca chciał się nim pochwalić – mówi Zack, wytrzymując spojrzenie szefa.

Przez chwilę patrzą na siebie w milczeniu. Potem Douglas kieruje wzrok na Koltsberga, który klęczy obok martwego dziecka i próbuje naciągnąć lateksowe rękawiczki na skórzane.

Juste bez słowa rusza w tamtą stronę. Zack idzie za nim, ale staje po drugiej stronie obok Niklasa i Deniz.

– Dobrze się spisałeś tam na górze – mówi Deniz, kładąc dłoń na jego ramieniu. Przez dłuższą chwilę jej nie cofa i Zack czuje jej ciepło.

– Dzięki.

Chłopiec leży na twardym śniegu, wciąż ma rozpostarte ręce. Jak mały upiór, który bezskutecznie próbuje zrobić orła na śniegu.

Wygląda na najwyżej dziewięć lat. Gęste włosy pod warstewką szronu są ciemne. Brwi wyraźnie zarysowane.

Zack się domyśla, że chłopiec – albo jedno z jego rodziców – pochodzi z Bliskiego Wschodu, może z Syrii.

– Nie jest starszy od Lukasa – mówi Niklas.

Koltberg strzepuje szron niewielką szczotką, odsłaniając kolejne ciemne nacięcia na zwłokach.

– Jak można coś takiego zrobić dziecku – mówi Niklas, ocierając oczy rękawiczką.

Zack zerka na niego. Supertata Niklas Svensson. Prawie zawsze życzliwy i zadowolony. Niedoceniany dlatego, że jest taki miły. Człowiek, który potrafi chyba otrząsnąć się z całego mroku, gdy tylko przechodzi przez próg swojej willi. Który ponad wszystko kocha swoją rodzinę i w ostatnim czasie wspominał, że może zostać rodziną zastępczą dla jakiegoś dziecka, bo w tej chwili jest na to duże zapotrzebowanie.

Zack myśli, że takie dziecko nie mogłoby lepiej trafić.

Koltberg ostrożnie obraca zamrożone zwłoki. Ogląda plecy. Są tam kolejne nacięcia. Podobne wąskie skaleczenia na łopatkach i w okolicy łędźwi.

Zack nie chce, żeby chłopiec tak leżał. Chce zawinąć go w jakiś koc. Ogrzać.

Koltberg wstaje i kilka razy niezgrabnie pociera dłonie.

– Załatwisz transport do prosektorium? – pyta Douglas.

– Tak – mówi Koltberg, sztywno poruszając palcami. – Jeśli wciąż mam na tyle czucia, żeby wybrać numer.

Douglas bierze na stronę Niklasa, Deniz i Zacka.

– Musimy popytać okolicznych mieszkańców i przeszukać teren z psami. Ja to załatwię. I jeszcze ten facet od drona, powinniśmy dokładniej go wypytać, dowiedzieć się, czy nie widział czegoś podejrzanego, kiedy wcześniej go tutaj używał.

– Ja się tym zajmę – rzuca szybko Niklas. – I skonfiskuję mu film z chłopcem, zanim trafi do internetu albo do gazet.

Zack patrzy na niego. Wyraz twarzy kolegi się zmienił, stał się ostrzejszy.

Douglas kiwa głową, potem patrzy na Zacka i Deniz.

– Zack, o ile mnie pamięć nie myli, czeka cię spotkanie z wydziałem spraw wewnętrznych. Deniz, ty na początek przejrzyj wszystkie ostatnie zgłoszenia o zaginionych dzieciach. I sprawdź w urzędzie hrabstwa, czy są tu w pobliżu jakieś kamery. W razie potrzeby niech Sirpa ci pomoże. Musimy też pogadać z właścicielem gruntu, sprawdzić, czy ktoś widział, by kręciły się tu jakieś nieupoważnione osoby. Ale na początek pogadajcie z tym facetem z JM.

Pelle Sörensson trzyma przy uchu komórkę, ale według Zacka wygląda to tak, jakby podsłuchiwał Niklasa przesłuchującego Albinssona, a nie jakby z kimś rozmawiał.

Gdy widzi, że Zack i Deniz się zbliżają, natychmiast chowa telefon do kieszeni i pyta:

– Ustaliliście już coś?

– Przykro mi, ale najlepiej będzie, jeśli nie dowie się pan więcej prócz tego, co już pan wie. Od jak dawna mieliście dostęp do tego terenu?

– Od października.

– Kiedy był pan tu ostatni raz?

– Chyba jakieś dwa tygodnie temu. Między świętami a Nowym Rokiem. Zanim przyszły te mrozy.

Mija ich dwóch umundurowanych policjantów, którzy kierują się w stronę komina.

Niosą nosze z żółtym workiem na zwłoki i Pelle Sörensson spogląda za nimi.

– Czy pan albo któryś z pańskich pracowników widział tu coś niezwykłego? – pyta Zack.

– Nie. Niewiele tu jest do roboty, nawet dla wandalii. Co to za zabawa, bazgrać po kominie, którego nikt nie widzi? I który w dodatku ma zostać wyburzony.

No właśnie, myśli Zack.

Którego nikt nie widzi.

Więc dlaczego umieszczono tutaj chłopca?

– Wydawało mi się, że ten komin rzuca się w oczy tu w okolicy – mówi Zack.

– Tylko z bardzo daleka. Kiedy jest się blisko, zasłania go las.

Gdy Zack i Deniz wsiadają do samochodu, widzą policjantów z noszami idących przez teren fabryki. Teraz ich kroki wydają się cięższe.

Zack śledzi wzrokiem worek ze zwłokami.

Dowiemy się, co ci się stało, myśli. Złapiemy twojego mordercę.

Za noszami idą czterej mężczyźni, Koltberg, Douglas, Sörensson i Albinsson. Jak kondukt pogrzebowy.

Zack czuje niepokój w całym ciele. Wie, jak go zagłuszyć, ale musi wytrzymać.

Deniz czuje niepokój Zacka. Jest niemal namacalny.

Chciałaby coś powiedzieć. Znaleźć słowa, które dałyby mu siłę, by nie brać, by potwierdzić to, co jest w nim dobre. Ale jakie to słowa? Nie potrafi ich znaleźć nawet dla swoich najbliższych.

Chciałaby powiedzieć Cornelii jakiś komplement, dać jej do zrozumienia, ile dla niej znaczy, ale te pieprzone słowa nie chcą się pojawić.

Więc milczy.

W domu i teraz.

Uruchamia silnik.

Przy kominie stoi samotny mężczyzna i spogląda na opustoszały teren fabryki.

To Niklas.

Skulony, jakby śmierć chłopca wcisnęła go w ziemię.

Jest już kilka minut po wpół do jedenastej, kiedy Zack wchodzi do audytorium na komendzie i rozgląda się po tej wielkiej, przypominającej sarkofag sali o jasnozielonych ścianach i sklepionym suficie z jesionowego drewna.

Na miejscu jest już około dwudziestu policjantów. Błazi, jak zwykle zimą, o zmęczonych twarzach, ciężkich powiekach i spiętych ramionach. Jakby przełączyli się na autopilota i liczyli na to, że dotrważą na minimalnych obrotach do chwili, gdy znów wyrzy wiosenne słońce.

Zack rozgląda się za Deniz, dostrzega ją w siódmym rzędzie i siada obok niej.

Deniz milczy. Najwyraźniej chce już ruszyć w teren i zabrać się do roboty, tak samo jak on. A nie siedzieć tutaj i słuchać tego, co już wiedzą.

Ale przynajmniej jeszcze trochę odwlecze spotkanie z ludźmi z wydziału spraw wewnętrznych. Mają go przesłuchać dopiero za jakieś dwie godziny.

Zack myśli, że przydałaby im się teraz przenikliwość Rudolfa Gränsa. Ale jest właśnie w szpitalu na jakiejś rutynowej kontroli swoich niewidzących oczu.

Douglas Juste wchodzi na podwyższenie, odchrząkuje i rozpoczyna spotkanie, relacjonując znalezienie zwłok na fabrycznym kominie.

– W tej chwili wiemy niewiele o okolicznościach, ale obrażenia chłopca i umieszczenie zwłok wskazują, że należy to potraktować jako morderstwo. – Porusza wskaźnikiem myszki i przewija zdjęcia zrobione przez Zacka, przedstawiające zamrożone i okaleczone zwłoki. Niektórzy z policjantów odwracają głowy. – Wiem. To przykry widok. Technicy są na miejscu, przez cały dzień będą szukać śladów. Zaczęliśmy wypytywać mieszkańców i wysłaliśmy tam patrol z psami. Zaczęliśmy również badać zwłoki. Koltberg, czego zdążyłeś się dowiedzieć?

Sam Koltberg wchodzi na podwyższenie. Sztywne plecy, wysoko zadarty nos.

– Chłopiec miał metr czterdzieści pięć wzrostu i ważył trzydzieści jeden kilogramów. Chudy, nieco niedożywiony. Oceniam, że był w wieku między dziewięć a dwanaście lat. Później przeprowadzimy badanie uzębienia, które pozwoli nam precyzyjnie ustalić wiek. Kolor jego skóry jest nieco ciemniejszy niż typowo nordycka cera. Powiedziałbym, że ma arabski wygląd, jeżeli wolno nam jeszcze używać takich uogólnień.

Deniz szepcze do Zacka:

– W kawiarniach pewnie też się domaga, żeby móc mówić „murzynki”.

– Niektóre z obrażeń mnie zastanawiają – ciągnie Koltberg. – Zwłaszcza te.

Pokazuje kolejne zdjęcie, by zilustrować, co ma na myśli.

Zack słyszy, jak Deniz głośno wciąga powietrze.

Na fotografii widać trzy nacięcia biegnące równolegle wzdłuż boku chłopca w odstępie zaledwie kilku centymetrów.

Zack uświadamia sobie, że widział już podobne rany ubiegłego lata podczas szeroko zakrojonego śledztwa w sprawie morderstwa.

Rany zadane przez szalone wilki.

Jest ich więcej w Sztokholmie?

Czy właśnie to spotkało chłopca?

Zackowi zaczynają drżeć ręce. Ma ochotę wstać, wyjść z sali, iść do toalety, wziąć coś, cokolwiek.

Nie, nie teraz.

– Sądząc z kształtu, chodzi o rany szarpane zadane przez jakieś zwierzę – ciągnie Koltberg i Zack gwałtownie powraca do terażniejszości. – Ale skaleczenia wydają się na to zbyt precyzyjne. Można raczej odnieść wrażenie, że ktoś posłużył się jakimiś stożkowatymi, ostrymi przedmiotami, próbując imitować pazury. Może morderca chce nas wprowadzić w błąd albo użył jakiejś nieznannej mi broni lub narzędzia tortur.

Zdjęcie znika i w jego miejsce pojawia się zbliżenie rany na szyi chłopca.

– To ta rana spowodowała jego śmierć. Krawędzie są bardzo czyste, co wskazuje na to, że nacięcie wykonano skalpelem.

Następne zdjęcie znów pokazuje całą postać.

– Jest też mnóstwo drobnych skaleczeń i śladów na skórze, ale te pojawiły się po śmierci i są zapewne dziełem srok. Wygląda na to, że na tym mrozie były strasznie głodne, bo dodziały aż do wątroby. – Koltberg pokazuje laserowym wskaźnikiem na większą ranę na brzuchu.

Brzmi to tak, jakby był niemal pod wrażeniem uporczywości ptaków, myśli Zack.

– A więc wstępnie oceniam, że najpierw chłopiec został ciężko okaleczony jakimś narzędziem przypominającym pazury, a później morderca zmienił broń i go zabił. – Pokazuje zbliżenie brzucha. – Wkrótce po śmierci zwłoki zostały przeniesione w jakieś chłodne miejsce. Widać to tutaj. – Pokazuje wskaźnikiem laserowym na miejsce zakreślone okręgiem. – Gdyby ciało przez kilka dni leżało w temperaturze pokojowej, skóra stałaby się ciemniejsza pod wpływem działania bakterii jelita grubego. Ale, jak widzicie, nie nastąpiła tu żadna zmiana koloru. Wnioskuje z tego, że chłopca przywiązano na kominie kilka godzin po śmierci, kiedy zwłoki były jeszcze elastyczne. Potem wisiał tam do chwili, gdy znaleziono go dziś rano. Trudno mi na razie powiedzieć, o jakim przedziale czasu mówimy, bo mróz zahamował procesy rozkładu. Według świadków na kominie nic nie było między świętami a Nowym Rokiem. To oznacza, że chłopiec nie żyje najwyżej od trzech tygodni, ale ten czas mógł też być znacznie krótszy.

Zack myśli o twarzy chłopca. O oku pełnym strachu.

Umierałeś samotnie?

Wiedziałaś, co się stanie?

Na podwyższenie znów wchodzi Douglas.

– Wciąż nie wiemy, kim jest chłopiec. Deniz, zdążyłaś przejrzeć zgłoszenia o zaginionych dzieciach? – pyta.

– Ja to zrobiłam, kiedy wracaliście na komendę – mówi Sirpa Hemäläinen.

Szybka jak zwykle, myśli Zack, patrząc na nią. Niedbale uczesane włosy, prawie zawsze worki pod oczami. Na pewno dostałaby z pięć lat płatnego urlopu, gdyby tylko wykorzystwała nagromadzone nadgodziny.

Sirpa czyta z kartki:

– W tej chwili w kraju jest troje zaginionych dzieci i młodych ludzi w wieku

dziesięciu, piętnastu i osiemnastu lat. Dziesięciolatek zaginął trzy tygodnie temu w Umeå, ale podejrzewa się, że został wywieziony do Iraku przez ojca. Oczywiście musimy to sprawdzić. Dwoje pozostałych to dziewczynki.

– Deniz, zajmiesz się tym? – pyta Douglas. – Musimy też sprawdzić wypuszczonych z więzienia zabójców dzieci i pedofilów. Sirpa, dasz radę?

– Zaraz się tym zajmę.

– Dobrze. Niklas, gdzie jesteś? Tam. Jak poszło przesłuchanie świadka? Tego faceta z dronem?

– Niestety, nie dowiedziałem się niczego, czego już nie wiedzieliśmy. Bardziej interesowało go gadanie o swojej nowej zabawce. Ale dokładnie obejrzę jego film, zobaczę, czy nic się nie rzuca w oczy.

Zack reaguje na ostry ton w głosie Niklasa. Koledze rzadko się to zdarza. Rozumie go jednak. Niklas ma dzieci w wieku zamordowanego chłopca.

Zniosłem go z komina, myśli Zack. Ale nie chcę myśleć o tym, gdzie teraz jest. Samotny w przegrodzie chłodni, w jakiejś piwnicy.

Zauważa, że znów trzęsą mu się ręce, i wsuwa je pod uda, żeby znieruchomiały.

Czy Deniz coś zauważyła? Nie, skupiła uwagę na profilerze Tommym Östmanie, który sztywno wchodzi na podwyższenie. Ma głębokie zmarszczki na czole i rozczochrane włosy. Zack się zastanawia, czy znowu zaczął pić.

– Tommy, co możesz powiedzieć o sprawcy po tym, co usłyszałeś? – pyta Douglas.

– W niemal wszystkich takich przypadkach sprawca znał wcześniej ofiarę – odpowiada Östman. – Morderca obserwował chłopca, może mieszkali w tej samej okolicy. Domyślam się też, że zna miejsce, gdzie znaleziono ciało. Prawdopodobnie wiele razy spacerował w okolicy komina i wiedział, że da się wejść na górę. Mówię „on”, bo prawie zawsze chodzi o mężczyznę, zwłaszcza w takich koszmarnych sprawach. Za tym założeniem przemawia też wysiłek fizyczny, jaki musiał się wiązać z wniesieniem chłopca na szczyt komina. Obrażenia i umieszczenie zwłok wskazują na to, że morderstwo ma elementy rytualne. Morderca nie wstydzi się swojego dzieła, wręcz przeciwnie, chce się pochwalić światu rezultatem.

Zack pomyślał to samo, gdy był na miejscu zbrodni. Ale jeśli morderca chciał pokazać chłopca, to z pewnością istniało z tysiąc innych miejsc, które lepiej by się do tego nadawały.

– Skalpel, którego najprawdopodobniej użyto, wskazuje, że morderstwo było dobrze zaplanowane. Nie jest to broń, po którą można sięgnąć ot tak, bo po prostu jest pod ręką. Sprawca prawdopodobnie odczuwał przyjemność z torturowania ofiary. Ale tak jak mówiłem, przeszukajcie najbliższą okolicę, to w tej chwili najlepsza rada, jaką dla was mam.

Jakaś policjantka w mundurze siedząca w pierwszym rzędzie podnosi rękę.

– Myśli pan, że on znów uderzy? – pyta.

Östman się waha.

– Tak, tak sądzę. To, co zrobił, wskazuje na silne emocje, a coś takiego uzależnia.

Douglas znów wstaje.

Jego garnitur szeleści.

– Media wywęszyły sprawę, więc teraz musimy się bardzo śpieszyć. Jeżeli to możliwe, postaramy się nie dopuścić do tego, żeby zaczęli rozmawiać ze świadkami i innymi kluczowymi osobami, zanim my to zrobimy. – Klaszcze w dłonie. – No dobra, wszyscy wiedzą, co mają robić. A teraz, do roboty!

Kiedy Zack wstaje, ręce nadal mu się trzęsą. Z całą pewnością wie, co ma teraz zrobić.

– Lunch? – pyta go Deniz.

– Nie dziś. – Widzi, że koleżanka czeka na jakieś uzasadnienie. – Muszę jeszcze załatwić parę prywatnych spraw. Widzimy się w biurze za godzinę, dobra? Potem muszę przecież iść do wewnętrznego.

Deniz wygląda, jakby próbowała coś wyczytać z jego spojrzenia. Zatrzymuje go wzrokiem.

– Jasne, w porządku – mówi w końcu i dotyka ramienia Niklasa.

Zack czeka, aż wsiądą do windy, a potem idzie do toalety dla niepełnosprawnych, głębiej w korytarzu.

Z kieszeni džinsów wyjmuje przezroczysty woreczek. Ten, który był ukryty w książce od Abduli.

Wie, że nie powinien tego robić. Mają schwytać mordercę dziecka. A jego czeka jeszcze przesłuchanie w wydziale spraw wewnętrznych.

Ale pieprzyć ich.

Potrzebuję tego.

Kłęka na podłodze i wysypuje część zawartości woreczka na klapę sedesu.

Chłopiec patrzy na niego błagalnie jedynym okiem.

Proszę, nie rób tego. Lepiej mi pomóż.

Pomogę ci.

Muszę tylko rozkręcić mózg.

Zack nie daje nawet rady ułożyć porządnej ścieżki, tylko drżącymi palcami usypuje dwie nierówne kupki koki. Potem wyjmuje z kieszeni zmięty dwudziestokoronowy banknot i skręca z niego rurkę.

Wciąga jedną kupkę.

Spojrzenie chłopca nie jest już błagalne, lecz pełne wyrzutu.

Wystraszone.

Zack wciąga drugą kupkę. Zwilża palec i przesuwa nim po klapie, by zebrać resztki, oblizuje palce, opiera się o muszlę i zamyka oczy.

Kop nie jest taki, jak na to liczył, ale nie ma odwagi wziąć więcej.

To będzie musiało wystarczyć.

Jakoś to będzie.

Słyszysz? Pomogę ci.

Wstaje i przegląda się w lustrze. Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni przyciemniane okulary i je zakłada.

Powiedział pozostałym z grupy, że zaczął mieć problemy z ostrym światłem. Że kiedy jest na śniegu, pieką go oczy. Co prawda dzisiaj tego śniegu było nie za wiele, ale przy fabryce trochę go leżało, a zawsze może przecież powiedzieć, że w tej chwili jest

przezulony.

Pochyla się bliżej lustra. Przygląda się swoim oczom.

Zza ciemnych szkieł nie widać jego źrenic, chyba że ktoś stałby bardzo blisko.
A tak blisko nie dopuści nikogo.

Welniane spodnie drażnią skórę, a szyja swędzi od czerwonego golfu. Ale Niklas Svensson i tak się uśmiecha.

Siedzi na swoim miejscu we wspólnym biurze i powoli przewija zdjęcia z e-maila, który właśnie przesłała mu jego żona Helena. Zdjęcia z urlopu, który spędzili na Majorce późnym latem.

Zatrzymuje się przy trzecim zdjęciu i powiększa je tak, by wypełniło cały ekran.

Wieczorne światło sprawia, że świat zdaje się wibrować. W promieniach zachodzącego słońca morze lśni pomarańczem i czerwienią, poskładane parasole na plaży rzucają długie cienie, a trójka ich dzieci bawi się wielką, czerwono-żółtą piłką nad samą wodą.

Niklas powiększa zdjęcie. Patrzy na swoje dzieci.

Dziewięcioletni Lukas, ten odpowiedzialny, który kieruje zabawą i wymyśla reguły. Sześciolatnia Emma, dzikuska z niesfornymi, rozczochranymi włosami, których nie chce czesać. I czteroletni Tim, w koszulce, która ma go chronić od słońca, uszczęśliwiony samym faktem, że może się bawić ze starszym rodzeństwem.

Słoneczne, ciepłe życie.

Bardziej nie można się oddalić od mrozu i śmierci.

Niklas myśli o zamordowanym chłopcu. Rozpiętym jak żer dla ptaków na szczycie brudnego komina.

Był w tym samym wieku co Lukas.

Zamyka e-mail w obawie, że myśli o zbezczeszczonych zwłokach zatrują wspomnienia z urlopu.

We wnęce kuchennej parska automat do kawy i Niklas widzi, jak Sirpa Hemäläinen, szuka czegoś w szufladzie, podczas gdy jej kubek powoli się napełnia.

W biurze zostali tylko oni. Douglas Juste jest na jakimś spotkaniu dowództwa, a pozostali sprawdzają różne tropy.

Rozlega się brzęk, gdy Sirpa upuszcza nóż na podłogę. Niklas słyszy jej fińskie przekleństwa, widzi, jak z wielkim trudem się schyla i podnosi nóż. Zupełnie jakby od mrozu uszkodzone w wypadku kolana jeszcze bardziej jej dokuczały.

Niklas pragnie, by znalazła sobie kogoś, z kim mogłaby żyć, kogoś, kto dałby jej życie poza pracą. W tej chwili ma tylko psa, Zeusa, który pewnie nie ma u niej za wesoło. Sirpa nie dałaby przecież rady zabierać go na długie spacerzy. Poza tym cały czas jest tutaj, w biurze.

Niklas znów myśli o chłopcu. O tym, że ktoś poderżnął mu gardło. Jak można zrobić coś takiego dziecku?

Ale zna odpowiedź. Już wielokrotnie się potwierdziła. Jeśli wystarczająco często karmi się człowieka okrucieństwem i nienawiścią, sam staje się zdolny do każdego okrucieństwa.

W domu na regale mają książkę, którą Niklas czytał wszystkim swoim dzieciom. Jest tam bajka o złym potworze, który niszczy wszystko na swojej drodze, aż do dnia, gdy

dzielna mała dziewczynka podsuwa mu bukiet świeżo zerwanych polnych kwiatów. Zdumienie potwora pokazane jest na pastelowym rysunku, a poniżej widnieje zdanie, które Niklas od dawna zna na pamięć.

„Okazało się bowiem, że zło można przegnać tylko dobrem”.

Niklas stara się, by to zdanie było czymś w rodzaju gwiazdy przewodniej w jego podejściu do wychowywania dzieci.

Niektórzy z kolegów czasem marudzą, że pracuje „tylko” na osiemdziesiąt procent, że zawsze musi wyjść i odebrać dzieci. Zwłaszcza Deniz na to narzeka. W jej ustach brzmi to czasem tak, jakby zawodził kolegów. Zupełnie jakby wracanie do domu, gdy dzieci już śpią, było lepsze. Wtedy by dopiero zawiódł.

Niklas znów otwiera zdjęcie zrobione na plaży i nagle pragnie wybiec z biura i odebrać dzieci ze szkoły i przedszkola. Tylko po to, żeby je przytulić. Długo i mocno.

Ale dalej siedzi przy biurku.

Teraz praca. Potem rodzina.

Jestem potrzebny w wielu miejscach naraz, myśli, i mimo wszystko to musi być coś dobrego.

Jest wpół do szóstej i lekki kop, który Zack czuł w porze lunchu, dawno już ustąpił niepokojowi i zniecierpliwieniu. Pragnie, by zima wreszcie minęła, bo wtedy mógłby wsiąść na swojego suzuki hayabusa, żeby przejaśniło mu się w głowie. Ale czerwono-czarny motor stoi zamknięty na klucz w garażu i czeka na wiosnę.

Zack próbuje skupić się na sprawie, ale wciąż jest zbyt wzburzony po przesłuchaniu na dole, w wydziale spraw wewnętrznych dwie godziny temu.

Åke Blixt i Gunilla Sundin. Siedzieli tam sobie jak dwoje zadowolonych z siebie harcerzyków i go wypytywali.

Dlaczego nie postrzeliłeś napastnika w nogę, tak jak przewiduje regulamin?

Bo trzymał pistolet w ręce, nie w nodze.

Ale mogłeś go trafić w twarz i zabić.

Ale tego nie zrobiłem.

Ale mogłeś.

Nie zdarza mi się chybić z takiej odległości.

To było bardzo nieostrożne z twojej strony. W pobliżu było kilka osób, między innymi niemowlę.

Powstrzymałem napad rabunkowy.

Powinieneś być przestrzegać regulaminu.

Wtedy mógłby zastrzelić mnie i pozostałych.

Musimy prosić o twoją służbową broń do czasu, gdy zakończy się śledztwo.

Zack przeczesuje palcami jasne kręcone włosy i rozgląda się po biurze. Sirpa Hemäläinen i Niklas Svensson siedzą przy swoich komputerach, oboje pogrążeni w pracy, tak jak chwilę temu, gdy wrócił do jednostki.

Zack odwraca się do swojego monitora. Przegląda najważniejsze serwisy z wiadomościami, zaczyna czytać jeden z artykułów o zamordowaniu dziecka, ale nie potrafi się skupić. Obraca się na biurowym krześle, trudno mu spokojnie usiedzieć.

Myśl. Myśl.

Rutynowo posprawdzali wszystko co trzeba, ale nie natrafili na żaden trop. Pukali do drzwi i wysłali patrole z psami, grzebali w rejestrach. Ale nie udało im się nawet dowiedzieć, kim był chłopiec. Wygląda na to, że nikt nie zauważył jego zaginięcia.

Jak to możliwe, by dziecko zniknęło na wiele dni, może i tygodni, i by nikt tego nie zgłosił?

Deniz pojechała porozmawiać z jakimś krewnym dziesięciolatka, który najprawdopodobniej został wywieziony do Iraku. Może to coś da. Może chłopiec nie dotarł dalej niż do Stocksund.

Zack jeszcze szybciej kręci się na krześle. Zamyka oczy. Nie słyszy nic prócz szumu wentylacji i stukania Sirpy w klawiaturę, które rozchodzi się po jego ciele jak irytujące mrówki.

Musi się wydostać, coś zrobić. Zbliżyć się o krok do prawdy.

Zerka w stronę wieszaka ze swoją kurtką.

Książka wciąż jest w kieszeni.

Z woreczkiem.

Nie.

Dzwoni komórka.

– Chłopiec żyje i przebywa w Iraku – mówi Deniz. – Kobieta, z którą przed chwilą rozmawiałam, jest zrozpaczona. Wczoraj rozmawiała z ojcem chłopca przez aplikację FaceTime. Najwyraźniej zabrał ze sobą syna, żeby przyłączyć się do ISIS. Dzieciak ma dopiero dziesięć lat.

– To chore – mówi Zack. – Ale chyba nie ma nic wspólnego z naszą sprawą?

– Nie. Przekażę tylko sprawę Säpo i zaraz będę na górze.

Zack sięga po kubek i wypija dziewiątą dzisiaj kawę.

Potem otwiera e-mail z najnowszym zdjęciem twarzy chłopca, tak wyretuszowanym, by pokazać, jak wyglądał za życia.

Danne Simonsson z technicznego wykonał kawał dobrej roboty. Rany i odmrożenia są pozacierane, na szczupłych policzkach chłopca widać kolory, a w jego wielkich brązowych oczach jest życie.

Twarz posiada dziecięce cechy człowieka, który ma przed sobą całe życie. Włosy są gęste, usta rozchylone, jakby chciał coś powiedzieć.

Kim jesteś? – myśli Zack. Urodziłeś się tutaj? Masz tu w Szwecji mamę i tatę? Jeśli tak, to czemu nie zgłosili, że zaginałeś? Może dlatego, że nie ufają policji. Nic niezwykłego u ludzi, którym udało się uciec przed brutalnym reżimem. A może przybyłeś tutaj sam? Do kraju, w którym – jak sądziłeś – będziesz bezpieczny. Co takiego przeżyłeś?

Drzwi wydziału się otwierają i wchodzi Koltberg z kilkoma dużymi zdjęciami w ręce.

– Jest szef? – pyta, umyślnie nie patrząc w stronę Zacka.

– Tu jestem – odpowiada Douglas, który akurat wychodzi ze swojego gabinetu.

– Dobra. Chodź, zobacz te zdjęcia – mówi Koltberg.

Rozkłada na stole trzy kolorowe fotografie, a Douglas woła do siebie Zacka, Sirpę i Niklasa.

Zack widzi grymas bólu na twarzy Sirpy, gdy musi się podźwignąć.

– Co z tobą? – pyta.

– W porządku – odpowiada koleżanka, zbywa jego pytanie machnięciem ręki, po czym kuśtyka w stronę Douglasa i Koltberga.

Zdjęcia pokazują różne części twarzy i torsu chłopca. Zakrwawione, niewyretuszowane.

Koltberg wskazuje na jedno z nich, zbliżenie szyi.

– Widzicie te siniaki tworzące półkole na szyi i te małe wgłębienia na skórze? To ślady po ludzkich zębach.

Pozostali pochylają się nad stołem.

– Chcesz powiedzieć, że jakiś człowiek go ugryzł? – pyta Niklas.

– Tak. I sądząc po rozmiarach zębów i szerokości szczęki, był to dorosły mężczyzna.

– Jakiś sukinsyn biega po okolicy i wyobraża sobie, że jest wampirem? – mówi Zack.

– Ciekawa teoria, Zack – stwierdza Koltberg. – Myślę, że powinieneś dalej nad tym pracować.

Odwraca się do niego plecami i wskazuje na kolejne zdjęcie.

– Chłopiec ma podobne ślady na karku i z tyłu na jednym ramieniu. Te ugryzienia mogą nam bardzo ułatwić pracę. Każdy ma inny odcisk uzębienia. Jeśli schwytamy podejrzanego, łatwo będzie powiązać go z tym morderstwem albo go wykluczyć. Najważniejsze, aby ślady zębów okazały się dostatecznie wyraźne. Sprawdzę to jeszcze dzisiaj.

Wydaje się, że Niklasowi trudno jest oderwać wzrok od zdjęć. Długo się w nie wpatruje, a potem kręci głową.

– Ile musiał znieść? – pyta. – Żył jeszcze, kiedy został pogryziony?

– Żył – potwierdza Koltberg.

– No to co tutaj mamy? – pyta Deniz. – Jakiegoś typa w stylu Freddy’ego Kruegera, z pazurami zamiast noży na rękawiczkach. I w dodatku gryzie. Wygląda mi to na kompletnego świra.

– Nie zapominaj o skalpelu – mówi oschle Koltberg. – To nim *de facto* go zabił.

Teraz musi się coś stać, myśli Zack. Zapędziliśmy się w ślepy zaułek.

– Dziś wieczorem puszczają *Przestępstwa tygodnia**, prawda? – mówi, spoglądając na zegar. – Zdamy załatwić, żeby pokazali zdjęcie chłopca? Nie jedno z tych tutaj, tylko zretuszowane. Nie musimy nawet mówić, że nie żyje, tylko że szukamy informacji o nim.

Douglas przez chwilę milczy. Zdaje się zastanawiać nad innymi możliwościami. Potem krótko kiwa głową.

– Skontaktuję się z nimi.

Gdy pozostali wracają do swoich biur, Zack zostaje sam przy stole z fotografiami.

Patrzy na poderżnięte gardło, ale nie widzi już chłopca.

Widzi swoją matkę.

Ona też leżała z poderżniętym gardłem na takim metalowym stole. Po tym, jak zostawili ją na zimnie, żeby umarła w kałuży własnej krwi.

Zack myśli o teczce, którą ma w schowku w mieszkaniu, z materiałami ze śledztwa, które nigdy nie zostało zakończone.

Znów spogląda na zdjęcia.

Wszystko w nim domaga się odpowiedzi.

* Program szwedzkiej telewizji Veckans brutt (przyp. tłum.).

Pizza zalega w żołądku jak kawał betonu. Choć Zack zjadł tylko połowę swojej capricciosy. Reszta wciąż leży w kartonie na stoliku przy sofie, obok dwóch pustych puszek po coli i miseczki z zaschniętym muesli z zeszłego tygodnia.

Żyję jak ćpun, myśli Zack.

Wierci się niespokojnie na sofie w swoim jednopokojowym mieszkanku, ale nie może znaleźć wygodnej pozycji. Powinien gdzieś wyjść, przebiec z dziesięć kilometrów albo ostro potrenować na siłowni, ale nie ma siły wstać. Powinien wyjąć teczkę z materiałami o zamordowaniu jego matki. Zrobić to dla niej. Ale nie ma siły. Nie chce. Brakuje mu odwagi?

Znów się wierci.

Wiesz, czego ci trzeba.

Nie. Nie ma mowy.

Ale to miejsce i tak przyciąga jego wzrok. Kąt obok komody, gdzie można podnieść żółtą plastikową wykładzinę. Pod nią znajduje się skrytka z pudełkiem. Z jego małą prywatną apteczką. A na dziś lekarz przypisał porządną dawkę benzo.

– Nie! – krzyczy Zack i wstaje z sofy.

Muszę znaleźć mordercę chłopca.

Nie tykać tego gówna.

Otwiera szafę, wyciąga starą metalową skrzynkę z narzędziami ojca i znajduje tacker. Klęka przy skrzynce i wbija kolejne zszywki w wykładzinę.

Bach, bach, bach.

Dziesięć, dwadzieścia.

No, już się nie odsuniesz, pieprzona wykładzino.

Wstaje i przygląda się swojemu dziełu. Wygląda to strasznie. Wszędzie zszywki. Jakby zrobiło to trzyletnie dziecko. Ale przynajmniej na dobre zamkną skrytkę.

Znów kładzie się na sofie. Sięga po komórkę i wysyła esemesa do Mery, że pracuje dziś do późna i wieczorem nie da rady się z nią spotkać. Następnie włącza telewizor i skacze z kanału na kanał. Samo gówno. Kucharze, handlarze antyków i powtórki jakichś beznadziejnych reality show.

Ma ochotę wyrwać zszywki.

Ale wytrzymuje.

Na podłodze leży kilka miesięczników i dwie książki, które wypożyczył w bibliotece, kiedy był tam ostatnio z Ester. Podnosi jedną. Jakiś amerykański poradnik o tym, jak odnaleźć drogę do wewnętrznego spokoju. To Ester ją dla niego wybrała.

– Myślę, że to ci przypasuje – powiedziała.

Zack na chybił trafił przerzuca kartki. Zaczyna czytać w połowie jakiegoś rozdziału, ale po pięciu liniijkach ma dość tych banałów i rzuca książkę z powrotem na podłogę.

Ester.

Usiłuje mu pomóc.

Powinno być na odwrót.

Zack pragnie, żeby teraz zapukała do drzwi i poprosiła o pomoc w odrobieniu lekcji. Żeby dała mu jakiś punkt zaczepienia.

Idzie do lodówki po kolejną colę i siada na sofie dokładnie w chwili, gdy zaczynają się *Przestępstwa tygodnia*.

Po kwadransie na ekranie pojawia się zdjęcie chłopca i prowadzący program zachęca widzów, by dzwonili, jeśli go widzieli albo coś o nim wiedzą.

Telefony w studio zaczynają dzwonić.

No dalej, myśli Zack. Niech to coś da.

Prowadzący program przechodzi do kolejnego przestępstwa, a komórka Zacka wibruje w kieszeni.

To Douglas Juste.

– Mamy kobietę, która twierdzi, że potrafi zidentyfikować chłopca. Pracuje w „Promyku”, ośrodku dla azylantów w Upplands Väsby. Możesz do niej podjechać z Deniz?

Temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. Niskie wieczorne chmury suną jak upiory po ciemnym niebie, gdy Zack i Deniz wysiadają z samochodu przy Bergstigsvägen w Upplands Väsby.

Zack przypuszcza, że wyglądają jak dwoje zagubionych astronautów na Marsie, gdy w grubych kurtkach idą oblodzoną ścieżką do drzwi ceglanej willi.

Deniz naciska dzwonek.

Zdażyło się zrobić wpół do jedenastej, ale według Douglasa kobieta nie miała nic przeciwko późnym odwiedzinom.

Po drugiej stronie matowej niebieskiej szybki w drzwiach przemyka jakiś cień i otwiera im chuda kobieta około sześćdziesiątki. Ma okulary w grubych oprawkach i sięgające do ramion ciemnobrązowe włosy.

– Margareta Svensson? – pyta Zack.

– Dobry wieczór. Wejdźcie do ciepła – mówi ochryłym głosem kobieta, zanim mają czas się przedstawić.

Dom, który czuć dymem papierosowym, jest urządzone w stylu akademickim: lampy od Louisa Poulsena, fotel Lamino, plakaty z Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej.

Gdy siadają w dużym pokoju, gospodyni natychmiast wyjmuje paczkę mentolowych blendów i wytrząsa papierosa.

– Nie macie nic przeciwko temu, że będę palić, prawda? – mówi.

Zapala, nie czekając na ich odpowiedź, zaciąga się głęboko i kaszle, zasłaniając usta.

– Mój mąż trzy lata temu zmarł na raka płuc. Paliliśmy jak smoki, na dłuższą metę tak się nie da. Ale teraz, kiedy odszedł, nie dam rady rzucić. Co ma być, to będzie – mówi, strzepując popiół do okrągłej popielniczki z zielonego szkła.

Zack jej się przygląda. Jej twarz jest szara i zniszczona od nałogu, ale oczy bystre.

Deniz wyjmuje wydrukowane zdjęcie i kładzie je na stole.

– Nasz szef, Douglas Juste, twierdzi, że rozpoznała pani tego chłopca.

– Tak, oczywiście. Nazywa się Ismail Dakhil. Pochodzi z północnego Iraku. Miły, nieśmiały chłopczyk. Inteligentny. Szybko podłapał język, zwłaszcza liczebniki. Ma imponującą pamięć do liczb. I niezły charakter. Jeśli któreś z pozostałych dzieci próbuje mu odebrać zabawkę, to... ojoj. – Zaczyna się ochryple śmiać, ale śmiech natychmiast przechodzi w atak kaszlu. – Co takiego zrobił? – pyta po chwili zdyszana. – Bo go szukacie, prawda?

– Jeszcze do tego wrócimy – mówi Zack. – Kiedy przyjechał do Szwecji?

– No cóż, to musiało być jakoś wiosną. W każdym razie trafił do nas do „Promyka” na początku czerwca. Na szczęście tego dnia na miejscu był tłumacz. Ale zaraz tam „na szczęście”... Czasem człowiek wolałby nie słuchać o tych wszystkich potwornościach, które przeszły te dzieci. – Zaciąga się głęboko i dodaje: – Ismail jest jazydem, jednym z tych, na których uwzięli się mordercy z ISIS. Tam w górach dzieją się takie same

potworności jak w Rwandzie. Na oczach Ismaila zarabali maczetą jego tatę. A jego mama... – Znow strzepuje popiół i spogląda na Zacka i Deniz. – Słyszeliście określenie dżihad al-nikah?

Kręcą głowami.

– „Nikah” oznacza małżeństwo. Imam udziela parze ślubu, a potem stoi przed namiotem, kiedy mężczyzna gwałci kobietę. Później przeprowadza rozwód i kobieta jest gotowa na kolejny ślub i kolejny rozwód. Te kobiety codziennie są zmuszane, by wychodzić za mąż za wielu różnych mężczyzn.

– Obrzydliwe – mówi Deniz.

– Można tak powiedzieć. Taki właśnie los spotkał mamę Ismaila. Ismailowi razem z czwórką innych dzieci udało się uciec do Włoch. Niektóre z nich próbowały potem przedostać się na północ, ale tylko jemu udało się dotrzeć aż do Szwecji.

– Jak to?

– Ismail mówił, że pomogli mu „życzliwi” ludzie. – Palcami robi znak cudzysłowu, by podkreślić ironię tych słów.

– Najwyraźniej nie wierzy pani, że byli życzliwi – mówi Zack.

Margareta Svensson znow się zaciąga i wydmuchuje dym kącikiem ust.

– Od piętnastu lat pracuję z uchodźcami. Jeżeli czegoś się nauczyłam, to tego, że niewielu jest życzliwych przemytników ludzi. – Gasi niedopałek w popielniczce i natychmiast wyjmuję z paczki kolejnego papierosa. – Można by pomyśleć, że wystarczy tych potworności na całe życie, prawda? Ale Szwecja tak nie uznała. O nie, nasz wspaniały Urząd Imigracyjny uważa, że nie ma przeszkód, by odsyłać dzieci z powrotem do północnego Iraku, więc jesienią odrzucono wniosek Ismaila o azyl.

– Co wtedy zrobił? Uciekł? – pyta Zack.

– Któregoś dnia znaleźliśmy go w toalecie z pokaleczonymi nadgarstkami. Potem kilka razy był na psychiatrii dziecięcej. A później nagle znow mu się poprawił humor. Zupełnie niespodziewanie.

– Co się stało?

– Nie wiemy. Trzy dni później zniknął, a potem prawie przez dwa tygodnie nie kontaktował się ze mną. Pod koniec listopada zadzwonił do mnie z zastrzeżonego numeru i powiedział, że wszystko jest w porządku. Że znowu jest z jakimś miłym człowiekiem. Próbowałam wypytywać go o szczegóły, ale wciąż mówił po szwedzku na bardzo podstawowym poziomie i niemal odniosłam wrażenie, że umyślnie udawał, że nie rozumie moich pytań, by nie musieć mi za dużo opowiadać. Potem już się nie odzywał.

– Brzmiało to tak, jakby coś mu groziło, kiedy dzwonił?

– Nie.

– Kiedy dokładnie zniknął?

– To musiało być jakoś w połowie listopada. Znajdziecie dokładną datę w dzienniku „Promyka”.

– Jego zaginięcie musiało zostać zgłoszone – zauważa Deniz. – Policja nie dała rady namierzyć numeru, spod którego dzwonił Ismail?

Margareta Svensson jej się przygląda. Wybuchą śmiechem.

– Moja droga, macie gdzieś te dzieci. Zwłaszcza jeśli zniknęły z własnej woli i tak

jak Ismail zadzwoniły i powiedziały, że mają się dobrze. Co prawda formalnie poszukuje się ich przez dwa miesiące, ale policja w tym czasie nawet palcem nie kiwnie, a potem sprawa jest zamykana.

Zack i Deniz spoglądają po sobie.

To dlatego Sirpa nie znalazła Ismaila w rejestrze zgłoszeń zaginionych dzieci, myśli Zack. Już go stamtąd wykreślono.

– Jest tylko jeden rodzaj dzieci uchodźców, które staracie się odnaleźć – ciągnie Margareta Svensson. – Wiecie jaki?

– Nie.

– To dzieci, które dostały nakaz deportacji z sądu imigracyjnego. Wtedy bierzecie się do roboty, jakby się paliło, i przedłużacie czas poszukiwania do osiemnastu miesięcy.

Deniz wbija wzrok w podłogę. W pokoju zapada cisza i Zack po raz pierwszy słyszy tykanie starego ściennego zegara z wahadłem.

– No dobrze – mówi Margareta Svensson. – Ismail jeszcze nie dostał nakazu deportacji, więc zakładam, że skoro tu jesteście, przytrafiło mu się coś strasznego.

Deniz spogląda na Zacka. Ten kiwa głową.

– Wczoraj na terenie przemysłowym znaleziono jego zwłoki – mówi.

Margareta Svensson ma się właśnie zaciągnąć, ale zamiera w pół ruchu, z uniesionym papierosem. Szuka w ich oczach jakiegoś wyjaśnienia. Potem gasi papierosa, wciskając go mocno w popielniczkę, i opada na oparcie sofy. Zdejmuje okulary, ociera oczy, wydaje się bardziej szara i przezroczysta niż dym unoszący się z jej ust.

– Ma pani pojęcie, kto mógł chcieć skrzywdzić Ismaila? – pyta Deniz.

Margareta Svensson wpatruje się w noc za oknem.

– Świat jest pełen ludzi, którzy robią straszne rzeczy dzieciom – mówi. – Ale chodzi pani o to, czy znam kogoś, kto chciałby skrzywdzić akurat Ismaila, prawda?

– Tak.

Wciąż wyglądając za okno, powoli kręci głową.

Gdy Zack i Deniz wracają do samochodu, przednią szybę zdążyła już pokryć cieniutka warstewka szronu.

W kieszeni na drzwiach Zack szuka skrobaczki wśród starych papierków po cukierkach i zaczyna czyścić szybę.

Deniz stoi jeszcze przez chwilę w ciemności, jakby mróz i mrok pomagały jej myśleć. Wciąga w płuca zimne powietrze, czuje, jak chłód przenika ją głębiej, aż do szpiku kości. To jej przypomina zimy w Kurdystanie. Śnieżne zamiecie, które na całe miesiące blokowały drogi. Wiatr smagający ją w twarz, gdy dzień po dniu wchodziła na dach ze słomy i gliny i odgarniała z niego śnieg.

Myśli o swoim młodszym bracie Sarkawcie i zastanawia się, czy on tam teraz jest. Przy domu. Zastanawia się, czy jego dłonie nadal pękają na suchym mroźnym powietrzu, tak jak wtedy, kiedy był mały. Czy siły ISIS dotarły również do ich rodzinnej wioski. A może czy leży gdzieś zamordowany. Samotny, zamarznięty. Powinien być teraz dorosły, tak jak ona. Deniz nie chce więcej myśleć o swoim bracie, nie chce wiedzieć, co się stało z ich wioską.

Może Sarkawt nie żyje. Może go zamordowali.

Jak Ismaila.

Jadą w stronę miasta. Deniz chce porozmawiać z Zackiem o sprawie, ale ten odpowiada monosylabami i jest rozkojarzony. Wsunął ręce pod uda, wpatruje się w pustkę.

Deniz wysadza go przy Fridhemsplan.

Śnieg zaczął padać lekkimi płatkami; wirują na wietrze.

– Przyjadę po ciebie rano, o ósmej. Idź teraz do domu i się prześpij – mówi Deniz.

Zack wysiada, patrzy na nią i mówi:

– Kupię sobie tylko najpierw burgera.

Deniz widzi destrukcyjny blask w jego oczach.

Wie, że Zack nie pójdzie do domu. I nie wie, co mogłaby na to poradzić.

Zack zamawia trzecie piwo, opiera się łokciami o bar i czuje, jak sweter przykleja się do lepkiej powierzchni.

Dovas, speluna numer jeden na Kungsholmen. Tanie krzesła i stoliki z wiśniową okleiną. Za barem z imitacji drewna popękane lustro. Duże mocne za dwadzieścia osiem koron i odpowiednia klientela. Studenci, młodzi bezrobotni i stali bywalcy, alkoholicy w średnim wieku i starsi.

Zack upija kilka łyków piwa. Zauważa, że kufel nie jest starannie domyty.

Pieprzyć to. Lubi tutaj siedzieć, w tym anonimowym gwarnym lokalu. Czuć, jak alkohol, ciepło i głosy innych gości sprawiają, że powoli się rozluźnia. Że życie traci ostre krawędzie.

Auu!

Ktoś szczypie go w pośladek. Zack odwraca się szybko. Mruga do niego jakaś starsza kobieta, która wieloletnie imprezowanie stara się ukryć pod grubą tapetą makijażu. Jest wysoka, ma na sobie błyszczącą, obcisłą czarną bluzkę i chyba się wykapała w waniliowych perfumach z lat osiemdziesiątych.

– Twoje zdrowie, złociutki – mówi, unosząc kieliszek z białym winem.

Złociutki.

Zack nie miał pojęcia, że wciąż istnieją ludzie, którzy używają tego słowa. Jej bezczelność sprawia jednak, że się uśmiecha i stuka się z nią kuflem.

– Nettan i ja wychodzimy tylko na chwilę na fajkę. A potem zobaczysz.

Nettan wysuwa głowę zza pleców przyjaciółki i cmoka do Zacka. Trzyma w ręce niezapalonego papierosa i upija spory łyk wina. Obie przyjaciółki przeciskają się do wyjścia.

Zack patrzy za nimi. Minus dwadzieścia stopni, zadymka. A one i tak muszą wyjść i nawdychać się tej swojej trucizny.

Myśli o tym, co mówiła Margareta Svensson o swoim mężu, który zmarł na raka płuc.

Teraz, kiedy odszedł, nie dam rady rzucić. Co ma być, to będzie.

W powietrzu nadal unosi się słodkawa woń perfum.

To mu kogoś przypomina.

Mamę?

Zack zamyka oczy, widzi w wyobraźni jej uśmiechniętą twarz. Siedzi u niej na kolanach i czuje, jak jej pierś powoli unosi się i opada z każdym oddechem. Czuje na policzku jej ciepłą dłoń, jak pieczętę, a potem palący ból.

Słyszy jej krzyk, widzi otwarte usta jak paszczę drapieżnika, i matka go uderza.

I znowu.

Teczka w mieszkaniu. Zdjęcia jej zakrwawionych zwłok. Poderżniętego gardła. Jego poszukiwania prawdy.

Ból policzka. Biłaś mnie, mamó. Często.

Dlaczego?

Czego nie dostrzegam?

Otwiera oczy. Myśli: nie chcę tego wiedzieć. Ale muszę się dowiedzieć.

Tylko nie teraz.

Muszę się skupić na Ismailu. Na znalezieniu tego, kto go zamordował.

Przed jego oczami pojawia się postać ojca. Pod koniec miał równie poszarzałą twarz jak Margareta Svensson, z wyjątkiem nosa i policzków, które rumień pokrył jak skrzydła motyla.

Miał toczeń rumieniowaty, chorobę, która pod koniec objęła niemal wszystkie narządy w jego organizmie. A potem go zabiła. Nie był niczemu winny. Żył zdrowo, nie wypalił w życiu ani jednego papierosa. Nosił w sobie chorobę, która ujawniła się po zwyczajnym przeziębieniu.

Zack dopija resztkę piwa, przeciska się obok kilku facetów w jego wieku, którzy głośno dyskutują o jakimś meczu Premier League, i wchodzi do toalety.

Jakiś nastolatek we flanelowej koszuli i z wąsikami jak z filmów porno wytacza się z jednej z kabin i Zack wchodzi do środka. Kłapa jest podniesiona, chłopakowi nie chciało się nawet splukać.

Zack opuszcza klapę i spuszcza wodę, potem z kieszeni kurtki wyjmuje woreczek. Zaczyna od dwóch ścieżek, ale i tym razem nie czuje takiego kopa, o jakiego mu chodziło, więc wciąga jeszcze trzecią. I czwartą.

Pięć minut później siedzi w taksówce jadącej na północno-zachodnie przedmieścia i próbuje się wprowadzić w ten przyjemny stan, który zawsze odczuwa po takiej dawce.

Ale nie potrafi.

Nie może go osiągnąć.

Zupełnie jakby patrzył na skąpany w słońcu szczyt, wysoko w górze, ale musiał się zatrzymać w połowie drogi.

Gówniana koka.

Pewnie oszukana jak diabli.

Ale nie powinna taka być. To miał być przecież pierwszorzędny towar.

Mój organizm za bardzo się przyzwyczaił? A może Abdula nie ogarnia już tego, co sam sprzedaje?

Taksówka zatrzymuje się przed starym magazynem. Małe okna, dach z blachy falistej, niemalowane betonowe ściany.

Zack płaci taksówkarzowi w gotówce, wysiada i rusza długą platformą załadunkową biegnącą wzdłuż budynku.

Z wnętrza słychać słabe dudnienie i gdy kawałek dalej otwierają się drzwi, na ciemny asfalt pada światło.

Zack wyjmuje z kieszeni czapkę, naciąga ją głęboko na uszy i podchodzi do drzwi. Nie chce, żeby ochroniarze zapamiętali jego twarz.

W magazynie jest tłok, ale Zack natychmiast widzi szerokie plecy Abduli. Przyjaciel rozmawia z jakąś ostro umalowaną dziewczyną w bluzce tak skąpej, że bardziej przypomina górę od bikini.

Dziewczyna zauważa Zacka i przygląda mu się tak długo, że Abdula się odwraca.

– Zack, stary draniu! – woła, rozkładając ręce, by go uściskać. – Ledwie

przejdiesz przez próg, a już zabierasz mi kobiety.

Coś tu się nie zgadza.

Coś tu się nie zgadza, to coś w jego oczach, myśli Zack, nim Abdula bierze go w swoje wielkie łapska.

– Wszystko w porządku? – szepcze mu do ucha Zack.

Nie zamierza narzekać na kokę, nie dziś w nocy.

Abdula go puszcza.

– Tak, do diabła. Wszystko gra. – Odwraca się do dziewczyny. – Emelie, to mój najlepszy przyjaciel, Zack. Wiem, że jest bosko przystojny, ale daj mu spokój.

Emelie wbija wzrok w podłogę. Nie patrzy Zackowi w oczy, kiedy się witają.

Abdula pochyla się w jej stronę.

– Muszę o czymś pogadać z kolegą. Potem postawię ci coś w barze. W porządku?

– Dobra – mówi dziewczyna i stoi niezdecydowana, podczas gdy Abdula i Zack mijają dwóch ochroniarzy i wychodzą na mróz.

Docierają niemal do oszronionego ogrodzenia i dopiero wtedy Abdula się zatrzymuje. Jest tak ciemno, że Zack nie potrafi niczego wyczytać z jego spojrzenia.

– Co się stało? – pyta Zack.

– Nic. To znaczy nie teraz. Ale rano, w 7-Eleven...

– Tak?

Jego przyjaciel przez chwilę milczy. Jakby zbierał się na odwagę przed tym, co ma powiedzieć.

– No więc tak... Kiedy weszli ci dwaj idioci i zaczęli wymachiwać pistoletem, wystraszyłem się. Porządnie. Nie byłem w stanie się ruszyć.

Wiem, myśli Zack. Widziałem.

A na głos mówi:

– Nic dziwnego. Machali bronią na wszystkie strony. W każdej chwili mogła wypalić.

– Daj spokój, Zack. To byli amatorzy, którzy potrzebowali kasy. Przedtem nigdy się takich nie bałem.

Zack milczy. Czeka na dalszy ciąg.

– Latem, kiedy zostałem postrzelony, coś się stało. Zrobiłem się słaby. Czasem tego nie zauważam, ale potem mnie to po prostu paraliżuje. Tak było jakąś godzinę temu, gdy byłem w drodze tutaj. Po prostu zamarłem i byłem pewien, że gliny się tu na mnie zaczają i mnie zgarną.

– Nie uważasz, że ci przejdzie? Wyszedłeś ze szpitala dopiero pół roku temu.

– Jest coraz gorzej. Na początku byłem taki jak zawsze. Ale teraz jestem jak wystraszona baba. I mam jakieś chore sny. Że mnie torturują, tak jak mojego starego w Maroku. Kiedy się budzę, pościel jest mokra od potu. – Abdula wpatruje się w mrok. – Nie wiem, co mam zrobić.

– Wyjedź. Za granicę. Gdzieś, gdzie jest słońce.

– W tej branży nie da się tak po prostu wyparować. Pojawiło się mnóstwo nowej konkurencji. Niektórzy są naprawdę niebezpieczni. Cały czas muszę latać i obsikiwać teren, póki kompletnie nie padam z nóg. I z dobrym towarem też jest cienko.

– Pora się wycofać?

Abdula spogląda na niego.

– Żebym stał się taki jak ty? Albo żebym siedział na kasie w Coop i wysłuchiwał, jak emeryci narzekają, że jogurt jest za drogi?

– Coś w tym stylu.

– Słuchaj, nie gadajmy już o tym. Mam naprawdę fajny towar. Boliwijski marching powder, pierwsza klasa. Wejźmy do środka, zanim zamarzniemy, trzeba go wypróbować.

Dwie grube ścieżki później Zack na parkiecie wreszcie czuje kopa, na którego czekał, to miłe uczucie, że wszystko płynie, wszystko jest wyraźne, że czas wreszcie przestał się kręcić wokół własnej osi. Że jest właściwą osobą na właściwym miejscu. Człowiekiem, któremu można pozazdrościć.

Bohaterem.

Niemal bogiem.

Jutro rozwiąże sprawę chłopca. Wie o tym. A potem wszystko inne też się jakoś ułoży. Z Merą, z Ester, z Abdulą, z mamą, ze wszystkimi.

Widzi szerokie ramiona Abduli podskakujące ze śmiechu, ale prawie żaden dźwięk nie przebija się przez muzykę. Zack też zaczyna się śmiać. Cieszy się, że przyjaciel na powrót się dobrze czuje. Że wszystko się jakoś układa.

Emelie znów do nich podchodzi i tym razem jest z nią przyjaciółka o kocich oczach i z ustami powiększonymi botoksem. Tańczą, stawiają dziewczynom drinki, potem częstują je koką, znowu tańczą, i teraz otacza ich więcej dziewczyn, a na twarzy Abduli nie widać bólu, tylko spokój, i Zack porusza się po parkiecie, jest ciepło i miło, nie wieje żaden lodowaty wiatr, i znów słyszy śmiech Abduli, i wtedy ktoś się do niego uśmiecha i cała reszta znika.

To ona.

Kobieta, którą poznał w jednym z klubów. Latem. Chyba w Sundbybergu. A może gdzie indziej. Co za różnica? Bo teraz jest tutaj.

Nieziemsko piękna.

Spadkobierczyni.

Porusza się, jakby tańczyła w wodzie. Miętko, jakby się unosiła.

A potem jest tuż obok niego i Zack wciąga jej zapach, tak obcy, że aż znajomy, a ona muska ramieniem jego ramię, patrzy na niego i zdumiewa go jasnoniebieski odcień jej oczu, tak podobnych do jego własnych.

Stykają się teraz biodrami i Zack zamyka oczy, wessany w pole magnetyczne, które zdaje się ją otaczać. Po chwili je otwiera, chce znów na nią spojrzeć, ale kobieta gdzieś zniknęła. Zack przystaje i rozgląda się po twarzach tańczących.

Gdzie jesteś?

Ale jej już nie ma. Zostali tylko pijani i naćpani ludzie tańczący wśród potłuczonego szkła i porozlewanych drinków. Zack krzyczy Abduli do ucha, że jedzie już do domu.

Abdula kiwa tylko głową, trzyma ręce na biodrach Emelie. Zack nie jest pewny, czy dosłyszał, ale zostawia go tam, znajduje swoją kurtkę i wychodzi na mróz.

Niklas Svensson siedzi na skraju łóżka Lukasa i delikatnie głaszcze syna po włosach i po ciepłym policzku. Lukas leży na plecach z otwartymi ustami i ciężko oddycha. Wygląda spokojnie, smacznie sobie śpi, wykończony po intensywnym dniu w szkole, zabawie i treningu unihokeja.

Niklas wciąż czuje puls dudniący w skroniach po koszmarnym śnie. Wie, że ten sen będzie mu towarzyszył do końca życia.

Był z Douglasem w jakiejś ciemnej wieży i szukał czegoś w worku. Kiedy rozwiązał worek i zajrzał do środka, ujrzał nie tego nieznanego chłopca, tylko Lukasa, który wpatrywał się w niego z grymasem na zamarznętej twarzy. Pokrywała ją cieniutka warstewka niebieskawego lodu i kiedy Niklas przyjrzał się dokładniej, zobaczył, że oczy Lukasa poruszają się pod nią.

Rozpaczliwie próbował wydobyć syna z worka, ale wtedy byli już na jeziorze i lód zaczął pod nimi pękać. Ze szczeliny buchnęła ciemna lodowata woda i worek zaczął tonąć. Niklas męczył się z nim i szarpał, a Lukas patrzył na niego błagalnie, znikając w głębinie.

Uratuj mnie, tato.

Ale nic nie mógł poradzić. Nie był w stanie.

Obudził się z krzykiem. Tak mu się w każdym razie wydawało. Ale Helena spokojnie spała dalej, więc chyba krzyczał tylko we śnie.

Usiadł na łóżku, nie mógł leżeć dłużej w mokrej od potu pościeli. Musiał zobaczyć, czy Lukasowi naprawdę nic nie jest. Teraz siedzi na skraju łóżka syna i głaszcze go po włosach i po policzkach.

To jest prawdziwy świat, myśli. Świat, który pachnie świeżo wypraną bawełną i ciepłymi dziećmi. W którym miejsce na krzyk jest tylko w koszmarach.

Ty, Emma i Tim.

Co bym zrobił, gdyby ktoś spróbował was tknąć albo skrzywdzić?

Jak daleko byłbym gotów się posunąć?

Jest kwadrans po czwartej nad ranem, kiedy Zack otwiera drzwi mieszkania przy Kungsholms strand.

Boli go każdy mięsień, ale myśli trzeźwo. Podchodzi do kąta przy komodzie, żeby wyjąć teczkę z materiałami o matce.

Co jest, kurwa?

Narożny kawałek wykładziny, który wcześniej dało się odchylić, teraz jest przytwierdzony zszywkami do podłogi. Jest ich co najmniej dwadzieścia.

Jego desperacka próba, by pozostać czystym.

Ale jak mógł być na tyle głupi, żeby nie wyjąć najpierw teczki?

Przynosi śrubokręt ze skrzynki na narzędzia i zaczyna mozolnie wyciągać zszywki. Kiedy w końcu wydobywa czarną teczkę ze skrytki, jest spocony. Idzie po puszkę coli, a potem siada na podłodze oparty plecami o łóżko i otwiera teczkę.

Jego nierozwiązana sprawa.

Najważniejsza ze wszystkich.

Anna Herry, zamordowana nożem 4 września 1992 roku.

Kiedy to się stało, Zack miał zaledwie pięć lat.

Był za mały.

Ale na tyle duży, by sobie obiecać, że znajdzie jej mordercę.

Już w pierwszym tygodniu jako aspirant zaczął grzebać w tej sprawie. Szybko udało mu się sprawić, by kilka kawałków tej układanki trafiło na właściwe miejsca.

Potem szło już opornie, mimo setek godzin poświęconych na rozmowy i zbieranie informacji. Przez ostatnie dwa lata w ogóle nie pchnął sprawy naprzód.

A jednak wie, że odpowiedź kryje się gdzieś w tej teczce. W tym mieście.

Musi tak być.

Mama.

Zawsze potrafił słyszeć jej głos.

Ale ostatnio słyszy też jej krzyki.

Kiedy była wściekła. Kiedy rzucała rzeczami o podłogę i krzyczała, krzyczała.

I biła.

Otwartą dłonią.

Mocno, w policzek.

Potem pięścią. Jeszcze mocniej.

Tyle uderzeń.

Plamy krwi na piżamie.

Ale dlaczego? Co zrobiłem?

Zack nie pamięta.

Ale pamięta, jak leżał w swoim łóżku.

Odwrócony do ściany, żeby nie widziała, że płacze.

Mama.

Dlaczego mnie biłaś?

Ale może robiła to tylko sporadycznie? Może zrobił coś głupiego?

Nie, to się zdarzyło wiele razy.

Znów widzi siebie jako chłopca, w swoim łóżku – nie, na podłodze w kuchni – i głośno płacze. Coś go boli. Strasznie boli. Ale co?

Zamyka oczy, kładzie się na podłodze, zwija w kłębek i próbuje sobie przypomnieć.

Leży na dywaniku w kuchni, czuje woń przypalonego jedzenia i ostry ból w lewej ręce. Przygląda jej się. Jest wygięta pod dziwnym kątem.

Tak mocno go biła?

Zack siada.

Jeśli naprawdę aż tak mnie pobiła, to musi istnieć jakaś dokumentacja. Musiałem przecież trafić do lekarza.

Znów zamyka oczy. Próbuje sobie przypomnieć szpital, białe fartuchy, gips na rękę, ostre światło, zapach środków czyszczących, ale nic takiego się nie pojawia.

Musi istnieć inny sposób.

I wtedy przychodzi mu do głowy pewien pomysł, prosty i oczywisty.

Zażądam wglądu do mojej kartoteki medycznej.

Poznam odpowiedzi, których może wcale nie chcę poznać.

Kocksgatan w dzielnicy Södermalm jest opustoszała, wciśnięta między wysokie fasady wznoszące się późną zimową nocą jak niepokonany mur.

Po nierównym, pokrytym lodem asfalcie sunie czarny saab, pozostawiając niewyraźne ślady w warstwie świeżego śniegu.

Samochód hamuje i zatrzymuje się przy niebieskim kontenerze budowlanym. Wysiada z niego dwóch mężczyzn. Zostawiają drzwi uchylone, by niepotrzebnie nie hałasować, i najciszej jak się da otwierają bagażnik. Męczą się, by wydobyć z niego ciężki czarny worek na śmieci, taszczą go mozolnie do kontenera i wrzucają między kartony, płyty gipsowe i stare rury wodociągowe.

Kilka płatków śniegu opada łagodnie na worek. Topnieją od ciepła.

WTOREK, 20 STYCZNIA

Kolejny mroźny poranek. Komenda – szara i ponura – wita Zacka jak garść śniegu za kołnierzem.

Kiedy Zack zaczął tu pracować, miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Był bystry i pełen zapału. Chłopak z południowych przedmieść, który awansował na inspektora policji kryminalnej szybciej niż ktokolwiek inny w ostatnich latach.

A jednak nigdy nie udało mu się pozbyć wrażenia, że jest zmuszony, by tutaj być, i nie wolno mu złożyć wypowiedzenia, dopóki nie dowiedzie swojej wartości.

Spogląda na rękawiczki. Znów trzęsą mu się ręce, a powieki same się zamykają.

Już bardziej prawdopodobne jest, że mnie wywałą, myśli. Ledwie się trzymam.

W szatni zapuszcza sobie do oczu krople Clear eyes, żeby złagodzić pieczenie i pozbyć się zaczerwienienia, a potem przygląda się sobie w lustrze. Pochyla się nad nim tak bardzo, że czubkiem nosa prawie dotyka szkła. W jasnoniebieskich tęczęwkach próbuje znaleźć odpowiedź na to, kim jest.

Ale nie widzi już siebie.

Widzi ją. Tamtą kobietę. Najpiękniejszą istotę, jaką w życiu spotkał.

Kilka miesięcy temu, już po tym, jak się pierwszy raz spotkali, zobaczył jej zdjęcie w jakiejś gazecie.

Spadkobierczyni koncernu Heraldus.

Tylko jak się nazywa?

Wyleciało mu z głowy. Będzie musiał potem wyszukać ją w Google.

Odchyła się od lustra. Teraz znowu widzi siebie. Zmęczonego policjanta, który powinien przestać myśleć o nieosiągalnych kobietach i skupić się na tym, żeby złapać mordercę Ismaila.

I swojej matki.

Przypomina sobie pomysł, na który wpadł w nocy, żeby zażądać wglądu do swojej kartoteki medycznej. Wyszukuje numer władz samorządowych hrabstwa Sztokholm. Jakaś miła kobieta w centrali przełącza go do właściwej osoby. Zack wyjaśnia, z czym dzwoni, że chce uzyskać wgląd do swojej kartoteki medycznej od chwili urodzenia.

– Wszystko przyślemy panu do domu w ciągu mniej więcej tygodnia.

Zack się rozłącza, wjeżdża windą na szóste piętro i wsuwa kartę magnetyczną do zamka w drzwiach prowadzących do pomieszczeń Jednostki do Zadań Specjalnych.

Deniz siedzi przy swoim komputerze w puchowej kurtce, a za nią Zack widzi Sirpę Hemälainen w swetrze i grubym szaliku.

Tylko nie znowu to, myśli Zack.

Kilka razy w ciągu ostatnich miesięcy supernowoczesna wentylacja w biurze przestała działać jak należy. Wypluwała z siebie zimne powietrze, jakby była pełnia lata.

– Wyglądasz na strasznie przemarzniętego, Zack – mówi Niklas, kiedy go widzi. – Ale tutaj zaraz się ogrzejesz. Dziś mamy całe czternaście stopni.

Niklas ma na sobie czarny golf i równie czarną marynarkę. Wygląda jak

nowoczesny przedsiębiorca pogrzebowy.

– Chyba mieli to naprawić w zeszłym tygodniu? – pyta Zack, siadając przy biurku i włączając komputer.

Rudolf Gräns przy automacie z kawą rechocze, słysząc jego pytanie. Wrócił po wczorajszym dniu spędzonym w szpitalu. Wygląda na to, że jest w dobrym humorze.

– Jesteś jeszcze młody i naiwny, monsieur Herry – mówi niskim, budzącym szacunek głosem, w którym słychać całe doświadczenie zgromadzone przez sześćdziesiąt cztery lata życia. – Pewnego dnia się nauczysz, że w żargonie szwedzkich rzemieślników „w zeszłym tygodniu” znaczy „za miesiąc”. – Rudolf wciska jakiś przycisk w swoim zegarku. Łagodny kobiecy głos mówi: „Siódma pięćdziesiąt osiem”. Rudolf kiwa głową, poprawia beżową sztruksową marynarkę. – Panie i panowie, pora na spotkanie.

Pozostali idą za nim do sali konferencyjnej. Siadają tam, gdzie zwykle. Na końcu wchodzi Douglas Juste z Samem Koltbergiem i Tommym Östmanem. Zackowi trudno się zdecydować, który z nich ma najbardziej skwaszoną minę.

Szef odchrząkuje i otwiera aktówkę z czarnej cielejącej skóry.

– No dobrze. Miło, że wszyscy jesteście... – Przebiega wzrokiem po twarzach i zatrzymuje się na Zacku. – ...i tak rześko wyglądacie.

W pierwszej chwili Zack czuje rozdrażnienie, ale potem śmieje się w duchu. To pierwsza ironiczna uwaga Douglasa od wielu miesięcy. Czyżby wreszcie zaczął mięknąć?

– Jak wszyscy na pewno wiecie, wczoraj wieczorem media bardzo nam pomogły. Zack i Deniz, co dało przesłuchanie Margarety Svensson?

Streszczają krótko, czego się dowiedzieli, i informują, że na dziesiątą umówili się na spotkanie z Evą Strandberg, właścicielką ośrodka dla azylantów „Promyk”, by zapoznać się z dokumentacją Ismaila Dakhila i porozmawiać z innymi osobami, które miały z nim kontakt.

– Ismail pod koniec listopada zadzwonił do ośrodka dla azylantów i powiedział, że „jest z jakimś miłym człowiekiem” – mówi Deniz. – Jak dotąd to nasz najlepszy trop.

– Dobra – mówi Douglas. – Zobaczcie, czy uda wam się namierzyć tę rozmowę. Sirpa, możesz zażądać wszystkich informacji o chłopcu z centrali Urzędu Imigracyjnego? Musimy się szybko dowiedzieć, czy ma jakichś krewnych w kraju albo gdziekolwiek na świecie.

– Już pogoniłam urzędnika z głównej siedziby w Norrköpingu – odpowiada Sirpa. – Po spotkaniu jeszcze raz do niego zadzwonię.

Douglas zwraca się do Koltberga:

– Wiemy, kiedy nastąpił zgon?

– Niestety nie. To tak jakby próbować ustalić datę produkcji kawałka mięsa z zamrażarki. Ślady po ugryzieniu też nie są tak wyraźne, jak na to na początku liczyłem. Przesłałem je do kolegi z FBI, może jemu uda się uzyskać obraz, który nadawałby się do porównania, kiedy już złapiemy podejrzanego.

– Z FBI? – pyta Douglas. – Czemu nie do stomatologa sądowego z Solny?

Koltberg wciąga głęboko powietrze.

– Niestety, to nie ten sam poziom, zwłaszcza w tej sytuacji, kiedy zależy nam, by

szybko otrzymać informacje. Warto chyba zapłacić trochę więcej, prawda?

Zack dokładnie wie, o co chodzi. Nową szefową stomatologii sądowej jest kobieta. Koltberg nie może tego zdzierżyć. Poza tym ma niemal obsesję na punkcie FBI. Jego ciągłe próby, by nawiązać kontakty z lekarzami sądowymi z Waszyngtonu, kosztowały już szwedzką policję setki tysięcy koron.

– Chyba bardzo rzadko się zdarza, żeby dorosła osoba pogryzła dziecko – mówi Niklas, patrząc na Östmana.

– Niestety, nie jest to aż tak niezwykle – odpowiada profiler. – Ugryzienie przez dorosłego człowieka wskazuje na agresję albo na zachowanie z podtekstem seksualnym. Nawet jeśli na ciele chłopca nie znaleziono śladów wykorzystywania seksualnego, niestety nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia z człowiekiem o skłonnościach pedofilskich.

Zack myśli o ranach na zwłokach Ismaila. Na bokach, na plecach. Rany szarpane, cięte. Zupełnie jakby ktoś grał z chłopcem w jakąś sadystyczną grę, jak kot ze schwytaną myszą. Uderza łapą, nadgryza. Potem znów pozwala jej trochę pobiegać. Znów się na nią rzuca. Z pazurami.

Ale to nie była mysz.

To było dziecko.

Tak jak Ester.

To ją Zack widzi teraz zamiast Ismaila. Dziewczynka próbuje uciec, napastnik powala ją na ziemię, kaleczy do krwi jakąś ostrą, przypominającą pazury bronią.

– Zack. Zack!

– Co?

Podnosi wzrok. Douglas spogląda na niego ze złością.

Znowu trzęsą mu się ręce? Patrzy w dół. Są nieruchome.

– Pytałem, czy chcesz się z nami podzielić czymś jeszcze, co udało wam się wczoraj ustalić. Sprawdzaliście na przykład zaginione dzieci?

– Tak, ale to nic nie dało.

Douglas patrzy na niego o jakąś sekundę za długo, a potem ciągnie:

– Najważniejsza jest teraz rekonstrukcja ostatnich dni Ismaila na wolności. Musimy zacząć od ośrodka dla azylantów i liczyć na to, że dokumentacja i rozmowy z pracownikami dadzą nam jakiś punkt zaczepienia. Jeśli chodzi o sprawcę, musimy rozszerzyć poszukiwania. Spróbować dotrzeć do wszystkich, którzy mieli kontakt z Ismailem, gdy przebywał w kraju. I musimy się śpieszyć, prawda, Tommy?

Östman kiwa głową.

– Satysfakcja, jaką odczuwa morderca po takim morderstwie, z reguły niestety nie trwa zbyt długo. Zrobi to ponownie.

Douglas zbiera papiery na staranną stertę i szykuje się, by zakończyć spotkanie.

– Ktoś chce jeszcze coś dodać? Rudolf?

Rudolf zdjął ciemne okulary i pociera oczy.

W tej chwili wszyscy widzimy równie kiepsko jak ty, myśli Zack. Wszyscy musimy sobie wyrobić własny obraz człowieka, którego ścigamy.

– Nie, nie mam nic do dodania, ale za to dużo do przemyślenia – mówi Rudolf.

Jadą E4 na północ po pokrytym słońcą breją asfalcie. Mijają ponure pola, budynki biurowe, rozświetlone salony samochodowe i puste restauracje z fast foodem.

Zack patrzy na zalegające od tygodnia zaspy, szaroczarne od spalin. Lekkie płatki śniegu opadające z nieba nie wystarczają, by zakryć brud.

Ściska mu się żołądek. Protestuje na każdym niewielkim nawet wyboju i Zack czuje kwaśny smak wymiocin podchodzących do gardła.

Powinien coś zjeść, ale nie na jedzenie ma ochotę.

Tylko na to drugie.

Potrzebuje tego.

Zjeżdżają z E4 na Upplands Väsby. Przejeżdżają przez rejon przemysłowy, a potem kierują się na wschód, na Vallentunę, i docierają do nieczynnego motelu z ogromnym parkingiem dla ciężarówek. Płytki z eternitu zwisają luźno na fasadzie, wiele okien zaklejonych jest czarną folią. Cały teren otoczony jest wysokim ogrodzeniem, tu i ówdzie wietrzy się jakaś pościel, poplamione koce.

– Muszą tak mieszkać? – pyta Deniz, podjeżdżając do motelu. – To przecież wygląda jak więzienie.

Zack wskazuje na tabliczkę trochę dalej.

– Najwyraźniej jest tu też szkoła nauki jazdy. To dlatego stoi tu ten płot.

– No tak, ale mogli to chyba jakoś przyjemniej urządzić... Witajcie w Szwecji, no wiesz.

– W każdym razie ten, kto nazwał to miejsce „Promyk”, miał poczucie humoru – stwierdza Zack.

Wjeżdżają przez otwartą bramę i parkują pod głównym wejściem. Do lodu przymarzło mnóstwo niedopałków i zmiętych papierków po cukierkach.

Nad pustą recepcją mruga świetlówka. Na przeciwległej ścianie wisi tablica ogłoszeniowa z informacjami o zeszłorocznych obchodach Nocy Świętojańskiej.

Za recepcją w obie strony biegną długie ponure korytarze, czuć słabą woń pleśni i wilgoci.

Zack znów czuje, że zbiera mu się na wymioty.

A więc tu mieszkałeś, Ismail, myśli.

– Zimno jak u nas w biurze – zauważa Deniz.

Natrafiają na niskiego ciemnoskórego mężczyznę, który nieśmiało kiwa im głową, gdy przechodzi obok.

– Dzień dobry – mówi Zack. – Wiesz, gdzie...

Ale mężczyzna spuszcza głowę i szybkim krokiem się oddala.

Policjanci na chybił trafił skręcają w jakiś korytarz i szukają pokoju socjalnego dla personelu.

– To tutaj – mówi Deniz, naciskając plastikową klamkę przy żółto-brązowych drzwiach.

Zamknięte na klucz.

– Zadzwońię do właścicielki – mówi Zack. – Może gdzieś tu jest.

Deniz patrzy na niego. Uważa, że Zack wygląda, jakby spał w jakiejś zaspie. Błady, z nabiegłymi krwią oczami. Ma nienaturalnie sztywne ramiona.

Jak długo jeszcze wytrzyma?

Późnym latem i jesienią wyglądało na to, że wziął się w garść, ale teraz najwyraźniej znów się stacza na dno.

Dlaczego? Deniz tego nie wie. Powinna mu pomóc. Ale jak?

– Rozejrzę się trochę – mówi.

Słyszycy ciche dźwięki telewizora i idzie dalej korytarzem. Trafia do świetlicy z dwoma zielonymi sofami i kilkoma fotelami, każdy z innego kompletu. Jest tu też stół z chromowanymi nogami i ogromny stary telewizor. Czterech młodych ludzi i dwóch dorosłych mężczyzn ogląda jakiś program o motoryzacji.

Deniz wyłącza telewizor. Nikt nie protestuje. Przysuwa sobie krzesło i siada naprzeciw nich.

– Dzień dobry – mówi z uśmiechem. – Czy ktoś z was mówi po szwedzku?

– Trochę – odpowiada piętnastoletni chłopiec o ciemnej cerze.

– Jak masz na imię?

– Muhammed.

– Ja mam na imię Deniz. Jestem tu, bo szukamy chłopca, który wcześniej tu mieszkał.

Wyjmuje z kieszeni zdjęcie i kładzie je na stoliku.

– To ten chłopiec. Poznajesz go?

Muhammed pochyla się nad zdjęciem.

– Nie. Nie znam.

– Mógłbyś, proszę, przetłumaczyć moje pytanie pozostałym?

– Tylko dwóch mówi w moim języku – odpowiada chłopak i wskazuje na młodszego od siebie i na jednego z dorosłych, łysego mężczyznę z policzkami jak buldog.

Muhammed tłumaczy pytanie. Młodszy chłopak natychmiast zerka na zdjęcie, ale łysy mężczyzna wpatruje się w Deniz, a potem mówi coś ze złością do Muhammeda.

– On pyta, kim jesteś.

– Jestem z policji – wyjaśnia Deniz i wyjmuje legitymację.

Chłopak tłumaczy. Łysy parska, wstaje z sofy i bez słowa odchodzi.

Deniz patrzy na pozostałych. Są wystraszeni. Niespokojni. Sceptyczni wobec urzędników.

Niby dlaczego miałyby być inaczej? Pamięta swoje pierwsze spotkania ze szwedzkimi władzami. Niezrozumiały język, budzące strach formularze, nieustanny niepokój, bo nigdy nie wiedziała, co się za chwilę stanie ani ile powinna opowiedzieć.

Urzednicy z dokumentami pod pachą w jej rodzinnej wiosce zawsze oznaczali złe wieści. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej?

Próbuje z nimi rozmawiać po szwedzku, angielsku, nawet w kurmandzi, ale to na nic. Drugi mężczyzna również wstaje i wychodzi, przedtem rzuca coś do jednego z nastolatków, który rusza za nim.

Deniz patrzy za nimi i zwraca uwagę na wychudzonego mężczyznę w zbyt luźnych

ubraniach, który szwenda się po korytarzu. Sądząc z wyglądu, pochodzi z Somalii, może z Erytrei. Sprawia wrażenie wystraszonego, tak jak pozostali, ale w jego spojrzeniu jest coś jeszcze. Jakby chciał coś powiedzieć.

– Dzień dobry – uśmiecha się Deniz, ale mężczyzna się odwraca i odchodzi.

Do świetlicy wchodzi Zack.

– Eva Strandberg już tu jedzie. Powiedziała, że pomyliły jej się godziny. Co u ciebie?

– Nic nie wskórałam – odpowiada Deniz, wyjmując wizytówkę i kładzie ją na stole. Pokazują zdjęcie Ismaila jeszcze trzem osobom, ale to nic nie daje.

Po chwili słyszą w korytarzu stukot obcasów Evy Strandberg i wychodzą jej na spotkanie.

Jest opaloną kobietą w wieku około czterdziestu pięciu lat, ubraną w obcisłe dzinsy i biały sweterek eksponujący biust.

– Jesteście z policji, prawda? – mówi, uśmiechając się do nich czerwonymi ustami.

Otwiera drzwi pokoju socjalnego. Ściany są tu świeżo pomalowane na jasnoniebieski kolor. Policjanci wchodzi za nią i wszyscy siadają przy owalnym stole z Ikei.

Deniz pokazuje Evie Strandberg zdjęcie Ismaila i pyta ją, czy poznaje chłopca.

– O tak. To mały Emanuel – odpowiada kobieta. – Mieszkał tu przez kilka miesięcy. Miły chłopiec. Nie taki łobuz jak wielu innych.

Deniz wpatruje się w nią.

– Miał na imię Ismail. I nie żyje.

Eva Strandberg zasłania usta dłonią i głośno wciąga powietrze.

– O Boże, to takie straszne. Jak to się stało?

– Nie możemy o tym mówić. Ale potrzebujemy pomocy pani i pani pracowników. Musimy uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Czy Ismail garnął się jakoś szczególnie do kogoś z personelu?

– Nie wiem dokładnie, ale ogólnie najlepszą rękę do dzieci mają Margareta Svensson i Jeanette Vrejne.

– Z Margaretą już rozmawialiśmy – mówi Zack.

Eva Strandberg zastyga w pół ruchu, jakby ją zaniepokoiło, co mogła powiedzieć Margareta.

– Ach tak. To dobrze.

– Ale chętnie porozmawialibyśmy również z Jeanette.

Eva Strandberg wyszukuje w komórce jej numer i zapisuje go na samoprzylepnej karteczce. Kiedy pisze, jej długie, zadbane paznokcie szurają o blat.

– Nie ma tu dziś nikogo z personelu? – pyta Deniz.

Kobieta zwleka z odpowiedzią. Po chwili mówi:

– Jedna osoba właśnie zrezygnowała z pracy, a nie udało mi się jeszcze skontaktować z kolejną. To dlatego trochę się spóźniłam, obdzwaniałam pracowników. Ale normalnie mamy tu kogoś przez całą dobę.

– Normalnie? Zostawiacie bez nadzoru dzieci, które wjechały do kraju bez opiekunów? – pyta Deniz.

Eva Strandberg ją ignoruje.

– Musimy się dowiedzieć, kiedy dokładnie zniknął Ismail i kto miał wtedy dyżur – mówi Zack po chwili milczenia.

Eva Strandberg wstaje i podchodzi do biurka przy oknie. Wsuwa jedną z szuflad.

– Mówiliście, że w którym miesiącu zniknął chłopiec?

– Nie pamięta pani tego? – dziwi się Deniz.

– W połowie listopada – mówi Zack.

Eva Strandberg w milczeniu przegląda jakiś segregator.

– O tutaj – mówi. – Siedemnastego listopada rano zauważono, że Ismaila Dakhila nie było w pokoju. Tego samego dnia po południu zgłoszono jego zaginięcie.

– Kto miał wtedy dyżur?

– Jeanette Vrejne.

Kobieta zamyka segregator i właśnie ma usiąść, ale zaczyna dzwonić jej komórka. Zerka na wyświetlacz, potem na Zacka i Deniz.

– Mogę w czymś jeszcze pomóc? Szczerze mówiąc, jestem w tej chwili trochę zajęta.

– Nie, skończyliśmy – odpowiada Zack i wstaje.

Na zewnątrz znów mocniej wieje, płatki śniegu wirują w podmuchach nad ogrodzoną asfaltową pustynią.

Obok ich służbowego wozu stoi zaparkowany czarny range rover, najnowszy model.

Deniz jest zła przez całą drogę na Folkungagatan.

– Powinnaś coś zjeść. Ja też. – Zack nieprawidłowo parkuje przy Jerusalem Kebab na Götgatan.

W małym lokalu panuje przytulny gwar. Na ścianach wiszą orientalne dywany i fajki wodne. Zack słyszy szwedzki, arabski, angielski i co najmniej dwa inne języki, których nie potrafi skojarzyć.

– To się nie trzyma kupy – mówi Deniz, gdy już siedzą przy stoliku. – Jeśli morderca wszedł do tego ośrodka dla azylantów i zabrał dziecko, o którym wiedział, że nikt go nie będzie szukać, to dlaczego nie zakopał zwłok albo nie wrzucił ich do przerębli? Po co ryzykować, że ktoś znajdzie ciało?

– I dlaczego wybrał akurat ten komin? – mówi Zack między kolejnymi kęsami. – Niemożliwe, żeby chciał zostać złapany. Gdyby akurat nie przelatował tamtędy dron, zwłoki mogłyby tam wisieć niezauważone przez wiele miesięcy.

– Musimy to szybko rozwiązać – stwierdza Deniz. – Żeby nie było kolejnych dzieci, które odnajdą się w taki sposób.

Zack w niecałą minutę zjada cały kebab. Kiedy wstaje, żeby pójść do toalety, Deniz pyta, co zamierza tam robić.

Robi to żartem, ale Zack wyczuwa powagę w jej uśmiechu.

– Trochę się naćpam – mówi i odchodzi.

Kiedy stoi przy pisuarze, żałuje, że to nieprawda. Nie ma takiej możliwości. Powieki wydają się ciężkie jak ołów.

Ale niczego przy sobie nie ma. Poza tym jego ciemne okulary zostały w biurze. Deniz natychmiast poznałaby wszystko po jego oczach.

Czeka na niego przy drzwiach. Jej postawa wyraża zapał.

– Lecimy. Właśnie zadzwonił do mnie mężczyzna z ośrodka dla azylantów. Chce się z nami natychmiast spotkać.

Ruchome schody na stacji metra Kungsträdgården zdają się nie mieć końca. Po pomalowanych na czerwono skalnych ścianach spływa wilgoć, a ludzie wychodzący na górę szykują się na kolejne spotkanie z zimnym wiatrem znad Stockholms Ström.

Mężczyzna siedzi na drewnianej ławeczce pod wielkim planem metra. Deniz go poznaje. To ten, który szwendał się po korytarzu w ośrodku dla azylantów; wydawał się wystraszony, ale równocześnie wyglądał, jakby szukał kontaktu.

Teraz jest tylko wystraszony. Jakby żałował, że tu przyszedł.

Witają się z nim. Mężczyzna przedstawia się krótko jako Said. Przesuwa się, żeby zrobić im miejsce na ławce. Deniz siada obok niego, a Zack po jej drugiej stronie, żeby Said nie poczuł się osaczony i nie uciekł.

Mężczyzna zerka na Deniz i zaczyna łamanym, ale całkowicie zrozumiałym angielskim:

– Słyszałem, jak mówiłaś o Ismailu.

– Zgadza się.

– Wsadzicie go do więzienia?

– Nie, nie jest podejrzewany o żadne przestępstwo. Chcemy się tylko dowiedzieć, co się z nim stało.

Said kiwa głową.

– Kilka tygodni przed zniknięciem Ismaila tam, gdzie mieszkamy, pojawił się mężczyzna i zaczął ze mną rozmawiać. Widziałem go też wcześniej, łatwo go rozpoznać. Ma długie jasne włosy, ale nie wyglądają na prawdziwe jak u ciebie – mówi, patrząc na Zacka. – Z początku był miły, częstował mnie papierosami, pytał, skąd jestem. Poszliśmy na spacer i powiedział, że chce mi pomóc. Że może mi dać pracę, w której zarobię mnóstwo pieniędzy. Wyjął gruby rulon banknotów i mi pokazał. To były szwedzkie banknoty, po pięćset koron każdy. Nigdy w życiu nie widziałem tylu pieniędzy. – Said milknie, gdy podchodzi do nich dwóch młodych mężczyzn, którzy sprawdzają coś na planie metra. Czeka, aż sobie pójdą, a potem ciągnie: – Opowiadał mi, że wszystkie dzieci, które przyjeżdżają same do Szwecji, są odsyłane do kraju, z którego pochodzą. Ale mówił, że on się może nimi zająć. Zadbac, żeby chodziły do szkoły. Ale żeby to zrobić, musiałby złamać prawo. Chciał, żebym w tajemnicy porozmawiał z niektórymi z dzieci i pomógł mu je uratować przed wysłaniem do domu. – Said milknie, kręci głową. – Powiedziałem mu, że się nad tym zastanowię, ale mu nie ufałem. Nie patrzyło mu dobrze z oczu. Potem usłyszałem dziwne rzeczy od ludzi, którzy mieszkają w motelu dłużej niż ja. Opowiadali, że nazywają go Lew i że często przesiadywał w swojej czerwonej skodzie i patrzył na bawiące się dzieci.

Zack czuje, jak ta chwila wydaje się zagęszczać. Wpadli na jakiś trop.

– Nikt z pracowników go nie widział? – pyta.

– Właśnie to jest takie dziwne. Zupełnie jakby skądś wiedział, że żadnego z nich nie ma na miejscu. To było upiorne, jakby miał jakieś moce, jak szaman.

Albo ktoś z wewnątrz mu pomógł, myśli Zack.

– Myślałam, że przez całą dobę ktoś z personelu zawsze jest w ośrodku – mówi Deniz.

Said się śmieje.

– Nie, nie. Przez większość czasu jesteśmy sami. Zwykle staram się czymś zająć dzieci. Gram z nimi w piłkę, opowiadam im bajki i takie tam. Myślę, że to dlatego Lew zwrócił się właśnie do mnie. – Odchrząkuje i mówi dalej: – Kilka dni później, kiedy poszedłem na stację benzynową, żeby sobie kupić nową kartę Amigos Afrika do telefonu, znów go zobaczyłem. Stał w zagajniku przy parkingu i rozmawiał z Ismailem.

Na stację wjeżdża kolejka, chwilę stoi, odjeżdża.

Said czeka, aż hałas ucichnie, i podejmuje:

– Po południu szukałem Ismaila. Chciałem go ostrzec. Zapukałem do drzwi jego pokoju, ale nie otworzył. Wieczorem wybrałem się na spacer dookoła motelu, żeby sprawdzić, czy w jego oknie pali się światło. Wtedy usłyszałem nadjeżdżający samochód. To była czerwona skoda.

Milknie, jakby nie chciał więcej opowiadać. Wpatruje się w swoje buty.

– Co się stało potem? – pyta Deniz.

– Wystraszyłem się. Myślałem, że ten mężczyzna z długimi żółtymi włosami może

mieć jakieś złe moce. Bałem się pokazać.

Znów milknie, powoli kręci głową, jakby się wstydził.

– Widziałeś, dokąd pojechał samochód? – pyta Deniz.

– Zajechał pod wejście i się zatrzymał. Potem usłyszałem, że ktoś wychodzi z budynku i zatrzasnęły się drzwi samochodu. Skoda odjechała, a następnego dnia zaginął Ismail.

Zack i Deniz patrzą po sobie.

Ismail nie uciekł.

Ktoś go zabrał.

– Nie widziałeś, jakie numery rejestracyjne miał ten samochód? – pyta Zack.

– Nie. Uczyłem się czytać w języku tigrinia i mam problemy z waszymi łacińskimi znakami.

Zack opada ciężko na oparcie ławki i przeczesuje palcami włosy.

Czerwona skoda. Musi ich być całe mnóstwo.

Said wyjmuje stary, porysowany iPhone 3G i przesuwa palcem po wyświetlaczu.

– Ale się podkradłem i zrobiłem zdjęcie – mówi.

Uliczne latarnie oświetlają E20 jak lampy fotograficzne. Zapada zmierzch, choć jest dopiero kwadrans po czwartej. Deniz klnie, gdy tuż przed nią na lewy pas wyjeżdża ciężarówka, żeby wyprzedzić starego saaba z pełną po brzegi przyczepą.

Zack wygląda przez boczną szybę i na myśl o Saidzie nie może powstrzymać uśmiechu. Tak się bał, że ten długowłosa posiada jakieś złe moce, a jednak zebrał się na odwagę, podkraść się i sfotografował tablicę rejestracyjną.

Przydałoby się więcej takich jak ten Said, myśli Zack.

Zdjęcie było zamazane i poruszone, a w dodatku było ciemno, ale bez problemu udało się odczytać numery.

YSR 130.

Zack natychmiast je sprawdził. Trafienie wskazało na skodę octavię, model z 2007 roku, zarejestrowaną na Nemaesus AB, firmę z adresem korespondencyjnym na niejakiego Emiliana Petrescu z Södertälje.

Urodził się w Rumunii w 1971 roku. Mieszka w Szwecji od 1989, a od 1995 posiada szwedzkie obywatelstwo. Wielokrotnie skazywany za oszustwa, prowadzenie po pijanemu, kradzieże, drobne przestępstwa narkotykowe i prowadzenie pojazdu bez prawa jazdy. Deklarowany dochód w roku 2014 to osiemdziesiąt trzy tysiące siedemset koron. Niespłacone zaległości podatkowe: dwieście dwadzieścia cztery tysiące.

Zack otwiera zdjęcie paszportowe przesłane przez Sirpę Hemäläinen. Ostrzyżony na jeża facet z cofniętym podbródkiem, który niemal niepostrzeżenie przechodzi w chudą szyję.

– Spróbujesz jeszcze raz dodzwonić się do Douglasa? – pyta Deniz, kiedy mijają centrum handlowe Kungens Kurva.

Zack jeszcze raz wybiera ostatni numer, ale od razu włącza się skrzynka głosowa.

– Wciąż ma wyłączony telefon – mówi.

– Jak może być teraz nieosiągalny? – pyta Deniz. – Podczas takiego śledztwa?

– Jedziemy dalej. – W tej sytuacji nie możemy czekać godzinami na jego zgodę.

Według Östmana mogą przecież zginąć kolejne dzieci.

– Myślisz, że jedziemy do mordercy?

– Nie, ten koleś na żadnego lwa mi nie wygląda. I w jego CV nie ma też wystarczająco brutalnych przestępstw. Obstawiałbym, że ten Petrescu to typ, który pożycza samochód porywaczowi, ale sam nie ma odwagi brać w tym udziału. Natomiast jeśli ładnie poprosimy, pewnie nam opowie, gdzie się znajduje Lew.

– To dobrze. Bo gdybyśmy jechali do psychopaty mordującego bezbronne dzieci, wolałabym mieć ze sobą kogoś, kto też ma broń. – Deniz zerka szybko na pas Zacka.

– Jeśli zrobi się gorąco, mam inną.

– Ach tak?

– Pałki i to – odpowiada Zack, unosząc pięści.

Deniz wzdycha i kręci głową, ale nie wygląda na złą.

Ufa mu, z pistoletem czy bez. Zack o tym wie. Dwukrotnie uratował jej życie na

służbie.

Jest już prawie ciemno, gdy docierają do Södertälje. GPS prowadzi ich obok opustoszałej mariny, a potem wjeżdżają do zamożnej dzielnicy willowej na północ od centrum.

– To tam. – Deniz wskazuje wzgórze.

Za nagimi krzewami i oszronionymi pniami drzew wznosi się duża funkcjonalistyczna willa, która w półmroku wygląda jak biała trumna.

Powoli przejeżdżają obok niej, widzą przez czarne, bezlistne gałęzie, że w jednym z dużych okien pali się światło. Z willi roztacza się widok na małe jezioro. Obok rośnie niewielki zagajnik. Parkują samochód trochę dalej na ulicy i ruszają pieszo w stronę budynku.

Chodnikiem po drugiej stronie idą dwie kobiety z kijkami do nordic walkingu, gdzieś dalej słychać szczekanie psa.

Zack otwiera misternie zdobioną żelazną furtkę i podchodzi do willi. Patrzą w okna, wypatrują ruchu.

Kamienne schody prowadzą do drzwi bez tabliczki z nazwiskiem. W oknach nie ma żadnych ozdób, przy ścianie nie stoją niedbale oparte sanki, a w oszronionym ogrodzie nie widać śladów. Tylko świeżo posypany piaskiem podjazd.

– Dzwonimy do drzwi – mówi Deniz.

Sygnal jest nowoczesny i z chwilowym opóźnieniem rozbrzmiewa w głębi domu.

Nie słychać kroków za drzwiami.

Deniz dzwoni jeszcze raz.

Cisza.

– Masz ze sobą wytrych? – pyta Deniz.

Zack prosi ją, żeby się rozglądała, a sam klęka i zaczyna manipulować przy zamku.

Minutę później stoją w przedpokoju i szukają oznak świadczących o tym, że w domu jest jakiś alarm. Nie wygląda na to. Żadnych kabli, żadnego wyświetlacza ani mrugających diod na ścianie.

Na wieszaku wisi samotnie granatowa zimowa kurtka, ale stojak na buty jest pusty.

Zaglądają do dużego pokoju.

Pusto, z wyjątkiem trzech składanych krzeseł przy małym stoliku pod żyrandolem. Na ścianie znajduje się tylko podłużne lustro i kilka brzydkich dziur po brzydkich zapewne obrazach i zdemontowanych półkach.

Zack właśnie ma zrobić krok w głąb pokoju, gdy słyszy słabe skrzypienie.

Jakby odgłos kroków na drewnianej podłodze.

Ruch w lustrze.

Unoszony pistolet.

Policjanci rzucają się za ścianę oddzielającą duży pokój od przedpokoju. Zack jest jeszcze w powietrzu, kiedy pada pierwszy strzał, i tuż przed wylądowaniem czuje szarpnięcie w prawej stopie.

– Nic ci nie jest? – szepcze Deniz, przyciągając go do siebie.

– Chyba nie – mówi Zack, oglądając but.

Oderwała się część grubej gumowej podeszwy, ale wygląda na to, że pocisk o kilka

milimetrów minął palce.

Zack puka łokciem w ścianę. Dźwięk jest głuchy i stłumiony. Najprawdopodobniej ściana nośna. Wytrzyma strzał z pistoletu, myśli.

Deniz najciszej jak umie wzywa posiłki przez radio.

Zack się rozgląda. Na lewo od drzwi wejściowych, za wieszakiem na płaszcze, znajduje się dwoje drzwi. Jedne to drzwi do łazienki, drugie mają dziurkę na klucz w mosiężnym okuciu. Zack się domyśla, że prowadzą do piwnicy.

Po prawej stronie przedpokój przechodzi w niewielkie pomieszczenie z sofą i dużym telewizorem na ścianie.

Zack zamyka oczy. Próbuje się zastanowić.

Mogli nas zobaczyć przez okno albo przez kamery.

Ale wtedy już by nas zabili.

Może zdążyli zobaczyć tylko jedno z nas?

Mijają sekundy. Nic nie słyhać.

Zack pochyla się w stronę Deniz.

– Myślę, że widzieli tylko mnie – szepcze. – Możemy to wykorzystać. Jeśli dostanę się do tego drugiego pomieszczenia, ty będziesz mogła ukryć się za drzwiami do piwnicy w przedpokoju. Zaskoczysz strzelca od tyłu.

Deniz spogląda w stronę wnęki. Wygląda, jakby próbowała wymyślić lepszy plan.

– Dobra – odpowiada po chwili szeptem.

Piętnaście sekund później Zack się spręży i skacze. Padają dwa strzały i z framugi sypią się drzazgi, gdy ląduje i przetoczywszy się miękko, wpada do wnęki na końcu przedpokoju.

Trzy kolejne strzały padają jeden po drugim; z sofy za nim unosi się kurz, gdy któryś z pocisków wdziera się w tapicerkę.

Zack szybko czołga się dalej, mija telewizor. Gdzieś za sobą słyszy szybkie kroki.

Dwie osoby. Co najmniej.

Proszę, niech nie znajdą Deniz.

Podnosi wzrok. Lekko uchylone drzwi w głębi prowadzą do kolejnego pokoju. Zagląda tam. Na ścianach tapety w kwieciste wzory, trzy niedbale rozstawione polowe łóżka, okno z opuszczonymi żaluzjami.

Gdzieś za nim rozlega się strzał.

Sig sauer.

To Deniz.

Zack słyszy, jak jakiś mężczyzna krzyczy z bólu i pada na podłogę.

Zakrada się do pokoju z łózkami. Widzi zamknięte drewniane drzwi po lewej stronie.

Dokąd prowadzą?

Zatoczył jakby ciasny łuk. Powinny prowadzić z powrotem do dużego pokoju.

Ranny dalej wrzeszczy.

Rozlegają się kolejne strzały. Kilka różnych rodzajów broni, różny kaliber. Tuż za zamkniętymi drzwiami coś rozlatuje się na kawałki i ciężko uderza o podłogę. Żyrandol?

Ktoś biegnie, kroki się zbliżają.

Zack rozkłada teleskopową pałkę. Skulony wraca do pomieszczenia z telewizorem i prawie się zderza z kulejącym grubym mężczyzną w dzinsach i flanelowej koszuli.

Przez ułamek sekundy tylko na siebie patrzą. Potem Zack wytrąca mu pałką pistolet z ręki, a lewą pięścią mocno wali go w nos.

Mężczyzna z krzykiem zatacza się do tyłu i wpada na ścianę. Na jego prawej nogawce widać okrągłą dziurkę otoczoną ciemną czerwienią. Zack się domyśla, że to jego trafiła Deniz.

Zack kopie go z całej siły w ranną nogę. Mężczyzna osuwa się po ścianie, dostaje jeszcze raz w twarz i mocno uderza tyłem głowy o podłogę.

Nieruchomieje.

Zack wyciąga kajdanki, przykuwa mu jedną rękę do kaloryfera.

Kolejne strzały w przedpokoju. Coś ciężko wali o podłogę. Tym razem nie słyhać krzyku.

Ktoś padł martwy.

Deniz?

Zack sięga po broń mężczyzny, czeski CZ, zrzuca buty i cicho podkrada się z powrotem do zamkniętych drzwi prowizorycznej sypialni. Ostrożnie naciska klamkę i z ulgą stwierdza, że nie skrzypią.

Zabili Deniz?

Na tę myśl podłoga zaczyna się kołysać.

Skup się.

Uchyła drzwi na kilka centymetrów i zagląda do dużego pokoju.

Z początku wygląda to tak, jakby był pusty. Zack jeszcze trochę popycha drzwi, wysuwa głowę i widzi szerokie plecy i długą grzywę jasnych włosów.

Mężczyzna, którego Said nazywał Lwem.

Ma na sobie chinosy i czarny polar z ukośnymi kieszeniami. Stoi bez ruchu przy przejściu do przedpokoju, z pistoletem uniesionym na wysokość głowy.

Czeka na Deniz, myśli Zack.

Czyli ona żyje.

Zack unosi CZ i starannie mierzy w rękę, w której tamten trzyma pistolet. Trzęsą mu się dłonie. Próbuje chwycić broń oburącz, ale to też nie pomaga. Poza tym przyrządy celownicze CZ są dziwne, jakby były wygięte.

Jeśli teraz strzeli, równie dobrze może trafić Lwa w rękę albo w gardło.

Z pomieszczenia z telewizorem słyhać krzyki w obcym języku. Facet, którego przykuł do kaloryfera.

Powinienem był mu mocniej przyłożyć, myśli Zack.

Lew się odwraca.

Zack celuje mu w nogę i szybko oddaje strzał, który trafia w podniszczoną listwę podłogową tuż przy bucie Lwa. Mężczyzna odpowiada ogniem, Zack wycofuje się do pokoju z łózkami.

Kolejny strzał roztrzaskuje lustro w dużym pokoju.

Zack znów ostrożnie tam zagląda, dokładnie w chwili, gdy Lew i Deniz padają na podłogę. Deniz jedną ręką trzyma go mocno za gardło, drugą próbuje złapać dłoń, w której

tamten trzyma pistolet.

Lew uderza Deniz łokciem w twarz, ale wtedy Zack jest już przy nich. Chwyta pistolet i wykręca go mężczyźnie z ręki, tak mocno, że aż chrupie w stawie. Lew próbuje krzyczeć, ale Deniz zbyt mocno ściska go za gardło, więc słycać tylko, jak gulgocze.

Zack szybko opada na kolana i wykręca mu rękę za plecy. Mężczyzna ma wielkie mięśnie, ale niezbyt twarde.

– Możesz puścić – mówi Zack. – Mam go.

Deniz się waha. Z nosa cieknie jej krew, z ust sypią się przekleństwa.

– Puść już – powtarza Zack, a ona powoli rozluźnia chwyt i odtacza się na bok.

W pomieszczeniu z telewizorem mężczyzna we flanelowej koszuli wciąż wrzeszczy coś niezrozumiale. Zack mocniej dociska rękę Lwa w stronę łopatki i zmusza go do przekręcenia się na brzuch.

– Gdzie trzeci? – pyta Zack.

– Nie żyje – wyjaśnia Deniz. – A ten który krzyczy?

– Przykuty do kaloryfera. Bez broni.

Deniz ociera nos rękawem kurtki, potem wyjmuje kajdanki i skuwa ręce Lwa za plecami.

– Masz opaski zaciskowe? – pyta.

– W lewej kieszeni kurtki.

Deniz obmacuje kieszenie Zacka, znajduje to, czego szuka, i krępuje mężczyźnie nogi. Tamten nie stawia oporu. Leży w milczeniu na podłodze i ze złością wpatruje się w parkiet.

Jego twarz jest pokryta zmarszczkami, a jasne włosy, jakiś centymetr przy nasadzie, przechodzą w ciemnobrązowy kolor.

– Zack, coś jest na dole w piwnicy.

– Kolejni?

– Nie wiem. Ale kiedy schowałam się za drzwiami, słyszałam stamtąd dźwięki. Słabe, jakby kaszlało jakieś dziecko.

Zack myśli o tym, co Said opowiadał im o Lwie. Że często przesiadywał w samochodzie pod ośrodkiem dla azylantów i obserwował dzieci.

Chodzi nie tylko o Ismaila.

Zabrał ich więcej.

Zack wbija kolano w plecy Lwa.

– Co jest w piwnicy? – pyta. – Gadaj!

Ten mruczy tylko w języku, którego nie rozumieją. Wspólnymi siłami taszczą go do przedpokoju. Zack idzie tyłem i prawie się potyka o zastrzelonego mężczyznę, który leży na plecach z dziurą po kuli tuż pod okiem.

Zack poznaje ten dziwny podbródek ze zdjęcia paszportowego.

Życie Emiliana Petrescu dobiegło końca.

Zack odwraca Lwa tak, żeby musiał patrzeć na zabitego przyjaciela, i mocno przyciska mu lufę do głowy, kiedy Deniz przykuwa go kajdankami do kaloryfera w przedpokoju.

– Jest was tutaj więcej? – pyta Zack po angielsku.

Mężczyzna zwany Lwem wpatruje się tylko w zabitego towarzysza.

Idą po drugiego i jego też przykuwają do kaloryfera. Zack widzi, że jego spojrzenie mimowolnie wędruje w stronę drzwi do piwnicy.

Co jest tam na dole?

Sprawdza magazynek CZ. Zostały trzy naboje. Mówi do Deniz:

– Popilnuj ich, ja sprawdzę, co jest w piwnicy.

Strome schody oświetla słaba naga żarówka. Zack powoli schodzi na dół. Przed sobą trzyma uniesioną broń.

Czym tu pachnie? Zakurzoną piwnicą, ale też strachem.

Strachem w najczystszej postaci.

Takim, jaki musiałeś czuć, Ismail.

Niektóre stopnie skrzypią i Zack widzi na końcu zamknięte drzwi z zasuniętym rygłem. Wydaje się, że sączy się zza nich słaba woń odchodów.

Co mnie czeka po drugiej stronie?

Odsuwa rygiel i popycha drzwi. Są masywne, co najmniej dwukrotnie grubsze niż zwykłe drzwi do piwnicy. Po wewnętrznej stronie brak klamki.

W mroku uderza w niego woń brudu i potu. Powietrze jest duszne, ubogie w tlen, jakby ktoś codziennie trenował w tej piwnicy, ale nigdy jej nie wietrzył.

Czuje też inny zapach. Jakby piwnicy używano jako latryny.

Zack szuka włącznika i zapala światło. Znajduje się na jednym końcu korytarza. Wytarty chodnik na podłodze i plamy wilgoci na suficie. Szare betonowe ściany, kilkoro zamkniętych drzwi, a na samym końcu poźółkła umywalka z ciekącym kranem.

Otwiera pierwsze drzwi. Pralnia. Na podłodze konserwy, duże plastikowe kanistry z wodą i worek z jednorazowymi talerzami i plastikowymi sztućcami.

Podchodzi do następnych drzwi. Słyszy jakiś odgłos i przystaje. Ktoś zakaszał dwa razy. Zack ma wrażenie, że dźwięk dobiega od najdalszych drzwi. Podchodzi i przysuwa do nich ucho. Rozlegają się inne dźwięki. Bardziej natarczywe. Jakby był tam włączony telewizor. Naciska na klamkę. Zamknięte. Ale klucz tkwi w dziurce. Przekręca go i otwiera drzwi.

Wyczuwa ich obecność, jeszcze zanim je dostrzeże.

Wpatruje się w niego osiem par oczu.

Dzieci.

Brudne, wystraszone dzieci. Niektóre ubrane, inne prawie nagie. Wszystkie ciemnowłose. Siedzą na podłodze, na poplamionym wełnianym dywanie. Mała dziewczynka zaczyna płakać, kiedy widzi go na progu. Dwoje innych wycofuje się pod ścianę i kuli. Żadne nie odrywa od niego oczu.

Zack stoi w drzwiach i ledwie to do niego dociera. Czuje, jak wzbiera w nim złość, ma ochotę tłuc Lwa bez opamiętania, ale czemu by to miało służyć?

Te dzieci go potrzebują.

Teraz.

Potrzebują tego, co w nim najlepsze, najspokojniejsze, najżyczliwsze.

W kącie pokoju na krześle stoi stary piętnastocalowy telewizor. Na ekranie kreskówka Disneya, Timon i Pumba. Pod krzesłem szumi stary odtwarzacz wideo, obok leżą sterty innych filmów dla dzieci. *Księga dżungli 2, Hannah Montana, Pokemony.*

W pomieszczeniu śmierdzi moczem i brudnymi włosami. Na prawo od drzwi stoi drewniane krzesło z okrągłą dziurą w siedzeniu. Pod nim zamontowano białe plastikowe

wiadro wypełnione do połowy jasnożółtym płynem, rozmoczonym papierem i czymś, co wygląda jak koci żwirek. Obok na stoliku leży opakowanie wilgotnych chusteczek i do połowy zużyta rolka papieru toaletowego.

Zack podchodzi do najmniejszego z dzieci, chłopca o zapadniętych policzkach, który wygląda na jakieś sześć czy siedem lat i ma na sobie tylko czerwone majtki. Jest wychudzony, sama skóra i kości, można mu liczyć żebra.

Zack kuca i uśmiecha się do niego.

– Cześć – mówi.

Malec się odwraca i kurczowo chwyta się starszej dziewczynki. Inny chłopiec zaczyna płakać.

Zack cofa się i unosi ręce, żeby im pokazać, że nie chce ich skrzywdzić. Usiłuje trzeźwo myśleć, ale znowu wzbiera w nim wściekłość.

– Ssz... – mówi cicho. – Nie jestem jednym z nich. Przyszedłem was uwolnić.

Dopiero teraz do niego dociera, że wciąż trzyma w ręce pistolet. Chowa go i przeklina swoją głupotę.

Znowu kuca, spokojnie mówi do dzieci po angielsku, wyjaśnia, że przyszedł im pomóc, ale wygląda na to, że nie rozumieją. Siada obok płaczącej dziewczynki w wieku Ester i ostrożnie głaszcze ją po włosach. Dziewczynka pozwala mu na to i w końcu opiera głowę o jego ramię.

Zack rozgląda się po pokoju, nie przestając głaszać jej po włosach.

Pod jedną ze ścian stoją oparte płyty pilśniowe i deski, na podłodze leży sterta wysypanych gwoździ. Troje z dzieci ściska podniszczone pluszaki, ale poza tym w pomieszczeniu nie ma zabawek.

Musi je stąd zabrać. Wyprowadzić je z podziemi. Natychmiast.

Wstaje, by ruszyć do wyjścia, ale dziewczynka wczepia się mocno w jego rękę. Zack próbuje delikatnie oderwać jej dłoń i mówi, że pójdzie tylko sprowadzić pomoc, ale mała wciska twarz w jego kurtkę i kopie nogami.

– Dobrze, już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Zack odwraca głowę w stronę drzwi i woła najgłośniej jak potrafi: – Deniz! Deniz!

Żadnej odpowiedzi.

Znów do niej krzyczy, ale Deniz go nie słyszy. Musi tam iść.

Bierze dziewczynkę na rękę. Zostawia pozostałe dzieci. Ma ochotę zabić tego, kto za to odpowiada.

Na podjeździe tłoczą się karetki i wozy policyjne. Niebieskie światła kogutów powoli omiatają nagie drzewa.

W piwnicy Zack, Deniz i dwóch innych policjantów rozdają dzieciom gorącą czekoladę, kanapki i cukierki.

Dziewczynka, którą Zack wyniósł, zeszła z nim z powrotem na dół. Zaczęła nucić coś pod nosem, ale nie spuszcza z niego oczu.

Pozostałe dzieci milczą zdziwione. Niektóre wciąż się boją.

Do piwnicy schodzi policjantka, niosąc kocyki z polaru. Zack bierze jeden z nich i okrywa nucącą dziewczynkę. Potem bierze ją na ręce i po raz drugi wynosi z piwnicy.

Jej ciało jest twarde i kościste, ale Zack czuje jej ciepłe dłonie na szyi, gdy mała mocno się w niego wtula.

W ciemności błyskają flesze, kiedy Zack niesie dziewczynkę do karetki.

Wsiada do środka i zamyka za sobą tylne drzwi. Młody ratownik z włosami związanymi w kucyk patrzy na nich życzliwie i wyciąga ręce po dziewczynkę, ale mała wczepia się w Zacka i wtula twarz w jego szyję.

Zack zajmuje miejsce i sadza ją na kolanach. Ratownik siada obok i mówi do niej łagodnie.

Tylne drzwi się otwierają i do karetki zagląda Douglas Juste. Patrzy ciepło na Zacka i dziewczynkę, ale nic nie mówi. Znika równie szybko, jak się pojawił.

– Teraz ja się nią zajmę – mówi ratownik i tym razem Zackowi udaje się ostrożnie odsunąć jej ręce i bez protestów przekazać ją w jego ramiona.

Wraca do budynku. W przedpokoju panuje tłok. Policjanci, kolejni ratownicy, dzieci wynoszone z piwnicy. W całym tym chaosie klęczy Koltberg i pobiera odciski palców zastrzelonemu mężczyźnie.

W dużym pokoju na jednym ze składanych krzeseł siedzi samotnie Deniz. Obraca w ręce telefon i wpatruje się pustym wzrokiem przed siebie.

Zack przysuwa sobie krzesło, siada obok koleżanki i obejmuje ją za ramiona.

– Nie miałaś wyboru, ty albo on – mówi.

Ona kiwa głową, ale wciąż patrzy przed siebie.

– Gdyby cię zabił, byłoby trzech na jednego. Może nie dałbym rady. I wtedy te dzieciaki nadal siedziałyby w piwnicy.

Deniz spogląda na niego i Zack widzi, że się z nim zgadza. Zjeść albo zostać zjedzonym. Kto jak kto, ale ona wie, o co w tym chodzi.

Deniz wstaje i podchodzi do okna. Zack też się podnosi i dołącza do niej.

Na podjeździe stoi Douglas i zagradza drogę dwóm osobom, kiedy próbują go wyminąć, Zack widzi, co to za jedni: Åke Blixt i Gunilla Sundin.

Co tutaj robią? Przecież nigdy nie pracują po godzinach.

Przyjechali z własnej inicjatywy, żeby naocznie się przekonać, że i tym razem był w coś zamieszany? Żeby go natychmiast zawiesić?

A może tym razem chcą odebrać broń Deniz?

Znów próbują się precyzyjnie, ale Douglas przesuwa się w bok, zagradzając im przejście, i stanowczo pokazuje im ręką, żeby sobie poszli. Wygląda to tak, jakby zawzięcie dyskutowali, ale w końcu ci z wewnętrznego się poddają i człapią w stronę samochodu.

Z piwnicy wychodzi zdyszany technik ze stertą papierów A4 w ręce. Zauważa Zacka i Deniz w dużym pokoju i podchodzi do nich.

– Spójrzcie na to. To wygląda jak kopie akt kilkorga dzieci z Urzędu Imigracyjnego.

Zack wyciąga rękę, żeby się przyjrzeć, ale technik odsuwa papiery.

– Sorry. Musisz założyć lateksowe rękawiczki.

– Przepraszam – mówi Zack. – Możesz to przewertować i zobaczyć, czy jest tam coś o Ismailu Dakhilu?

Technik szybko przegląda dokumenty.

– Niestety. Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

Do pokoju wchodzi Douglas i klepie Zacka i Deniz po ramieniu.

– Dobra robota – mówi. – Naprawdę dobra. Znaleźliście coś o Ismailu?

– Nie. Jeszcze nie – odpowiada Zack.

Widzi przez okno, jak odjeżdżają karetki z tymi dziećmi, które są w najgorszym stanie. Pozostałe przed chwilą zabrano minibusem, w towarzystwie policjantów i pracowników opieki społecznej z Södertälje.

Komórka Zacka wibruje, gdy przychodzi esemes, ale on nie wyjmuje telefonu. Znów schodzi z Deniz do piwnicy i przeszukują pozostałe pomieszczenia. Patrzą na film wciąż wyświetlany na ekranie telewizora.

Jak długo dzieci tu siedziały? Dlaczego nikt tego nie zgłosił? Ośmioro zaginionych dzieci. Jak mogło dojść do czegoś takiego?

Telefon wibruje jeszcze raz. I znowu.

Zack go wyjmuje. Siedem nowych wiadomości. Odchodzi na bok i zaczyna czytać. Pierwszy esemes jest od Abduli.

Zajrzałem na stronę Expressen. Jestem z ciebie dumny. Naprawdę.

Zack klika link i otwiera artykuł z Expressen. Zdjęcie, na którym wynosi dziewczynkę owiniętą w koc, wypełnia prawie cały wyświetlacz. Poniżej krzykliwy nagłówek: „Bohaterski policjant ratuje kolejne dzieci”.

Bohaterski policjant. Media nazwały go tak ubiegłego lata, kiedy pomógł w rozbiciu innej szajki handlującej ludźmi.

Artykuł jest krótki i pełen spekulacji, bo dziennikarze wiedzą tylko tyle, że policja znalazła w jakimś domu uwięzione dzieci.

Zack przewija tekst i znów ogląda zdjęcie. Podoba mu się.

Czy on i Deniz są bohaterami? Może dzisiaj tak.

Potem widzi w wyobraźni zamarznęte oko Ismaila. Dociera do niego, że to dzięki temu chłopcu znaleźli pozostałe dzieci. Twoja śmierć pozwoliła innym przeżyć.

Zabite dziecko wobec ośmiu, które przeżyło. Czy to cena do przyjęcia? Czy w ogóle można w ten sposób ważyć ludzkie życie?

Codziennie to robimy.

Ile obcych dzieci poświęciłby rodzic, żeby uratować własne? Ile nieznajomych dzieci on sam byłby gotów poświęcić, gdyby od tego zależało życie Ester?

Odpowiedź powinna brzmieć: żadnego.

Ale jego odpowiedź jest zupełnie inna.

ŚRODA, 21 STYCZNIA

Jarzeniówki w pokoju przesłuchań sprawiają, że wszyscy wyglądają tu anemicznie. Metalowe krzesła są niewygodne, a temperatura wynosi siedemnaście stopni. Pomieszczenie urządzone w taki sposób, by ci, którzy się tam znajdują, chcieli je jak najszybciej opuścić.

Ale Zack i Deniz nie mogli się doczekać tej chwili. Pieprzyć to, że minęła już północ i że Douglas zaproponował, by Deniz pojechała do domu się przespać albo, jeszcze lepiej, porozmawiała z policyjnym psychologiem o tym, że zastrzeliła człowieka. Nie, chcą wycisnąć jak najwięcej informacji z mężczyzny zwanego Lwem.

Zack mu się przygląda. Facet siedzi rozparty po drugiej stronie stołu i bezczelnie się gapi na piersi Deniz. Ludzki śmieć. Tłuste policzki, wielkie nozdrza, mała brodawka w kąci oka i spojrzenie, które mówi: świat należy do mnie. Biorę to, co chcę. Wszystkie dzieci są moje i sprzedaję je tym, którzy najwięcej płacą.

W całym domu nie było ani jednego dokumentu tożsamości, w kieszeniach mężczyzn też niczego nie znaleźli. Ale wyskoczyło im trafienie w bazie odcisków palców.

Danut Grigorescu.

Zacka nie zdziwiło, że figurował w wielu miejscach w policyjnych rejestrach. Zdziwiło go natomiast, że mężczyzna nie żyje. Utonął w katastrofie promu *Estonia* 28 września 1994 roku.

Zack pamięta, jak czytał kiedyś artykuł o tym, że wiele osób skorzystało z okazji, by zmienić tożsamość, gdy w 2001 w Nowym Jorku runęły bliźniacze wieże. Mieli możliwość zacząć od początku i z niej skorzystali.

Nigdy nie słyszał, by ktoś zrobił to samo po katastrofie MF *Estonia*. Ale w sumie czemu nie? Zwłaszcza jeśli wiodło się takie życie jak Danut Grigorescu. Przez dwadzieścia lat udało mu się nie wpaść. Żył, jakby był kimś innym.

Nieźle wykombinowane, myśli Zack. Szkoda tylko, że nie spróbował zrobić czegoś sensownego z szansą, jaką dostał.

Handel dziećmi.

Czy może być coś brudniejszego? Bardziej obrzydliwego?

– Jak się nazywasz? – pyta Zack.

Kajdanki pobrzękują cicho, kiedy Danut Grigorescu drapie się z roztargnieniem po wielkim wiotkim bicepsie prawej ręki.

– Jak się nazywasz? – powtarza Zack. – Wiemy, że znasz szwedzki.

– Emil ze Smalandii.

Mówi prawie bez akcentu i Zack się domyśla, że przez cały ten czas, gdy uchodził za zmarłego, mieszkał w Szwecji.

– Ach tak? – mówi i udaje, że spogląda na niego w nowym świetle. – Może i tak. Ty i Emil macie przecież ten sam kolor włosów.

– Bardzo dużo o tobie wiemy, Grigorescu – mówi Deniz. – Na przykład, że nazywają cię Lew. Ostra ksywa.

Danut Grigorescu podnosi wzrok z jej biustu na twarz i uśmiecha się, odsłaniając idealnie białe zęby.

Licówki. Dał sobie zrobić licówki.

– Nazywają mnie Barankiem, bo jestem taki miły.

– W piwnicy brakowało jednego dziecka. Chłopca o nazwisku Ismail Dakhil. Co z nim zrobiliście?

Mężczyzna demonstracyjnie wzdycha i majstruje coś przy kajdankach.

Deniz ciągnie:

– Świadcowie widzieli, jak zabrałeś Ismaila spod ośrodka dla azylantów w Upplands Väsby. Pójdiesz siedzieć za morderstwo.

– Został zamordowany?

Grigorescu mówi to takim tonem, jakby bez wielkiego zainteresowania pytał, czy zaczęło padać.

– Nie udawaj, że nie wiesz – rzuca Deniz.

Twarz mężczyzny wyraża znudzenie.

– Nie mam nic wspólnego z tym chłopcem – mówi cicho. – Zgadza się, zabrałem go, ale nie wiem, co było potem. Nie zabijam dzieci. Zarabiam na nich tylko wtedy, kiedy są żywe.

I znów odsłania białe zęby.

– Co się stało z Ismailem? – pyta Zack.

– Uciekł.

– Kiedy?

– Kiedy się zatrzymaliśmy, żeby zatankować przy Järva Krog.

– W krótkim czasie udało ci się wymyślić sporo kłamstw – mówi Zack.

– Uciekł. Mówię prawdę.

– Co robicie z dziećmi, które więzicie? – pyta Deniz.

– Wynajmujemy je. Albo sprzedajemy.

Zack widzi, jak oczy Deniz ciemnieją, i świetnie ją rozumie. Danut Grigorescu mówi o dzieciach jak o leasingu samochodów.

– Dlaczego dzieci? Nie możecie sprzedawać narkotyków albo towarów z przemytu? – pyta Zack.

– Wcześniej zajmowałem się narkotykami. Ale wiesz, można je sprzedać tylko raz. Dzieci można sprzedawać wiele razy.

Znów się uśmiecha i Zack ma ochotę rozwalić w drobny mak te jego białe zęby.

– Komu sprzedajecie? Co z nimi robią? – Deniz nie kryje oburzenia.

Danut Grigorescu unosi brwi i mówi:

– A jak ci się wydaje?

Zack zmusza się, by zachować spokój, choć wie, co spotyka takie dzieciaki: prostytutka, udział w filmach pornograficznych, niewolnictwo seksualne u pedofilów.

Jesienią podczas prelekcji ekspert z Jednostki do Zwalczania Handlu Ludźmi mówił im, że popyt na dzieci ciągle rośnie. I że ofiarami stają się coraz młodsze dzieci.

Zack widzi, jak Deniz wbija paznokcie w kciuki. Mocno, głęboko. Teraz spokojnie, myśli. Douglas stoi za szybą i wszystko widzi. Ale dziś wieczorem Deniz po raz pierwszy

zastrzeliła człowieka. Jest jak probówka z nitrogliceryną, która może eksplodować przy najmniejszym wstrząsie.

– Ile dzieci porwaliście? – pyta Zack, by koleżanka miała czas się uspokoić.

– Nie umiesz liczyć?

– Ile ich było w sumie? Z tymi, które porwaliście wcześniej.

Danut Grigorescu przeciąga się i ziewa. Potem opada na oparcie i wpatruje się w blat.

Zack i Deniz zadają mu kolejne pytania. Jaka była jego rola w handlu dziećmi? Kto jeszcze był w to zamieszany i kim są nabywcy? O jakie kwoty chodzi? Czy mieli innych klientów, którzy zabijali kupowane dzieci?

Ale on nie odpowiada. Uśmiecha się tylko, błyskając białymi zębami, i kręci głową.

Kiedy Deniz się pochyla i uderza pięścią w stół, Grigorescu z zaciekawieniem zagląda jej w dekolt i mówi:

– Podobają mi się twoje cyce. Może są trochę przyciężkawe, ale jak na twój wiek całkiem okej. Jeszcze by się nadały do pocierania chuja.

Deniz zrywa się, krzyczy.

– Odpowiadaj na pytania, skurwielu!

Białe zęby.

– A tak w ogóle, to zmieniłem zdanie. Chyba wolę wydymać cię w dupę. – Grigorescu odchyła się w bok, jakby próbował się przyjrzeć jej pośladkom. – Tak, zdecydowanie w dupę.

Deniz błyskawicznie się pochyla i z całej siły uderza go pięścią w policzek.

– Co ty wyrabiasz, dziwko?! – krzyczy mężczyzna.

Dosyć tego. Zack wstaje. Razem powalają Grigorescu na podłogę i Zack przytrzymuje mu skute rękę, kiedy Deniz okłada go po twarzy i całym ciele.

Zęby, myśli Zack. Wybij mu zęby. Ale Deniz zdaje się unikać jego ust.

Za fenickim lustrem w pokoju przesłuchań Douglas Juste stoi z założonymi rękoma i przygląda się tej scenie. Sięga do przycisku, wyłącza kamerę i mikrofon, a potem spokojnie się przygląda, jak jego podwładni wyładowują całą tłumioną frustrację na człowieku, który bez skrupułów przyznał, że handluje dziećmi.

– Co zrobiliście z Ismailem? – krzyczy Deniz, waląc głową Grigorescu o podłogę. – Zabiliście go! Przyznaj się!

Tamten usiłuje się bronić, ale Zack wciąż mocno przytrzymuje mu rękę.

– Uciekł.

– Akurat! Zabiliście go.

– Nie, uciekł – mówi Danut Grigorescu, spluwając krwią i odłamkami licówki. – Na stacji benzynowej na pewno mają kamery, możecie to sprawdzić.

– Kiedy to było?

Zack wbija mu kolano w krocze i Grigorescu jęczy i zwija się z bólu.

– Nie pamiętam – stęka.

Kolejny cios.

– Przypomnij sobie! – krzyczy Deniz.

– Dobra – skomle Danut. – To było jakiś miesiąc przed tym, nim zrobiło się tak

zimno. Chyba w listopadzie.

– To się stało w drodze z ośrodka dla azylantów?

– Tak.

– Czyli szesnastego listopada – mówi Deniz. – O której?

– Jakoś wieczorem. Chyba koło szóstej. Albo siódmej. W każdym razie było już ciemno.

Deniz prostuje plecy, kilka razy głęboko wciąga powietrze i wyciera zakrwawione dłonie o koszulę mężczyzny.

Zack puszcza skute ręce Grigorescu i wstaje.

– Ostatnie pytanie – mówi. – Kto z ośrodka dla azylantów wam pomagał?

Danut Grigorescu ociera krew z popękanych ust i uśmiecha się kpiąco. Zęby nie są już tak białe jak wcześniej.

Deniz z kuchennego okna dwupokojowego mieszkania we Fruängen spogląda na opustoszałą ulicę na przedmieściach. Cornelia ma dzisiaj nockę. Deniz chciałaby ją mieć przy sobie. Chciałaby powiedzieć jej te proste słowa:

Kocham cię.

Ale Cornelii tu nie ma, więc Deniz upija kolejny duży łyk jasnego rumu.

Zastrzeliłam go.

Zabiłam człowieka.

Kto ma prawo tak robić?

Nikt.

Więc dlaczego tak dobrze się z tym czuję?

Dlaczego czuję, że postąpiłam słusznie?

Pojawia się odpowiedź, choć Deniz wcale tego nie chce:

Bo na to zasługiwał.

Bo zarabiał na handlu dziećmi. Traktował je, jakby były towarem.

Tak jak inni mężczyźni kiedyś traktowali ją.

Minęły dwadzieścia cztery lata. Miała wtedy tylko dwanaście lat.

Odchyła głowę i dopija resztę rumu ze szklanki.

Nie po to, żeby zapomnieć, ale żeby mieć odwagę pamiętać.

W wyobraźni widzi poplamioną flanelową koszulę i dłoń przyjmującą jej ostatnie zmięte banknoty. Smugę światła w coraz węższej szczelinie. A potem słyszy, jak ciężka kłapa się zatrzaskuje.

Deniz mocno zaciska oczy.

Jest w ciemności, zamknięta, czuje monotonne wstrząsy.

Upał, ścisk. W ramionach rozpalone gorączką ciało młodszego brata Sarkawta. Czyjeś szorstkie ręce wsuwające się pod koszulkę i szukające drogi do jej piersi.

Nadzieja, która budzi się za każdym razem, gdy ciężarówka się zatrzymuje, i gaśnie, kiedy pojazd znów rusza.

Panika, kiedy kończy się woda. Smród, gdy ludzie zaczynają załatwiać swoje potrzeby.

Wieczność w mroku.

Coraz bardziej ochrypły oddech Sarkawta. Strach, że braciszek umrze w tej ciężarówce, choć ma dopiero pięć lat.

Ratunku, mamrocze. Niech mi ktoś pomoże.

Ale nikt nie odpowiada. Nikt nie ma na to siły.

Deniz otwiera oczy. Uchyła kuchenne okno i czuje na twarzy zimny wiatr. Oddycha głęboko chłodnym powietrzem, a potem podchodzi do blatu, by dolać sobie rumu.

Zaczyna odkręcać butelkę Arehucas, ale się rozmyśla. Zakręca ją z powrotem i odstawia do szafki za opakowanie płatków śniadaniowych.

Zack w ten sposób tłumi ból, myśli Deniz.

Nie ja.

Drży z zimna i zamyka okno. Jakiś samotny mężczyzna idzie w stronę metra

i Deniz się zastanawia, czy Zack jest gdzieś na mieście. Tak bardzo chciałaby mu pomóc, ale jak? Wszystkie jej próby zbywa żartami. Zupełnie jakby musiał zapaść się w to bagno. Ale dlaczego?

Myśli o tych jego durnych ciemnych okularach. Zastanawia się, czy inni też rozumieją, co Zack próbuje ukryć. Pewnie tak.

A jednak mu ufa, bardziej niż komukolwiek innemu. Jest naprawdę świetny, kiedy robi się gorąco. I jest jedynym z kolegów, którego uważa za prawdziwego przyjaciela.

Ale jeśli tak dalej pójdzie, pewnego dnia przez niego zginie. Deniz o tym wie. Pewnego dnia Zacka zabraknie u jej boku, kiedy będzie go potrzebować.

Zack przyśpiesza kroku. Jest spóźniony. Idzie z szatni do windy i przeczesuje palcami jasne włosy.

Pęka mu głowa. Wczoraj został w domu, nie tykał towaru. Ale to nie pomogło. Godzinami leżał i przewracał się z boku na bok na łóżku. Myślał o dzieciach. O Ismailu.

Jeżeli Danut Grigorescu mówił prawdę, wciąż nie wiedzą, kto zamordował chłopca. I czy istnieje ryzyko, że zginą kolejne dzieci.

Ale dlaczego Grigorescu miałby mówić prawdę?

Zack myślał też o przesłuchaniu. O tym, jak przytrzymał mężczyznę, żeby Deniz mogła go bić. Dwoje na jednego. I to ze skutymi rękoma. Niezbyt to bohaterskie.

Ale Danut Grigorescu handlował dziećmi. Czy zasługuje na cokolwiek prócz najgorszego traktowania? Wydaje się, że nawet Douglas tak myśli. Dał im już do zrozumienia, że nie muszą się obawiać. Nagranie z przesłuchania zniknie.

Ale pamięci Zacka nie da się tak łatwo skasować.

Kiedy poderwał go irytujący sygnał budzika, wydawało mu się, że chwilę temu zasnął. Leżał w pozycji embrionalnej i coś ostrego wbijało mu się w pierś. Kiedy zsunął kołdrę, zobaczył, że to teczka z materiałami dotyczącymi zamordowania jego matki. Ścisnął ją tak, jak tamte dzieci w piwnicy przytulały swoje pluszaki.

Otwierają się drzwi windy.

Zack myśli o kartotece medycznej, do której zażądał wglądu, jest ciekaw, czego się z niej dowie. Ale ma ją dostać dopiero za kilka dni.

Czy kiedy przeczyta te dokumenty, będzie inaczej postrzegał swoją matkę?

Znów próbuje sobie przypomnieć szpital, lekarza, który zajmował się jego złamaną ręką. Ale nic się nie pojawia. Co zapamiętuje pięciolatek? I w jaki sposób?

Może tak naprawdę nie chce pamiętać.

Winda zatrzymuje się na drugim piętrze i wsiada do niej młody facet z recepcji. Ktoś na zastępstwie. Znacznie weselszy i sympatyczniejszy niż ten śmierdzący potem gość, który zwykle szwenda się po posterunku i roznosi listy i paczki.

– Pracujesz w specjalnej, nie? – pyta facet.

– Tak.

– Możesz wziąć tę paczkę? Przed chwilą ją doręczono.

Mężczyzna podaje mu starannie oklejoną taśmą dużą kopertę.

– Pewnie – mówi Zack.

Wchodzi do biura i jest tak pochłonięty odklejaniem brązowej taśmy, że dopiero w ostatniej chwili widzi Niklasa, który podchodzi do niego z otwartymi ramionami.

– Odwaliliście wczoraj kawał świetnej roboty – mówi. – Zaglądałeś do gazet? Nie mogą się ciebie nachwalić, i bardzo słusznie. Dzwoniło już trzech reporterów, wypytywali o ciebie, więc dałem im twój numer.

Zack się cofa i wpatruje w niego.

Niklas wybucha śmiechem na widok jego miny.

– Tylko się nabijam. Skierowałem ich do działu informacji.

Zack się śmieje.

– Co tam masz? – Niklas przygląda się paczce.

– Jeszcze nie wiem. – Zack zdiera resztę taśmy i wyjmuje kasetę wideo z samoprzylepną karteczką.

– Facet, którego przesłuchaliśmy wczoraj późnym wieczorem, twierdzi, że Ismail uciekł, kiedy tankowali przy Järva Krog. To film z kamery na stacji benzynowej.

– Możemy go teraz obejrzeć – mówi Niklas. – Douglas przekazał, że się spóźni, mamy jeszcze chwilę, zanim zacznie się spotkanie.

– To może zacznij podłączać wideo. Niech Rudolf ci pomoże. Ja muszę najpierw pogadać z Deniz.

Partnerka siedzi przy swoim biurku, wygląda blado, ma podkrążone oczy. Gęste, ciemnobrązowe włosy związała w kucyk. Zack się domyśla, że niewiele w nocy spała.

– Co z tobą? – pyta.

Deniz wzrusza ramionami.

– W porządku.

– Byłaś już w wewnętrznym?

– Nie, mam tam iść za godzinę. Potem może oboje zostaniemy bez broni.

– Przejrzałem rano gazety. To chore, że ani słowem nie wspominają o tobie.

Deniz spogląda na niego zdziwiona.

– Tak uważasz? Raczej jestem im za to wdzięczna. Zatrzymaj dla siebie te hieny. Nie mam najmniejszej ochoty być przez nich rozpoznawana.

Zack się śmieje.

– Idziemy do konferencyjnej? Pora się przekonać, czy to prawda, co twierdził Grigorescu, że Ismail uciekł.

Wchodzą chwilę po tym, jak Niklas uruchamia film. Czarno-białe, nieme, zamazane ujęcia dystrybutorów paliwa. Samochody zatrzymują się i odjeżdżają, klienci wchodzą i wychodzą.

Niklas przewija do przodu fragmenty, gdzie nic się nie dzieje, ale zatrzymuje przewijanie za każdym razem, gdy w kadrze pojawia się nowy samochód. Jak dotąd nic.

Również tego dnia w pomieszczeniu jest chłodno, a przez niedokładnie uszczelnione okna wdziera się jeszcze zimniejsze powietrze, które czują na karkach jak oddech upiora.

Zack podciąga sweter na szyję i wygląda przez okno. Na tle wciąż ciemnego nieba widzi fasadę ratusza.

Czy kiedyś znajdę się tam po niewłaściwej stronie? Na ławie oskarżonych?

Spogląda na pokaleczone knykcie.

W sumie zasłużył na to.

– Coś się dzieje – mówi Niklas.

Zack podnosi wzrok. Przy jednym z dystrybutorów zatrzymała się skoda octavia. Na czarno-białym filmie wydaje się ciemnoszara, nie widać tablicy rejestracyjnej.

Wysiada z niej mężczyzna, żeby zatankować.

– To on – mówi Deniz. – Ten, którego postrzeliłam w nogę. Zabrali go do Karolinska w Huddinge?

– Tak mi się wydaje – odpowiada Zack.

– Musimy go jak najszybciej przesłuchać.

Mężczyzna zaczyna tankować samochód. Z miejsca dla pasażera wysiada drugi. Jasne włosy powiewają lekko, gdy idzie w stronę budynku stacji.

Danut Grigorescu.

Ten, który tankuje, wyciąga komórkę i zaczyna coś czytać na wyświetlaczu.

Wtedy tylne drzwi powoli się otwierają i z auta wymyka się chłopiec.

– To Ismail – mówią jednocześnie Zack i Deniz.

Ismail zerka szybko na mężczyznę, który tankuje, ale ten jest odwrócony do niego plecami i wciąż skupiony na komórce. Chłopak ostrożnie oddala się od samochodu i po kilku krokach rzuca się biegiem. Wpada za budynek stacji i znika z kadru.

A więc to jednak była prawda, myśli Zack.

Uciekłeś, dzielny chłopcze.

Dwadzieścia sekund później mężczyzna kończy tankować. Zagląda do samochodu, a potem zaczyna chaotycznie biegać i szukać uciekiniera.

Danut Grigorescu wychodzi ze stacji i natychmiast zaczynają się kłócić. Potem wskakują do samochodu i odjeżdżają.

Niklas zatrzymuje film.

– Pozostaje pytanie, co się potem stało z Ismailem – mówi.

– Na pewno go złapali – odzywa się Deniz. – Może to dlatego go torturowali i zabili. Za karę, że próbował uciec.

– Albo żeby wybić z głowy ucieczkę innym dzieciom – dodaje Zack.

Ale po co przywiązywać go na kominie? – myśli potem. I dlaczego w Stocksund, a nie w Södertälje? Żeby coś komuś przekazać? Ale komu? To się nie trzyma kupy.

Deniz wzdycha ciężko i mówi:

– Ale teraz Koltberg będzie musiał znaleźć ślady Ismaila w willi albo na ubraniach tych Rumunów. W przeciwnym razie to nagranie uwolni ich od podejrzeń.

– Nie traćmy nadziei – mówi Rudolf i Zackowi robi się wstyd, bo nie opowiedzieli mu, co się działo na filmie. Ale z drugiej strony, on też ich o to nie prosił.

Rudolf jest bystry. Pewnie udało mu się odtworzyć obraz na podstawie ich komentarzy.

– Teraz wiemy już trochę więcej – ciągnie Rudolf. – A to znaczy, że posuwamy się naprzód, nawet jeśli tak nie czujemy.

Niklas cofa film i jeszcze raz oglądają fragment, na którym Ismail otwiera drzwi samochodu.

Chłopiec jest za lekko ubrany na szwedzką zimę. Ale wtedy nie zaczęły się jeszcze ostre mrozy, myśli Zack. Jeśli biegł, mógł się rozgrzać. Przynajmniej na chwilę.

Na filmie Ismail znów ostrożnie oddala się od samochodu.

Czego takiego się dowiedziałeś, że postanowiłeś uciec? – myśli Zack. Zobaczyłeś coś w samochodzie i nabrałeś podejrzeń? Coś, co ci uświadomiło, że dorośli w tym kraju to takie same sukinsyny jak te, przed którymi wcześniej uciekłeś?

Deniz wygląda, jakby wcale nie oglądała filmu.

Zack się zastanawia, czy znów myśli o Södertälje. Albo o swoim młodszym bracie,

kiedy tak patrzy, jak Ismail wybiega poza kadr.
Opuszczając świat żywych.

Sirpa sztywno siada przy biurku, żeby wyszukać informacje o innych ewentualnych kamerach w okolicach stacji.

W rogu ekranu mruga powiadomienie o trzech nieprzeczytanych e-mailach, więc otwiera skrzynkę odbiorczą. Dwa z nich to nieciekawe informacje z poczty seryjnej, które od razu kasuje. W trzecim, wysłanym z nieznanego jej adresu, brakuje tematu.

Le0n1@gmail.com.

Nie otwiera go, ale widzi, że wiadomość zawiera link. Może to trojan? Albo coś zupełnie innego.

Rwie ją w uszkodzonych kolanach, jakby jej ciało wyczuwało, że zaraz zobaczy coś ważnego.

Z szuflady biurka wyjmuje srebrzysty laptop, podłącza się do otwartej sieci w pobliskiej kawiarni i wpisuje adres linku.

Klika. Pojawia się kadr na czarnym tle. Jakiś film. Uruchamia się bez jej udziału. Co to jest? Obraz jest ciemny i Sirpa maksymalnie rozjaśnia ekran.

To klatka. Klatka z metalowymi prętami, która stoi w jakimś pomieszczeniu wykutym w skale.

Ale co jest w klatce?

Zupełnie jakby twórca filmu czytał jej w myślach, pojawia się zbliżenie klatki.

Niech to szlag.

Jest tam chłopiec.

On.

Ismail.

Sirpa zatrzymuje film i woła pozostałych.

Zack, Deniz i Niklas zbierają się za jej plecami. Niklas przysuwa krzesło dla Rudolfa, który ciężko na nie opada.

Sirpa znów uruchamia film.

– To ty – szepcze Deniz.

Chłopiec siedzi w kącie klatki, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Obejmuje je rękoma, jakby chciał się ogrzać. Ma na sobie T-shirt i spodnie od dresu z dziurami na kolanach i pustym wzrokiem wpatruje się w ciemność.

Słysząc szuranie, Ismail się wzdryga i patrzy prosto w kamerę.

Patrzy i patrzy, ale najwyraźniej niczego nie widzi. Po jego policzkach spływają łzy, tworząc smugi na brudnej twarzy.

Uratuj mnie, krzyczą jego oczy.

Niech mnie ktoś uratuje.

Sirpa czuje palący ból w kolanach i próbuje ostrożnie rozprostować nogi pod biurkiem, żeby poprawić krążenie krwi.

Słyszy, jak za jej plecami Niklas wyjaśnia Rudolfowi, co się dzieje na filmie.

Kamera się trochę oddala i znów widać prawie całą klatkę. Jest właściwie pusta, z wyjątkiem wiadra z pokrywą w jednym kącie. Ismail trzyma się drugiego końca klatki.

Prawie się nie porusza. Potem patrzy na coś w górze i Sirpa się zastanawia, czy jest tam okno, przez które może wyglądać.

Może jakieś okno w suficie. Albo wysoko pod sklepieniem piwnicy.

Kolejny loch dla dzieci.

Kamera oddala się jeszcze bardziej i Sirpa zauważa, że na ścianie wisi duży cyfrowy zegar.

Odlicza czas.

29.23.59:15.

Liczba najbardziej po prawej odlicza sekundy.

– Tyle cyfr – mówi Niklas. – Co one mają oznaczać?

– Dni, godziny, minuty, sekundy – odpowiada Sirpa. – Takich zegarów używa się do odliczania czasu do igrzysk olimpijskich albo innych imprez.

Cofa film do początku. Wtedy zegar wskazuje dokładnie trzydzieści dni.

– Ale co ten odlicza? – pyta Sirpa.

Potem dociera do niej odpowiedź.

Niechętnie przesuwając kursor w prawo. Zegar w szybkim tempie odlicza dni.

– Czekaj – mówi Zack. – Coś tam się stało.

Sirpa cofa trochę nagranie.

Ismail siedzi i je rękami z miski. Potem znów spogląda w górę i zdaje się wystraszyć, jakby coś zobaczył.

Ale ekran staje się czarny i gdy znów pojawia się klatka, chłopiec śpi.

– Cofnij jeszcze raz – mówi Zack. – I sprawdź zegar.

Tym razem Sirpa nie odrywa wzroku od zegara. Gdy ekran staje się czarny, następuje duży przeskok w czasie i w ciągu sekundy zegar odlicza dwie i pół godziny.

– W tym miejscu zatrzymano nagrywanie – mówi Zack. – Ale dlaczego?

– Żeby wymienić baterie w kamerze? – podsuwa Niklas.

– Albo dlatego, że sprawca nie chce być widoczny, kiedy wchodzi do klatki i robi coś chłopcu – dodaje Sirpa.

Przewija film dalej do przodu. W każdym dniu natrafia na kilka fragmentów, po których następują duże przeskoki czasowe. Często wiąże się to z tym, że Ismail dostaje jedzenie, a raz nowe ubranie.

Albo jest wtedy wykorzystywany, myśli Sirpa. Ale na zwłokach nie było takich obrażeń.

W ciągu dnia warunki świetlne w pomieszczeniu się zmieniają i policjanci są coraz bardziej przekonani, że światło, w którego stronę co jakiś czas spogląda Ismail, wpada przez okno.

Zegar wskazuje teraz cztery dni i dwie godziny.

Zack, Deniz, Niklas i Rudolf stoją w milczeniu za plecami Sirpy.

Wszyscy się domyślają, co teraz będzie.

Nie chcą tego widzieć, nie chcą słyszeć.

Ale muszą.

Sirpa znów przewija film do przodu.

Zostały dwa dni. Jeden.

Czternaście godzin... Siedem... Dwie.

Czterdzieści pięć minut.

Trzydzieści.

Sirpa żałuje, że nie może się zamienić z Rudolfem. Że musi na to patrzeć.

Dziesięć minut.

Coś się dzieje.

Kamera znów się oddala i widać jeszcze jedne drzwi. Drzwi z małą przesuwaną klapką.

Jakiś potężnie zbudowany człowiek przechodzi szybko przez kadr i Ismail zaczyna krzyczeć.

– Zatrzymaj film – prosi Zack. – Cofnij najwolniej jak się da.

Sirpa cofa film klatka po klatce i widzą, jak mężczyzna powoli wchodzi tyłem w kadr.

– Tutaj. Zatrzymaj.

Co to takiego?

Mężczyzna ma na sobie płowe futro, na dłoniach coś, co wygląda jak łapy z pazurami.

Te dziwne rany, myśli Sirpa. To tak je zadano. Ale najdziwniejsza jest twarz. Ukryta pod górną częścią lwiej głowy, z zachowanymi kłami.

– To jakiś chory człowiek – stwierdza Niklas. – Co on zamierza zrobić?

Człowiek-lew podchodzi do drzwi klatki. Otwiera zamek.

Ismail zrywa się na nogi. Krzyczy i próbuje się wspinać po prętach klatki, żeby jakoś uciec.

Ale to niemożliwe.

Lew otwiera klatkę, a potem spokojnie cofa się do drzwi i znów znika z kadru.

Chłopiec spogląda za nim, ale najwyraźniej już go nie widzi. Po chwili przestaje krzyczeć, osuwa się plecami po prętach i szybko odдыcha.

Patrzy na drzwi klatki.

Są otwarte.

Dlaczego?

Powoli do nich podpełza. Wygląda. Szuka wzrokiem człowieka-lwa.

Staje w wejściu do klatki. Zdumiony. Jak uwięziony ptak, któremu pierwszy raz otworzono drogę na wolność.

Przytrzymuje się kraty, wygląda, jakby zbierał się na odwagę.

A potem wybiega.

Słychać ryk i widać na filmie, jak mężczyzna rzuca się za nim.

Kamera nadal filmuje pustą klatkę.

Gdzieś niedaleko krzyczy Ismail.

Słyszą ruch. Tupot stóp. I ciężkie kroki ścigającego.

Cisza.

Znów krzyki. Szybkie kroki chłopca. Równie szybkie kroki napastnika.

A potem nagle ryk i hałas.

Krzyk.

Przeciągły krzyk bólu.

I gardłowe warczenie.

Znowu cisza.

Sirpa się odwraca, widzi zawzięte miny Zacka i Deniz. Niklas wpatruje się w ekran, Rudolf siedzi ze splecionymi palcami i pochyloną głową.

Sirpa odwraca się z powrotem do ekranu.

Kamera nadal filmuje pustą klatkę.

Znów słyhać jakieś dźwięki, jakby odgłos zbliżających się kroków.

Mężczyzna patrzy w kamerę, lekko przekrzywiając głowę, i widzą przed sobą lwa.

Lwa o martwych oczach, czarnym nosie i spiczastych kłach.

Mężczyzna wypina pierś.

W milczeniu pokazuje zakrwawione pazury.

Wyglądacie, jakbyście zobaczyli samą śmierć – mówi Douglas, wchodząc do biura. Jego niebieski krawat jest mocno zawiązany pod szyją, a gruby, ciemnoszary flanelowy garnitur wydaje się idealny na ten chłód.

Nikt nie odpowiada. Sirpa szybko streszcza mu film.

– Pokaż mi go – mówi Douglas.

– Ja idę się zabrać do roboty. Nie dam rady jeszcze raz tego oglądać – oświadcza Deniz.

Niklas i Zack kiwają głowami i wracają do swoich biur.

Zack loguje się na komputerze, ale nie może się skupić. Wciąż ma w uszach krzyk Ismaila i warczenie mężczyzny – nietrudno skojarzyć te dźwięki z obrazem okaleczonych zwłok, które znaleźli na kominie.

A jednak chłopca szarpano pazurami.

Pazurami zwierzęcia na ludzkiej ręce.

Zack wyobraża sobie, jak mężczyzna rozrywa nimi skórę chłopca.

Jak go gryzie.

Jak podrzyna mu gardło.

Ale czym?

Według Koltberga użył skalpela.

Mógł go ukryć w stroju.

Ale jak można zdobyć lwią skórę?

Zack otwiera przeglądarkę, wpisuje *lion skin for sale* i od razu widzi, że to nie takie trudne. Milion czterysta tysięcy trafień. I liczne zdjęcia ozdobnych dywaników z autentycznej lwiej skóry, z nietkniętą otwartą paszczą.

Ale ten człowiek nie zamierzał robić z lwiej skóry dywanika. Sam chciał stać się lwem.

Na komputerze Sirpy Ismail znów zaczyna krzyczeć. Zack ma ochotę zasłonić sobie uszy albo wsunąć do nich słuchawki iPhone'a i puścić na cały regulator ciężki tribal house.

Zamiast tego dzwoni do Jeanette Vrejne, kobiety, która miała dyżur w „Promyku” tego wieczoru, gdy zaginął Ismail. Komórka jest włączona, ale nikt nie odbiera, tak jak wcześniej, gdy próbował się do niej dodzwonić. Będą musieli pojechać do niej do domu.

Na komputerze Sirpy krzyk Ismaila przechodzi w cichy jęk. Douglas stoi z rękoma za plecami i z kamienną twarzą ogląda film. Potem krzyżuje ręce na piersi i Zack widzi, że pobiełały mu kostki.

Rudolf nie rusza się z miejsca. Może wśród tych dźwięków próbuje znaleźć jakiś trop, myśli Zack.

Dzwoni komórka Douglasa, ale on ją ignoruje.

Ale potem dzwoni jeszcze raz i znowu, i w końcu szef prosi Sirpę, by zatrzymała film, i odbiera rozmowę.

Przez dłuższą chwilę słucha kogoś po drugiej stronie, a potem mówi:

– Odpowiedź policji musi brzmieć „nie”. Nie wolno im tego pokazywać. Nie, zdaję sobie sprawę, że nie możemy ich zmusić, ale możemy chyba odwołać się do ich zdrowego rozsądku. Jak to? Nie, pojedynczych ujęć też nie. Wciąż nie udało nam się ustalić, czy chłopiec ma jakichś żyjących krewnych.

Douglas kończy rozmowę i woła do siebie Zacka, Deniz i Niklasa.

– Dzwonił Petersén, rzecznik prasowy. Link z filmem wysłano również do mediów. Dzwonili już z „Expressen”, „Aftonbladet” i „Svenska Dagbladet” i pytali, czy to szwedzki film i czy mogą pokazać fragmenty.

– Ale chyba nie są aż tak głupi, żeby to opublikować – mówi Niklas. – Przecież na tym filmie naprawdę umiera chłopiec. Zostaje zamordowany.

– Media jeszcze o tym nie wiedzą, choć oczywiście powinni to wywnioskować z dźwięków, które słychać na koniec – odpowiada Douglas.

– Jeśli morderca rozesłał ten link do gazet, to znaczy, że chce, żeby pokazali ten film – mówi Deniz. – Jeśli go opublikują, znajdzie potwierdzenie, którego szuka, a to może sprawić, że ponownie to zrobi. Nie możesz obdzwonić szefów redakcji i im tego powiedzieć? Odwołaj się do ich poczucia odpowiedzialności.

Douglas kiwa głową.

– Idę na dół do Peterséna. Obdzwonimy ich.

Zack zaczyna przeglądać strony największych gazet. Po około dziesięciu minutach wiadomość wycieka.

Pierwszy jest „Expressen”.

„Torturowane dziecko przetrzymywane w klatce”, krzyczy nagłówek.

I poniżej link z tekstem: „Uwaga! Drastyczne sceny”.

Zack ma ochotę pognać do redakcji „Expressen” i rozwalić naczelnemu łeb o najbliższy monitor.

Woła do pozostałych w biurze:

– „Expressen” zamieścił film!

– Naprawdę? – słyszy pytanie Niklasa.

Obok nagłówek jest mocno powiększone zbliżenie Ismaila skulonego w kącie klatki.

Zamazali jego twarz. Zawsze coś.

Zack uruchamia film ze strony internetowej. Trwa niecałe trzy minuty. Redakcja wybrała fragmenty, w których coś się dzieje, Ismail je, chodzi po klatce albo głośno płacze. Ogląda cały zmontowany materiał. Nie zawiera przedśmiertnych krzyków i kończy się, zanim mężczyzna w przebraniu lwa wchodzi w kadr.

Ucisk w głowie Zacka nie chce zelżeć.

Czyta krótki artykuł pod filmem. Tekst zawiera mające wzbudzić ciekawość odniesienia do rzeczy, których nie pokazano czytelnikom, ale poza tym nie ma w nim niczego konkretnego.

Wtedy Sirpa woła:

– Wyciekł cały film, nieokrojony!

– Co? Pewnie na stronie jakiejś popołudniówki? – pyta Deniz.

– Nie, jestem na Liveleak, czymś w rodzaju niecenzurowanego YouTube’a – mówi

Sirpa. – Przekierowuje tam link z Flashbacka. I najwyraźniej film został też zamieszczony na jakiejś arabskiej stronie, o której nigdy dotąd nie słyszałam.

Zack widzi oczami wyobraźni, jak ludzie w Tokio, Nairobi i Miami oglądają, jak gdzieś pod Sztokholmem ktoś morduje chłopca.

Teraz pozostaje im tylko nadzieja, że w Internecie uaktywnią się dobre siły i zadbają o to, by film został usunięty, albo chociaż, by trudniej było go znaleźć. Zdarzało się tak już wcześniej po egzekucjach ISIS.

Ale wie, że istnieją też inni widzowie.

Tacy, którzy zapisują ten film na twardych dyskach.

Żeby obejrzeć go jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Siedzą w sali konferencyjnej Jednostki do Zadań Specjalnych, przewijają i cofają film. Śledczy usiłują znaleźć jakieś szczegóły zdradzające, gdzie go nakręcono.

Jest z nimi Tommy Östman. Co jakiś czas zanosi się suchym kaszlem, zapisuje coś w notesie i próbuje opracować profil sprawcy. Kiedy pochyla się nad stołem, Zack widzi, że z kieszeni jego marynarki wystaje kupon Svenska Spel.

Wprawdzie Östmanowi udało się odstawić alkohol, ale nie hazard. Gdyby w dziale płac nie pobierali pieniędzy na czynsz i prąd, zanim pensja przelewana jest na jego konto, byłby bezdomny.

Ale wykonuje swoją pracę bez zarzutu. Jego profile często są trafne.

Niklas Svensson zatrzymuje film na prośbę Douglasa. Mężczyzna pokazuje właśnie przed kamerą zakrwawione pazury. Pazury, które przed chwilą pozostawiły długie rany na ciele Ismaila.

Dopiero co zabił dziecko i się tym chwali, myśli Zack.

Kto tak robi?

Człowiek wyzuty z człowieczeństwa? Ktoś, kto uważa się za boga?

A może wcale tak bardzo nie odbiega od drapieżnika, którego udaje.

Są zgodni co do tego, że mężczyzna w przebraniu lwa nie przypomina żadnego z trzech Rumunów. Nie zgadza się kształt podbródka ani budowa ciała. Wydaje się zwinniejszy, bardziej wysportowany.

Kim on jest? I co właściwie chce im pokazać? Rytualne zabójstwo dziecka. Ale dlaczego? I co znaczy ten zegar? Dlaczego po prostu nie zaatakował chłopca, kiedy przyszła mu na to ochota? I dlaczego nagrał swój czyn i pokazuje go światu?

– Na pewno da się na podstawie tego filmu ustalić, którego dnia popełniono morderstwo – mówi Niklas.

– Nagrywanie mogło się zacząć najwcześniej tego samego dnia, kiedy Ismail uciekł ze stacji benzynowej, czyli szesnastego listopada – mówi Deniz. – Ale domyślam się, że stało się to trochę później, po tym, jak chłopak zadzwonił do Margarety Svensson. Może na przełomie listopada i grudnia. W takim wypadku Ismail zginął w Nowy Rok albo trochę wcześniej.

– Kiedy my bawiliśmy się w święta. – Niklas wygląda, jakby było mu wstyd, że tak przyjemnie spędził ten czas.

– Mógł zadzwonić pod przymusem – sugeruje Douglas. – Kiedy siedział już w klatce. Sami przecież widzieliśmy, że sprawca czasem wyłączał kamerę.

– Ale Margareta Svensson nie odniosła wrażenia, żeby coś mu groziło – odpowiada Deniz. – A znała go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Ale w takim wypadku, co robił sprawca z Ismailem przez prawie dwa tygodnie, zanim zaczął nagrywać? – pyta Niklas.

– Może budował klatkę? Albo szukał odpowiedniego pomieszczenia, żeby ją tam wstawić – podsuwa Deniz.

– Może w dniu, w którym nagranie się zaczęło lub skończyło, wydarzyło się coś

o znaczeniu symbolicznym dla mordercy – mówi Zack. – Czy na filmie naprawdę nie ma nic, co by nam dało jakiś punkt zaczepienia?

– Na dole w dziale informatycznym pracują nad tym – odpowiada Douglas. – I jest z nimi Sirpa. W swoim czasie na pewno możemy liczyć na jakieś wyniki.

– Czy ci Rumuni nie mieli żadnego rejestru klientów? – pyta Niklas. – Może ten człowiek tam figuruje.

– Ludzie, którzy trudnią się wynajmowaniem i sprzedażą dzieci, z reguły potrafią zagwarantować anonimowość swoim klientom – odpowiada Deniz. – A Ismail przecież uciekł, zanim zdążyli go sprzedać. Ten mężczyzna na filmie mógł zgarnąć Ismaila gdziekolwiek i mógł nie mieć z Rumunami nic wspólnego.

– Może i tak. Albo wiedział, że pojechali po Ismaila, i miał wobec niego własne plany – mówi Niklas. – Może to dlatego chłopiec uciekł, żeby odszukać człowieka, który go potem zamordował. Może się znali.

– Ewentualnego rejestru klientów będzie musiała szukać Jednostka do Zwalczenia Handlu Ludźmi – oświadcza Douglas. – Dziś rano przekazałem im sprawę więzionych dzieci.

Niklas wygląda, jakby miał ochotę zerwać się z miejsca.

– Co? A to dlaczego?! – prawie krzyczy.

– Nie mamy środków, by prowadzić tak obszerne śledztwo, gdy równocześnie szukamy mordercy Ismaila.

– Ale jak to, tak po prostu sobie odpuścimy? Chodzi przecież o ośmioro dzieci, które miały zostać sprzedane jakimś zbrodniaczkom.

– Dzieci są już bezpieczne – odpowiada spokojnie Douglas – a my zgarnęliśmy podejrzanych sprawców. Jeden z nich trafił do szpitala, ale mamy go pod stałą obserwacją.

– Ale co z klientami? Tymi, którzy wykorzystywali dzieci? Mamy ich tak po prostu zostawić w spokoju? Ten facet, który szczyrzy do nas zęby w tym chorym stroju, to przecież może być jeden z nich.

Kilka kropelek śliny pryska z ust Niklasa na biały blat. Zack nigdy dotąd nie widział, żeby kolega w taki sposób kwestionował decyzje szefa.

– Tę teorię musimy oczywiście sprawdzić – mówi Douglas. – Dlatego dałem do zrozumienia ich szefowi, że ujęcie i przesłuchanie klientów tych Rumunów musi mieć najwyższy priorytet. W tej chwili siedzą i przeglądają listy kontaktów i historię połączeń na dwóch skonfiskowanych telefonach członków szajki.

– Ale ktoś z nas powinien przecież brać w tym udział!

– Właśnie. I pomyślałem, że tą osobą powinieneś być ty.

Niklas milknie. Wygląda, jakby jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

– Ach... dobra, okej. W porządku. Kto będzie moją osobą kontaktową?

– Dostaniesz wszystkie dane po spotkaniu. Deniz, jak poszło z namierzeniem numeru, z którego Ismail wykonał ostatnią rozmowę?

– Używał niezarejestrowanej komórki na kartę. Sygnał został wychwycony na przekaźniku przy E4, który dziwnym trafem znajduje się w pobliżu stacji benzynowej, na której chłopiec uciekł, ale nic dokładniejszego nie da się ustalić. To może oznaczać, że

morderca mieszka na północnych przedmieściach, ale równie dobrze mogło to wynikać z faktu, że Ismail siedział w samochodzie, który akurat wtedy przejeżdżał E4. W samochodzie, który mógł jechać dokądkolwiek.

– Musimy się dowiedzieć, kto był człowiekiem Rumunów w ośrodku dla azylantów – mówi Zack. – Chyba ze sto razy próbowałem się dodzwonić do Jeanette Vrejne, kobiety, która miała dyżur, kiedy Ismail uciekł, ale nie odbiera telefonu. Zamierzam dzisiaj pojechać do niej do domu, ale najpierw chcę pokazać film Grigorescu i zobaczyć, jak zareaguje.

– Dobrze – mówi Douglas. – Weź ze sobą Deniz.

Na ekranie monitora drzwi klatki znów się otworzyły i Ismail ostrożnie wygląda na zewnątrz. Wydaje się nasłuchiwać w ciemności jakiegoś ruchu.

– Widzicie, jakie nierówne są ściany za klatką? – pyta Niklas. – To wygląda jak jakieś pomieszczenie wykute w skale.

– Sztokholm to jedno wielkie mrowisko tuneli i takich pomieszczeń – odpowiada Douglas. – I wiele z nich jest już nieużywanych.

– A co z klatką? Gdzie można taką kupić? – pyta Niklas.

– Mógł ją sam zespawać – odpowiada Zack.

– I uszyć sobie lwi strój. Ta świnia jest przynajmniej zręczna – mówi Deniz.

Ismail opuszcza klatkę. Niklas zatrzymuje film, żeby nie musieć znów słyszeć jego krzyku.

– Czy to może mieć podtekst polityczny? – zastanawia się na głos. – Jasnowłosy lew zabija ciemnoskóre dziecko?

– Gdyby tak było, pojawiłaby się jakaś deklaracja na początku albo na końcu filmu. Coś w rodzaju groźby – odzywa się Tommy Östman, kilka razy głośno kaszle, po czym ciągnie: – Nie sądzę, żeby o to chodziło. Myślę, że mamy do czynienia z mężczyzną, który nie czuje się dobrze sam ze sobą i dlatego szuka ucieczki w coś innego, w tym przypadku próbuje się stać inną istotą. To, że wybrał akurat lwa, króla zwierząt, świadczy o tym, że ma potrzebę bycia przywódcą. Przypuszczam, że mamy do czynienia z człowiekiem, który został zignorowany i teraz pragnie skupić na sobie uwagę. Może był gnębiony przez swoją partnerkę, szefa albo jakąś inną ważną dla niego osobę. Może przez rodziców. Został zraniony i teraz sam chce ranić. W ciele lwa może przez chwilę poczuć się nietykalny. Widzieliście, jak ustawił się tuż przed kamerą. Podjął wielkie ryzyko. Fakt, że jednak to zrobił i że postanowił w ten sposób upublicznić swój czyn, wskazuje na to, że jest pewny, że go nie złapiemy. I że jest dumny z tego, czego dokonał. Prawdopodobnie siedzi gdzieś tam, delektuje się tym, że oglądamy film, i planuje następne morderstwo.

W sali konferencyjnej zapada cisza.

Klatka na ekranie jest pusta. Ale wszyscy zdają sobie sprawę, że jeśli nie znajdą sprawcy, wkrótce może tam siedzieć kolejne dziecko.

– Czy on chce przejść przeobrażenie? – zastanawia się głośno Deniz. – To dlatego zakłada tę lwią skórę?

Zack myśli o tym, jaką przemianę przechodzi wielu z jego kolegów, kiedy wkładają mundury. Ludzie, którzy normalnie są cisi i nieśmiali, nagle zaczynają się nadymać i mówić niskim, władczym głosem.

Ja też chciałbym przejść przemianę. Ale w drugą stronę. Na lepsze.

Patrzy na swoje obolałe knykcie. Przynajmniej nie trzęsą mu się dzisiaj ręce. To zawsze coś.

Rudolf chrząka i prostuje się na krześle. Siedział dotąd tak cicho, że Zack niemal zapomniał o jego obecności.

– Ludzie zawsze bawili się myślą o przybraniu postaci lwa. W Niemczech znaleziono posąg sprzed czterdziestu tysięcy lat, który przedstawia człowieka-lwa, a we Francji są podobne malowidła naskalne w jaskiniach. Ale w tym przypadku sędzę, że nasz morderca ma na myśli konkretnego lwa. Czy ktoś z was kiedyś słyszał o lwie nemejskim?

– To z jakiegoś mitu greckiego, prawda? – pyta Östman.

– Zgadza się. I istnieje szereg podobieństw pomiędzy tym mitem a tym, co widzimy na filmie. Na przykład trzydzieści dni. Dokładnie tyle czasu miał bohater na pokonanie lwa. W przeciwnym razie miano złożyć w ofierze Zeusowi dziecko.

– Chcesz powiedzieć, że ten szaleniec wcielił się w rolę mitycznego lwa? – pyta Niklas.

– To znaczy, że sobie z nami pogrywa – mówi Zack. – Chce nam pokazać, że sami jesteśmy sobie winni, bo nie zdążyliśmy go złapać.

– Mnie także to przyszło do głowy – przyznaje Rudolf. – Myślałem też o tym kominie. Według jednego z mitów lew nemejski spadł na ziemię z księżycą albo z gwiazd. Może to dlatego sprawca tak wysoko przywiązał chłopca. Jako coś w rodzaju ofiary dla niebios, które dały życie lwu. Albo jako nawiązanie do innego greckiego mitu o tytanie Prometeuszu. – Rudolf milknie, by się przekonać, czy to imię wywoła jakąś reakcję u pozostałych. Wszyscy jednak milczą, patrzą na niego pytająco, więc ciągnie: – Prometeusz uważał, że człowiek przewyższa zwierzęta, i dlatego ukraść bogom ogień i dał go ludziom. Bogowie ukarali go, przywiązując do skały i pozwalając, by orzeł ciągle wydziobał mu wątrobę.

Po raz pierwszy Zack słyszy coś, co przypomina sensowne wyjaśnienie zachowania mordercy. Od czasu, gdy zniósł chłopca z komina, zastanawiał się, dlaczego morderca umieścił ofiarę w miejscu, w którym nikt jej nie mógł zobaczyć ze względu na pobliski las.

Może to nie ludzie mieli być widzami.

Tylko księżyc. I gwiazdy.

I ptaki, które wydziobały Ismailowi wątrobę.

Chore, ale niepozbawione logiki.

Ale w takim razie po co pokazywać film całemu światu?

A czemu nie? Teraz już chyba nic się nie liczy, jeśli nie zamieścisz zdjęcia czy filmu w Internecie i nie pochwalisz się przed innymi.

– Jak się kończy ten mit? – pyta Niklas.

– Lew został zabity. Ale przedtem sam zdążył zabić wielu ludzi. Jakby z góry się mścił.

Strażnik z aresztu otwiera drzwi celi. Robi to powoli, jakby w środku było niebezpieczne zwierzę.

Zack do niego mruga, a potem wchodzi do środka razem z Deniz. Wyszła cało z przesłuchania w wydziale spraw wewnętrznych. Nie odebrali jej broni. Åke Blixt i Gunilla Sundin potraktowali ją zaskakująco łagodnie, byli prawie mili. Jakby dostali wytyczne od Douglasa.

Kiedy drzwi się otwierają, Danut Grigorescu siada zaspany na łóżku. Ma mocno opuchniętą górną wargę i problemy z otwarciem jednego oka. Gdy się orientuje, kto siada na krzesłach przy łóżku, drga mu kącik ust i przez chwilę widać nadkruszone licówki. Potem sili się, by przybrać tę samą znudzoną minę co w pokoju przesłuchań.

– No i co tam? – pyta go uprzejmie Deniz, jakby brutalne przesłuchanie w nocy nigdy się nie odbyło.

Mężczyzna parska w odpowiedzi.

Na stoliku w celi stoi niezjedzona porcja warzywnego purée z kiełbasą. Zack odsuwa jedzenie, żeby zrobić miejsce na iPada.

– Obejrzysz film – mówi. – Niestety, nie ten o Emilu ze Smalandii, tylko o jednym z dzieci, które zamierzałeś sprzedać. – Obraca iPada w stronę Rumuna i uruchamia ostatnie minuty filmu.

Z początku Danut Grigorescu zdaje się nie reagować. Widywał już gorsze rzeczy niż dziecko w klatce.

– Poznajesz go? – pyta Zack.

Rumun nie odpowiada.

– To Ismail, chłopiec, który wam uciekł. Widzieliśmy nagranie ze stacji benzynowej – mówi Zack.

Grigorescu patrzy na niego i rozkłada ręce.

– Sam widzisz. I co, mówiłem prawdę?

– Naprawdę porządny z ciebie człowiek. Oglądaj dalej.

Danut Grigorescu wciąż udaje znudzonego, gdy drzwi klatki się otwierają i Ismail znika z kadru.

Potem zaczynają się krzyki i wtedy siedzi jak zauroczony przed dziesięciocalowym ekranem.

Kiedy dźwięki milkną, zwraca się do policjantów:

– To tak zginął?

– Tak. Poderżnięto mu gardło, ale przedtem został poszarpany pazurami i pogryziony po całym ciele – odpowiada Deniz.

Rumun znów patrzy na ekran. Patrzy na otwartą klatkę. Słyszy coraz słabsze krzyki. A potem widzi, jak mężczyzna w stroju lwa pokazuje przed kamerą zakrwawione pazury.

– Przysięgam, nie myślałem, że chodzi o coś tak chorego – mówi Grigorescu.

– A czego się spodziewasz, kiedy sprzedajesz dzieci mordercom i pedofilom? – pyta Zack. – Że będą siedzieć i grać na Xboxie?

– Mam nadzieję, że według ciebie to było warte tych pieniędzy – dodaje Deniz.

– Ale przecież mówiłem, nie sprzedaliśmy tego chłopca. Uciekł. Sami to widzieliście.

– Ale chyba potem go złapaliście?

– Nie, przysięgam. Szukaliśmy przez cały wieczór. Jeździliśmy po okolicy. Ale zniknął. Nie mam pojęcia, jak go znalazł ten facet.

– Ale chyba mieliście jakiegoś nabywcę na Ismaila? Ktoś tylko czekał, żeby go wykorzystać?

– Nie. Pozwalamy im najpierw obejrzeć dzieci.

Zack patrzy na mężczyznę. Próbuje się doszukać jakiegoś wstydu w jego oczach. Albo żalu. Ale niczego takiego nie znajduje.

– Ten człowiek zabije kolejne dzieci – mówi Deniz. – I gdybyśmy was nie powstrzymali, to wy moglibyście mu sprzedać jego następną ofiarę.

Rumun patrzy jej w oczy.

– No dobra. Jest tak: czasem nazywają mnie Lwem. Ale to przez moje włosy. To na tym filmie to coś zupełnie innego. Nigdy nie byłbym w stanie czegoś takiego zrobić.

– Ale przecież robisz – mówi Deniz. – Sprzedajesz dzieci.

– Tak, ale nic z nimi nie robię.

– Ale wiesz, co je czeka.

– Tak, ale to mimo wszystko... Co mogę powiedzieć. To tylko interesy.

Danut się uśmiecha i zza nadkruszonych licówek widać pociemniałe zęby.

Deniz wygląda, jakby znów chciała się na niego rzucić, ale Zack wyciąga rękę.

– Potrzebujemy nazwiska – mówi. – Osoby, która pomagała ci w ośrodku dla azylantów.

Rumun śmieje się oschle i kręci głową.

– Nie? – pyta Zack. – Dobra, w takim razie mam inny pomysł. – Pochyliła się, tak że ich twarze dzieli tylko jakieś dziesięć centymetrów. – Formalnie rzecz biorąc, nie żyjesz, prawda? Według wszystkich rejestrów zginąłeś w katastrofie promu *Estonia*.

Danut Grigorescu odwraca wzrok.

– A to znaczy – ciągnie spokojnie Zack – że jeśli cię zabijemy, nikomu nie będzie ciebie brakować. Naprawimy po prostu mały błąd w archiwach. Zadbamy, żeby martwi trafili do martwych i nie szwendali się między żywymi.

Rumun patrzy na niego. Próbuje się przekonać, czy Zack blefuje.

– Nie zrobilibyście tego... – zaczyna niepewnie.

– Owszem, to by było nawet logiczne. Daj spokój, wczuj się na chwilę w naszą sytuację. Mamy Rumuna bez tożsamości, który przez wszystkie lata spędzone w Szwecji zajmował się wyłącznie działalnością przestępczą i który w tej chwili utrzymuje się ze sprzedaży dzieci. A my mamy szansę, żeby się go raz na zawsze pozbyć. Niepostrzeżenie. I nic nas to nie kosztuje. Sam chyba przyznasz, że to kuszące.

Grigorescu patrzy to na Zacka, to na Deniz. Ma rozbiegane spojrzenie.

– No i? – pyta Zack.

Rumun wciąż milczy.

Zack wstaje i puka w drzwi celi.

- Jesteśmy gotowi, zabieramy go.
 - Dobra – słycać z za drzwi – pójdę go tylko wykasować z komputera.
 - Czekajcie – mówi mężczyzna. – Dokąd mamy iść?
- Strażnik pobrzękuje kluczami po drugiej stronie drzwi.
Grigorescu unosi ręce, jakby próbował grać na czas.
- Dobra – mówi. – Dam wam nazwisko.

Czterdziestoletnia kobieta szarpie się i klnie, kiedy Zack i Deniz wyprowadzają ją z willi w Vallentunie. Idą kamienną ścieżką w stronę samochodu, śnieg smaga ich po twarzach jak bicz i kobieta jeszcze bardziej przeklina.

W samochodzie pyta, która godzina, a kiedy Deniz odpowiada „wpół do czwartej”, mówi „aha”, a potem milczy. Ufarbowane na rudo włosy opadają jej na ramiona i ciągle zagryza wąską wargę.

W pokoju przesłuchań zaczyna płakać. Łzy wyżymane ze śmierdzącej szmaty, w jaką zmieniło się jej życie.

Jeanette Vrejne, samotna matka trojga dzieci. Była w siódmym miesiącu z najmłodszym, kiedy zostawił ją partner. Wyjechał na Dominikanę. Od tego czasu się do niej nie odezwał. I nie dostała od niego ani jednego öre.

Kobieta bierze się w garść. Wie, że uzalenie się nad sobą w niczym jej nie pomoże. Grzbietem dłoni ociera nos i sięga po kartkę, którą Zack położył na stoliku przed nią. Zestawienie jej rozmów z Danutem Grigorescu.

– Tak, to ja byłam kontaktem Rumunów w ośrodku – mówi do Zacka i Deniz. – I robiłam to już wcześniej. Z dwójkiem innych dzieci. – Prosi o więcej kawy. Ociera łzy i zmęczenie z zielonych oczu. – Powiedzieli, że załatwią im adopcję w Stanach. Jest tam duże zapotrzebowanie na dzieci do adopcji i nie ma tak ostrych przepisów jak w Szwecji.

– Naprawdę wierzyłaś, że te dzieci mają pójść do adopcji? – pyta Deniz.

Jeanette Vrejne kołysze się na krześle i znów zagryza wargę.

– Tak. To znaczy... sama nie wiem. Właściwie to nie. Myślałam o sobie i o własnych dzieciach. Zalegałam ze wszystkim. Z kredytem, rachunkami. Niedawno wyłączyli mi telefon stacjonarny. Następny miał być prąd. – Patrzy na nich, jakby czekała na to, że pokiwiąją głowami albo mrukną coś ze zrozumieniem. Gdy tego nie robią, mówi: – Chciałam być jak inne matki. Jeździć na urlopy do ciepłych krajów, kupować rzeczy sobie i dzieciom. Nie musieć się przeprowadzać do obskurnego mieszkania z wynajmu. Dobrze płacili. Sto tysięcy koron w gotówce za każde dziecko. – Upija łyk kawy. Ostrożnie odstawia kubek. – Nie mogłam się utrzymać z mojej gównianej pensji. Nawet ci w ośrodku mieli lepiej niż ja. Przecież to chore.

– Co się stało z chłopcem?

– Nie mam pojęcia.

– Nie zastanawiałaś się nad tym?

Kobieta zagryza wargę. Wzdycha i mówi:

– I bez tego mam dość zmartwień.

Jest późny wieczór, gdy Zack wychodzi z siłowni przy Agnegatan i jedzie metrem na Östermalmstorg.

Ruchome schody nie działają, więc wychodząc z podziemi, ma dodatkowy trening. Dziś wieczorem dobrze mu poszło. Dawno tak mocno nie poobijał worka, pozbył się całej złości, jaka w nim narastała podczas przesłuchania Jeanette Vrejne. Gdy pnie się w górę stopień po stopniu, myśli o jej roli jako pośredniczki w handlu dziećmi. Gdyby sprzedawała banany, można by ją nazwać hurtowniczką.

Zack mijają zdyszane mężczyznę w średnim wieku, który mozolnie pokonuje schody. Sam czuje się silny i zdolny do jasnego myślenia.

Jeanette Vrejne twierdziła, że była zamieszana w zniknięcie tylko trójki dzieci. Jak w ręce Rumunów trafiło pozostałych pięcioro? I skąd je wzięli? Z innych ośrodków dla azylantów? Teraz to już zmartwienie Jednostki do Zwalczenia Handlu Ludźmi. Wygląda na to, że szybko pracują. Według Niklasa doprowadzili już do konfrontacji z dwoma nabywcami, którzy wykorzystywali seksualnie dzieci, i znaleźli dość dowodów, by domagać się podtrzymania aresztu dla Rumunów.

Na górce, na Nybrogatan, coraz większe płatki śniegu w świetle ulicznych latarni zmieniają się w diamenty. Bezdomny z dwoma reklamówkami pustych butelek po piwie mijają Zacka chwiejnym krokiem. Wygląda, jakby marzył.

Zack nie czuje już mrozu, chce się jak najszybciej znaleźć w mieszkaniu Mery. Tęskni za nią.

Idzie Kommendörsgatan, mijając dumne kamienne fasady domów. Po drodze widzi lśniącego czarnego range rovera i myśli o Evie Strandberg, właścicielce „Promyka” i pięciu innych ośrodków dla azylantów. Mieszka gdzieś w tej okolicy, zwrócił na to uwagę, kiedy ją sprawdzał. Niedawno kupiła mieszkanie własnościowe przy Artillerigatan, za dwanaście milionów koron.

Zack przypuszcza, że mogła wpłacić zadek w gotówce, jej firma przyniosła w zeszłym roku pięć milionów zysku.

Kiedy Mera Leosson słyszy dzwonek do drzwi, wie, że to Zack.

Czekała na niego. Czuje przyjemny dreszczyk. Miłość, pożądanie, mniejsza z tym, co to oznacza. Teraz przyszedł, a ona chce go mieć u siebie.

Wstaje z fotela, odkłada dokumenty, które przeglądała, na mały stolik według projektu Saarineny i kieruje się do holu. Mijają wielkie amerykańskie obrazy i otwiera drzwi.

I stoi tam Zack.

Jasne, kręcone włosy, ostry nos i stalowe spojrzenie.

Jej młody Aleksander, jej Herkules, udręczony piękny mężczyzna, który zdaje się pochodzić z innego świata.

– Wejdz – mówi Mera. – Jesteś głodny? Mogę coś podgrzać.

Zack kręci tylko głową. Patrzy na nią i widać, że chce czegoś innego.

– Muszę wziąć prysznic. Nie zrobiłem tego na siłowni.

– Chodź.

Mera prowadzi go do sypialni. Wchodzą do ogromnej łazienki z sauną z widokiem na Zamek Królewski w Sztokholmie, nad jacuzzi znajduje się okno w dachu, przez które w pogodne noce można oglądać gwiazdy.

Mera odkręca wodę. Widzi grę jego mięśni, gdy Zack się rozbiera, widzi go całego i zdejmuje sukienkę, stanik, majtki, wchodzi pod prysznic, czeka na niego, a po chwili czuje jego dłonie na piersiach.

Teraz tu jest.

Nic innego nie ma znaczenia.

Zack przyciska ją do ciepłego szkła kabiny, podnosi ją i napiera, napiera, napiera, ale powoli i ostrożnie, liże jej mokry kark, jej skóra jest tak blisko, tak blisko.

Nie śpieszy się.

Ma na to siły.

Kontrolę.

Przesuwa ustami po jej piersiach, pieści językiem pępek, schodzi niżej, a Mera szepcze, język, język, język, woda szumi pod prysznicem i Zack patrzy w górę, a ona zamyka oczy, wyciąga ręce do niebieskiej mozaiki na suficie.

Zack znów wędruje w górę.

Wypełnia ją.

Teraz szybciej.

Ale ona się opiera, chce, by to uczucie trwało dłużej, a on pragnie tego samego.

Długo.

Dłużej.

W nieskończoność.

Mera eksploduje bezgłośnie, sekunda po sekundzie, on zaraz po niej. Osuwają się obok siebie na podłogę kabiny. Woda z dużej dyszy spływa po nich jak umierający wodospad, a oni się obejmują.

Zack opiera głowę o jej pierś.

Zamyka oczy.

Przez kilka sekund nie chce być gdzie indziej.

Jedzą po pół homara, Mera sama zrobiła majonez. Lubi patrzeć na Zacka, gdy je przy kuchennej wysepce, cieszy ją jego apetyt, zachłanność młodego mężczyzny.

Bawię się tobą, Zack, myśli. Zaslugujesz na kogoś lepszego. Dłużej tak się nie da. Muszę pójść dalej, oboje musimy, i chce mu coś powiedzieć, ale gdy Zack macza kawałek homara w majonezie, Mera nie może wydobyć z siebie choćby słowa. Zupełnie jakby przy nim wszystkie milkły.

Wygląda jak bóg, gdy światło z halogenowych lamp pod sufitem pada na jego twarz.

A nie prosi się boga, żeby odszedł na zawsze.

Gdy kończą jeść, kładą się w jej łóżku, nie zaciągając rolety w oknie. Pozwalają, by słabo rozświetlone nocne niebo roztaczało się przed ich oczami.

Leżą bez ruchu, ciało przy ciele, ciepłe. Mera udaje, że Sztokholm jest przyjaznym, pełnym miłości miejscem, a potem zasypia.

Zack leży z otwartymi oczami, czuje ciało Mery, jej skórę, ciepłą i delikatną jak u dziecka.

Przedwczoraj widziałem zamordowane dziecko, myśli.

Samotne dziecko.

Ale my nie jesteśmy samotni, Mero. Mamy siebie, tu i teraz.

Nie jestem samotny.

Nie jestem.

Nie jesteśmy. To może być coś poważnego, prawda?

Ale nie udaje mu się przekonać samego siebie.

Poczucie bliskości jest ulotne.

Tak jak wszystko inne na tym świecie.

CZWARTEK, 22 STYCZNIA

Światło gwiazd nad Sztokholmem. Ślady w świeżym śniegu, jak wzory na drogocennym jedwabiu.

Patrik Andersson wędruje już godzinami bez żadnego konkretnego celu.

Późnym wieczorem zaczął w Östermalmie. Poszcęściło mu się. Dwie pełne reklamówki. Bogaci mają gdzieś kaucję. Uważają, że są ponad to.

Pieniądze wystarczyły mu na dwa cheeseburgery w McDonalddie przy dworcu centralnym. Najadł się i rozgrzał, czuł niemal uniesienie.

Ale to było jakiś czas temu.

Teraz znów marznie. I jest zmęczony. Włączył się po okolicy przez cały wieczór. Nie odpowiada mu ten bajzel w noclegowniach. Zegar na oświetlonej fasadzie kościoła Świętej Katarzyny wskazuje, że zbliża się wpół do drugiej.

Delikatna pokrywa śniegu sprawia, że nagrobki na cmentarzu wyglądają, jakby spokojnie spały.

Patrik Andersson zastanawia się, gdzie go pochowają, kiedy umrze. Gdzie trafiają tacy, których nikt nie chce znać. Których nikt nie chce pamiętać.

Wchodzi na kościelne wzgórze. Wędruje powoli wśród niskich drewnianych domków i czerwonych płotów. Pod śniegiem wyczuwa zaokrąglone kocie łby.

W tej okolicy wciąż czuje się jak dawniej. W czasach, gdy ludzie się z nim witali z szacunkiem w głosie. Kiedy jeszcze miał rodzinę i pracę.

Rozciera zmarznięte ręce. Zawraca, schodzi ze wzgórza i kieruje się Nytorrgsgatan na południe.

Ma właśnie przejść przez Kocksgatan, gdy przy jasnożółtej fasadzie budynku widzi duży otwarty kontener.

Coś go tam ciągnie.

Opiera but na wystającej metalowej listwie i wspina się, by zobaczyć, co nawrzucono do środka. Kartony, płyty gipsowe, materiały izolacyjne i stare plastikowe rury.

Może się tutaj położyć. Kto się będzie przejmował, jeśli rano się nie obudzi?

Wchodzi do kontenera. Nakrywa się izolacją z włókna szklanego.

Patrzy prosto w niebo.

Całkiem nieźle by się tu leżało, gdyby nie było tak zimno.

Na niebie jest tyle gwiazd.

Dobrze je znał jako dziecko. Potrafił wskazać gwiazdozbiory, których inni nie znali.

Jednorożec, Smok, Lew.

Patrik Andersson w końcu zasypia. Kiedy się budzi, nie wie, czy minęła godzina czy pięć.

Wciąż jest ciemno, a pod jego starą kurtkę wdziera się zimne powietrze. Marznie, ale chciałby jeszcze pospać. Całe szczęście, że nie zamarł.

Słyszy, jak obok kontenera przechodzi roznosiciel gazet, i próbuje się trochę szczelniej okryć. Chce wyciągnąć więcej izolacji spod czarnego worka na śmieci. Szarpie i szarpie. Plastik worka się rozrywa i Patrik Andersson patrzy na zamarznąłą twarz.

Kiedy Niklas Svensson otwiera drzwi samochodu przy Bondegatan i wkłada rękawiczki i czapkę, ogarnia go uczucie, że z czasem coś jest nie tak. Jakby wpadł w jakąś dziurę w kosmosie i znalazł się w archiwalnym sowieckim filmie.

Ten okropny mróz, ludzie w za grubych ubraniach, zawzięte miny, para unosząca się z ust. Całkowity brak światła i radości. Jest godzina siódma w czwartkowy poranek, ale można odnieść wrażenie, jakby dzień się już kończył.

Naprawdę ma tak być? – myśli. Nawet nie da się wyjść na dwór z dziećmi.

Rudolf Gräns wysiada z miejsca pasażera i rozkłada swoją białą laskę. Jest ubrany w długi ocieplany płaszcz i starą futrzaną czapkę z nausznikami. Dobrze by pasował do archiwalnego sowieckiego filmu. Na nosie ma ciemne okulary.

– Chyba powinieneś się przytrzymać mojego ramienia – mówi Niklas. – Jest tu mnóstwo samochodów zaparkowanych kompletnie bez ładu i składu. I sporo gapiących się dziennikarzy.

– Słyszę ich – mówi Rudolf i chwyta Niklasa za ramię.

Niklas unosi taśmę odgradzającą teren i obaj podchodzą do niebieskiego kontenera.

Policjant w mundurze, z parującym kubkiem kawy w ręce, przygląda się Rudolfowi z drwiącym uśmiechem.

Niklas widział to już wiele razy. Kompletny brak zrozumienia wobec niewidomego inspektora policji kryminalnej.

Dosyć tego. Wygarnę mu dziś, nie jutro.

Niklas prosi Rudolfa, by chwilę poczekał. Potem podchodzi do policjanta z kubkiem i szepcze mu do ucha:

– On jest wart pięciu takich jak ty. Co najmniej.

Zostawia za sobą skonsternowanego policjanta i wraca do Rudolfa. Mimowolnie uśmiecha się pod nosem. Zaskoczyło go własne zachowanie. To nie było do niego podobne. Ani trochę.

Przy kontenerze stoi Sam Koltberg i podskakuje w zbyt cienkich butach. Niklas wie, że wielu z jego kolegów nie cierpi Koltberga, ale sam dobrze się z nim dogaduje.

– Cześć, Sam. Jak ci idzie? – pyta Niklas.

Koltberg nie ma czapki, jego uszy przybrały wściekły sinoczerwony kolor.

– Nic niezwykłego – mówi głosem drżącym z zimna. – Ślady prochu na palcach. Podobne ślady prochu wokół dziury w skroni. Zastrzelił się.

– Ach tak? Ze zgłoszenia wynikało, że wygląda na morderstwo.

– Ktoś chciał, żeby to tak wyglądało – mówi Koltberg.

– Wiemy, kim był? – pyta Rudolf.

– Johan Krusegård, trzydzieści pięć lat. W każdym razie według prawa jazdy. W portfelu miał kilka tysięcy koron, co potwierdza moją teorię o samobójstwie. Inaczej sprawca zabrałby pieniądze.

– Mogę tam zajrzeć? – pyta Niklas.

Koltberg wymachuje rękoma, żeby się rozgrzać.

– Jasne, ale niczego nie dotykaj.

Niklas wspina się na krawędź i zagląda do kontenera. Widzi worek podobny do tego z koszmaru, który śnił mu się parę dni temu.

Ale to nie jego synek tam leży, tylko mężczyzna około trzydziestki, barczysty, z czarną dziurą nad prawym uchem. Ma smutną twarz, jedną ręką zdaje się przytrzymywać zsunięty do pasa worek.

Jeden rękaw płaszcza jest rozerwany i Niklas zauważa tatuaż – to z tego powodu wezwano tu jednostkę specjalną.

Na ramieniu i ręce mężczyzny widnieje wielki lew. Skaczący drapieznik z rozdziawioną paszczą i przesadnie wielkimi kłami. Kontury wciąż są ostre, barwy wyraźne.

Tatuaż wykonano niedawno.

Niklas jeszcze raz patrzy na twarz.

Czy to może być morderca w lwim stroju?

Czy to on przez miesiąc więził małego chłopca, a potem go torturował i poderżnął mu gardło?

Szerokość ramion się zgadza. Wydatna szczeka też.

Czy poczucie winy stało się dla niego zbyt trudne do zniesienia? A może nie mógł się pogodzić z myślą, że on też może trafić do klatki?

I jak się tutaj znalazł? Kto go włożył do tego worka?

Może w ogóle nie ma nic wspólnego z ich sprawą.

Niklas robi zdjęcia komórką i schodzi z kontenera.

Zbliża się dwóch techników. Koltberg wrzeszczy na nich, że się spóźnili, a on nie ma całego dnia. Wydaje im polecenia, w jaki sposób mają wyjąć ciało z kontenera. Wymyśla im, kiedy się okazuje, że zapomnieli zabrać z samochodu worek na zwłoki.

Rudolf rozmawia z dowódcą odpowiedzialnym za działania na miejscu. Uzgadniają, że trzeba porozmawiać z mieszkańcami w najbliższej okolicy, i przydzielają dwóm aspirantom niewdzięczne zadanie przeszukania reszty kontenera, kiedy technicy skończą już pracę.

Kawałek dalej policjant w mundurze stoi z mężczyzną, który wygląda na bezdomnego. To musi być Patrik Andersson, ten, który zadzwonił, że znalazł zwłoki.

Niklas pośpiesznie przesłuchuje zawstydzonego, zsiniałego z zimna mężczyznę, a ten opowiada, jak spał w kontenerze i kiedy się obudził, odkrył zwłoki. Podaje im numer do pastora z Citykyrkan – „możecie się z nim kontaktować, on mi wszystko przekaże” – a potem Patrik Andersson znika w labiryncie ulic.

W drodze do samochodu Niklas i Rudolf rozważają możliwe teorie.

Czy znaleźli mordercę Ismaila? Odebrał sobie życie w niewłaściwym miejscu? Ktoś go do tego zmusił? A jeśli tak, to kto? I dlaczego?

Mija ich mała dziewczynka z plecakiem podskakującym jej na plecach. Niklas widzi, jak wypada jej coś z kieszeni kurtki; to mała wróżka z różowego plastiku. Niklas biegnie za dziewczynką i oddaje jej zabawkę. Mała grzecznie dziękuje, macha mu na pożegnanie i idzie dalej. Niklas też do niej macha.

Zack wyciąga kolejną papierową chusteczkę i ociera czoło.

Portierowi udało się sprawić, żeby klimatyzacja przestała pompować zimne powietrze. Teraz przesadza w drugą stronę, powoli zamieniając małą salę konferencyjną w saunę.

– Damy radę tu wysiedzieć? Może lepiej zająć się czymś innym, póki Niklas i Rudolf nie wrócą? Wygląda na to, że może mają rozwiązanie sprawy – mówi Zack, patrząc na leżące na stole wydrukowane zdjęcia Johana Krusegård. Na jego zamarznąłą twarz, tatuaż.

– Pooglądajmy jeszcze chwilę – mówi Deniz. – Jeśli będziemy przewijać, to nie powinno długo potrwać.

Zack kiwa głową, zadowolony, że przespał siedem godzin. Dostałby napadu paniki w tym pomieszczeniu, gdyby przyszedł tu po nocy spędzonej w towarzystwie Abduli, ale teraz mózg pracuje jak należy. Mięśnie przyjemnie boją po wczorajszym ostrym treningu, od dawna nie spędził tak świetnej nocy z Merą i nie jest na głodzie.

Trening to najlepsze lekarstwo na narkotyki, Zack o tym wie. Chciałby też poćwiczyć ze swoim dawnym trenerem karate, sensei Hiro. Może zadzwoni dziś do niego i spróbuje się umówić.

– Cholera, jaka kiepska jakość – mówi Deniz. – Będziemy w stanie w ogóle stwierdzić, czy to on?

Zaczęli właśnie oglądać drugi z dwóch filmów z kamer, jakie udało się zdobyć Sirpie.

Pierwszy był z hotelu w pobliżu stacji benzynowej. Jego monitorowany parking był położony na potencjalnej drodze ucieczki Ismaila, ale po przewinięciu dwóch godzin filmu stwierdzili, że chłopiec tamtędy nie przechodził.

Film, który oglądają teraz, pochodzi ze sklepiku spożywczego przy Bagartorpsringen, po drugiej stronie zagajnika, mniej więcej kilometr od stacji. Jeśli Ismail chciał się ukryć, może wbiegł między świerki, a potem ruszył na zachód. Wtedy nie leżał jeszcze śnieg. Ścigający mieliby problem z wytropieniem go.

To naciągane, ale warto spróbować.

Zack przewija film od dwanaście po szóstej, piętnaście minut po tym, jak Ismail zniknął ze stacji benzynowej szesnastego listopada. Nawet gdyby chłopiec miał świetną kondycję, nie mógłby szybciej się przedostać przez gęsty las.

Obraz jest ziarnisty, ciemny i zamazany, a kamera wydaje się niezbyt wrażliwa na światło; Zack szybko przewija. Wygląda to, jakby patrzyli na poklatkowy film domowej roboty. Często muszą zatrzymać nagranie, by dokładniej się przyjrzeć pojawiającym się ludziom i samochodom.

– Tam! – woła Deniz. – Zwolnij. Widzisz?

– Co takiego?

– Cofnij pół minuty.

Zack cofa. Deniz podchodzi do telewizora i wskazuje w lewy dolny róg.

– Spójrz tutaj.

Mija osiem sekund. Potem Zack też to widzi.

W kadr wchodzi mężczyzna w czarnej puchowej kurtce i dżinsach. Trzyma za rękę chłopca.

Zack wciska pauzę.

Odległość między kamerą a tymi dwoma osobami wynosi co najmniej dwadzieścia metrów, ale nie ma żadnych wątpliwości.

Cienka kurtka. Podarte czarne spodnie od dresu.

To Ismail.

– Ale kim jest ten facet? – pyta Zack. – To nie żaden z Rumunów, prawda?

– Nie, wygląda inaczej – potwierdza Deniz. – Jest wyższy, nie taki nalany.

Zack sięga po leżące na stole zdjęcie Johana Krusegård. Czy to jego widać na nagraniu? Nie sposób powiedzieć. Nie widać twarzy. Ale wzrost może się zgadzać. Krusegård miał metr osiemdziesiąt osiem. Mężczyzna z filmu też może mniej więcej tyle mieć.

To ty jesteś naszym drapieźnikiem? – myśli Zack.

Mężczyzna przechodzi przez plac i wygląda, jakby rozmawiał z Ismailem. Chłopiec od czasu do czasu podnosi głowę i na niego spogląda, jakby odpowiadał na jego pytania.

Zack przypomina sobie, co mówiła Margareta Svensson. Że Ismail nie miał problemów z nauką szwedzkiego.

Pół minuty później mężczyzna z chłopcem wychodzą poza kadr. Zack i Deniz oglądają dalej, w nadziei, że wrócą i wsiądą do samochodu, albo coś w tym stylu, ale nic takiego się nie dzieje.

Deniz otwiera w komórce Google Maps i wpisuje Bagartorpsringen. Potem oddala widok na mapie, by zobaczyć większy obszar.

– Bardzo niedaleko jest stacja kolejki podmiejskiej Ulriksdal. Mogli tam pójść – stwierdza. – Musimy od razu zażądać nagrań z kamer od SL.

– Równie dobrze mógł pójść do swojego samochodu. Albo do czerwonej skody Rumunów – zauważa Zack.

– Myślisz, że dla nich pracuje?

– To chyba najbardziej prawdopodobne, ale musimy to sprawdzić. Mogli do niego zadzwonić, kiedy Ismail zniknął, i powiedzieć mu, żeby czatował po drugiej stronie zagajnika. Albo to ktoś zupełnie inny.

– Ktoś miałby po prostu tamtędy przechodzić, przypadkiem znaleźć Ismaila i zabrać go ze sobą do domu?

Ona ma rację, myśli Zack. Jakie jest prawdopodobieństwo, że tak się stało?

Że ktoś akurat tamtędy przechodził, kiedy z lasu wybiegł chłopiec. Że ten ktoś był akurat mordercą dzieci i chłopiec, którego złapał, był akurat takim dzieckiem, którego nikt nie szuka.

Nieprawdopodobne.

Zupełnie nieprawdopodobne.

Jak wiele innych rzeczy w życiu.

Jak tamta noc na łące.

Dlaczego teraz zaczął o tym myśleć? Czy to dlatego, że w pomieszczeniu jest tak gorąco? Pot spływa mu po skroniach.

Tamtej nocy był upał.

Pachniało kwiatami.

Kwiatami i krwią.

Miał krew na rękach. Nie swoją, tylko tego drugiego chłopca. Tego, który leżał obok. Tego, na którego dwunastoletni Zack nie miał odwagi spojrzeć. Bo to, co się stało, stało się z jego winy.

Zack mruga, by odpędzić wspomnienia.

Zostaw to teraz.

Lepiej zajmij się tym chłopcem.

Cofa film do chwili, gdy mężczyzna z Ismailem znów wchodzi w kadr, naciska pauzę i powiększa obraz na ile się da, tak by jego jakość się nie pogorszyła.

Wciąż nie widać twarzy mężczyzny.

– Musimy sprawdzić, czy są jeszcze jakieś kamery – mówi.

Wychodzą z dusznej sali konferencyjnej. W otwartej przestrzeni biura temperatura wynosi dwadzieścia cztery stopnie, ale odczuwają chłód.

W biurze jest tylko Sirpa. Ma wypieki na twarzy.

– Jak ci idzie, Sirpa? – pyta Zack. – Udało ci się dojść, kto przysłał nam ten link?

Koleżanka kręci głową.

– Przesłano go przez sieć Tor, a to znaczy, że e-maila właściwie nie da się namierzyć. W każdym razie nie takimi środkami, jakimi dysponujemy. – Odwraca się z powrotem do klawiatury. – Ale wystawiłam małą przynętę. Miejmy nadzieję, że się na to złapie.

Temperatura w sali sekcyjnej zawsze wynosi dwanaście stopni.

Na stołach nie ma obrusów ani lampionów na świeczki, w oknach nie widać kwiatów ani firanek. Tylko białe kafle na ścianach, szara wykładzina z PCW i sprzęt z nierdzewnej stali, tak wyczyszczony, że można się w nim przejrzeć.

Dokładnie tak, jak sobie życzy Samuel Koltberg, który w plastikowym fartuchu i jasnożółtych lateksowych rękawiczkach bada częściowo zamrożone zwłoki Johana Krusegård. Ma już serdecznie dość zamarzniętych ciał. Znowu nie będzie mógł dokładnie ustalić, kiedy nastąpił zgon. Nienawidzi tego. Lubi precyzję.

Do tej pory udało mu się jedynie stwierdzić, że Krusegård nie żyje najwyżej od czterdziestu ośmiu godzin. Niklas poinformował go, że kontener opróżniano w poniedziałek, a na worku na śmieci, pod warstewką śniegu, wytworzył się lód. To oznacza, że pierwsze płatki śniegu, jakie spadły na worek, się roztopiły, a zatem ciało musiało być jeszcze ciepłe. Krusegård wrzucono więc do kontenera wkrótce po śmierci.

Koltberg mierzy ranę wlotową w skroni. Ogląda skórę wokół i dostrzega niewyraźny okrągły odcisk zaledwie kilka milimetrów od otworu. Wniosek: Johan Krusegård miał przez dłuższą chwilę przyciśnięty do skroni pistolet. Potem lufa się przesunęła lub ześliznęła nieco w bok, zanim oddano strzał. Ten człowiek odebrał sobie życie, to pewne, ale też się wahał. Albo został do tego zmuszony. Być może ktoś mu groził.

Dlaczego?

Tego będą się musieli dowiedzieć jego koledzy.

Koltberg pobiera kolejne próbki pozostałości prochu na skroni i opuszkach palców, by się upewnić, czy faktycznie do siebie pasują. Potem wyjmie też kulę.

Lubi samotność tu na dole. Tę ciszę. Woń środków dezynfekcyjnych.

Kiedyś, podczas wykładu w wyższej szkole policyjnej, jakaś młoda kobieta go spytała:

– Ale czy to nie okropne grzebać w martwym człowieku?

– O to właśnie chodzi – odpowiedział. – Jest martwy. Nic nie czuje.

Ostrożnie rozwiera szczęki denata i wprowadza mu do ust cyfrowy skaner, by pobrać odcisk uzębienia. Obraz natychmiast pojawia się na monitorze i Koltberg się cieszy, że minęły już czasy masy silikonowej i gipsowych odlewów.

Zapisuje obraz na pulpicie i wysyła go e-mailem do Boba Jacksona, swojego kontaktu w FBI.

Nie pozwoli tej historyczce ze stomatologii sądowej mieszać się w jego śledztwo, to nie wchodzi w grę. Badacze gender mogą sobie mówić, co chcą, ale kiedy chodzi o badanie i analizę twardych parametrów, kobiecy mózg nie może się równać z męskim. Tak po prostu jest.

Przy odrobinie szczęścia FBI stwierdzi, czy odcisk uzębienia Krusegård odpowiada ugryzieniom na ciele tamtego chłopca. Ale Koltberg wie, że prawdopodobieństwo jest niewielkie. Ślady zębów były zbyt niewyraźne.

Odwraca się z powrotem w stronę zwłok leżących na stalowym stole. Patrzy na rozchylone usta.

To ty pogryzłeś tego chłopca, Johanie Krusegård? Skoro już musiałeś, to nie mogłeś chociaż trochę mocniej zacisnąć szczęk?

Koltberg kontynuuje obdukcję. Szuka śladów pobicia albo innych obrażeń. Sprawdza, czy na zwłokach nie ma brudu, kurzu, osadu. Czegoś, co by mu podpowiedziało, gdzie mężczyzna się znajdował w chwili śmierci. Worek na śmieci, w którym leżał, jest już w drodze do NFL, Krajowego Laboratorium Medycyny Sądowej w Linköpingu. Zadaniem chemików i techników kryminalistycznych będzie znaleźć włosy i inne ślady, które mogłyby zdradzić, kto miał kontakt z denatem. I jak go przetransportowano do kontenera.

Po co w ogóle go przenoszono?

Ktoś najwyraźniej uznał, że nie może leżeć tam, gdzie zmarł. Prawdopodobnie było to więc miejsce, gdzie wizyta policji jest niemile widziana.

A takich miejsc nie brakuje.

Nie chciałby na przykład, żeby policja grzebała u niego w domu, w jego prywatnych rzeczach. A już zwłaszcza w komputerze. Najlepiej, by nikt się nie dowiedział o filmach i zdjęciach, które ma zapisane na dysku.

Niklas Svensson w półmroku znajduje wąską lukę pod mostem Kungsbron przy Östra Järnvägsgatan i parkuje tam samochód.

Brudne betonowe ściany są zabazgrane, śnieg żółty od moczu. I wydaje mu się, że są bardzo daleko od czystych białych przestrzeni w Saltsjöbaden, które dopiero co opuścili razem z Rudolfem.

Willa należąca do rodziców Johana Krusegårdą stoi na wzniesieniu przy Strandpromenaden i ma piękne wielkie wykuszowe okna z widokiem na zatokę. Ale żadnego z emerytowanych lekarzy nie było w domu.

– Nie, nie pokazują się tutaj przed wiosną – odpowiedziała im zagadnięta sąsiadka. – Zimą zawsze wyjeżdżają na trzy miesiące do swojego domu w Tajlandii.

W drodze do miasta Rudolf próbował się do nich dodzwonić, ale oboje mieli wyłączone komórki. W Tajlandii właśnie zapada noc.

Johan Krusegård był jedynakiem. Nie założył własnej rodziny, a przyjaciół najwyraźniej też miał niewielu. Historia rozmów z jego komórki zawierała głównie połączenia z telefonem stacjonarnym rodziców i z różnymi telemarketerami.

Od początku grudnia nie odbierał telefonów ani nie odpisywał na esemesy. Technicy, którzy sprawdzali jego komórkę, powiedzieli Niklasowi, że wyglądało to tak, jakby Johan Krusegård przestał jej używać.

Ostatni esemes przysłał w Wigilię niejaki Raymond Nilsson:

Wesołych Świąt, Johan.

A trzy dni później:

Cześć Johan. Masz jakieś plany na Nowy Rok? Sigge robi imprezę, byłoby fajnie, gdybyś wpadł. Odezwij się!

Ale Johan Krusegård nigdy się nie odezwał.

I bardzo prawdopodobne, że akurat w tych dniach zginął Ismail.

Czekając, aż Douglas Juste załatwi nakaz rewizji w mieszkaniu Johana Krusegårdą, Niklas i Rudolf postanowili zacząć od Raymonda Nilssona.

Przecinają ulicę i wchodzą do biurowca ze świeżo otynkowaną fasadą.

Echidna Games, miejsce pracy Nilssona, mieści się na siódmym piętrze. Młoda recepcjonistka ma wściekle różowe włosy i pokryte tatuażami ramiona. Prosi ich uprzejmie, by poczekali i dzwoni do „Raya”, jak określa Raymonda Nilssona.

Niklas omiata wzrokiem otwartą przestrzeń biura za recepcją.

Nad lśnącymi neonowozielonymi stołami zwieszają się z sufitu kuliste lampy. Pośrodku biura na statywie stoi hokej stołowy firmy Stiga, a na lewo od niego siedzi dwóch młodych mężczyzn w bluzach z kapturem i gra w wyścigi samochodowe, każdy na osobnym monitorze.

Niklas mimowolnie się uśmiecha.

Myśli o tym, że będzie miał o czym opowiedzieć Lukasowi dziś wieczorem. Że tata był w miejscu, gdzie można grać w czasie pracy.

Lukas uwielbia grać. Zwłaszcza w Lego Harry Potter. I we wszystko inne, co się

wiąże z tym młodym adeptem magii.

Dziś wieczorem jego klasa wystawia przedstawienie o Harrym Potterze, a Lukas dostał rolę Rona, najlepszego przyjaciela Harry'ego. To ważna rola, z wieloma kwestiami, i Lukas jest bardzo podekscytowany, ale też zdenerwowany.

– Przyjdiesz, tato, prawda? – pytał wiele razy i Niklas mu to obiecał. Zamierza tam być, bez względu na to, co się wydarzy.

Z głębi biura wychodzi uśmiechnięty mężczyzna o inteligentnych niebieskich oczach.

– Dzień dobry – mówi do Niklasa i Rudolfa. – Panowie jesteście z policji?

Niklas spodziewał się jakiegoś grubasa w spranej koszulce z *Gwiezdných wojen*, ale Raymond Nilsson wygląda raczej na wysportowanego faceta z dyplomem Wyższej Szkoły Handlowej. Ma krótko obcięte, trochę nastroszone włosy, ostry nos, wyprasowaną niebieską koszulę i dżinsy podkreślające umięśnione uda.

Podają sobie ręce i Niklas widzi, jak bardzo Raymond Nilsson usiłuje ukryć zdumienie niepełnosprawnością Rudolfa. W żaden sposób tego nie komentuje, ale odsuwa nogą niedbale odstawiony kosz na śmieci, gdy prowadzi ich między biurkami, przy których przed wielkimi monitorami siedzą młodzi ludzie.

Niklas się zastanawia, ilu z nich to multimilionerzy. Bo z pewnością są udziałowcami. Echidna Games w zeszłym roku weszła na giełdę, a gdy kilka miesięcy później ogłosiła, że nawiązała współpracę z Facebookiem, akcje wystrzeliły w górę. Spółka zarobiła na czysto ponad pięćdziesiąt milionów i została wybrana przez „Dagens Industri” „Supergazetą roku”.

Mijają stół do ping-ponga i dwa mrugające flippery i wchodzą do kawiarni Echidna Games.

– Czego się panowie napijecie? – pyta Raymond Nilsson, wskazując na tablicę, na której widnieje co najmniej dwadzieścia rodzajów kawy.

– Myślałem, że pijacie tu tylko jolt colę – mówi Niklas.

– Nie, w tym celu musiałby pan pojechać na DreamHack.

Zamawiają kawę u długowłosego faceta z ludzikiem z Minecraftera na T-shircie i przechodzą do niewielkiej sali konferencyjnej z przeszklonymi ścianami.

– No więc czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt? – pyta Raymond Nilsson.

– Zna pan Johana Krusegård? – zaczyna Rudolf.

– Tak, to mój bliski przyjaciel. Pracował tutaj. Co z nim?

– Dziś rano znaleziono go martwego. Prawdopodobnie odebrał sobie życie.

Raymond Nilsson odstawia jasnoniebieski kubek z kawą i przez dłuższą chwilę milczy. Wygląda bardziej, jakby się nad czymś zastanawiał, niż jakby opłakiwał przyjaciela.

– Wspominał pan, że tutaj pracował – podejmuje Niklas. – Dlaczego przestał?

– Złożył wypowiedzenie, szybko i niespodziewanie. Przeszedł do innej firmy, do OGF, Online Games Factory. To musiało być ze trzy lata temu.

– Wie pan dlaczego? – pyta Rudolf.

– Krążyły plotki, że OGF ma zostać wprowadzona na giełdę. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego Johan tak wybrał. Potem było, jak było. OGF nie

została wprowadzona na giełdę, za to my tak. Wtedy oczywiście chciał wrócić, ale nasz dyrektor naczelny nie toleruje „zdrajców”, jak to ujął. Uważam, że to wszystko było bardzo smutne. Gdyby Johan został, byłby teraz multimilionerem. I może wciąż by żył.

– Miał jakieś kosztowne nawyki? – pyta Rudolf.

– Przez długi czas sądziłem, że nie. Mieszkał w dwupokojowym mieszkanku w Orminge. Nie miał samochodu. Rzadko wyjeżdżał, ubrania kupował sobie w H&M. Ale potem... – Nilsson się waha, unosi kubek, jakby chciał upić łyk kawy, ale po chwili go odstawia. – Jakiś rok temu wyszliśmy wieczorem na miasto i wtedy mi powiedział, że gra i że wpakował się w spore długi.

– W co grał? – pyta Niklas.

– W sieciowego pokera na Unibet i w tym podobne rzeczy.

– Kiedy ostatnio się widzieliście?

– Jakiś miesiąc temu. Zaprosiłem go na pizzę w naszym dawnym ulubionym lokalu, tam, gdzie przesiadywaliśmy w pierwsze chude lata. Zawsze było tak, że jakoś się dobrze dogadywaliśmy. Ale niedawno to się zmieniło. Wcześniej w dziesięć sekund odpowiadał na esemesy, a ostatnio odzywał się dopiero po paru dniach, jeżeli w ogóle. Kiedy spotkaliśmy się w tej pizzerii, prawie nie słuchał tego, co mówiłem, na długie chwile jakby zapadał się w sobie. W całym jego zachowaniu było coś desperackiego. Podejrzewam, że naprawdę wpadł w ten gówniany hazard.

– Miał na ramieniu dość nowy tatuaż – mówi Niklas. – Widział go pan?

– Ma pan na myśli tego lwa?

Niklas kiwa głową, a Raymond Nilsson się śmieje.

– No tak, co mogę o nim powiedzieć? Chyba jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tatuaż do kogoś tak nie pasował. Trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto by mniej przypominał lwa niż Johan. I nie mam pojęcia, skąd było go na to stać, miał przecież długi. A tatuaż był duży.

– Mówił, dlaczego go sobie zrobił?

– Plótł coś, że ma nadzieję, że to mu się pomoże zmienić.

Zmienić się, myśli Niklas.

Przeobrazić się w lwa.

Zabijającego dzieci.

– To pytanie może się wydać panu dziwne, ale jaki był jego stosunek do dzieci?

Na twarzy Raymonda pojawia się napięcie, jakby właśnie się dowiedział, że osoba, którą wydawało mu się, że zna, okazała się kimś zupełnie innym.

– Tylko mi nie mówcie, że był pedofilem.

– Nikt tak nie twierdzi. Po prostu chcielibyśmy się dowiedzieć, jaki był jego stosunek do dzieci.

Mężczyzna jakby lekko się odpręży.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby w ogóle miał jakiś stosunek do dzieci. Miał chyba niewiele bliskich kontaktów z innymi ludźmi.

– Miał jakichś wrogów? – pyta Rudolf. – Czy ktoś chciał go skrzywdzić? Może z powodu długów, o których pan wspominał.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Zwłoki Johana znaleziono w kontenerze, z dziurą po kuli w skroni.

Raymond Nilsson wpatruje się w milczeniu w ciemne okulary Rudolfa. Potem pochyła się nad stołem i mówi:

– To tylko plotka, nie wiem, czy coś w tym jest, ale słyszałem, że tu w Sztokholmie grywa się w rosyjską ruletkę. To znaczy, nie chodzi mi o te głupawe aplikacje, z których nasz szef z jakiegoś niezrozumiałego powodu jest tak bardzo dumny. To jest na serio. I stawki są niesamowicie wysokie.

– Rosyjska ruletka – mówi Rudolf. – No cóż, trudno zaprzeczyć, że stawka jest wysoka.

– Mam na myśli pieniądze. Kiedy pan powiedział, że strzał został oddany w głowę, pomyślałem, że właśnie coś takiego mogło się stać. Że Johan mógł próbować rozwiązać w ten sposób problem długów.

– Od kogo pan słyszał o tej rosyjskiej ruletce?

– Johan mi o tym wspomniał.

– Skąd to wiedział?

– Tego mi nie mówił. A ja się nad tym nie zastanawiałem. To nie mój świat.

– Ale uwierzył mu pan? – pyta Niklas.

Raymond Nilsson wzrusza ramionami.

– Czemu nie? Żyjemy w świecie gier, a ludzie ciągle potrzebują kopa i pieniędzy.

Rudolf w milczeniu kiwa głową.

Wychodzą z biura dokładnie w chwili, gdy dzwoni Douglas Juste i daje im zielone światło na wejście do mieszkania Krusegård.

W windzie Niklas widzi tysiąc swoich odbić w lustrach.

– Rosyjska ruletka. W Sztokholmie – mówi. – Czy to może być prawda?

Dobra, co mamy?

Douglas Juste stoi pochylony nad biurkiem, z rękoma opartymi o blat i wędruje wzrokiem od jednego do drugiego, jakby kolejno wyzywał na pojedynek każdego ze starannie wybranych członków jednostki specjalnej.

Jest parę minut po piątej. Wygląda na to, że klimatyzacja znów normalnie działa, ale dziś można odnieść wrażenie, że Douglas nie czuje się za dobrze w swoim dwurzędowym garniturze od A.W. Bauer & Co. Niebieska wełniana tkanina trochę za mocno opina mu się na brzuchu, ale może tak to powinno wyglądać, kiedy garnitur idealnie leży.

Zackowi się wydaje, że Douglas najchętniej zrzuciłby marynarkę, podkasał rękawy koszuli i zaczął szaleć i wrzeszczeć. Że chciałby się pozbyć maski z Östermalmy. Wciąż jest wyraźnie poirytowany po chaotycznej konferencji prasowej, która dopiero co dobiegła końca. Jest jak granat z wyciągniętą zawleczką.

– W każdym razie film z Ismailem zniknął z sieci – mówi Sirpa, jakby wyczuwała, przez co musiał przejść Douglas. – Przynajmniej z tych stron, na które można trafić przez zwyczajne wyszukiwanie w Google.

– Czyli w końcu się ugięli po fali protestów? – pyta Niklas.

– Wręcz przeciwnie – odpowiada Sirpa. – Tak wielu ludzi z całego świata chciało obejrzeć ten film, że padł serwer Liveleaks. Zdjęli go z czysto praktycznych powodów. Przypuszczam, że z tą arabską stroną było tak samo.

Zack widzi w wyobraźni przerażone oczy Ismaila, gdy pokazuje się mężczyzna w stroju lwa. Słyszy krzyk chłopca. Znajdziemy go, myśli. On za to zapłaci, Ismail.

– Chciałaś nam powiedzieć coś jeszcze, Sirpa, prawda? – pyta Douglas.

– Sądzimy, że udało nam się ustalić dokładny czas nagrywania filmu. Nie zamierzam przypisywać sobie całej zasługi, ale udało nam się to rozgryźć, porównując światło w klatce ze wschodami i zachodami słońca w Sztokholmie oraz ze światłem księżycy w niektóre noce. Wywnioskowaliśmy, że nagranie zaczyna się piątego grudnia około godziny siedemnastej, a kończy o tej samej porze trzydzieści dni później, czyli trzeciego stycznia. Zgadzałoby się to z ruchem słońca po niebie i zachmurzeniem w tym okresie.

Pozostali spontanicznie zaczynają bić brawo, a Niklas wertuje swoje notatki.

– Dokładnie w tym czasie Krusegård przestał używać komórki – mówi. – Byliśmy też u niego w mieszkaniu. W sypialni wisiał wielki plakat z ryczącym lwem, a na regale było kilka fotoalbumów o lwach.

– Coś go łączy z Rumunami?

– Niestety, nic. Pytałem też w Jednostce do Zwalczenia Handlu Ludźmi, ale nie natknęli się na jego nazwisko. Dziś doprowadzili jednak do konfrontacji z kolejnymi dwoma klientami. Czyli w sumie już z czterema. Jeden z nich się przyznał, że kupił dziecko, by wykorzystywać je seksualnie. Ale żaden z nich raczej nie jest powiązany z naszą sprawą.

Douglas powoli kiwa głową i zwraca się do Koltberga:

– Znalazłeś coś interesującego podczas oględzin zwłok Krusegård?

– Ślady prochu na palcach i na skroni są zgodne, więc nie ma żadnych wątpliwości, że sam się zastrzelił. Ale najważniejsze jest to, czy jego zgryz zgadza się ze śladami na zwłokach Ismaila. I w tym punkcie byłem zmuszony skorzystać z pomocy kolegów ze Stanów. Będę ich poganiać, żeby priorytetowo potraktowali naszą sprawę.

Zack niemal słyszy przymilny głos Koltberga rozmawiającego z Waszyngtonem.

– Usłyszeliśmy interesującą teorię odnośnie do samobójstwa Krusegård – odzywa się Rudolf. Opowiada o rozmowie z Raymondem Nilssonem, a potem pyta pozostałych: – Czy ktoś z was słyszał, by w Sztokholmie organizowano zakłady z rosyjską ruletką?

Zack ma wrażenie, że Rudolf się w niego wpatruje. Że go przyszpila niewidzącymi oczami.

Niklas też.

To tak o mnie myślą? Że zajmuję się takim gównem?

Ale wiem, czego szukają gracze.

Jazdy bez trzymanki.

Rewolwer jak narkotyk, co szósta dawka jest śmiertelna.

Byłoby warto?

Gdzie tam.

Ale teraz bym coś wziął. Cokolwiek.

Nie. Zamiast tego zamierza potrenować. Tak obije ten pieprzony worek, że zerwie się z łańcuchów. Potrzeba mu tego po tym przesranym popołudniu.

Wreszcie dostali zgodę ze szpitala Karolinska w Huddinge na przesłuchanie postrzelonego Rumuna, ale to zupełnie niczego nie wniosło. Mężczyzna nie mówi po szwedzku ani po angielsku i nie chciał odpowiadać na pytania Zacka i Deniz, przekładane przez towarzyszącego im tłumacza. Nie udało im się wydobyć z niego nawet nazwiska.

Dowiedzą się, kim jest, tyle że to może potrwać. Wysłali odciski palców do Rumunii, ale odpowiedź może przyjść dopiero za kilka tygodni.

– A trasa chłopca przez miasto?

Mija chwila, nim do Zacka dociera, że to pytanie jest skierowane do niego i do Deniz.

– Ismaila widziano z nieznanym mężczyzną przy Bagartorpsringen w Solnie – mówi Deniz. – Nie wiemy, kim on jest, a nagrania są kiepskiej jakości. Ale wzrostem i posturą przypomina Krusegård. Zdążyliśmy też przejrzeć nagrania z kamer ze stacji kolejki Ulriksdal, ale nic na nich nie było. Nasza teoria jest taka, że ten mężczyzna odjechał z Ismailem samochodem. Może do tego pomieszczenia w skale, może gdzie indziej. Z Bagartorpsringen jest niedaleko do masztu telefonii komórkowej, który odebrał sygnał, gdy Ismail dzwonił do ośrodka dla azylantów. Może to wskazywać, że miejsce zbrodni położone jest na północno-zachodnich przedmieściach. Ale to tylko domysły.

Wracają do dyskusji o samobójstwie. Rozumują w taki sposób:

Jeśli Johan Krusegård sam się zastrzelił, to kto go wrzucił do kontenera? Ktoś, kto nie chciał mieć na swoim podwórku mnóstwa policjantów? I jeśli to Krusegård zabił Ismaila, to dlaczego miałby teraz odebrać sobie życie? Czy po prostu skończył swoją

samozwańczą misję? A może się wystraszył, gdy się dowiedział, że policja znalazła chłopca?

Po Östmanie widać, że jest sceptyczny. Mówi, że to, czego dowiedzieli się o Krusegårdzie, kiepsko pasuje do profilu.

Zack dopija resztę letniej kawy z kubka. Jego mózg pracuje opornie po przeglądaniu nagrań z kamer. Chciałby, żeby kawa zawierała z dziesięć razy więcej kofeiny.

Albo żeby stało się coś dramatycznego.

Cokolwiek.

Wygląda przez okno w mrok późnego popołudnia i słucha jednym uchem, jak Douglas wymienia listę zadań.

Trzeba sprawdzić nagrania z kamer w okolicy stacji benzynowej i tamtej ulicy. Skorzystają z pomocy miejskiej policji i skontaktują się z niektórymi z licznych dzieci-uchodźców, które same przybyły do Szwecji i kręcą się na Sergels Torg, by w ten sposób spróbować zdobyć więcej informacji o Ismailu. Trzeba wypytać w największych salonach tatuażu o motyw na ramieniu Krusegård i nadal próbować skontaktować się z jego rodzicami.

Mają też próbować zdobyć informacje o rosyjskiej ruletce. Wypytać informatorów, zajrzeć do spraw wcześniejszych samobójstw bez wyraźnych motywów.

– Coś mi się kojarzy, że ktoś wspominał o rosyjskiej ruletce w związku z rumuńskimi Romami – mówi Douglas. – To było dobre parę lat temu, ale związek z Rumunami wygląda ciekawie. Rudolf, mógłbyś jeszcze raz przesłuchać Danuta Grigorescu i spytać, czy ma coś do powiedzenia o Krusegårdzie i rosyjskiej ruletce?

Zack myśli o tamtych dzieciach w piwnicy w Södertälje. Czy Grigorescu i jego towarzysze mogą mieć też związek ze śmiercią Krusegård?

Handel dziećmi i doprowadzanie dorosłych do tego, żeby sami strzelali sobie w łeb. Pięknie, myśli Zack. Kurwa, pięknie.

Wracając do swoich biur, Zack i Deniz niemal zderzają się z Niklasem, który szybko idzie do drzwi, jednocześnie próbując włożyć kurtkę.

– A ty dokąd? – pyta Zack.

– Lukas ma za pół godziny przedstawienie. Obiecałem mu, że przyjdę.

Spojrzenie Deniz pochmurnieje. Patrzy za Niklasem i mówi głośno:

– Jak on tak może, do diabła? Idzie na jakieś szkolne przedstawienie, kiedy na głowie mamy morderstwo dziecka!

Niklas odrobinę zwalnia kroku, ale otwiera drzwi i wychodzi.

– Nie bądź dla niego taka surowa – rzuca Rudolf, stojący przy automacie z kawą, kilka metrów od Deniz.

– O co ci chodzi? Mamy masę roboty.

– Ten mężczyzna, którego szukamy... Wątpię, żeby jego ojciec też się tak starał i chodził na jego szkolne przedstawienia – mówi Rudolf i upija łyk kawy.

Niklas Svensson skręca na szkolny parking i widzi Helenę czekającą na niego przed wejściem na salę. Stoi w świetle ulicznej latarni i Niklas ma wrażenie, że otaczająca ją ciemność chce podpełznąć bliżej. Inni rodzice wchodzą do pomalowanego na biało, niskiego betonowego budynku, znikają za podwójnymi przeszklonymi drzwiami.

Niklas wyłącza silnik, ale jeszcze przez chwilę siedzi w samochodzie. Zamyka oczy, oddycha głęboko, próbuje odpędzić ponure myśli. Zwykle nie ma problemów z odłożeniem na bok pracy, gdy wychodzi z posterunku, ale w ostatnich dniach zabierał ze sobą do domu mroczne obrazy.

Wysiada z samochodu i macha do żony.

– Cześć – mówi Helena i patrzy na niego z zatroskaną miną. – Jak tam?

– W sumie w porządku. Nie zdążyłem tylko zapomnieć o pracy. – Obejmuje ją i czuje na szyi zimny czubek jej nosa. Na mrozie ledwie wyczuwa jej znajomy zapach, ale on tam jest, jak pieszczota. – Wejdzmy do środka – mówi po chwili. – Będzie miło.

Budynek jest głęboko osadzony w ziemi, sala ma piętnaście metrów wysokości, ściany są pokryte bielonymi sosnowymi panelami. Około setki rodziców zajęło już miejsca na przymocowanych do podłogi krzesłach. Helena i Niklas z niektórymi się witają i powoli przesuwają się w stronę dwóch wolnych miejsc pośrodku jednego z rzędów na przedzie.

Niklas wyłącza dźwięk w komórce, wsuwa ją do kieszeni marynarki i bierze Helenę za rękę.

Na scenie ciekawskie dzieci co chwilę wyglądają zza kurtyny z czerwonego aksamitu i Niklas skupia się na tym, by cieszyć się tą chwilą. Tylko on i Helena, a za chwilę na scenę wejdzie ich Lukas. Młodsze dzieci zostały w domu, pewnie teraz zamęczają babcię.

Kurtyna się podnosi i zaczyna się przedstawienie *Harry Potter i Kamień Filozoficzny* w wykonaniu klasy trzeciej B.

Harry'ego Pottera gra kolega Lukasa, Arvid, i na początku pierwszego aktu siedzi zamknięty w ciasnej komórce. Przy drzwiach stoją jego źli przybrani rodzice i opowiadają nieprzyjemne rzeczy o dziwnym chłopcu.

Wielu rodziców śmieje się z ich kwestii, ale Niklas myśli o Ismailu.

On też był zamknięty w ciasnym pomieszczeniu, otoczony przez złych dorosłych. Ale nie zjawił się nikt, kto by go uratował i zabrał do wspaniałej szkoły.

Zjawił się lew.

Dziesięć minut później na scenę wtacza się tekturowy pociąg i pojawia się Lukas jako Ron Weasley.

Drży mu głos, ale ma dowcipne kwestie i kiedy próbuje czarować, jego różdżka przełamuje się na pół. Widzowie się śmieją, a Niklas widzi, jak Lukas z całych sił stara się zachować powagę.

Tak właśnie powinny mieć dzieci, myśli. Mają je boleć brzuchy z podenerwowania przed szkolnym przedstawieniem, a nie ze strachu, że dorośli będą się nad nimi znęcać.

W przerwie idą do gwarne go foyer i od kolegów z klasy Lukasa kupują kawę i ciasteczka. W tłoku rozmawiają z innymi rodzicami i chwalą się nawzajem, jakie to mają zdolne dzieci.

Kiedy Niklas idzie po drugą kawę, słyszy rozmowę dwóch ojców, których nazwisk nie zna. Coś sprawia, że się zatrzymuje i podsłuchuje, gdy nalewa sobie kawę.

– Zawsze myślałem, że ten stary schron jest zamurowany – mówi jeden z mężczyzn, a Niklas wciąż stoi za nimi z dwoma pełnymi kubkami kawy w rękach. Mężczyzna ciągnie: – W ostatnich tygodniach wiele razy widziałem, jak wchodzi tam jakiś facet. Raz z ogromnym plecakiem, innym razem z mnóstwem jakiegoś żelastwa i z dużym statywem do kamery. Co on może robić tam w środku?

– Myślisz, że tam mieszka? – pyta ten drugi.

– Kto to może wiedzieć. Po Orminge kręci się sporo dziwnych typów.

Niklas wciąż stoi za ich plecami, jedna ręka drży mu lekko i czuje, że oblał się gorącą kawą, ale to nie ma żadnego znaczenia.

Usłyszał coś ważnego.

Film z Ismailem. Mógł zostać nagrany w jakimś schronie.

A Krusegård mieszkał w Orminge.

Niklas myśli o słowach Östmana.

Przeszukajcie najbliższą okolicę, to najlepsza rada, jaką dla was mam.

Östman miał na myśli najbliższą okolicę Stocksund. Ale co, jeśli morderca ma bazę w Orminge i postanowił przenieść zwłoki Ismaila do Stocksund z powodów, których jeszcze nie znają?

Czy to Krusegård wchodził do tego schronu?

Czy to możliwe, żebyśmy mieli tyle szczęścia?

Niklas chce porozmawiać z tym mężczyzną, wypytać go, ale daje sobie z tym spokój. Ta historia sprawiła, że popołudniówki kompletnie oszalały i ryzyko przecieku jest zbyt duże.

Odstawia kubki i idzie do toalety. Wpisuje w Google „schron” i „Orminge” i przegląda wyniki.

Schron dla ludności cywilnej zamknięty w 1986 roku. Dwa lata temu wystawiony na sprzedaż.

Czy to tam zadręczono Ismaila na śmierć? – myśli.

To żelastwo, o którym słyszał, mogło być materiałem na klatkę. A ogromny plecak... Czy był na tyle duży, by pomieścić dziecko na środkach nasennych? Być może. Jeśli miał sto litrów pojemności albo więcej.

Ale przecież mógł się tam kręcić właściwie każdy. Jest tyle typów, którzy szukają schronienia w opuszczonych tunelach metra i nieużywanych schronach.

Ale to może być nasz człowiek.

Muszę tam pojechać, myśli Niklas.

W drugim akcie Lukas prawie przez cały czas jest na scenie. Helena co chwilę głośno się śmieje, ale Niklas nie jest w stanie się skupić. Raz po raz zerka na zegarek i nie potrafi sobie znaleźć wygodnej pozycji na krześle.

Gdy wracają samochodem do domu, Lukas ma prawdziwy słowotok. „Widziałeś

to, tato? Widziałaś to, mamgo?! Słyszeliście, jak wszyscy się śmiali? Myślicie, że mogę zostać aktorem, tak na serio? Jak to wtedy jest, ile trzeba ćwiczyć?”

Niklas sięga do tyłu i bierze Lukasa za rękę. Jego dłoń jest wilgotna i rozgrzana, tak jak latem, kiedy razem biegali po plaży na Majorce.

– Możesz zostać, kim tylko zechcesz – mówi.

Zostawiają samochód na podjeździe do garażu i Lukas biegnie do babci.

Niklas i Helena przez chwilę siedzą w milczeniu.

– Jest nam tak dobrze – mówi Helena. – Można mieć aż tak dobrze?

– Można. – Bierze ją za rękę. – Dziś wieczorem muszę parę godzin popracować – mówi. – Muszę pojechać i coś sprawdzić, coś, co może sprawić, że już jutro rozwiążemy sprawę, nad którą pracujemy.

Helena zerka na zegarek. Jest dziewiętnasta pięćdziesiąt trzy.

– Chodzi o to zamordowane dziecko, prawda?

Niklas niewiele jej o tym opowiadał, ale Helena śledziła doniesienia w mediach i była przerażona zdjęciami Ismaila w klatce.

– Tak.

– Kto z tobą pojedzie?

– Nikt. Nie ma takiej potrzeby. Nie mam się z nikim spotkać. Muszę tylko sprawdzić pewną informację. Może być rozstrzygająca.

Jego żona powoli kiwa głową, potem wchodzi do domu.

Do Niklasa podbiega czteroletni Tom, który już od dawna powinien być w łóżku.

– Tak późno, a ty jeszcze nie śpisz? – pyta Niklas i bierze go w ramiona.

– Dostaliśmy lody na kolację!

– Dzień jak co dzień?

Tim wymyka mu się z objęć i biegnie do dużego pokoju.

Niklas przytula teściową, dziękuje jej za pomoc, a potem bierze na ręce Emmę. Córeczka ma rozczochrane włosy i jest cała spocona.

– Tata musi wieczorem trochę popracować. Ale przyjdę dać ci buziaka, kiedy już będziesz spała.

– Będziesz łapał złodzieja?

– Nie. Ale muszę sprawdzić coś, co może nam pomóc rozwiązać pewną zagadkę.

Niklas daje jej całusa i sadza ją na sofie. Potem przytula na dobranoc Lukasa i podchodzi do Heleny, by pocałować ją w policzek.

Żona odwraca twarz w jego stronę i całus zmienia się w prawdziwy pocałunek. Wtula się w niego. Zupełnie jakby chciała go zatrzymać.

– Może nie będę jeszcze spała, kiedy wrócisz.

Zack siedzi w metrze i jedzie czerwoną linią na zachód.

Ostatnie godziny pracy spędził na Sergels Torg razem z Deniz i kilkoma mundurowymi. Pokazywali wielu dzieciom-uchodźcom poddane retuszowi zdjęcie Ismaila i na próżno usiłowali zdobyć więcej informacji.

Potem zjadł zestaw z Whopperem w Burger Kingu, pojechał do domu, spakował torbę na trening i znów wyszedł.

Kurtka wciąż śmierdzi tłuszczem do smażenia. Gdyby Mera poczuła ten zapach, zmarszczyłaby nos. Jedyne fast food, jaki uznaje, to eleganckie półkrwiste burgery po dwieście koron sztuka, w towarzystwie facetów w garniturach w centrum.

Zack woli zwyczajne burgery. Szybko i prosto, bez żadnego wydziwiania. Mera go ostrzegła, że jeśli będzie się tak źle odżywiał, zacznie tyć, ale na razie tłuszcz jakoś się go nie trzyma.

Łagodny głos z głośnika informuje, że następna stacja to Bredäng, i Zackowi ściska się żołądek.

Tak jak za każdym razem.

Ale to uczucie nie jest już tak silne. Nie takie jak wówczas, gdy był dzieckiem, gdy musiał tu wysiadać i czasem robić zakupy w drodze do domu. Taszczył ciężkie reklamówki, idąc pod górę ciemną ścieżką. Cały czas czujny i spięty, gotów rzucić wszystko i zwiewać, gdyby pojawili się więksi chłopacy.

A potem docierał do domu, do brzydkiego, szarego, dziewięciopiętrowego bloku z betonu. Do ataków kaszlu, które słyhać było aż na klatce schodowej. Szykował posiłek. Próbował nakarmić tatę. Potem siedział sam przy stole w kuchni i jadł, bo tato zdążył już zasnąć na sofie.

Pociąg rusza dalej. Napięcie w brzuchu ustępuje.

Zack myśli o Johanie Krusegårdzie. Niektóre bloki w Orminge wydają się niemal tak beznadziejne jak te tutaj. Są jakby stworzone do tego, by kwitła w nich przestępczość.

Ale czy Krusegård naprawdę jest tym, którego szukają? Rudolfowi nie udało się niczego wyciągnąć z Danuta Grigorescu, co wskazuje na to, że między Krusegårdem i Rumunami nie ma żadnego związku. Nikt tak jak Rudolf nie potrafi sprawić, żeby ludzie się otworzyli.

Zack wysłał esemesa do Abduli.

Co wiesz o rosyjskiej ruletce w Sztokholmie?

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast.

A co, wybierasz się z dziewczyną na randkę? Sprawdź.

Zack wysiada dwie stacje dalej, w Skärholmen. Zarzuca torbę na ramię, obchodzi łukiem betonowe budynki w centrum i przecnicę dalej otwiera drzwi starego dojo.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio tu był. Zbyt dużo.

Przebiera się w kimono, przewiązuje podniszczonym czarnym pasem, bierze torbę i wchodzi na salę. Bez zastanowienia kłania się na progu.

Przyszedł o jedenaście minut za wcześnie i w dojo nikogo nie ma. Sensei Hiro

pojawi się punktualnie o ósmej. Zack o tym wie.

Wciąga w nozdrza znajomą słabą woń potu, klęka i opiera ręce na biodrach. Lubi te surowe wnętrza. Żadnych chromowanych maszyn ani zdjęć napakowanych ludzi. Tylko białe ściany i miękka czerwona mata na podłodze.

Zamyka oczy i zaczyna medytować.

Gdy był młodszy, uwielbiał tę chwilę. To, jak codzienne troski znikają, a on nie myślał o niczym prócz tu i teraz, wszystko się uspokajało i uświadamiał sobie całe swoje ciało w taki sposób, w jaki nie zdarzało mu się to w żadnych innych okolicznościach.

Po kilku minutach otwiera oczy. Nie potrafi odnaleźć w sobie spokoju. Jakby po ciele i w głowie biegały stada owadów.

Robi kilka okrążeń po sali. Potem dwadzieścia szybkich wyskoków i pięćdziesiąt pompek na knykciach. Tyle musi wystarczyć.

Wyjmuje z torby dwie policyjne pałki. Zaczyna obracać je w dłoniach i wykonuje serie ciosów. Atak, blok. Atak, blok. Wrogowie z prawej, z lewej. Na wprost. Widzi ich w wyobraźni. Rozbraja ich szybko i skutecznie, jednego po drugim.

Przez cały czas obserwuje się w lustrze pokrywającym całą ścianę dojo. Ładnie to wygląda.

Przechodzi do wykonania kata, które sam wymyślił kilka lat temu. Ciało wciąż je pamięta. Ruchy są piękne i płynne, niczym akrobatyczny taniec. Trzy kroki w lewo, cios, cios, kopnięcie. Pełen obrót, blok, blok, a potem...

– Źle układasz biodra.

Głos jest cichy, ale budzi respekt.

Sensei Hiro.

Stoi tuż przy drzwiach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Niski, krępy. Sześćdziesięciosiedmiolatek, który w latach siedemdziesiątych przyjechał do Szwecji i od tego czasu pomaga tysiącom zagubionych młodych ludzi w konstruktywny sposób skanalizować frustrację.

Pan Miyagi ze Skärholmen.

Zack miał zaledwie dwanaście lat, gdy po raz pierwszy przestąpił ten próg. Jako osiemnastolatek zdobył czarny pas. Prezes regionalnego związku widział w nim przyszłego członka kadry narodowej i próbował go namówić, by na poważnie się tym zajął. Ale Zack miał inne plany. Istniały pytania, na które trzeba było znaleźć odpowiedź.

– Mistrzu – mówi Zack i się kłania.

– Jesteś niedbały, Zack. Rozkojarzony. Poruszasz się, jakbyś pokazywał sztuczki reżyserowi z Hollywood, zamiast skupić się na tym, co robisz i dlaczego.

Zack patrzy na niego. Nie widzieli się od ponad pół roku, a facet nawet się z nim nie wita, tylko od razu zaczyna go krytykować.

Jak azjatycka wersja Douglasa, myśli Zack i wybucha śmiechem.

Sensei się nie śmieje i Zack wie, że popełnił nietakt. Nie należy się śmiać ze swojego trenera.

– Wygląda na to, że jesteś w świetnym humorze. Pewny siebie, jak wielki wojownik. Taki, który już nie musi się od nikogo uczyć.

– Mistrzu, naprawdę nie chciałem...

Sensei robi kilka kroków w stronę Zacka. A właściwie to sunie ku niemu w ten przedziwny sposób, którego Zackowi nigdy nie udało się opanować.

– No, pokaż, ile jesteś wart. Jesteś młody i rozgrzany. Ja jestem stary, zziębnięty i sztywny.

– Mistrzu?

– Zaatakuj mnie, zaskocz.

Zack patrzy trenerowi w oczy. Widzi w nich jedynie śmiertelną powagę.

Odchodzi, by odłożyć pałki, ale sensei Hiro mówi:

– Zatrzymaj je.

Daj spokój, myśli Zack. Aż taki dobry nie jesteś.

Ale nic nie mówi, tylko staje naprzeciw swego trenera w odległości około trzech metrów. Obaj wykonują lekki ukłon, a potem Zack przyjmuje pozycję wyjściową do kumite, czyli walki. Lewa noga wysunięta do przodu, ręce przed sobą.

Sensei wciąż stoi z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków.

Zack zaczyna jakby półzartem. Szybki cios w prawy bark, jak uraken uchi, tyle że pałką, a nie grzbietem zaciśniętej dłoni. Trener z łatwością odpiera atak. Błyskawicznie się uchyla i przedramieniem zmienia kierunek ciosu pałką.

Zack przechodzi do kombinacji: cios, kopnięcie, cios. Pałki świszczą w powietrzu, ale jego przeciwnik nawet specjalnie się nie wysila, kiedy blokuje ataki i kontruje szybkim sokuto. Kopnięcie mocno trafia Zacka w brzuch. Zatacza się do tyłu i niezdarnie siada na macie.

Dopiero po kilku chwilach udaje mu się wciągnąć powietrze do płuc, a kiedy wstaje, sensei Hiro znów czeka z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków.

Cholerny dziad.

Ale jeśli sobie życzysz, to proszę bardzo. Z przyjemnością.

Zack znów staje w pozycji wyjściowej. Stara się wyglądać wyczekująco, defensywnie. Przechodzi do błyskawicznego ataku, jednej ze swoich ulubionych kombinacji: markuje niskie kopnięcie prawą nogą, ale szybko zmienia kierunek i wykonuje mawashi geri w głowę. Sensei Hiro z łatwością odpiera atak. Zack przechodzi do kopnięcia okrężnego i kończy ciosem pałki w skroń. To jego specjalność. Jego własne smagnięcie batem. Długo pracował nad tym ciosem. Ćwiczył godzinami, by włożyć w niego szybkość i siłę. Wykonywał go wielokrotnie, aż bolały go nadgarstki.

Teraz sensei Hiro posmakuje tego smagnięcia batem.

Ale Zack nie trafia w cel. Trafia jedynie w powietrze i ledwie udaje mu się zablokować kopnięcie w klatkę piersiową.

Hiro kontynuuje atak i Zack musi zdać się na odruchy. Udaje mu się dwa, trzy razy, potem przypadkiem odsłania twarz i obrywa prosto w nos. Mocno, ale nie za mocno. Jakby trener chciał podkreślić, że stać go na wiele więcej.

Zack obficie się poci, ale czoło jego trenera nie jest nawet wilgotne.

Zack atakuje jeszcze raz i jeszcze raz. Próbuje różnych kombinacji i stara się wykorzystać swój wzrost. Sensei ma niecałe metr siedemdziesiąt, Zack metr dziewięćdziesiąt dwa, a do tego dwie policyjne pałki w rękach. Ale to Zack ciągle trafia w powietrze, a trener raz za razem go dosięga, mocno i stanowczo. W nerki, w żebra,

w nos, w uda.

Zack zaczyna pojmować to, co sensei Hiro zrozumiał już w chwili, gdy wszedł do dojo. Stał się powolny, stracił zwinność i szybkość.

Obrywa kolejne uderzenia, kolejne kopniaki. Nie udaje mu się zablokować nawet połowy. Porusza się coraz sztywniej po wielokrotnych atakach w uda. Jego nos jest zatkany krwią, dyszy tak, jak mu się to zwykle nie zdarza.

Ból może wytrzymać, ale nie jest w stanie znieść tego poniżenia. Ani tego, że dziadek tak cholernie nonszalancko przy tym wygląda.

Zack robi wypad, dziko machając pałkami, ale jest rozkojarzony i odsłania się jak początkujący. Sensei Hiro wykonuje kopnięcie z wyskoku, trafia piętą w prawy bark Zacka i wtedy coś chrupie, a Zack wyje z bólu, jeszcze zanim ląduje na macie.

Bark pali żywym ogniem, Zack skręca się na macie i prawie rzyga z bólu.

Trener staje nad nim. Zack próbuje unieść ręce, żeby się bronić, ale wtedy bark przeszywa taki ból, jakby ktoś ciął go maczetą; musi opuścić prawą rękę.

– Leż spokojnie – mówi sensei i Zack niechętnie opuszcza drugie ramię.

Mistrz chwyta go za prawy bark i Zack krzyczy z bólu.

– Wrzeszczysz jak dzieciak. Skup się na oddechu, zobaczę, co jest nie tak.

Zack zamyka oczy i próbuje się wyciszyć.

Hiro opiera kolano o jego pierś i nagle tak mocno szarpie go za rękę, że Zackowi robi się ciemno przed oczami.

– No i już.

Już? Jak to już?

Zack ostrożnie porusza barkiem. I faktycznie jest lepiej. Nie czuje oporu, kiedy porusza ręką. Sensei Hiro zrobił jakąś sztuczkę w stylu pana Miyagi i nastawił mu bark.

Zack powoli wstaje. Czuje, że kręci mu się w głowie, robi krok w bok, by nie stracić równowagi.

Trener znów stoi naprzeciw niego. Ze znudzoną miną i rękoma opuszczonymi wzdłuż boków.

– No i jak, chcesz kontynuować?

Zack kręci głową. Kłania się.

– Masz rację, mistrzu – mówi. – Jestem rozkojarzony.

– Coś jest z tobą nie tak. Nie mogę cię nauczyć niczego więcej o karate, dopóki nie będziesz gotów tego naprawić.

– Rozumiem.

Sensei Hiro patrzy na niego, czyta w nim, a Zack wytrzymuje jego spojrzenie i mu na to pozwala.

Potem bierze swoją torbę i kuśtykając, wychodzi z dojo.

Niklas Svensson wyłącza silnik, ale dalej siedzi w samochodzie. Wciąż czuje dotyk Heleny. Jej ciepło.

Może powinienem być zostać w domu? Nie. Chcę to zrobić.

Rozgląda się po wielkim parkingu. Stoją tu tylko dwa inne samochody. Całe pokryte są śniegiem i w żółtych stożkach światła ulicznych latarni wyglądają jak zmumifikowane. Na końcu parkingu piętrzy się niemal pionowa skała. Niklas wpatruje się w przypominający grotę otwór w skale i domyśla się, że to właśnie tam jest wejście do dawnego schronu.

Powinienem zadzwonić po któregoś z kolegów?

Nie, muszę to zrobić sam.

Słyszał komentarz Deniz, kiedy wychodził na przedstawienie. Czuł jej spojrzenie na karku. I może nie tylko jej. Potrafi sobie wyobrazić, co o nim mówili, kiedy już poszedł.

Niklas? Pojechał do dzieci, jak zwykle.

Pewnie wymiękną, kiedy jutro na porannym spotkaniu powie, że znalazł jaskinię Lwa. I że zrobił to, kiedy oni siedzieli na sofach i oglądali telewizję.

Wysiada z samochodu, wkłada czapkę i rękawiczki i wysoko podciąga szalik. Minus dziewiętnaście stopni, pada śnieg. Ale przynajmniej wiatr osłabł.

Po prawej stronie stoi wysoki biurowiec i Niklas się zastanawia, czy to przypadkiem nie stamtąd widziano tego mężczyznę, jak wchodził do schronu i z niego wychodził.

Otwiera bagażnik, podnosi wykładzinę i wyjmuje klucz do kół. Wysuwa zimną metalową rączkę na całą długość, tak że narzędzie ma teraz pół metra długości. Macha nim kilka razy. To będzie musiało wystarczyć. Nie ma wyjścia. W tej chwili ten klucz do kół to jego jedyna broń. Pistolet, jak zwykle przed opuszczeniem posterunku, zamknął w szafie na broń.

Wyjmuje z kieszeni latarkę i rusza w stronę otworu w skale.

Idąc z dojo do metra, Zack przy każdym kroku czuje ból mięśni. Boli go brzuch, dudni mu w głowie, pulsuje w prawym barku i w opuchniętym nosie.

Wciąż słyszy słowa sensei Hiro:

Coś jest z tobą nie tak.

Gówno wiesz, dziadku. Gówno wiesz.

Nie mogę cię nauczyć niczego więcej o karate, dopóki nie będziesz gotów tego naprawić.

Czego naprawić? Spadaj razem z tym twoim dojo, do diabła.

Zack nie ma ochoty niczego naprawiać. Ma ochotę coś zagłuszyć.

Obolałą prawą ręką wyjmuje telefon i dzwoni do Abduli.

Niklas nie boi się ciemności ani samotności, ale ogrom skał sprawia, że czuje się mały. Jakby był małym chłopcem z ilustracji Johna Bauera, który właśnie ma zapukać do drzwi ogromnego trolla.

Powinien mieć przy sobie broń. Powinien był wezwać posiłki.

Daj spokój. Jeśli to Krusegård jest mordercą, to już nie żyje. W takim wypadku nie ma się czego bać. Sprawdzisz tylko, czy to tutaj się ukrywał, a potem pojedziesz do domu i przytulisz się do żony.

Wchodzi przez otwór i ze wszystkich stron otacza go skała. Zapala latarkę i widzi metalowe drzwi zaledwie dziesięć metrów przed sobą.

Są uchylone.

Omiata ziemię latarką, próbuje znaleźć jakieś ślady. Ale aż tak daleko nie nawiało śniegu.

Cofa się, przeszukuje większy obszar.

Tam. Zamarznięte ślady tuż przy otworze, nieprzyprószone świeżym śniegiem.

Może to ostatnie ślady mordercy.

Ale nie wyglądają na nowe.

To dobrze.

Wchodzi przez drzwi. Gasi latarkę i przez chwilę tylko nasłuchuje.

Cisza.

W domu kocha ciszę, ten błogi spokój, który następuje, kiedy dzieci zasną. Ale tutaj cisza jest inna. Zimna i jakby nasłuchująca. Niklas uświadamia sobie dźwięk własnego oddechu w sposób, w jaki nigdy mu się to nie zdarza. Myśli, że zimowa kurtka za głośno szeleści przy każdym ruchu.

Znów zapala latarkę, świeci w korytarz i dostrzega przed sobą kolejne drzwi. Podchodzi do nich i ostrożnie naciska lodowatą klamkę.

Drzwi otwierają się z cichym skrzypieniem. Jest teraz w znacznie większym pomieszczeniu. Powietrze jest tu cieplejsze, bardziej wilgotne. Dalej przed nim znajdują się kolejne drzwi, a na ścianie wisi...

Co to był za dźwięk?

Niklas gasi latarkę.

Nasłuchuje.

Gdzieś dalej, w głębi pomieszczenia, rozlega się jakieś szuranie. A może to za tymi następnymi drzwiami?

Wstrzymuje oddech. Znów słyszy ten odgłos. Jakby ktoś poruszał się w ciemności. Ale gdzie? Nie jest już taki pewny, że dźwięk dobiega z drugiego pomieszczenia. Odgłos wydaje się odbijać echem od ścian.

Powinienem był zadzwonić po pozostałych.

Nie mogę zrobić tego sam.

Odwraca się, żeby wyjść. Zapala latarkę i szybkim krokiem rusza do drzwi.

Z cieni tuż przed nim wynurza się mężczyzna. Wytrąca mu latarkę z ręki.

Wykonuje szybki ruch w przód.

Bierze zamach ręką.

Niklas czuje, jak coś zimnego i twardego wbija mu się głęboko w brzuch, ale nie jest w stanie wydać żadnego dźwięku.

Napastnik szarpie nożem w górę, rozrywa mu wnętrzności.

Niklas wyraźnie czuje, jak wszystko w jego ciele rozdziela się na pół.

Dziwne, ale to nie boli.

To go zdumiewa.

Potem osuwa się na podłogę. Czuje zimny beton przy policzku.

I dopiero wtedy dociera do niego potworny ból. Jakby ktoś wpuścił mu do brzucha tysiące szcurów, które zaczynają obgryzać wątrobę, nerki i jelita.

Ale to inny ból sprawia, że chce krzyczeć i usiłuje się podźwignąć.

Musi wracać do domu.

Do żony i do dzieci.

Proszę, daj mi tylko trochę więcej czasu.

Żeby zobaczyć, jak Lukas, Emma i Tim dorastają.

Żeby móc znów przytulić Helenę.

Poczuć jej ciepło.

Czuje słony smak morskiej wody, która go obmywa podczas kąpieli. Słyszy krzyki dzieci, gdy tracą równowagę pod naporem spienionych fal. Widzi Helenę, która z uśmiechem odgarnia mokre włosy z opalonej twarzy.

Potem powoli zapada się pod powierzchnię.

W ciemność.

Muszę tylko trochę odpocząć.

Jestem taki zmęczony.

Taki potwornie zmęczony.

Powoli powraca w niego życie. Ustępuje ból w brzuchu, w udach, w głowie i w barku.

Zack przyciska policzek do chłodnych kafelków toalety. Krew tętni w jego żyłach jak wezbrana rzeka.

Tym razem udało mu się dostać prawdziwy dynamit.

Kryształ.

Ze wszystkich możliwych miejsc produkowany akurat w Korei Północnej.

Ten cholerny drań Abdula nie chciał mu niczego sprzedać, ale Zack nie urodził się wczoraj. Wie, gdzie dostać towar.

Nie kupił wielkiej dawki. Tylko trzydzieści miligramów. Zna ryzyko.

Ale za to jaki efekt. Jakby tysiące małych dłoni równocześnie masowało go po całym ciele.

Opiera się o klapę muszli i powoli wstaje. Ogląda swoją twarz w popękany lustrze. Podbite oko, wielki, spuchnięty nochal. Usta nabrzmiałe jak u naszprycowanych botoksem uczestniczek *Paradise Hotel*.

Wygląda okropnie.

Ale w sumie też fajnie.

Próbuje się uśmiechnąć, ale natychmiast daje sobie spokój, kiedy napinają się wargi.

Ma ochotę na rżnięcie.

Czuje się tak, jakby zaraz miało mu rozsadzić chuja.

Otwiera drzwi toalety, żeby wyjść, i dociera do niego, że nie wie, gdzie jest.

Dochodzi północ i Ester Nilsson jest w trakcie drugiej rundy po okolicy na Kungsholmen. W sztywnych dzinsach marzną jej uda i przyspiesza kroku, żeby się rozgrzać.

Alströmergatan jest cicha i opustoszała, tylko w nielicznych oknach palą się światła. Czy zdarzyło się kiedyś, by tędy szła i nie spotkała ani jednego człowieka? Nie wydaje jej się.

Ale teraz ktoś za nią idzie. Słyszy miękkie kroki na cienkiej warstwie śniegu.

Ester szybko się odwraca, nie zwalniając tempa.

Nikogo.

Wcisła podbródek w wełniany szalik i wydłuża krok.

Co właściwie tutaj robi? Nie ma pojęcia. Po prostu nie mogła tego dłużej znieść. Leżała w łóżku i słyszała, jak matka głośno chrapie po tabletkach. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem.

Z uchylonego okna słyszeć muzykę i Ester aż podskakuje, kiedy otwierają się drzwi na klatkę i na chodnik wytacza się dwóch mężczyzn. Przebiega kilka metrów, żeby się od nich oddalić. Znow się odwraca i widzi, że stoją i zapalają papierosy.

Tęskni za Zackiem. Przy nim nigdy się nie boi. Może będzie mogła do niego zapukać, kiedy wróci do domu.

Ale czy wolno jej iść do niego o tej porze? Chociaż Zack często nie śpi do późna.

Wychodzi w związku z pracą. Albo potańczyć. Mówi, że czasem to robi.

Na tę myśl Ester uśmiecha się pod nosem. Chciałaby go zobaczyć, jak tańczy.

Zastanawia się, czy Zack jeszcze ją lubi. Czasem ma wrażenie, że nie. Na przykład kiedy nie otwiera, choć Ester słyszy, że jest w domu.

Dlaczego tak robi?

Nie może już z nią wytrzymać? Tak jak mama?

Znow jej się wydaje, że słyszy kroki za plecami. Odwraca się, nie zwalniając, i jest prawie pewna, że widziała kogoś dalej na chodniku.

Ale nikogo tam nie ma.

A może?

Nie. Pewnie jej się wydawało. Tak jak mamie. Może to dziedziczne.

Skreca za róg.

Do wejścia na klatkę zostało tylko sto metrów.

Zack mocno zagryza poduszkę. Wije się na łóżku, jakby torturowali go elektrowstrząsami, i z całej siły zaciska powieki, żeby wszystko zniknęło.

Co się dzieje?

Czuje swędzenie u nasady włosów, na rękach, na policzkach, wszędzie. Rozdrapał sobie jedno przedramię do krwi, ale to nic nie daje. Musiałby zerwać z siebie całą skórę. Zrzucić ją jak wąż.

Bo to przecież nie jego skóra. Nie tak naprawdę. To jakaś inna skóra, złocista i porośnięta futrem.

Skóra lwa?

Głowę też ma na sobie? Tak jak ten potwór na filmie?

Wymachuje rękami. Widzi siebie na ekranie telewizora, w głębi, w klatce, krzyczy
Ismail.

To nie ja go złapałem.

Słyszycie, wy głupcy? Słyszycie to?

Uderza ręką w zagłówek łóżka, kopie w ścianę i wpatruje się w zimny ekran.

Słyszysz postękiwanie. Widzi dwie nagie kobiety i mężczyznę na sofie.

Ale wszystko jest do góry nogami. Dlaczego?

Próbuje podnieść głowę. Ale z grawitacją coś jest nie tak. Głowa jest za ciężka.
Zack się poddaje, pozwala, aby z powrotem opadła do tyłu. Uderza nią z całej siły o ramę
łóżka.

Jak właściwie leży?

Przekręca lekko głowę. Wszystko wydaje się znajome, ale jednocześnie coś jest
zupełnie nie tak.

Usiłuje wziąć się w garść.

Tak, faktycznie leży w swoim łóżku. Ale jakoś dziwnie, z nogami na ścianie,
a głowa i ręce zwisają za krawędź.

Kobiety na ekranie dalej pojękują. Wciąż są do góry nogami. Zack okręca głowę
i dociera do niego, że to jego stojący na podłodze laptop.

PIĄTEK, 23 STYCZNIA

Dzwoni telefon stacjonarny i Douglas Juste patrzy półprzytomnie na czerwone jak krew cyfry na wyświetlaczu radia Bang & Olufsen.

02.37.

Zapala ścienną lampę i niezdarnie szuka słuchawki. Chwyta ją i odchrząkuje.

– Tak, tu Juste.

Słyszy, jak kobieta po drugiej stronie próbuje wziąć się w garść, ale już pierwsze słowo przechodzi w szloch.

– Tu... Helena Svensson, żona Niklasa. On... – Długa przerwa. Znowu łkanie. Głębokie, drżące oddechy, jakby usiłowała zapanować nad sobą. – ...On jeszcze nie wrócił. I nie odbiera telefonu.

Znów długa chwila ciszy. Douglas ma właśnie coś powiedzieć, ale Helena go ubiega.

– Boję się. Musiało mu się coś stać.

Douglas zdążył już usiąść na łóżku. Pod bosymi stopami czuje niepowtarzalny w dotyku perski dywan, twardy i miękki równocześnie. Sięga do nocnego stolika i zapala niebieską lampę projektu Arnego Jacobsena, która stoi nad monografiami o sztuce.

– Dokąd pojechał Niklas? – pyta.

– Co? Nie wiesz tego? – Kobieta podnosi głos, jest na skraju hysterii. – Mówił, że to coś ważnego. Coś związanego z tym chłopcem w klatce.

Douglas zamyka oczy, usiłuje myśleć. Zapomniał o czymś? Niklas go informował, że zamierza coś zrobić? Nie, nic takiego nie było. To dlaczego wyjechał w środku nocy? I dokąd?

– Heleno – mówi najspokojniej jak potrafi – możesz zacząć od początku?

Mężczyzna stoi w podłużnym holu i zdumiewa go własny spokój. Tętno około osiemdziesięciu uderzeń na minutę, nie więcej.

To kwestia wyboru. Albo postrzegasz ciemność jako coś przerażającego, albo jako coś, co daje ci osłonę.

Jako przyjaciela, twojego współtwórcę.

On już dokonał wyboru.

Zrobi to.

To jedyna słuszna decyzja.

Wcześniej musiał już się mierzyć z trudniejszymi wyzwaniem. Nabrał odpowiedniej perspektywy do zadania, które teraz go czeka.

Wie, jakie jest trudne. I jakie łatwe.

Moc czynu. Zdumione, smutne, przerażone oczy pełne przeświadczenia, że zbliża się śmierć. Opadające powieki.

Ostrożnie zakrada się w głąb holu, wdzięczny, że na podłodze leży długi chodnik.

W pokoju kawałek dalej słychać pochrapywanie i kiedy tam zagląda, widzi kobietę śpiącą na plecach, z rozchyłonymi ustami.

Matka dziecka.

To nie o nią mu chodzi.

Odwraca się i rusza w drugą stronę, ale przystaje, gdy skrzypi podłoga.

Matka mamrocze coś przez sen i odwraca się na łóżku.

Jest gorąco.

Za gorąco.

Powietrze jest wilgotne.

I jakiś dźwięk. Coś, co przeszkadza.

Zack próbuje otworzyć piekące, zapuchnięte oko. To nic nie pomaga. Wciąż jest ciemno.

Znów słyszy ten dźwięk. Tym razem głośniej.

Ktoś puka.

Ester?

Teraz naprawdę nie dam rady.

Która jest właściwie godzina?

Próbuje sięgnąć po telefon, ale dociera do niego, że ma kołdrę na głowie.

Poirytowany ją ściąga. Kilka razy głęboko wciąga powietrze.

Znów słychać pukanie. Łomotanie. Jakby ktoś walił pięściami w jego drzwi.

Rozwścieczony głos z klatki schodowej.

– Otwieraj! Wiem, że jesteś w domu. Kurwa, widziałam cię w oknie.

To nie Ester.

Deniz.

Znowu się dobija, tak mocno, że aż trzęsą się ściany, i kiedy Zack siada na łóżku, ma wrażenie, że Deniz wali go po głowie.

Zataczając się, rusza w stronę sofy. Uda są sztywne jak betonowe bloki. Łapie dzinsy i udaje mu się je naciągnąć.

Ma strasznie sucho w ustach, jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie chciało mu się pić.

– Otwieraj. Musimy jechać!

– Tak, tak – mruczy Zack i robi kilka kroków w stronę drzwi.

Wtedy przypomina sobie o laptopie. Najwyraźniej uruchomił jakiś film porno. Nie może tak wpuścić Deniz.

Ale gdzie się podział laptop? Zack zagląda pod łóżko. Nie widzi go. Wstaje, ale kręci mu się w głowie i się zatacza. Każdy mięsień w ciele protestuje przeciw gwałtownym ruchom.

Znów łomotanie do drzwi.

– Zack, no dalej!

Wtedy go widzi. Porządnie złożony stoi na komodzie.

Jak tam trafił?

Zack otwiera drzwi.

Ester siada na łóżku.

Obudził ją jakiś dźwięk, ale nie wie, co to było.

Nasłuchuje.

Tylko chrapanie mamy i tykanie zegara w kuchni.

Znów kładzie głowę na poduszce. Myśli o Zacku. Nie otworzył, kiedy do niego pukała. Ale był w domu, jest tego prawie pewna. Pewnie z Merą. Ester usłyszała pojękiwanie i odeszła stamtąd z płonącymi policzkami.

Teraz słyszy inny dźwięk.

Otwierają się drzwi.

Mężczyzna ostrożnie naciska klamkę. Widzi dziecko leżące w łóżku, odwrócone twarzą do ściany.

Zakrada się do pokoju, z kieszeni czarnego polaru wyjmuje strzykawkę i ściąga plastikową osłonę z cienkiej igły. Teraz musi działać szybko i być przygotowany na gwałtowny ruch ofiary. Kładzie rękę na ramieniu dziecka i ostrożnie wbija igłę w szyję, tuż pod podbródkiem. Dziecko cicho jęczy, ale się nie budzi.

– Szsz... – szepcze mężczyzna, wstrzykując płyn.

Patrzy na zegarek, czeka piętnaście sekund, potem podnosi chłopca i zarzuca go sobie na ramiona, tak jak to robią strażacy, by mieć jedną rękę wolną. Ostrożnie wychodzi do holu. Zatrzymuje się i nasłuchuje. Kobieta dalej chrapie.

Jego oczy zdążyły się już przyzwyczaić do słabego światła i kiedy szybko wraca do dużego pokoju, wyraźniej widzi wnętrza willi na Lidingö. W jadalni zyrandol z dolarowych banknotów, biała drewniana boazeria na ścianach w holu, groteskowo wielki i lekko wygięty ekran telewizora na ścianie salonu i czasopismo „Wired” odłożone w widocznym miejscu na stoliku przy sofie, który wygląda jak jedna wielka porcja lukrecjowych żelków – jest biało-żółto-czarno-różowy.

Teraz zabrałem to, co macie najcenniejszego.

Mogę zrobić wszystko.

Nic mnie nie powstrzyma.

Wszyscy to zobaczą.

Ostrożnie otwiera okno, przedostaje się przez nie razem z chłopcem i zeskakuje miękko na ziemię. Oddała się przez ogród.

Nie boi się ciemności. Wykorzystuje osłonę, jaką mu daje.

Jak drapieżnik.

Deniz wygląda, jakby chciała na niego strasznie nawrzeszczyć, ale kiedy widzi twarz Zacka, jej wściekłość zmienia się w zdumienie.

Ujmuje w dłonie jego twarz.

– Co ci się stało? Wyglądasz, jakbyś się zderzył z pociągiem.

Zack próbuje uwolnić głowę i znaleźć jakąś dobrą wymówkę, ale Deniz trzyma go mocno. Patrzy mu w oczy.

– Co jest, kurwa... Naćpałeś się, ty skurwielu.

Wymierza mu siarczysty policzek, dokładnie w miejsce, gdzie kilka godzin wcześniej sensei Hiro trafił prawą stopą.

Boli tak bardzo, że Zack ma ochotę wrzasnąć. Ale tylko się cofa i mówi:

– Uspokój się, proszę. Co się stało? I która godzina?

– Kwadrans po trzeciej! Niklas Svensson zaginął ponad siedem godzin temu.

Zack na nią patrzy. I w chwili, gdy wreszcie dociera do niego, że coś się strasznie pochrzało, zaczyna się trząść na całym ciele, jakby ktoś go oblał wiadrem lodowatej wody.

Usiłuje zebrać myśli. Zrobili wieczorem jakiś nalot? Jeśli tak, to dlaczego nie brał w tym udziału?

Bo się naćpałeś metą, pieprzony idioto.

Zamyka oczy i próbuje szybko sobie przypomnieć, co robił wieczorem.

Był w dojo i walczył z sensei Hiro. A potem kupił metamfetaminę.

Tylko od kogo?

Nie od tego dilera, który zwykle stoi na Fridhemsplan, tylko od kogoś innego. Od Afgańczyka.

Mimo wszystko trochę kupił. Zaryzykował. I potem wszedł do jakiegoś obscurnego kibla i wtarł sobie proszek w dziąsła. W pierwszych minutach świetnie się czuł, a potem zaliczył gigantyczny zjazd. Był w jakimś barze i nie mógł się ruszyć. Potem ledwie siedział w taksówce i nie wiedział, dokąd kazać się zawieźć. W końcu powiedział kierowcy, żeby zawiózł go do domu, i zmusił się, żeby nigdzie nie wychodzić i przeczekać zjazd.

Żałosny dupek.

– Co zrobił Niklas?

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

– Idę z tobą – mówi Zack i wyciąga z szafy czysty T-shirt.

– Wołałabym jechać z bandą neonazistów.

Deniz w kilku krokach pokonuje przedpokój i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Zack je otwiera i woła za nią tak głośno, że cała klatka schodowa rozbrzmiewa echem.

– Czekaj! Nie możesz mi chociaż powiedzieć, dokąd jedziesz?!

Ale Deniz jest już na ulicy.

Zack się zastanawia, czy za nią pobiec, ale daje sobie spokój. Na śnieg i mróz w samych dzinsach? Nie. Jeśli tak się zawzięła, to niech jej będzie.

Trzaskają drzwi i Ester słyszy głosy na klatce schodowej. Na piętrze Zacka.

To jego głos. I jakiejś kobiety.

Może Mery. Chociaż to chyba nie ona. Ten ktoś jest wściekły.

Ale głosy już ucichły. Pewnie się pogodzili.

To dobrze.

Może rano Zack zdąży mnie zabrać na kawę.

Zack wyciąga colę z lodówki. Wypija całą wielkimi haustami i kładzie się na łóżku.

Musi sprawić, by jego mózg zaczął pracować. Ale czuje się tak, jakby ktoś walił go łomem w czoło, i każda myśl rozsypuje się w pył, jeszcze zanim na dobre zdoła się pojawić.

Co takiego przeoczył? Na jaką misję wybrał się Niklas w środku nocy? Czy Zack nie mógł dostać tego zadania? Wtedy przynajmniej nie naćpałby się tym gównem.

Wciąż czuje smak metamfetaminy. Z czym właściwie była zmieszana? Pierdolony Afgańczyk.

Ale teraz musi coś zrobić. Może zadzwonić do Douglasa? Dowiedzieć się, co się stało, a potem wsiąść w taksówkę i jechać szukać Niklasa.

Dobry pomysł.

Właśnie tak zrobi.

Zamyka oczy.

Tylko trochę odpocznie.

Zbierze siły.

Tylko minutkę.

Albo dwie. Najwyżej.

Deniz z całej siły wciska pedał gazu.

Zack ją zawiódł, kiedy najbardziej go potrzebowała. Dokładnie tak, jak przewidziała.

Upija łyk kawy z papierowego kubka. W drugim uchwycie też tkwi kubek. Kupiła kawę dla Zacka. Nie mogła się doczekać jego pełnego wdzięczności uśmiechu, kiedy mu ją da.

Potem miała mu opowiedzieć, co wie. Że wczoraj wieczorem, tuż po ósmej, Niklas wyjechał z domu i według jego żony miało to coś wspólnego z Ismailem. Niecałą godzinę temu Helena zadzwoniła do Douglasa i była kompletnie roztrzęsiona, bo jeszcze nie wrócił.

Potem Douglas zadzwonił do Deniz i ją obudził.

Nie docierało do niej, co mówił. Zostawić rodzinę, pojechać na jakąś niezatwierdzoną akcję, nikomu nie wspominając o tym ani słowem, nawet Rudolfowi? To nie w stylu Niklasa.

– Jego telefon został wyłączony tuż po dwudziestej pierwszej – powiedział Douglas – ale do tego czasu miał włączoną funkcję śledzenia. Ostatni sygnał pochodził z niewielkiego rejonu przemysłowego w Orminge.

– W Orminge? Tam, gdzie mieszkał Krusegård? – spytała.

– Tak. Wysłałem wóz do jego mieszkania i zorganizowałem jeszcze jeden patrol, żeby sprawdził okolicę. Pewnie spotkacie się z nimi na miejscu.

Spotkacie się.

Ona i Zack.

Ale nie tym razem.

Wciąż widzi jego oczy. Szkliste, naćpane.

Znowu.

Zack się nie stacza.

Już jest na dnie.

Tkwi po uszy w tym bagnie.

Deniz sądzi, że zna przyczynę. Ten jego durny, pieprzony kumpel, diler.

Abdula późnym latem wyszedł ze szpitala i teraz najwyraźniej działa jak otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę prywatna apteka Zacka.

Byłoby lepiej, gdyby umarł w tym szpitalu, myśli Deniz, ale od razu żałuje.

Jest mu coś winna. Kiedyś uratował życie jej i Zackowi. Ale teraz Deniz ma wrażenie, jakby odbierał jej przyjaciela. Zaopatrywał go w narkotyki, przez które się stacza. Zupełnie jakby biernie pomagał mu się zabić.

Jej wściekłość znów kieruje się na Zacka.

Nie musiał przyjmować takiej pomocy, mógł wytrzymać. Nikt go nie zmusza, żeby brał to gównno.

Deniz szybko jedzie pustymi ulicami.

Po piętnastu minutach opuszcza drogę 222 i wjeżdża w Ormingeleden. Na

Ormingeringen skręca w lewo, mija rzędy ponurych szarych bloków i wjeżdża w rejon przemysłowy, w którym czuje się jeszcze bardziej osamotniona. Przy drodze wznoszą się opuszczone budynki i przesywa ją dreszcz, choć w samochodzie jest ciepło.

Czego Niklas tu szukał?

Coś się musiało stać.

Coś niedobrego.

Czasem czuje się prowokowana przez Niklasa. Przez tę jego wspaniałość.

Nie chodzi o to, żeby patrzył z góry na jej sposób życia, bo tego nie robi, w każdym razie nie otwarcie, ale po prostu jest taki cholernie... dobry. W stu procentach wzorowy tata, współuczestniczący w wychowywaniu dzieci; dostałby plusy od wszystkich badaczy gender. A do tego jeszcze działa w związku zawodowym, jeździ z synem na unihokeja i robi mnóstwo innych rzeczy.

Jak on daje radę? Sama nie potrafiłaby dać innym tak wiele z siebie.

Cornelia na pewno by chciała, żeby Deniz była taka jak Niklas. Nieśmiało myślą o wspólnej przyszłości. Zastanawiają się, jak by to miało wyglądać. Od dawna obie chcą zrobić kolejny krok, naprawdę razem zamieszkać. Zrezygnować z jednego z mieszkań.

Ale czy gdzieś jest napisane, że tak trzeba? Deniz jest właściwie zadowolona, że ma swoje dwupokojowe mieszkanie i jest panią swojego czasu. Nawet jeśli Cornelia prawie zawsze u niej jest, kiedy nie pracuje. Ale na samą myśl, że musiałyby uczestniczyć w kolacjach dla par, odwiedzać teściów i wybierać się na wspólne zakupy do Ikei, Deniz ogarnia panika.

Z Niklasem jest na odwrót. Bez żony i dzieci byłby tylko połową siebie.

Deniz ma nadzieję, że Rudolf jest już u Heleny. Douglas wspominał, że wsiadł w taksówkę i do niej pojechał. Helena może teraz potrzebować oparcia w takim człowieku jak Rudolf. Dającym poczucie bezpieczeństwa.

Deniz ostro hamuje i wpada w poślizg na lodzie.

Tam, na tym wielkim, opuszczonym parkingu stoi radiowóz. I srebrzysty peugeot Niklasa. Parking zajmuje sporą powierzchnię i rozciąga się od kilku dużych budynków przemysłowych aż do wysokiej skalnej ściany na drugim końcu. Trochę dalej wznosi się samotny wysoki biurowiec.

Gdy Deniz podjeżdża powoli do obu wozów, widzi policjanta świecącego latarką w przypominający grotę otwór w skale.

Zatrzymuje się. Wysiada.

I dociera do niej, że nie czeka tam na nią nic prócz bezlitosnego mroku.

Aspirant z latarką ma wąskie, chude ramiona i zsiniałe usta. Jego partner siedzi w wozie kawałek dalej i wygląda, jakby rozmawiał z kimś przez radio.

– Widziałeś coś? To znaczy oprócz samochodu? – pyta Deniz, gdy już podali sobie ręce i się przedstawili.

– Nie, nic. Przyjechaliśmy chwilę temu, w samochodzie już wtedy nikogo nie było. A śnieg, który padał w ostatnich godzinach, zasypał ewentualne ślady.

– A tam? – pyta Deniz, wskazując głową na otwór grotu.

– Wasz szef, Donald czy jak mu tam, mówił, żebyśmy się wstrzymali, jeśli nie będzie wyraźnego powodu do interwencji.

Deniz robi kilka kroków w stronę otworu w skale. Ma wrażenie, że bije od niego lodowaty oddech śmierci. Jakby stali u bram Hadesu.

Co znajdę tam w środku?

Wyjmuje latarkę z kieszeni spodni i oświetla uchylone drzwi.

Zack, chcę, żebyś był przy mnie. Brakuje mi ciebie. Skurwielu.

– Wchodzimy – mówi do aspiranta. – Trzymaj się tuż za mną.

Drzwi skrzypią, kiedy je popycha. Deniz oświetla szare ściany i śledzi wzrokiem kilka niknących w mroku metalowych rur.

Robi kilka kroków, potyka się o coś dużego, co leży na ziemi, i się przewraca.

Latarka z brzękiem toczy się po podłodze.

– Halo?! – woła przestraszony aspirant. – Halo?! Co się stało?!

Deniz nie odpowiada. Klęczy wpatrzona w zwłoki, o które się potknęła. Światło latarki pada na ścianę, rzucając wielkie, ponure cienie na twarz leżącego.

Na zamknięte oczy. Kurtkę.

Wnętrznosci.

Nie, nie, nie.

Jelita, które wylewają się z rozprutego brzucha jak tłuste, poskręcane węże.

Deniz przysuwa palce do jego szyi, choć wie, że nie wyczuje pulsu. Ale musi coś zrobić. Próbować ratować coś, co nie może już zostać uratowane.

Podchodzi aspirant. Zatrzymuje się z latarką skierowaną na twarz Niklasa.

– Ożeż... Co mamy... to znaczy... mam wezwać posiłki?

– Dzwon do Douglasa – szepcze Deniz, nie odrywając wzroku od Niklasa. – Powiedz mu, że go znaleźliśmy.

Kroki aspiranta cichną w oddali, a Deniz wciąż siedzi przy zwłokach. Patrzy na spokojną twarz, na zamknięte oczy, które już nigdy się nie otworzą, i z jej gardła wyrывa się krzyk. Krzyczy na śmierć, która nie miała prawa przychodzić po Niklasa. Na ciemność, która pochłonęła ostatnie światło.

Chce się skulić i po prostu płakać, ale wtedy dostrzega coś dziwnego na szyi Niklasa.

Coś białego sterczy z kołnierza kurtki.

Deniz się pochyla i przygląda temu. To odręcznie zapisana karteczka wyrwana

z kołonotatnika. Sięga po latarkę i oświetla ją.

Nie próbujcie mnie powstrzymać.

Inaczej spotka was to co chłopca.

I jego.

Jest piątek, szósta rano. Mrok w schronie rozświetlają silne reflektory, a technicy zaczynają wynosić zawinięte w plastik przedmioty.

Deniz siedzi w samochodzie Douglasa i ogrzewa dłonie o kubek. Ale nie pije kawy, wpatruje się tylko pustym wzrokiem przed siebie.

To jej wina, że Niklas nie żyje. Doprowadziła go do tego swoimi uwagami.

Jak on tak może, do diabła? Idzie na jakieś szkolne przedstawienie, kiedy na głowie mamy morderstwo dziecka!

To były jej ostatnie słowa. I umyślnie powiedziała to głośno, żeby ją usłyszał. Zupełnie jakby miała prawo go oceniać. Ojca, który chciał być obecny przy ważnym wydarzeniu w życiu syna.

Czy to dlatego wczoraj wieczorem Niklas pojechał sam? Może dostał jakiś cynk i postanowił go sprawdzić, żeby pokazać jej i pozostałym, że on też ciężko pracuje nad sprawą?

Deniz się wzdryga, gdy ktoś otwiera drzwi od strony kierowcy.

– Cześć – mówi Douglas i siada obok niej. – Jak się czujesz?

Deniz wzrusza ramionami.

– Nie powinnaś być dla siebie taka surowa. Nie masz z tym nic wspólnego.

– To moja wina, że przyjechał tu sam.

– Nie tak, Deniz. Nie mamy pojęcia, dlaczego Niklas to zrobił.

Douglas wypowiada te słowa z naciskiem, jakby chciał podkreślić, że to koniec dyskusji.

Po wewnętrznej stronie szyby zebrała się para. Deniz wyciera ją rękawem i widzi, że ze schronu wychodzi Koltberg. W końcu do niego dotarło, że jest zima, i włożył czapkę i ciepłe buty, ale nie wygląda ani trochę weselej. Macha ze złością na jakiegoś technika, który pewnie źle coś niesie.

– To nie tutaj zginął Ismail – mówi Douglas. – Ściany nie są takie jak te, które widać na nagraniu. Raczej wygląda na to, że ktoś zaczął przygotowywać te pomieszczenia. W środku leżą nowe kable, a technicy znaleźli parę zespawanych prętów, które mogły być początkiem nowej klatki.

– Żadnych śladów kół ani butów? – pyta Deniz.

– Jeszcze nie. Trudno coś znaleźć na tej twardej nawierzchni pod świeżym śniegiem, ale technicy zebrali w schronie mnóstwo drobnych przedmiotów, które trzeba zbadać. Oczywiście będziemy też musieli porozmawiać z okolicznymi mieszkańcami, ale prawie nikt tu nie mieszka, a firmy z tego biurowca pracują w zwykłych godzinach.

Douglas spogląda na biurowiec i milknie.

Ma podkrążone oczy i Deniz po raz pierwszy dostrzega zmarszczki na jego twarzy.

– Sprawdziliśmy telefon Niklasa? – pyta.

– Tak. Połączenia z kolegami, żoną i z rodzicami Krusegård. Nic, co by się rzuciło w oczy.

– No to możemy wykluczyć Krusegård, prawda?

– Jeżeli nie było w to zamieszanych więcej osób. Ktoś ewidentnie przeniósł zwłoki Krusegård po jego śmierci. Mógł mieć jakiegoś pomocnika, tego nie braliśmy pod uwagę.

Deniz upija łyk letniej kawy. Potem mówi:

– Niklas w jakiś sposób się dowiedział, że przebywał tutaj morderca. Musimy zrozumieć jak. Co mówi Helena?

– Zaraz tam jadę – mówi Douglas. – Ale nie jestem pewien, czy teraz będziemy mogli ją wypytywać. Przede wszystkim muszę ją powiadomić, że jej mąż nie żyje.

Douglas wysiada z samochodu odwołany przez kogoś z ekipy. Deniz zostaje sama i myśli o tym mężczyźnie, którego zastrzeliła we wtorek, Emilianie Petrescu. Może on też miał rodzinę. Jeśli tak, to kto powiedział jego żonie o tym, co się stało?

Może teraz jest gdzieś kobieta z dziećmi, która nienawidzi Deniz tak bardzo, jak ona nienawidzi człowieka, który zabił Niklasa?

So what?

Emilian Petrescu nie zasługiwał na to, żeby żyć.

Ale Niklas tak.

Helena Svensson otwiera drzwi i wpuszcza Douglasa.

Zaczerwienionymi od płaczu oczami błaga o jakąś dobrą wiadomość. Ale Douglas nie potrafi kłamać. Helena widzi, jak kręci głową, i osuwa się na podłogę.

Do przedpokoju wbiega Lukas we flanelowej piżamce, z młodszym braciszkiem na rękach.

Poznaje Douglasa i pyta:

– Kiedy wróci tata?

Zacka budzą promienie słońca padające na twarz i dociera do niego, że mocno zaspał.

Patrzy na zegarek. Jest 10.14.

Nie.

To nie może być prawda.

Deniz. Niklas. Co się z nimi stało?

Miał przecież za nią jechać. Zrobić coś.

Wlecze się do łazienki i przeraża go widok własnej twarzy w lustrze. Nos wciąż jest spuchnięty, jedno oko wygląda, jakby zarosło, a dolna warga jest obrzęknięta i brudna od krwi.

A prawa ręka? Co się z nią stało? Wygląda, jakby się bił z człowiekiem-lwem.

Wchodzi pod prysznic. W pierwszej chwili delektuje się gorącym strumieniem wody, ale kiedy się schyla, by podnieść z podłogi butelkę z szamponem, natychmiast rzyga.

Splukuje kafelki na ścianie, ale znów wymiotuje, kiedy próbuje posprzątać żółtobrazowe grudki, które zatrzymały się na dnie kabiny.

Nastawia ekspres i wlecze się z powrotem do łóżka po komórkę. Pięć nieodebranych połączeń od Douglasa. Deniz nie dzwoniła.

Wybiera numer Douglasa, ale czuje kolejną falę mdłości i natychmiast się rozłącza.

Kawa smakuje ohydnie i parzy popękane usta, ale Zack zmusza się, by przełknąć kilka łyków, i cieszy się, że od razu ich nie zwraca.

Kiedy wkłada ubranie, zaczyna gwałtownie drzeć, całym jego ciałem wstrząsają dreszcze, ale i tak postanawia, że przespaceruje się na posterunek.

Może na zimnie poczuje się odrobinę lepiej. Albo chociaż w miarę znośnie.

Kiedy dziesięć minut później otwiera drzwi Jednostki do Zadań Specjalnych, znowu czuje falę mdłości. Powinien biec do toalety, ale stoi jak wryty. Widzi płomyki świec, rzucające migotliwe światło na wesołe oczy Niklasa na oprawionym w ramkę zdjęciu. Bukiet białych lilii w jednym wazonie, czerwonych w drugim. O wazonie stoją oparte kartki z kondolencjami.

I smutne twarze żywych. Siedzą w półkolu przy niewielkim stole. Sirpa, Deniz, Rudolf, Sam Koltberg i Tommy Östman.

Zack rozumie, co widzi.

Ale to nie może do niego dotrzeć.

Nie.

Niklas Svensson. Nie żyje.

To niemożliwe.

To nie może być prawda. To tylko jakiś sen. Jeszcze się nie obudziłem.

Niklas na zdjęciu wydaje się tak pełen życia. I ma dzieci. I żonę. I jest jedynym policjantem z czystym sumieniem, jakiego Zack zna. I...

...i nie żyje.

Dlaczego.

Co się stało w nocy?

I dlaczego nikt nic nie mówi?

Dlaczego tak na mnie patrzą? Jakby mnie nie poznawali.

Jakby nie chcieli mnie znać.

Deniz im powiedziała, że w nocy byłem naćpany jak świnia?

Niepewnie robi kilka kroków w głąb biura, czuje się jak niechciany intruz, jak ktoś obcy.

Sensei Hiro miał rację co do niego. Do niczego się nie nadaje. Stracił to, co kiedyś miał.

Zack siada trochę z boku na wolnym krześle. Milczy. Patrzy na smutne twarze. Ma zbyt wielki mętlik w głowie, by móc opłakiwać kolegę.

Niklas wpatruje się w niego z fotografii. Lekko przekrzywiona głowa, wesołe oczy i uśmiech.

Co się stało w nocy?

Zack patrzy na Deniz, ale koleżanka siedzi odwrócona do niego plecami.

Obok niej Rudolf, z pochyloną głową. Nieogolony.

Czy kiedykolwiek widział go nieogolonego?

Douglas wychodzi ze swojego gabinetu. Ma na sobie czarny garnitur, białą koszulę i dyskretny krawat i po raz pierwszy od dawna Zack uważa, że odpowiednio się ubrał do pracy. Bez przesadnej elegancji.

– Macie siły na krótką odprawę? – pyta Douglas. – Możemy to zrobić tutaj.

Pozostali kiwają głowami i odwracają krzesła w stronę szefa. Teraz Deniz jest trochę bliżej Zacka, ale wciąż nie patrzy w jego stronę. Zauważa go natomiast Douglas i marszczy brwi, gdy ich spojrzenia się spotykają.

Czyli już wiedzą.

Nie chcą mieć ze mną nic wspólnego.

Zack ma ochotę wstać i krzyknąć: „Halo! Przepraszam, że nie było mnie w nocy, ale czy ktoś może mi powiedzieć, co się stało?”.

Mimo to milczy.

– Najlepsze, co możemy zrobić, żeby uczcić pamięć Niklasa, to schwytać jego mordercę – zaczyna Douglas. – Mam nadzieję, że wszyscy jesteśmy co do tego zgodni. – Pozostali mruczą na potwierdzenie, a Douglas ciągnie: – Wszystko, co, jak nam się wydawało, wiedzieliśmy, stanęło na głowie. Na razie wychodzimy z założenia, że Niklasa zamordowała ta sama osoba, która zabiła Ismaila. Ale nie w tym samym miejscu. I nie wiemy, co sprawiło, że wczoraj wieczorem Niklas pojechał do Orminge.

Zack tłumi falę kwaśnych wymiocin. Czyli człowiek-lew zamordował Niklasa? Tymi pazurami, które pokazywał na filmie? Ale dlaczego?

I co on sam robił, kiedy Niklas walczył o życie?

Ćpałem.

Właśnie to robiłem.

Ćpałem i zmarnowałem czas Deniz.

Może by zdążyła, gdyby nie musiała po mnie przyjeżdżać.

Może Niklas wciąż by żył.

Ale ja dałem mordercy więcej czasu.

– Rudolf, powiedz, czego się dowiedziałeś – prosi Douglas.

Rudolf prostuje się lekko na krześle. Wydaje się ociężały i sztywny, jakby śmierć Niklasa była ciężarem dla każdego stawu w jego niemal siedemdziesięcioletnim ciele.

– Dzisiaj rano udało mi się skontaktować z rodzicami Johana Krusegård w Tajlandii. Zeznali, że trzeciego stycznia, między czternastą a dwudziestą drugą, był na rodzinnej kolacji w Saltsjöbaden. To było tego samego wieczoru, gdy zamordowano Ismaila.

– Dostałem wstępną odpowiedź z FBI, która to potwierdza – odzywa się Koltberg. – Odcisk użębienia Krusegård nie pasuje do śladów pogryzienia na zwłokach Ismaila.

– Czyli na razie odstawiamy Krusegård na bok – mówi Douglas. – A to znaczy, że znów nie mamy podejrzanego. Możecie zapomnieć o wszystkich planach na weekend. Nie zgasimy światła w biurze, dopóki nie rozwiążemy tej sprawy. Mam nadzieję, że wszyscy się zgadzają.

Znów twierdzące pomruki.

Douglas szybko streszcza, co wynikło z oględzin schronu.

– Technicy ustalili, że to nie tam więziono Ismaila. Na nagraniu jest wiele rzucających się w oczy szczegółów, które nie pasują do schronu w Orminge. W tej chwili moja główna teoria jest taka, że schron był czymś w rodzaju zapasowego lokalu albo że morderca planował się tam przenieść. Wcześniej zakładaliśmy, że miejsce zbrodni powinno się znajdować w Stocksundzie albo gdzieś na północnych przedmieściach, ale teraz, kiedy pojawiło się Orminge, musimy podejść do tego bez żadnych wstępnych założeń.

Mózg Zacka pracuje na najwyższych obrotach.

Czyli Niklas znalazł kryjówkę mordercy. Ale jak? I dlaczego pojechał tam sam?

Douglas przekazuje głos Koltbergowi, który zaczyna opowiadać o narzędziu zbrodni. Zrezygnował ze swojego namiętnego stylu i relacjonuje tylko krótko, że chodzi o jakąś sporą broń kłującą.

– Powiedziałbym, że w grę wchodzi nóż do mięsa albo spory nóż myśliwski. Ale nie była to ta sama broń, którą podejrznięto gardło Ismailowi. Mam kilka zdjęć, ale może nie musimy ich teraz oglądać...

– Nie, dzięki – mówi Douglas.

Zack się pochyla i podpira głowę rękoma.

A więc jest aż tak źle? Zwłoki Niklasa są tak zmasakrowane jak ciało Ismaila?

Podłoga zaczyna wirować i ciężko mu złapać powietrze. Prostuje się na krześle i patrzy na pozostałych. Plecy i odwrócone głowy.

Nienawidzą mnie.

I mają rację.

Zack chwytą siedzenie krzesła, żeby podłoga przestała się kręcić. Czuje, że zaraz znów się porzyga.

– Trzeba się pośpieszyć ze schwytaniem sprawcy – mówi Östman. – I nie tylko ze

względu na Niklasa. Pierwsze morderstwo jest zawsze najtrudniejsze. Teraz zamordował już dwie osoby. Myślę, że będzie chciał znów to zrobić. I to wkrótce.

Zack ponownie opiera głowę na rękach. Czaszka wydaje się za ciasna. Coś w niej chrupie. Zaczyna pękać. Niedługo ją rozsadzi i wytryśnie mózg.

Słyszy głos Sirpy, głuchy i odległy:

– Ale skąd możemy być tacy pewni, że to ten sam człowiek? Nie ma przecież żadnych podobieństw między zamordowaniem Ismaila i Niklasa.

– Morderstwo Ismaila było, jak wiecie, zaplanowane i wyrafinowane. Przebiegało nawet według zegara – odpowiada Östman. – Natomiast Niklas zginął, bo zaskoczył mordercę. To się działo zupełnie impulsywnie. Zdecydowanie może być tak, że obu zamordowała ta sama osoba. No i jeszcze mamy karteczkę z wiadomością.

Drzwi się otwierają i wchodzi kobieta z jasnymi włosami związanymi w koński ogon. Zack zna ją z kilku dużych zebrań w audytorium, ale nie wie, w której jednostce pracuje.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi kobieta – ale zaginął kolejny chłopiec. Na Lidingö. Ślady świadczą o tym, że został porwany.

– Chyba wiesz, że teraz mamy coś innego na głowie – mówi Koltberg.

Młoda kobieta wygląda na zbitą z tropu i spogląda na dokument, który trzyma w ręce.

– Oficer dyżurny uznał, że będziecie chcieli się tym zająć, bo w waszej sprawie też pojawiały się zaginione dzieci.

Koltberg parska.

– Możesz mu przekazać, żeby...

– Myślę, że mimo wszystko powinniśmy się temu przyjrzeć – stwierdza Douglas.

– Ja się tym zajmę – mówi Zack i wstaje.

Podchodzi do kobiety i wrywa jej z ręki dokument.

Cokolwiek, byle się wyrwać z tego pieprzonego biura.

Zack skręca na most Lidingö. W dole na łodzi jakiś młody człowiek rzuca rozbrykanemu szczeniakowi piłkę tenisową, a przy nabrzeżu Ropsten stoi kilka przymarzniętych łodzi, które czekają na ocieplenie.

Jak my wszyscy, myśli Zack.

Widzi w wyobraźni twarz Niklasa. Próbuje pojąć, że kolega naprawdę nie żyje.

Nagle wzbiera w nim fala uczuć, mieszanka żalu, niepokoju i nieodwołalności.

Smutek.

Niemal zapomniał, jakie to uczucie.

Odsuwa je od siebie. Nie ma teraz na to czasu.

Przejazd przez most daje mu trochę świeżej energii. Zostawia coś za sobą i zmierza ku czemuś nowemu, innemu.

Upija łyk kawy, którą kupił w kiosku Pressbyrån na Ropsten. Pieką go pokaleczone usta. Pieprzyć to.

Wjeżdża na Lidingö i skręca w lewo na rondzie, tuż przed stacją benzynową OKQ8.

Myśli o tym chłopcu, Albercie. Kiedy rodzice dziś rano się obudzili, stwierdzili, że dwunastolatek zniknął.

Według informacji w policyjnym zgłoszeniu zdarzało mu się już wymykać w nocy i dlatego jego matka zadzwoniła na policję dopiero, gdy odkryła, że ktoś włamał się przez okno, i zobaczyła ślady dużych butów na śniegu. Ślady prowadzące na ulicę.

Straszne.

Ale czy to naprawdę może mieć jakiś związek z ich sprawą?

Dziecko z zamożnego Lidingö i osierocony mały uchodźca z Iraku. Dlaczego morderca miałby wybrać dzieci, które tak bardzo się od siebie różnią? Wydaje się najbardziej prawdopodobne, że w ciągu najbliższych godzin ktoś zadzwoni i zażąda od rodziny z Lidingö milionowego okupu.

Zack skręca w dzielnicę Hersby, mija kilka szkolnych budynków i minutę później parkuje samochód przed dużą willą z kamienia, ukrytą za kilkumetrowym żywopłotem.

Wypija jeszcze kilka łyków kawy. Wie, że od tego będzie jeszcze bardziej rozdygotany, ale musi jakoś pobudzić mózg.

Wysiada z samochodu. Czuje, jak po ciele rozlewa się znajoma niechęć. Nie ma problemu z wchodzeniem do śmierdzących melin dla ćpunów ani do kryjówek gangsterów, ale takie wille, w takiej okolicy, zawsze sprawiają, że czuje się nieswojo. A jednak w ciągu ostatniego roku zaczął czuć się lepiej w takim otoczeniu. Nie wie dlaczego, przecież tego nie lubi.

Na masywnych dębowych drzwiach jest kołatka w kształcie lwiej głowy, z pierścieniem w pysku. Zack jej się przygląda, nie ma ochoty jej dotknąć. Przez głowę przemykają obrazy: poderżnięte gardło Ismaila, podsuwane wyobraźnią okaleczenia na ciele Niklasa. Ale nigdzie nie widzi dzwonka i w końcu chwyta metalowy pierścień i puka.

Za drzwiami słyhać zbliżające się kroki i otwiera mu ciemnowłosa kobieta w różowej tunice i legginsach. Patrzy wystraszona na twarz Zacka i próbuje zatrzaskać drzwi. Ale on wsuwa w nie nogę i wyjmuję legitymację.

– Zack Herry, sztokholmska policja.

– Ach! – Kobieta kładzie rękę na piersi i śmieje się nerwowo. – Nie wiedziałam... Pana twarz wygląda trochę... nie wygląda pan jak policjant.

No tak, moja twarz, myśli Zack. Wyglądam jak oprych. Bo pozwoliłem, żeby ten dziadek obił mi wczoraj głowę. Bo jestem pieprzonym nieudacznikiem.

– Wczoraj miałem ciężki dzień w pracy – odpowiada.

Kobieta nazywa się Stella Bunde. Ma ciemne włosy związane w kucyk, a na policzkach wyraźne ślady tuszu do rzęs, rozmazanego od płaczu. Prowadzi Zacka do lśniącej nowiutkiej kuchni. Na tacy stoi dzbanek z kawą i trzy asymetryczne filiżanki w neonowych barwach.

Drzwi szafek są jaskrawoczerwone, a na głównym blacie stoi rząd słoików wypełnionych żelkami we wszelkich możliwych kolorach.

Zack myśli, że chłopiec musi być strasznym tłściochem, jeśli ma do tego wszystkiego swobodny dostęp. Stella Bunde jakby czytała mu w myślach.

– To mojego męża. Uwielbia słodycze. I intensywne kolory. – Wygląda, jakby się wstydziała nawyków męża, i dodaje: – Wolałabym nakryć w salonie, ale pańscy koledzy, którzy byli tu wcześniej, mówili, żebym tam nie wchodziła, dopóki nie zjawią się technicy.

– Tu będzie dobrze – mówi Zack.

Stella Bunde zaczyna nalewać mu kawy, ale tak bardzo drżą jej ręce, że rozlewa trochę na tacę.

– Przepraszam, naprawdę strasznie mi przykro, ja...

– Nic się nie stało – zapewnia Zack. – Mnie także trzęsą się ręce.

Kobieta wyciera filiżankę serwetką. Potem wychodzi do przedpokoju i wraca z oprawionym w ramkę zdjęciem syna. Zack bierze fotografię do ręki i widzi dwunastoletniego chłopca, który wpatruje się prosto w obiektyw i próbuje wyglądać jak znudzony mały twardziel. Wcale nie ma nadwagi, już prędzej jest trochę za chudy. Półdługie brązowe włosy zasłaniają jedno oko i ma taki sam wąski długi nos jak matka.

Kogoś Zackowi przypomina, ale nie wie kogo.

– Tak mi głupio, że od razu nie zadzwoniłam na policję, ale Albert już wcześniej to robił. Wymykał się w środku nocy do kolegów i grał. Wie pan, przesiadują po kilku i razem grają na komputerach. A poza tym brakowało jego zimowych butów, więc pomyślałam, że je włożył i wyszedł. Zaczęłam się niepokoić, dopiero kiedy zadzwonili ze szkoły i powiedzieli, że go nie ma. I wtedy sobie przypominałam, gdzie są te zimowe buty.

Drży jej dolna warga, jest bliska płaczu, ale bierze głęboki oddech i udaje jej się zapanować nad sobą.

– Gdzie tata Alberta? – pyta Zack.

– W pracy. Jak zwykle. Wczoraj był w Londynie, a dziś rano pojechał prosto z lotniska do biura. A teraz pewnie siedzi na jakimś ważnym spotkaniu. – Drży jej głos,

gdy wypowiada ostatnie słowa. Po policzkach zaczynają płynąć łzy, przeprasza i wychodzi wytrzeć nos. Kiedy znów siada na krześle w kuchni, mówi: – Przepraszam. Po prostu Peter i ja... my... Ech, nie układa nam się teraz za dobrze.

– Gdzie pracuje pani mąż?

– W Echidna Games. To firma produkująca gry komputerowe. Jest dyrektorem.

Zacka przesywa dreszcz. Echidna Games, myśli. To tam pracował Raymond Nilsson, ostatnia osoba, którą Niklas przesłuchiwał przed śmiercią. Może mimo wszystko istnieje jakiś związek? Czy ta firma jest zamieszana w śmierć Niklasa? Ale przesłuchiwał Nilssona, żeby zdobyć informacje o Johanie Krusegårdzie, którego Douglas właśnie wykluczył ze śledztwa. Tylko czy to naprawdę przypadek, żeby ta sama firma pojawiała się dwóch różnych wątkach?

A na głos mówi:

– Firmie dobrze się wiedzie?

– Tak, dlaczego pan o to pyta?

– Jeśli Albert został porwany, to możliwe, że ten, kto to zrobił, zażąda od was pieniędzy.

Kobieta patrzy na niego, jakby nic z tego nie rozumiała.

– Jak ktoś może być tak pazerny, żeby dla pieniędzy ukraść komuś dziecko? – pyta po chwili.

Zack myśli o Danucie Grigorescu i o jego kumplach z Södertälje, którzy ukradli ośmioro dzieci, żeby je sprzedać albo wynająć. I o tym, że popyt ciągle rośnie.

Ile dzieci sprzedaje się na świecie codziennie, w każdej chwili?

Tylko my, Szwedzi, nie chcemy tego widzieć.

– Przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógłby zrobić coś takiego? – pyta.

Stella Bunde kręci głową.

– Zawsze są ludzie, z którymi ciężko się dogadać. Ale nie przychodzi mi na myśl nikt, kto by tak nas nie cierpiał, że chciałby nam odebrać dziecko.

– Może ktoś, kto jest skonfliktowany z pani mężem albo z jego firmą?

Kobieta się śmieje, ale to krótki, ponury śmiech.

– No tak – mówi. – Jeśli chcecie, mój mąż z pewnością napisze wam długą listę.

Zack znów myśli o Krusegårdzie. Wprawdzie to wykluczone, aby zamordował Ismaila, ale czy jego śmierć może w jakikolwiek sposób wiązać się z porwaniem Alberta?

Krusegård nie chciano ponownie zatrudnić w Echidna Games, mocno się zadłużył i popełnił samobójstwo albo został do tego zmuszony. Jego rodzice mogliby obwiniać firmę o śmierć syna, i w kogo byłaby wtedy wymierzona zemsta, jeśli nie w dyrektora?

Czy to dlatego tak trudno było się z nimi skontaktować w Tajlandii? Bo to planowali?

– Nie rozumiem tego – mówi Stella Bunde. – Albert nie ma mocnego snu. Czy nie powinien był się obudzić i wzywać pomocy, gdyby ktoś próbował go uprowadzić?

– Można by tak sądzić, ale... – Zack się waha. Nie chce zaszcześcić w jej głowie przerażających obrazów – ...są różne metody, żeby tego uniknąć. Jedną z nich to przyłożenie do ust i nosa szmatki nasączonej chloroformem. Wtedy Albert zasnąłby jeszcze mocniej i można by go wynieść tak, że by się nie obudził.

Kobieta zamyka oczy i otwiera je dopiero po dłuższej chwili. Chce coś powiedzieć, ale właśnie słycać pukanie do drzwi, więc wychodzi otworzyć.

Zack słyszy z przedpokoju głos Koltberga.

Nie, tylko nie on. Nie mam na niego siły.

Kilka sekund później twarz Sama pojawia się w drzwiach kuchni.

– Jak się czujesz? – pyta.

Jak ja się czuję? – myśli Zack. Od kiedy to się mną przejmujesz? Ale widzi szczerłość w oczach kolegi.

– Beznadziejnie – mówi.

Koltberg grzebie w kieszeni. Wyjmuje listek tabletek i rzuca go Zackowi.

– Zwyczajny paracetamol. Uśmierza ból. A domyślam się, że te usta muszą cię boleć.

– Dziękuję – odpowiada Zack i połyka tabletkę.

Stella Bunde wchodzi z powrotem do kuchni, mówi, że pokaże technikom okno, przez które włamano się do domu, i oboje znikają Zackowi z pola widzenia.

Wstaje, idzie do holu i zagląda do pokoju Alberta.

Prócz niepościelonego łóżka panuje tam niemal nienaturalny porządek. Wielki telewizor i kilka półek, na których stoi parę książek, setki gier komputerowych i filmów Blu-ray. Na biurku leży iPad, obok niego starannie ułożona sarta gier i płaski monitor stacjonarnego komputera umieszczonego na stojaku pod biurkiem.

Coś szumi i Zack dostrzega iPhone'a 6, który leży na podłodze przy łóżku, podłączony do ładowarki.

Włącza się wyświetlacz i Zack widzi, że ktoś przysłał Albertowi wiadomość.

Gdzie jesteś?

Kilka szybkich słów od kogoś, kto tęskni za kolegą w szkole. Od kogoś, kto uważa za oczywiste, że Albert za kilka sekund odpisze.

Tak jak pewnie zawsze to robił.

Ale nic nie jest tak jak zawsze.

Zack wpatruje się w telefon i zastanawia się, czy Albert kiedykolwiek będzie mógł odpisać na tę wiadomość.

I czy znajdą odpowiedź na zadane w niej pytanie.

Gdy Deniz widzi, jak szare volvo skręca za róg i zbliża się do wejścia przy Polhemsgatan, jej serce zaczyna mocniej bić. Po raz pierwszy w życiu jest podenerwowana, mając wsiąść z Zackiem do samochodu.

Czuje miękkie płatki śniegu na policzkach. Roztapiają się, zmieniając w łzy.

Łzy po Niklasie.

Jak to się mogło stać?

Samochód się zbliża, powoli mija fasady domów z przełomu XIX i XX wieku i podjeżdża pod ponury, przypominający sześcian posterunek.

To był pomysł Douglasa. Chciał, by Deniz i Zack razem porozmawiali z ojcem Alberta, Peterem Bunde. Deniz powiedziała, że wolałaby jechać sama, ale nie odpowiedziała, gdy spytał dlaczego.

– No dobra – stwierdził Douglas. – Zack powinien tu być za pięć minut. Zadzwońię do niego i powiem, że czekasz przy głównym wejściu.

Volvo wjeżdża dwoma kołami na krawężnik i zatrzymuje się jakiś metr od niej.

Deniz otwiera drzwi od strony pasażera i wsiada.

– Cześć – mówi Zack.

– Cześć.

W jego zapuchniętym oku widać już małą szparkę, a w spojrzeniu znów jest życie, czujność.

Nie tak jak w nocy.

– Wciąż okropnie wyglądasz – mówi Deniz, gdy ruszają. – Chcesz mi powiedzieć, co się stało?

– A ty chcesz mi powiedzieć, dlaczego postanowiłaś poinformować wszystkich, jak się w nocy czułem?

– Nie zrobiłam tego.

– No jasne. To dlaczego, kiedy przyszedłem do biura, wszyscy na mnie patrzyli, jakbym był jakimś pierdolonym kosmitą?

– A jak myślisz? Spóźniasz się do pracy kilka godzin i wyglądasz, jakby przejechał cię walec.

– Czyli nie wiedzą?

– Nie.

– Douglas też nie?

– Chybaby coś powiedział, nie sądzisz? Może by cię zawiesił, i miałby rację. Kiedy pojechałeś na Lidingö, powiedziałam, że miałeś sparing ze swoim dawnym trenerem i dostałeś lanie.

– To prawda – mówi Zack.

– Ostatni raz cię kryję – odpowiada Deniz. – Już nigdy więcej tego nie zrobię. Musisz wziąć się w garść. – „Wziąć się w garść”, myśli. To najlepsze słowa, na jakie mnie stać. – Weź się do siebie – dodaje po chwili.

W milczeniu opuszczają Kungsholmen i przejeżdżają przez Kungsbron do centrum.

Uciążliwa cisza. Nigdy im się coś takiego nie zdarzało.

Zatrzymują się na światłach na skrzyżowaniu Kungsgatan z Vasagatan i Zack pyta:

– Czy gdybyś po mnie nie przyjechała, zdażyłabyś uratować Niklasa?

Deniz patrzy na niego i dociera do niej, że to pytanie musiało go męczyć, odkąd dowiedział się o śmierci kolegi.

– Koltberg twierdzi, że kiedy go znalazłam, nie żył już od kilku godzin.

Zack znów milczy. Zdaje się zastanawiać nad jej słowami.

– Dzięki – mówi w końcu.

– Za co?

– Za to, że nie powiedziałaś pozostałym, w jakim byłem wczoraj stanie.

– Prawie tego żałuję. Niklas nie żyje, a ja w nocy nie zmrużyłam nawet oka.

A teraz, kurwa, opowiadaj, co wczoraj robiłaś. Naprawdę trenowałaś? A co potem?

Zack jej się przygląda. Z początku nic nie mówi, jakby się zastanawiał, jak bardzo może się odsłonić. Potem opowiada Deniz o treningu z sensei Hiro i że potem „coś wziął”, żeby uśmierzyć ból, fizyczny i psychiczny.

– Jakie „coś”? Kokę, czy jak?

– Coś w tym stylu – odpowiada Zack i parkuje samochód pod siedzibą Echidna Games przy Östra Järnvägsgatan.

Peter Bunde poprawia pomarańczową marynarkę, zapina ją na okazałym brzuchu i odchyła się na oparcie krzesła w kawiarni Echidna Games. Obok przechodzą o połowę od niego młodszy pracownicy, a on głośno się z nimi wita, wołając ich po imieniu, i przybija piątkę z mężczyzną z długą bródką, ubranym w ogrodniczki w paski.

– To prawdziwy geniusz – mówi do Zacka i Deniz, gdy facet już sobie poszedł. – Drugi pod względem IQ w tej firmie. Muszę wam mówić, kto jest pierwszy?

Zack wpatruje się w czterdziestopięcioletniego mężczyznę, który siedzi przed nimi. Facet z dziecinną twarzą, wysoko zadzierający nosa. Nieliczne włosy zaczesane na łysinę, pomarańczowa marynarka, jaskrawozielone spodnie i łososiowa koszula.

Wygląda jak te żelki, które ma w kuchni, myśli Zack.

Peter Bunde zdaje się czytać w jego myślach.

– To firma produkująca gry komputerowe – mówi. – I to odnosząca sukcesy. Tworzymy światy z mnóstwem barw, z mnóstwem treści i mięsa, a ja chcę być fizycznym przedłużeniem tych światów tu, w biurze. Ucieleśnieniem tego, co tutaj robimy. Żeby wszyscy to widzieli. Pracownicy, klienci, ludzie, którzy coś dla nas robią. CZEŚĆ, KALLE!

Peter Bunde macha do kogoś za ich plecami. Zack czeka, aż mężczyzna spyta, czy mają jakiś trop w związku ze zniknięciem jego syna, ale on tego nie robi. Nie wygląda nawet, jakby się zastanawiał, co się stało z twarzą Zacka.

Deniz właśnie ma się odezwać, ale Peter Bunde rozpina marynarkę i zaczyna mówić o interesach.

– Prowadzimy teraz negocjacje w sprawie współpracy, która, jeśli to dobrze rozegramy, może nam dać ośmiocyfrowe zyski, więc jak sami rozumiecie, trochę trudno mi się było wyrwać – mówi, pocierając rękoma grube uda. – W Echidna zawsze jesteśmy nienasytzeni – ciągnie. – Nigdy nie zatrzymujemy się w miejscu. Nigdy. PRAWDA,

JENNY?

Uśmiecha się i macha do kolejnej przechodzącej osoby.

– Chcieliśmy porozmawiać o pana zaginionym synu – przerywa mu Deniz. – Możemy od tego zacząć?

Usta mężczyzny zaciskają się w cienką kreskę. Pochyla się w stronę policjantki.

– Niech pani posłucha. Albert jest dla mnie wszystkim. I niech, do cholery, będzie to dla wszystkich jasne. Chcę, żeby pewnego dnia to po mnie przejął, a wtedy musi istnieć coś, co warto przejąć. – Spogląda to na Zacka, to na Deniz. – Nie wszyscy muszą pracować na państwowych posiadach.

Zack widzi, że Deniz zaciska pięści, aż bieleją jej kostki.

– Ale dobrze, że ktoś to robi, prawda? Że ktoś próbuje znaleźć pańskiego syna – zauważa Zack.

Peter Bunde rozkłada ręce.

– Przepraszam. Cała ta sprawa to dla mnie większy stres, niż przypuszczałem. Nowy poziom. Kiepsko zaczęliśmy i to moja wina. Pewnie po prostu tak się niepokoję o Alberta. Możemy zacząć jeszcze raz?

Zack wygląda przez panoramiczne okno kawiarni. Widzi żółty pociąg linii Arlanda Express, który właśnie odjeżdża. Chciałby siedzieć w jakimś pociągu, z biletem w jedną stronę. Wyjechać gdzieś. Gdziekolwiek.

Peter Bunde pochyla się nad stołem i próbuje zwrócić na siebie uwagę Zacka.

– Zacznijmy od początku. Proszę was – mówi.

Zack patrzy na dyrektora naczelnego Echidna Games. Szuka w jego oczach śladów niepokoju, ale niczego takiego nie znajduje. Jakby to również była gra, jedna z wielu rzeczywistości Petera Bunde.

– Przejdźmy prosto do rzeczy – mówi Zack. – Sądzymy, że ktoś porwał pańskiego syna. Może po to, by zażądać od pana okupu, a może w innym celu. Przychodzi panu do głowy ktoś, kto tak bardzo pana nie znosi, że mógłby zrobić coś takiego?

– Nie da się zająć tak daleko, nie nadeptując wielu ludziom na odcisk – mówi Peter Bunde, patrząc na Zacka. – Pan akurat powinien o tym wiedzieć, bo komuś najwyraźniej się nie spodobało, jak pan wykonuje swoją pracę, i tak pana urządził. – Zack już chce coś powiedzieć, ale mężczyzna ciągnie: – Ale nigdy nie czułem, żeby ktoś chciał się na mnie zemścić w tak obrzydliwy sposób, obierając za cel moją rodzinę. A jeśli chodziłoby mu o pieniądze, to jest mnóstwo ojców o wiele bogatszych ode mnie. Ja jestem tylko maniakiem gier komputerowych, któremu się powiodło.

– Ale ponieważ to właśnie pański syn zaginął, byłoby dobrze, gdyby się pan zastanowił, czy za tym porwaniem może się kryć jakiś osobisty motyw – mówi Deniz.

Peter Bunde przez chwilę milczy. Wygląda, jakby się zastanawiał. A potem kręci głową.

– Nie, nikt mi nie przychodzi na myśl.

– Mówi coś panu nazwisko Johan Krusegård? – pyta Zack.

– Pewnie. Kiedyś tu pracował, bardzo utalentowany. Ale odszedł w niewłaściwym momencie. *Took a turn into the wrong dungeon*, jak to się mówi. Nie rozumiem tylko, co to ma z tym wszystkim wspólnego.

– Wie pan, że Krusegård nie żyje?

Peter Bunde wydaje się szczerze zdziwiony.

– Nie, nie wiedziałem. Nie widziałem go od ponad roku. Dawno temu zmarł?

– Wczoraj go znaleziono. Z dziurą po kuli w skroni.

– Sugerujecie, że ja mam z tym coś wspólnego?

Peter Bunde wygląda, jakby właśnie został niesłusznie oskarżony, bo niechętnie strzelił do gracza z własnej drużyny.

Dla ciebie nic nie jest na serio, myśli Zack. Bo chyba tak to z tobą jest?

Przez krótką chwilę mu zazdrości. Pomyśleć tylko, że można tak żyć, wszystko jest tylko na niby, nie ma żadnych trosk. Żadnych pragnień.

– Nie. Johan Krusegård popełnił samobójstwo. Ale mogliby się znaleźć tacy, którzy by uznali, że pośrednio pan za to odpowiada, bo nie pozwolił mu pan wrócić do firmy.

– Ach, i porwanie mojego syna miałyby być czymś w rodzaju zemsty? Ciekawy pomysł.

Peter Bunde wydaje się niemal rozbawiony. Jakby właśnie znalazł brakujący kawałek jakiejś trudnej układanki. Odchyła się na oparcie krzesła, jakby się zastanawiał nad teorią Zacka. Po chwili oświadcza:

– Wiecie co? Nasza praca wcale się aż tak od siebie nie różni. Kiedy prowadzicie śledztwo, próbujecie wejść w umysł sprawcy i zrozumieć jego sposób myślenia. Ja tak samo używam psychologii. Próbuję zrozumieć, jak myślą gracze, ale oczywiście nie po to, żeby ich złapać, tylko żeby im dostarczyć jak najlepszej rozrywki. Zawsze byłem maniakiem gier komputerowych i dlatego rozumiem lepiej niż inni, jak stworzyć naprawdę świetną grę. Barwną, pełną mięsa.

Zack myśli o tym, co czytał o firmie. Jak Echidna Games wyrobiła sobie markę, tworząc naprawdę uzależniające gry. Gry online i banalne małe aplikacje, przez które dorośli ludzie zapominali o wszystkim. W artykule w „Wall Street Journal” opisywano wiele przypadków ludzi, którzy nie potrafili przestać grać nawet w pracy, więc wylatywali z roboty.

A więc Peter Bunde pewnie rozumie, jak się robi świetne gry. I najwyraźniej rozumie, jak zarabiać pieniądze na ludzkich słabościach. Jak można nimi manipulować. Tak jak ci, którzy sprzedają narkotyki.

Ale co ma z tym wspólnego śmierć Niklasa?

To na nim muszę się teraz skupić. I na znalezieniu Alberta. Ale nie będę w stanie się skoncentrować bez małej pomocy.

Zack czuje ssanie głodu.

Nagle, bez uprzedzenia.

I czuje się zupełnie bezbronny.

Ma ochotę pobiec do domu, zerwać wykładzinę w kącie i połknąć garść tabletek. Nieważne jakich.

Znów wygląda przez okno i widzi odbicie swojej pokiereszowanej twarzy w czystej szybie.

Teraz żadnej chemii.

Rozumiesz?

Weź się do siebie. Deniz ma rację: weź się w garść.

Dla Niklasa. I dla Ismaila, i dla Alberta.

Wychodzą z siedziby Echidna Games, nie dowiedziawszy się więcej o tym, kto mógł porwać Alberta. Czekaając na windę, słyszą głos Petera Bunde:

– PRACUJCIE! *CREATE! BE ALL YOU CAN BE, ENTERTAIN!* – krzyczy dyrektor tak głośno, że na pewno słychać go w całym biurze.

Palce stukają w klawiaturę. Sirpa wprowadza do systemu dane osobowe wszystkich pracowników Echidna Games.

Na biurku leży zgniecione opakowanie po chusteczkach, ale chwilowy atak płaczu minął i Sirpa pracuje jeszcze szybciej niż zwykle. Robi to jak maszyna, próbuje odsunąć wszystkie myśli o Niklasie i jego rodzinie. Zwykle nie jest ckliwa i te łzy ją zaskoczyły, ale nie potrafiła ich powstrzymać.

Jeszcze raz sprawdza liczby, by się upewnić, że w żadnym miejscu się nie pomyliła, ale już wie, że wszystko się zgadza. Literówki jej się właściwie nie zdarzają.

Właśnie ma wprowadzić dane do rejestru karnego, gdy słyhać sygnał wchodzącego e-maila.

Przed otwarciem wiadomości odruchowo sprawdza nadawcę.

Le0n2@gmail.com.

Rwie ją w kolanach.

To znowu on. Morderca Niklasa.

Tym razem nie zadaje sobie trudu, by podłączyć się do prywatnej sieci, tylko natychmiast otwiera e-mail.

Nowy link. Z podobnym kodem jak poprzedni.

Sirpa podnosi wzrok i rozgląda się po biurze. Chce zawołać do siebie Zacka, Deniz i Rudolfa. Ale wszyscy są w terenie. Tu na miejscu towarzystwa dotrzymują jej tylko czterej aspiranci, których wezwano do pomocy w śledztwie.

Sirpa nie chce tego pokazywać aspirantom. Nie w tej chwili.

Wpatruje się w link.

Waha się.

Nie chce go otwierać.

Kilka razy głęboko oddycha. Potem podłącza słuchawki do komputera i klika.

Z początku sądzi, że to ten sam film. Wszystko wygląda znajomo. Klatka, chłopiec w kącie, odliczający zegar.

A jednak coś jest inaczej.

Pochyla się nad monitorem.

Szlag by to trafił.

To kolejny chłopiec.

Sirpa ma wrażenie, że go poznaje.

Czy to ten porwany z Lidingö? On też został zamordowany?

Próbuje wywołać panel kontrolny odtwarzacza, żeby wcisnąć pauzę i znaleźć zdjęcie Alberta Bunde, które ma gdzieś w zachowanych mailach.

Ale nie da się zatrzymać filmu.

Dlaczego?

Ból z kolan promieniuje na całe ciało, kiedy dociera do niej, jak brzmi odpowiedź.

Bo nie oglądam nagrania.

Tylko transmisję na żywo.

Patrzy na odliczający zegar.

02.04.07:13

Zerka na swój zegarek. 15.15. To znaczy, że czas się kończy w niedzielę wieczorem, o 19.22.

Dlaczego tym razem jest tak mało czasu? Czemu nie trzydzieści dni, tak jak ostatnio? Czy to odliczanie to jakiś kod? Jak mam to rozgryźć, kiedy nawet nie wiem, kiedy zaczęło się nagrywanie?

Sirpa na drugim monitorze otwiera zdjęcie Alberta Bunde.

Przygląda się chłopcu w klatce. Nie ma żadnych wątpliwości. To on.

Przegląda serwisy z wiadomościami. Nic tam o nim nie znajduje. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Wygląda na to, że media nie dowiedziały się jeszcze o porwaniu.

Dzwoni do Douglasa i informuje go o filmie.

– Będę u ciebie za pięć minut – mówi szef.

Potem Sirpa szuka na Liveleak i ogólnie sprawdza największe wyszukiwarki. Dzwoni do działu informacji i pyta, czy media zaczęły dzwonić w sprawie jakiegoś linku.

Nie. Nic. Wygląda na to, że tym razem nie wysłano linku do redakcji, tylko na policję. Dlaczego? Może jednak to nie ten sam nadawca, tylko jakiś naśladowca? Mało prawdopodobne.

Myśli o rodzicach Alberta. Trzeba ich powiadomić. Ale wstrzymuje się, póki Douglas nie obejrzy filmu.

Na ekranie coś się dzieje. Chłopiec jęczy cicho i szybko przeczługuje się na drugą stronę klatki.

Ktoś wchodzi.

Mężczyzna w stroju lwa. Ten sam co ostatnio. To nie żaden naśladowca.

Sirpa nie jest w stanie oddychać.

Mężczyzna powoli porusza się po klatce, gęsta grzywa opada miękko na odziane w futro szerokie ramiona.

Albert odsuwa się od niego, ucieka na środek klatki, przez cały czas śledząc mężczyznę wzrokiem.

Sirpa widzi, jak chłopcu drżą usta, słyszy jego szloch.

– Mamo – Albert mówi cicho, jakby nieświadomie. – Mamo.

Lew dalej go okrąża. Raz za razem.

Nic nie mówi.

Tylko cicho warczy.

Zack i Deniz tkwią w korku na Kungsgatan i słuchają prognozy pogody. Meteorolog informuje, że od wschodu nadciąga potężna śnieżycy i że wydano ostrzeżenie drugiego stopnia dla kilku hrabstw.

„Ale najpierw spodziewamy się kolejnej nocy z bardzo niskimi temperaturami we wschodnim Svealandzie nawet do minus dwudziestu pięciu stopni” – mówi wesoło.

Zack przygląda się ludziom za oknem. Ubrani elegancko, ale niewłaściwie na te mrozy. Grube kurtki, dżinsy. Za cienkie buty na nogach.

Nic dziwnego, że wydają się tacy zziębnięci.

Samochody w korku powoli ruszają dalej. W jakiejś bramie siedzi żebrak, przed nim na śniegu stoi kubek z McDonalda. Dziesięć metrów dalej siedzi kolejny.

– Zimno ci? – pyta Deniz, wskazując głową na jego ręce.

Zack patrzy w dół.

Trzęsą się. Niemal jak zwykle. Już tego prawie nie zauważa. Jakby był dwudziestoosmiolatkiem z parkinsonem. Czy przez to, jak żyję, powoduję trwałe uszczerbek na zdrowiu?

Słyszy sygnał esemesa i wyjmuje z kieszeni komórkę. To od Sirpy. Kiedy czyta pierwsze zdanie, ręka przestaje drżeć. Mróz sztokholmskich ulic wdziera się w jego ciało.

– Morderca przysłał nowy link – mówi do Deniz. – I tym razem to Albert Bunde siedzi w klatce.

Deniz hamuje tak gwałtownie, że mimo żółtego tempa samochód się kołysze.

– Co? Albert nie żyje?

– Nie. Sirpa pisze, że tym razem to transmisja na żywo. I że mamy tylko dwie doby. Zegar odlicza czas.

Zack klika link.

To samo pomieszczenie w skale. Ta sama klatka.

Ale inny chłopiec.

Nie ma podartego ubrania, tak jak Ismail. Ale też jest sam. Przerażony.

Nie chodzi o szantaż, myśli Zack. Albert zginie.

Przez głowę przemykają mu setki obrazów. Stella Bunde płacząca w swojej willi. Ismail z wydziobanym okiem. Twarz Niklasy uśmiechająca się do niego ze zdjęcia w biurze. Jego wnętrzności na ziemi. Zakrwawione pazury lwa. Albert biegnie. Krzyczy. Jego rozszarpywane ciało. Albert, który...

Samochód za nimi trąbi i Zack wzdryga się, upuszczając komórkę.

– Zamknij się, pieprzony idioto! – krzyczy Deniz i pokazuje kierowcy środkowy palec.

Ten znów trąbi, jeszcze natarczywiej, i Deniz rozpina pasy.

– Zaraz mu przywalę.

Zack kładzie jej rękę na ramieniu.

– Daj spokój. To nie jego wina, że Albert siedzi w klatce.

– Nie, ale po co tak trąbi? Przecież nigdzie szybciej nie dojedzie, jeśli nie zostawię

odstępu przed samochodem przed nami.

Rusza gwałtownie i znów przejeżdża kilka metrów.

To takimi rzeczami denerwują się zwyczajni ludzie, myśli Zack. Że nie mogą podjechać kilka metrów dalej.

A równocześnie dzieje się coś takiego.

Znów patrzy na wyświetlacz.

Dziecko w klatce.

Albert wstaje i podchodzi bliżej do kamery. Wygląda zza prętów. Woła coś.

– Halo! – Jego głos jest cichy. – Halo? Jest tam kto?

Ale najwyraźniej nikogo nie ma.

Na szczęście, myśli Zack.

Przygląda się dokładniej chłopcu, widzi jego przerażone oczy i już wie, kogo mu przypomina. Powracają zapachy. Odgłos własnego oddechu. Smak krwi w ustach.

Tamtej nocy pobiegł daleko. Nie myślał, że może pobiec taki kawał z drugim chłopcem na plecach.

To, co się stało, stało się z winy Zacka. Ale nie chciał tego. Nie sądził, że to zajdzie tak daleko.

Biegł i biegł. Był już daleko na łące, kiedy się potknął i przewrócił. Upuścił chłopca i sam upadł na plecy.

A potem leżał w trawie. Czuł zapach krwi.

Krwi tego drugiego.

I nauczył się, że tak właśnie pachnie śmierć.

Telefon w ręce zaczyna wibrować i Zack znów podskakuje.

To Abdula. Zack nie lubi z nim rozmawiać, kiedy w pobliżu są koledzy, ale czuje, że to ważne.

– Tak, tu Zack – odbiera formalnym tonem.

– Będę się streszczał, bo jak rozumiem, nie jesteś sam – mówi Abdula. – Sprawdziłem tu i ówdzie i wygląda na to, że z tą rosyjską ruletką to prawda.

Zack wyjmując ze schowka w desce rozdzielczej długopis i notes i zapisuje adres.

– Nie znam tej ulicy – mówi do Abduli. – Gdzie to jest?

– Wydaje mi się, że gdzieś w Stocksund. Ponoć dziś wieczorem znów mają grać.

Zack wpatruje się w zanotowany adres.

Stocksund. To tam znaleźli Ismaila. A teraz gdzieś w pobliżu mają grać w rosyjską ruletkę. Johan Krusegård pewnie też to robił. Były pracownik Petera Bunde, którego syn siedzi teraz w tej samej klatce co Ismail.

To wszystko jakoś się ze sobą łączy.

Ale jak?

– Jesteś pewny? – pyta Zack.

– A często się mylę?

Zack patrzy na obrazy olejne w gabinecie szefa. Są prywatną własnością Douglasa i ostatnio musiał je wymienić, bo Zack ich nie poznaje. Jeden przedstawia stertę krzeseł w różnych odcieniach brązu, drugi kobietę zasłaniającą oczy rękoma.

Pod obrazami kuca Douglas i przekręca zamek małego sejf. Otwiera grube drzwi i wyjmuje z czarnego pudełka sig sauera i dwa magazynki. Podaje je Zackowi.

Zack ze zdumieniem wpatruje się w broń.

Kiedy Douglas go wezwał do swojego gabinetu, z początku się bał, że na biurku będą leżeć niewyraźne zdjęcia, na których widać, jak kupuje narkotyki na Fridhemsplan. Że zostanie zawieszony albo nawet wyleci z roboty.

Patrzy na szefa. To niezgodne z regulaminem. Tak jak to, co się stało w Skärholmen.

– No już, weź go. Przyda ci się dziś wieczorem. Ale później chcę go dostać z powrotem.

Douglas znów podaje mu sig sauera i magazynki, jakby podsuwał smakowity kąsek czujnemu zwierzęciu.

– Ale...

– Wiem, to się może dla mnie źle skończyć. Mogę nawet stracić pracę. I będziemy musieli pogadać. Ale to możemy zrobić później. Przez wszystkie te lata, kiedy znałem Niklasa, nigdy nie widziałem, by tak się zaangażował w jakąś sprawę. Rozwińmy to dla niego. Schwytajmy tego, kto go zamordował. W takiej chwili nie mogę mieć w zespole nieuzbrojonego policjanta.

Sirpa ma ochotę rąbnąć klawiaturą o podłogę.

Myślała, że tym razem łatwiej będzie namierzyć źródło, bo film jest transmitowany na żywo. Ale wygląda na to, że morderca ciągle przeskakuje z serwera na serwer, i to w różnych krajach. Przede wszystkim w Turkmenistanie i Uzbekistanie.

Sirpa się domyśla, że zhakował te serwery albo je wykupił. Świadomie wybrał kraje, w których Interpol nie może działać.

Dzwoni telefon w biurze.

Sirpa ma ochotę również nim rzucić o podłogę, ale bierze głęboki oddech i odbiera.

– Inspektor policji kryminalnej Sirpa Hemäläinen.

Słyszysz głos po drugiej stronie.

– Dzień dobry. Nazywam się Peter Bunde. Dostałem link z filmem, na którym widać, że mój syn jest uwięziony w klatce.

Nieczynny warsztat wulkanizacyjny znajduje się na końcu ślepej uliczki. Budynek przypomina gigantyczny karton na buty: pozbawione okien białe ściany z blachy i płaski dach z podniszczoną papą na krawędziach. Latarnie uliczne nie działają i siedemnaście samochodów zaparkowanych przed budynkiem niemal niknie w mroku nocy.

Od bocznych drzwi w krótszej ścianie pada słabe światło. Jest go niewiele, ale dość, by było widać sylwetkę wysokiego ochroniarza.

Zack znów zerka na zegarek. 21.56.

Zostały cztery minuty.

Kuca razem z Deniz za wielkim kamieniem w zagajniku, dwadzieścia pięć metrów od budynku.

Nos zatyka się przy każdym wdechu, a opuszki palców już są lodowate.

Zack kilka razy szybko zaciska i rozprostowuje palce, żeby pobudzić krążenie.

Minus dwadzieścia cztery stopnie.

Dawno czegoś podobnego nie przeżył.

Dalej, nad wierzchołkami świerków, sterczy ku niebu stary komin. Ten, na którym był przywiązany Ismail.

Zack patrzy na niego.

Ismail, Krusegård, rosyjska ruletka, Echidna Games i Albert Bunde. To wszystko w jakiś sposób się ze sobą łączy i są tutaj, by znaleźć to brakujące ogniwo.

21.57.

Zack ostatni raz sprawdza sig sauera i w duchu dziękuje Douglasowi za to, że załatwił mu broń.

Pieprzyć tych z wewnętrznego.

Poprawia słuchawkę w uchu i zerka w stronę budynku. Myśli, że to dobre miejsce na nielegalną działalność. Na uboczu, w uliczce z budynkami przemysłowymi. Oddzielone zagajnikiem od sąsiednich posesji.

Jaki opór napotkają w środku? Jeśli gra się tam w rosyjską ruletkę, to w lokalu będzie przynajmniej jedna broń z ostrą amunicją. Ochroniarz też jest pewnie uzbrojony.

I może ktoś jeszcze.

Douglas uznał, że istnieje oczywiste ryzyko strzelaniny i dał im do dyspozycji jednostkę antyterrorystyczną.

Deniz patrzy na Zacka.

– W porządku?

Zack kiwa głową.

– A u ciebie?

– Jestem gotowa.

21.58.

Ostatnie kontrolne wywołanie przez radio. Antyterrorystyci zajęli pozycje. Czterech za furgonetką przy drugim końcu budynku. Kolejni czterej ukrywają się razem z Zackiem i Deniz w zagajniku.

W sumie dziesięć osób. I jeszcze posiłki w okolicy, na wypadek gdyby zaszła taka potrzeba. W promieniu kilkuset metrów stoją trzy radiowozy odcinające potencjalne drogi ucieczki.

21.59.

Zack poprawia kamizelkę kuloodporną pod kurtką.

Abdula, chyba się nie pomyliłeś?

Rzadko miewał powody, by wątpić w słowa przyjaciela, ale Abdula nie jest taki jak kiedyś.

Ostatnie spojrzenie na Deniz.

Za to ona jest taka jak zawsze.

Skoncentrowana, czujna.

Niezawodna.

Najlepszy partner, jakiego można mieć.

Wcześniej myślała o nim to samo. Ale już tak nie myśli.

Więc weź się w garść.

Zrobię to. Obiecuję.

22.00.

Zack wstaje i skrada się w stronę budynku. Wybiera okrężną drogę, by ochroniarz nie mógł go zauważyć.

Schodzi na parking i niemal bezgłośnie zbliża się do dłuższej ściany budynku. Zatrzymuje się, widzi, jak Nielsen z jednostki antyterrorystycznej opuszcza pozycję za furgonetką i podchodzi do budynku z drugiej strony.

Zack dalej skrada się cicho w stronę krótszej ściany, gdzie stoi ochroniarz. Słyszy w słuchawce spokojny głos Nielsena, ze skańskim akcentem.

– Tutaj wszędzie spokój. Ruszam dalej.

Zack ostrożnie wygląda za róg. Ochroniarz stoi nieruchomo, wpatrzony przed siebie. Jest wielki jak goryl górski.

Jakiś cichy dźwięk sprawia, że goryl odwraca głowę w drugą stronę, tam, gdzie znajduje się Nielsen. Wsuwa rękę do kieszeni kurtki, wyjmując broń i powoli zbliża się do narożnika budynku.

– Ochroniarz idzie w twoją stronę – szepcze Zack do mikrofonu w klapie kurtki.

I słyszy odpowiedź szeptem:

– Proszę, powtórz.

Goryl najwyraźniej usłyszał głos Nielsena, bo zatrzymuje się, czujny, z bronią wymierzoną w stronę węgła. Jeśli Nielsen się teraz pokaże, mamy przerąbane.

Zack unosi pistolet. Celuje w prawe udo ochroniarza. Czeka.

Strzał ich zdradzi, narazi całą akcję.

Zamiast strzelić, kaszle. Głośno i wyraźnie.

Goryl się odwraca. Szuka źródła dźwięku.

Ale Zack już schował się za budynkiem i mówi do mikrofonu:

– Teraz, Nielsen. Jest plecami do ciebie.

Sekundę później słyszy jęk goryla i mężczyzna osuwa się na ziemię.

Zack podbiega tam i widzi, że Nielsen wciąż za nim stoi z uniesionym

paralizatorem.

Taszcą ciężkiego ochroniarza pod ścianę, sadzają go, wyginają mu ręce za plecy i przykuwają do rynny.

Zack oddycha ciężko. Lodowate powietrze rozrywa płuca, ale się tym nie przejmuje. Chce już tam wejść. W całe to gówno.

Nielsen przywołuje pozostałych antyterrorystów. Dwaj policjanci stają po obu stronach drzwi. Przez ułamek sekundy się wahają, a potem otwierają je gwałtownie, gotowi na wszystko.

Nic się nie dzieje.

Zack zagląda do środka.

Widzi schody prowadzące w dół do kolejnych zamkniętych drzwi.

Rusza przodem. Skrada się po schodach. Przysuwa ucho do drzwi i słyszy podekscytowane głosy z pomieszczenia po drugiej stronie.

Odwraca się do Deniz i pozostałych i pokazuje im na migi, że dotarli do celu.

Wszyscy wyjmują broń.

Zack sprawdza drzwi.

Zamknięte na klucz.

Żeby nikt się nie wymigał od zapłaty?

Bierze głęboki oddech. Powietrze wokół niego zdaje się wibrować.

Nie ma innego miejsca, w którym pragnąłby teraz być. Tylko tu i teraz.

Kopniakiem wyważa drzwi.

Widzi tylko plecy. Ludzie stoją na krzesłach i na coś patrzą, wrzeszcząc jak piłkarscy kibole przed starciem z wrogą grupą.

W lokalu jest co najmniej trzydzieści osób. Może więcej.

Powietrze jest gęste od dymu z papierosów, ciężkie od wilgoci; nikt nie zwrócił uwagi na Zacka. Hałas panujący w środku zagłuszył odgłos wyważanych drzwi.

Deniz wchodzi do pomieszczenia z trzema innymi policjantami. Stają po obu stronach Zacka i patrzą na ten chaos.

Gdzieś w głębi lokalu ktoś wali w stół i wrzaski stają się jeszcze głośniejsze.

Na co oni patrzą?

Zack przesuwa się w bok, próbuje znaleźć jakąś lukę między ludźmi stojącymi do niego plecami.

Tam.

Widzi go. Siedzi sam przy małym okrągłym stoliku przed podekscytowanymi widzami. Młody mężczyzna o przerażonych oczach, przyciskający sobie do głowy rewolwer. Otaczający go ludzie wrzeszczą, machają rękami, tupią, ponaglają go.

Nadal nikt nie zauważył policjantów.

Młodemu mężczyźnie trzęsie się ręka. Ma łzy w oczach i odsuwa rewolwer od głowy, ale ktoś już jest przy nim i znów przyciska mu lufę do skroni. Uderza go w głowę otwartą ręką i mężczyzna znów trzyma broń. Zamyka oczy.

Pada strzał.

Wszystko cichnie.

Młody mężczyzna przewraca oczami, tak że widać tylko białka.

Ale wciąż siedzi na krześle.

Żyje.

Wiele osób odwraca się ze zdziwieniem, zastanawiając się, skąd padł strzał.

Dostrzegają Zacka, jego wyciągniętą rękę z sig sauerem i pył opadający z betonowego sufitu w miejscu, gdzie wbiła się w niego kula. A za nim Deniz i antyterrorystów z uniesioną bronią.

Chwila zamieszania. Potem pada kolejny strzał.

Z głowy młodego mężczyzny tryska fontanna krwi.

– NIE! – krzyczy Zack i rzuca się do przodu.

Przewracają się krzesła, ludzie się przepychają, potykają i biegają bez celu.

Zack dopada do młodego mężczyzny. Z jego głowy wciąż tryska krew, ale już słabiej.

Zack przyciska rękę do dziury w jego skroni, jakby chciał zatamować upływ krwi, ale wie, że to bez sensu.

Rozgląda się.

Dwóch mężczyzn w garniturach wstaje z niewielkiego podwyższenia po drugiej stronie okrągłego stolika. Jeden z nich ma pod pachą dużą puszkę. Drugi trzyma rewolwer.

Zack rzuca się w bok, słyszy dwa strzały, jeden po drugim. Dostrzega, że facet z bronią pada na podłogę, postrzelony w oba uda. Odwraca głowę i widzi Deniz na szeroko rozstawionych nogach. Wciąż pewnie mierzy do mężczyzny, którego właśnie postrzeliła. Wtedy popycha ją któryś z widzów i gdy Zack znów się odwraca w stronę podwyższenia, zauważa, że mężczyzna z puszką ucieka tylnymi drzwiami.

Zack rzuca się za nim. Wpada do ciemnego korytarza ze stertami zardzewiałych felg i starymi oponami ustawionymi pod ścianą. Coś kapie z jakiejś rury, kable trzeszczą i iskrzą. Mężczyzna z puszką potyka się o paletę i upada. Próbuje się podźwignąć, ale Zack jest już nad nim i uderza jego głową o ścianę.

Reszta przebiega rutynowo. Zack wbija mu kolano w plecy, wygina ręce do tyłu i skuwa.

Podnosi puszkę z podłogi. Wieczko się zsuwa i wypadają tysiącokoronowe banknoty. W puszcze jest ich mnóstwo. Niektóre w plikach owiniętych gumką, inne luzem.

Zack zbiera porozrzucane banknoty, wciska je z powrotem do puszek i zamyka wieczko. Podrywa mężczyznę na nogi i prowadzi go z powrotem do lokalu w piwnicy.

Antyterrorysty zaczęli już ustawiać wszystkich ludzi pod ścianą. Wciskają im twarze w beton i rozsuwają nogi.

Deniz stoi przy wyważonych drzwiach i rozmawia z kimś przez telefon. Pewnie z Douglasem.

Młody mężczyzna wciąż opiera się twarzą o okrągły blat. Krew kapie na podłogę.

Zack mu się przygląda. Ciemne włosy. Złoty kolczyk w jednym uchu.

Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat.

Dlaczego się zastrzeliłeś, ty dumny gnojku?

Było już przecież po wszystkim.

Pokój przesłuchań numer siedem: prostokątny stół z białą okleiną, zielone zabazgrane ściany, rozklekotane drewniane krzesła i woń strachu, potu i starych wymiocin, której nie są w stanie usunąć żadne środki czystości.

Mężczyzna siedzący naprzeciw Zacka i Deniz nazywa się Alexander Denkert i ma problem z tym, by choć przez dziesięć sekund trzymać język za zębami.

Jeszcze nawet nie zaczęło się przesłuchanie, a już zdążył spytać, czy może zadzwonić do swojego adwokata, jak długo będzie musiał tutaj siedzieć, czy mogą do tego nie mieszać jego rodziny i czy mogliby trochę podkręcić ogrzewanie.

Zack patrzy na niego. Fascynuje go, co z niektórymi ludźmi robi podenerwowanie.

Alexander Denkert ciągle przeczesuje palcami ułożone do tyłu włosy, poprawia klapy marynarki marki Dressmann i obmacuje guza na czole, którego sobie nabił podczas próby ucieczki.

Denis zwraca się do Zacka:

– Podżeganie do morderstwa, co? I pewnie też próba morderstwa. Kto wie, ilu jeszcze zginęło w tej piwnicy. W przypadku tego faceta chyba dożywocie, nie uważasz?

Zack pochyla się w jej stronę i nieco za głośno szepcze jej do ucha:

– Wyluzujmy trochę. Nie sądzę, żeby to on był mózgiem, który za tym wszystkim stał.

– No właśnie, no właśnie! – Alexander Denkert wygląda, jakby chciał się zerwać z miejsca i uściskać Zacka. – Zgadza się. Jestem tylko pionkiem. Są inni wyżej postawieni, którzy pociągają za wszystkie sznurki. Jesteśmy dla nich jak marionetki.

Denis patrzy na niego i syczy:

– Kto cię prosi, żebyś się odzywał?

– Ale... ale on przecież powiedział, że...

– Odzywasz się, tylko kiedy cię o coś pytamy. Dotarło?

– Tak, ale mogłabyś go posłuchać. On przecież mówi...

Denis wali pięścią w stół.

– Dotarło?!

Alexander Denkert kilka razy kiwa głową i milknie.

Zack się do niego uśmiecha.

– Musisz wybaczyć mojej koleżance. Chodzi o to, że ten facet, który się tam zastrzelił, był jej kuzynem.

Alexander Denkert gapi się na Deniz z rozdziawionymi ustami.

Wygląda na to, że sztuczka z kuzynem znowu działa.

To absurdalne, jak można sobie pogrywać na uprzedzeniach ludzi wobec imigrantów, ich rodzinnych układów i krwawej zemsty.

Alexander Denkert wydaje się jeszcze bardziej podenerwowany. Jego usta poruszają się bezgłośnie, jak u ryby wyrzuconej na brzeg, ale zanim się odzywa, Zack mówi dalej:

– Wspominałeś coś o tym, że są ludzie, którzy stoją w hierarchii wyżej od ciebie.

Musimy się dowiedzieć, kim oni są, to ważne dla ciebie i dla nas.

– Musicie mi obiecać, że pozostanę anonimowy, że będę miał ochronę.

Deniz pochyła się w jego stronę z uśmiechem.

– Mogę ci obiecać jedno, że już pierwszego dnia w więzieniu będziesz musiał pochyłać się po mydło pod prysznicem.

Denkert patrzy błagalnie na Zacka, jakby szukał potwierdzenia, że Deniz sobie z niego żartuje.

Zack sili się na pełną współczucia minę.

– Ona ma dobre dojścia w Kumla i w Hall. A jeśli nie będziesz współpracował, pewnie trafisz do jednego z tych zakładów. Ale wcale nie musi tak być, Alexandrze. Podaj nam tylko kilka nazwisk.

Mężczyzna przeczesuje palcami włosy, znowu poprawia klapę marynarki i wygląda, jakby się zastanawiał. Potem pochyła się nad stołem i szepcze do Zacka:

– Peter Bunde.

Zackowi ściska się żołądek, jak na pierwszym stromym zjeździe rollercoastera.

Peter Bunde.

Dyrektor naczelny Echidna Games. Którego syna Lew więzi w klatce.

Jest tak, jak sądzili. Wszystko się ze sobą wiąże.

Tylko jak?

– Jest dyrektorem naczelnym dużej firmy produkującej gry komputerowe. Odnieśli wielki sukces dzięki grze w rosyjską ruletkę na komórki – wyjaśnia Alexander Denkert. – Ale to mu najwyraźniej nie wystarczało. Chciał przenieść tę grę do rzeczywistości. I zrobił to.

– A jaka jest twoja rola w tym wszystkim? – pyta Deniz.

– Peter i ja znamy się od szkolnych czasów. Prowadzę firmę, która skupuje masy upadłościowe, i jakiś miesiąc temu odezwał się do mnie i powiedział, że szuka odpowiedniego lokalu na jakąś nową... działalność. Wtedy dopiero co kupiłem ten zakład wulkanizacyjny i... no cóż... tak to się odbyło.

– A dlaczego nie zwróciłeś się do policji, kiedy się dowiedziałeś, o jaką działalność chodzi? – pyta Deniz.

Alexander Denkert wpatruje się w stół.

– Bo zaoferował mi pieniądze. Dużo pieniędzy.

– Ale brałeś też udział w grze. Sami to widzieliśmy – zauważa Zack.

Mężczyzna spogląda na niego z taką miną, jakby było mu wstyd.

– Tak było w umowie. Propozycja Petera sprawiła, że znów obudziło się moje dawne marzenie, żeby kupić sobie jacht klasy skerry cruiser projektu Gustafa Estlandera. Słyszeliście o nim? W latach dwudziestych był najwybitniejszym szwedzkim konstruktorem jachtów i wielkim...

– Jak zarabiacie pieniądze na tej grze? – przerywa mu Deniz.

– Za patrzenie płaci się dwadzieścia tysięcy koron. My bierzemy dziesięć tysięcy, reszta trafia do puli dla gracza. Im więcej kul w bębnie, tym więcej może zarobić gracz.

– A jeśli gracz zginie?

– Wtedy wszystko trafia do nas.

Zack szybko przelicza to w głowie. Wieczorem w lokalu było trzydzieści osób, nie licząc Denkerta i jego kolegi. To znaczy, że zarobili trzysta tysięcy za sam wstęp. A do tego dochodzą jeszcze zakłady.

Wraca myślami do rozmowy z Peterem Bunde.

Jak opowiadał o rozrywce.

A tutaj rozrywka nie ma żadnych granic, z wyjątkiem śmierci.

Życie innych ludzi musi mu być całkowicie obojętne.

Ale jak się ma do tego człowiek-lew?

Muszą zgarnąć Petera Bunde. Przycisnąć go, wyciągnąć z niego wszystko, co wie.

Zack patrzy na Denkerta. Mężczyzna siedzi pochylony nad stołem, z głową podpartą na rękach. Jakby dopiero teraz do niego dotarło, co zrobił.

– Było ich więcej – mamrocze pod nosem.

– Co mówiłeś?

Tamten podnosi głowę.

– Ten, który wczoraj zginął, nie był pierwszy. Było ich więcej.

– Ilu?

– Czterech. Sam musiałem pomagać pozbyć się jednego z ciał. Wrzuciliśmy je do kontenera w Södermalmie. To było okropne. Czułem się, jakbym był w mafii.

Raymond Nilsson zgadł, jak było, myśli Zack. Johan Krusegård zastrzelił się podczas gry w rosyjską ruletkę, a potem jego zwłoki zostały wrzucone do kontenera na Kocksgatan przez Denkerta i kogoś jeszcze, najprawdopodobniej przez tego postrzelonego mężczyznę, który w tej chwili jest operowany w szpitalu Karolinska.

– A pozostałych trzech? – pyta Zack.

– Wiem, gdzie są zwłoki. Podam wam adresy.

Po przesłuchaniu Zack i Deniz krótko naradzają się z Douglasem na korytarzu.

– Coraz bardziej wygląda na to, że człowiek-lew jest wrogiem Petera Bunde – mówi Zack. – Może jest bliskim któregoś z tych czterech mężczyzn, którzy zginęli, grając w rosyjską ruletkę. Kimś, kto chce się zemścić, zabijając jego syna.

– Zadbam o to, żeby miejsca podane przez Denkerta zostały jak najszybciej sprawdzone – mówi Douglas.

– Ale jak się ma do tego Ismail? – pyta Deniz.

– Może był tylko narzędziem – sugeruje Zack.

– Co masz na myśli?

– Śmierć Ismaila miała być wiadomością. Taką, której nikt nie mógł przeoczyć. To znaczy, że teraz, kiedy rodzice Alberta widzą transmisję na żywo ze swoim synem w klatce, wiedzą, co się wydarzy. A przez to jeszcze bardziej cierpią.

– Czyli zabił niewinnego chłopca, żeby ta rodzina jeszcze bardziej cierpiała? – pyta Deniz. – Ale w takim razie po co przysłał link również do nas?

– Bo wychodzi z założenia, że jednak się z nami skontaktują. A więc równie dobrze sam mógł go nam wysłać – mówi Zack.

Deniz patrzy na Douglasa.

– Mamy zabrać Bundego na przesłuchanie? – pyta. – Spróbować go zatrzymać?

Douglas przez chwilę się zastanawia, a potem odpowiada:

– Wstrzymajcie się z przesłuchaniem do rana. Jest już późno. A prokurator nigdy się nie zgodzi, żebyśmy go zatrzymali wyłącznie na podstawie zeznań Denkerta. Musimy zobaczyć, co dadzą poszukiwania pozostałych ciał.

– A jeśli ktoś go uprzedzi?

– A kto miałby to zrobić? Zgarnęliśmy wszystkich, którzy byli w lokalu. Wstrzymujemy się. A teraz przepraszam, ale muszę zorganizować poszukiwania trzech ciał.

Douglas wyjmuje komórkę i oddala się korytarzem.

Zack też wyjmuje telefon i otwiera transmisję na żywo.

Albert leży w klatce, skulony pod kocem i wygląda, jakby spał.

Zack się zastanawia, czy jest mu zimno. I czy zdaje sobie sprawę, że zegar tyka nieustannie.

Została im tylko doba i osiemnaście godzin.

SOBOTA, 24 STYCZNIA

Dochodzi trzecia w nocy, gdy policyjny patrol po godzinie grzebania w śmieciach znajduje na dnie kontenera nagie zwłoki zastrzelonego mężczyzny. Fałdy tłuszczu przymarzły do dna i policjanci są zmuszeni użyć łomu, by podważyć zamrożone ciało.

– Jak go stąd wyciągniemy? Musi chyba ważyć ponad sto pięćdziesiąt kilogramów – mówi jeden z nich.

Jego kolega spogląda na plac budowy na Tollare Torg w Nacka.

– Może rano uda nam się pożyczyć samochód z dźwigiem od NCC.

Skały w grocie są oblodzone i dwoje aspirantów wędrujących w głąb kilka razy traci równowagę.

– Widzisz coś? – woła młodszy.

Blask czołówek omiata czarne skalne ściany.

– Nie, nic. Ale czekaj... tam, na dole. Coś tam leży. To chyba człowiek.

Kobieta ostrożnie zsuwa się w dół, pokonując ostatnie metry.

Mężczyzna leży na boku, odwrócony do niej plecami. Ma na sobie dzinsy i granatową bluzę z kapturem. Jedna noga jest wygięta pod dziwnym kątem, a z lewego przedramienia sterczy kość.

Jakby po prostu go tutaj wrzucono.

Aspirantka ostrożnie odwraca ciało. Patrzy na jego twarz.

To nie mężczyzna.

To kilkunastoletni chłopak.

Ma gęste kręcone włosy i dopiero gdy policjantka przesuwa dłonią w rękawiczce po jego głowie, natrafia na głęboką dziurę nad prawym okiem.

Zack leży w łóżku i wpatruje się w sufit.

Kiedy wrócił do domu, tuż za drzwiami znalazł grubą kopertę A4 od władz samorządowych hrabstwa.

Jego kartoteka medyczna.

W pierwszej chwili chciał rozerwać kopertę, zbliżyć się do prawdy o swoim życiu i o matce. Odłożył ją jednak. Wie, że nie zawsze była dobrym człowiekiem. Ale ile złości w sobie nosiła i dlaczego?

I czy to miało coś wspólnego z tym, że została zamordowana?

Ale to może poczekać. Nie chce teraz zaprzętać tym myśli, musi zająć głowę ważniejszymi rzeczami. Tykającym zegarem. Chłopcem, który czeka na ratunek.

Zack przewraca się na bok i zaciska powieki. Musi zasnąć, potrzebuje odpoczynku. Zastanawia się, czy nie pojechać do Mery. Wybierała się wieczorem na jakąś premierę, ale teraz już na pewno jest w domu. Chce do niej zadzwonić i równocześnie nie chce.

Myśli nie chcą zwolnić. Krążą chaotycznie po głowie.

Leży jeszcze przez kilka minut. Potem się poddaje. Wstaje, idzie w kątek pokoju, podnosi zniszczoną wykładzinę, wyciąga pudełko i wyjmuje z niego dwie tabletki relanium.

Muszę coś wziąć.

Nie, wtedy zawiodę Niklasa. I Alberta. I Ismaila.

Ale przecież robię to dla nich. Muszę spać. Inaczej nie rozwiążę tej sprawy.

Wchodzi do wnęki kuchennej i nalewa sobie szklankę wody. Wpatruje się w okrągłe białe tabletki.

Potem idzie do łazienki i je spłukuje.

Żałuje już w chwili, gdy widzi, jak wirują w odpływie.

Kładzie się na podłodze obok łóżka i zaczyna w szybkim tempie robić pompki. Zwykle bez problemu robi sześćdziesiąt z rzędu, ale nie tym razem. Ramiona zaczynają się trząść już po pięćdziesiątej i krzyczy, zmuszając ciało do ostatnich dziesięciu.

Przetacza się na plecy i chwilę odpoczywa. Zbiera siły, żeby zrobić sto brzusków.

Z każdym oddechem ciało staje się coraz cięższe, jakby jakaś nieznana siła wciskała je w podłogę.

Gdy zasypia, na zewnątrz pada śnieg, spowijając Sztokholm białym, zimnym całunem.

Jest 7.40. Ich buty zapadają się w miękki dywan, gdy recepcjonistka z Grand Hôtel prowadzi ich do siłowni, która jest częścią najbardziej ekskluzywnego spa w Sztokholmie. Tutaj bywają tylko elity.

Zack ziewa.

Obudził się na podłodze, z zeszywniałymi plecami. Spał niecałe cztery godziny. Śnił mu się Niklas. Siedzieli gdzieś na słońcu i zaśmiewali się do łez. Nie zapamiętał z czego. W prawdziwym życiu nigdy się tak razem nie śmiali.

Zack wstał z podłogi i z kuchennej szuflady wygrzebał świeczkę do podgrzewacza. Potem ją zapalił i samotnie wspominał zamordowanego kolegę.

Deniz też wygląda blado. To była już druga noc, kiedy musiała do kogoś strzelać. Wprawdzie tym razem nikt nie zginął, mężczyzna, którego postrzeliła, nie jest nawet ciężko ranny, ale niewielu ludzi potrafi po czymś takim dobrze spać. Musi minąć sporo czasu, nim opadnie poziom adrenaliny, a myśli się rozproszą.

– Proszę, to tutaj – mówi recepcjonistka, otwierając im drzwi do siłowni. Przed chwilą przeszli przez część relaksacyjną: parujące baseny, czarna mozaika i syczące wanny do kąpieli z masażem wodnym.

Siłownia jest niewielka, ale sprzęt wydaje się całkiem nowy, a wyfroterowana mahoniowa podłoga aż lśni. Na ławce stoją cztery różne rodzaje wody mineralnej, a za oknami widać Zamek Królewski i Strömmen, po którym prom mozolnie płynie w stronę szkieł.

W siłowni są tylko cztery osoby i jedną z nich jest Peter Bunde. Ma na sobie różowe spodnie od dresu i obcisłą, również różową koszulkę z jakiegoś drogiego materiału. Ćwiczy na bieżni, ze słuchawkami w uszach i komórką zatknietą za żółtą opaskę na prawym ramieniu. Brzuch mu podskakuje.

Gdy się zbliżają, widzi ich w lustrze i wydaje się wyraźnie zakłopotany. Wyjmuje z jednego ucha słuchawkę, ale nie przestaje ćwiczyć.

– Znaleźliście go? – pyta zdyszany.

– Nie, ale musimy chwilę z panem porozmawiać – mówi Deniz.

– O czym?

– O rosyjskiej ruletce.

– Macie jakiś problem ze ściąganiem aplikacji?

– Nie, ale dwudziestojednoletni chłopak miał wczoraj spore problemy, kiedy grał.

Chce pan wiedzieć, co się stało? – pyta Zack.

Peter Bunde nie odpowiada. Dalej biegnie, albo raczej człapie. Utrzymuje stabilne tempo, 7,2 kilometra na godzinę.

– Zrobił sobie dziurę w głowie i umarł. Smutne, prawda?

Peter Bunde zerka w bok. Tuż obok na stepperze poci się siwowłosy mężczyzna, ale on też ma w uszach słuchawki i wydaje się nie reagować.

– A co to ma wspólnego ze mną? – pyta Peter Bunde i znów zaczyna się gapić na swoje odbicie w lustrze.

Zack po raz kolejny ma wrażenie, że ten facet żyje w innym świecie, gdzieś, gdzie wszystko jest na niby. Nawet prawdziwe dziury w prawdziwych głowach.

Pochyla się szybko i wyłącza bieżnię z gniazdka. Peter Bunde leci do przodu i uderza piersią o panel.

Siwy mężczyzna na stepperze pośpiesznie bierze swój ręcznik i butelkę wody i szybko wychodzi z siłowni. Pozostali dwaj idą za jego przykładem.

– Nie było takiej potrzeby – mówi Peter Bunde. Wygląda na to, że bardziej zabolął go wstyd niż to, że się uderzył.

– Nie było takiej potrzeby, żeby wczoraj młody mężczyzna strzelił sobie w głowę tylko po to, żeby ciebie było stać na członkostwo w takiej drogiej siłowni – mówi Deniz.

Peter Bunde patrzy na nią, jakby miała nie po kolei w głowie.

– Gdybym chciał, mógłbym kupić tę siłownię, więc nie musisz się martwić o moje finanse.

– W takim razie tym bardziej nie było potrzeby, żebyś robił interesy, narażając ludzkie życie – odpowiada Deniz. – Znaleźliśmy już trzech zabitych. Zanim dzień się skończy, znajdziemy jeszcze dwóch.

Peter Bunde obciąga na brzuchu różową koszulkę. Tkanina szeleści.

– Jeżeli są jacyś ludzie, który, jak twierdzisz, grają w rosyjską ruletkę, to robią to dlatego, że chcą. Szukają ekstremalnych wrażeń. Ci, którzy się przyglądają, szukają ekstremalnej rozrywki. Rozrywki dotykającej granic.

– Czyli postrzegasz to jako rozwój swojej aplikacji? – pyta Deniz.

Peter Bunde sięga po fioletowy frotowy ręczniczek wiszący na rączce przy panelu i ociera czoło.

– Niczego takiego nie powiedziałem. Mówię ogólnie.

– Jakie to uczucie, zarabiać na śmierci innych? – pyta Zack.

Peter Bunde uśmiecha się do niego.

– Gdybym był winny tego, o co mnie podejrzewacie, pewnie odpowiedziałbym mniej więcej tak: „Są ludzie, którzy wspinają się po górach bez zabezpieczenia albo zjeżdżają na nartach poza wyznaczoną trasą, między szczelinami lodowca. Ludzie, którzy muszą stanąć oko w oko ze śmiercią, żeby poczuć, że żyją. Potrzebują tego, żeby się rozerwać. Ja tylko dostarczam im doświadczeń, które i tak przeżyliby gdzie indziej”.

Zack postanawia zagrać w jego grę.

– A wtedy ja bym zapytał, jak ktoś może chcieć zarabiać na śmierci innych ludzi.

– Ludzie płacą tysiąc koron za gram kokainy. Organizator rosyjskiej ruletki zapewnia im znacznie mocniejszego kopa. Nie powinien brać za to pieniędzy?

– Ale giną ludzie.

– Ginę też z przedawkowania. Ciągłe wszędzie umierają ludzie. A poza tym samobójstwo nie jest niezgodne z prawem. Niektórzy nie potrafią zaznać szczęścia przed śmiercią.

– Możemy cię zgarnąć za inne rzeczy – wtrąca się Deniz. – Na przykład przestępstwo z użyciem broni palnej i nielegalny hazard. Ustawa o grach hazardowych też się nada, i fakt, że udostępniasz lokal do nielegalnej działalności. Jeśli potem uda nam się udowodnić, że któryś z graczy był zadłużony i działał pod presją, przystawiając sobie

broń do głowy, będzie można postawić ci znacznie cięższe zarzuty. Groźba karalna, szantaż. Mam mówić dalej?

Peter Bunde siada na wyściełanej ławce i znów ociera czoło.

– I co, aresztujecie mnie teraz? Naprawdę znaleźliście jakiś dowód, że byłem w to zamieszany? – pyta.

Zack nie odpowiada. Wychodzi z siłowni, dzwoni do Douglasa, streszcza całą rozmowę i mówi, że chcą zgarnąć Bundego.

Ale szef odpowiada:

– Nic konkretnego na niego nie mamy. Jego nazwisko nie figuruje na umowie najmu lokalu i prokurator nie pozwoli nam go zatrzymać.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Uspokój się, Zack. Myśl o tym, co jest najważniejsze w naszym śledztwie. Zamordowany kolega i dziecko. I porwanie kolejnego dziecka, którego życie jest w niebezpieczeństwie. To syn Bundego. Naprawdę myślisz, że jest w to zamieszany? Przed chwilą rozmawiałem z Östmanem. Uważa, że Bunde w ogóle nie pasuje do profilu sprawcy, a ja jestem skłonny się z tym zgodzić. Wypytajcie go lepiej, kto według niego może stać za tym porwaniem.

Zack się rozłącza i wali pięścią w ścianę. Wkurza go uległość szefa, gdy tylko pojawiają się ludzie z grubym portfelem.

Ale w jednym punkcie Douglas ma rację. Muszą sporządzić listę potencjalnych sprawców.

Wraca na siłownię i mówi do Bundego:

– Nie zgarniamy cię. Jeszcze nie. Mamy niecałe półtorej doby na znalezienie Alberta, a ty musisz nam pomóc. Kto mógłby chcieć skrzywdzić twoje dziecko? I dlaczego?

Mężczyzna wygląda, jakby przez chwilę się zastanawiał. Potem wstaje z ławki i mówi:

– Wprowadzenie firmy na giełdę. Było wtedy wielu niezadowolonych, którzy uważali, że my, udziałowcy, zaprzędaliśmy duszę firmy, żeby się wzbogacić. Inni się nadęli, bo sami chcieli kawałek tortu. Ale nie wszyscy mogą wygrać. *Only the winners.*

– Możesz nam podać jakieś nazwiska? – pyta Deniz.

Peter Bunde szybko wymienia cztery osoby.

– Trzech pierwszych pracuje w Echidna Games, czwarty kiedyś pracował. Mógłbym też wymienić Johana Krusegård, ale on przecież nie żyje.

– Przez ciebie – mówi Deniz.

Peter Bunde nie odpowiada na to oskarżenie. Zamiast tego pyta:

– Robicie wszystko, co możecie, prawda? To znaczy, żeby znaleźć Alberta?

Zack przygląda się temu mężczyźnie w jego powalającej różowości.

I po raz pierwszy ma wrażenie, że Peter Bunde niepokoi się o syna.

Sirpa siedzi w zimnej poświacie monitora i zjada kilka kawałków jabłka, które zaczęły już ciemnieć na krawędziach.

Patrzy na transmisję na żywo, która przez cały czas odtwarzana jest na jednym z monitorów. Albert siedzi po turecku w klatce i je hamburgera w opakowaniu z McDonalda.

Ma rozczochrane włosy, a piżama jest brudna na kolanach. Przelyka hamburgera w kilku kęsach. Potem rzuca się na pudełko z frytkami.

Sirpa się zastanawia, czy to pierwszy posiłek od chwili, kiedy go porwano.

I czy ostatni.

Nie może tak być.

Tylko jak mają go znaleźć? Musi istnieć jakiś sposób.

Zastawiła w sieci nowe przynęty. Odpisała na e-maile, załączając linki, i ma nadzieję, że nadawca się skusi, by na nie kliknąć. Wtedy mogłaby przejąć kontrolę nad jego komputerem i kontem e-mailowym.

Ale nie dał się zwieść. A Sirpa nie natknęła się na ten adres w żadnym innym kontekście. Ani w zwykłej sieci, ani w dark necie. Domyśla się, że nadawca założył to konto tylko po to, by wysłać link z transmisją, a potem je zlikwidował.

Dokładnie jak wtedy, gdy przysłał link z filmem o Ismailu.

Sirpa postanowiła, że zmieni taktykę. Przestanie gonić za tym, czego nie może znaleźć, i zamiast tego zacznie wykorzystywać informacje, które już posiada.

Zapisała parę ujęć z transmisji na żywo i zrobiła nawet kilka wariantów, w których wyretuszowała klatkę z pomieszczenia w skale. Potem szukała w sieci pasujących obrazów za pomocą zaawansowanego programu do rozpoznawania szczegółów zdjęć.

Jednak dotychczasowe potencjalne trafienia łatwo było odrzucić. Jakaś kopalnia w Bodie, w Kalifornii i inna w Potosí, w Boliwii.

W transmisji słysząc kroki i Sirpa zakłada słuchawki.

Dźwięk cichnie.

Ale słysząc coś innego.

Oddech.

Oddech lwa?

Wygląda na to, że stoi tuż za kamerą.

Coś z nią robi. Słysząc jakieś szuranie i obraz drży.

Coś zasłania obiektyw.

Szmatka.

Czyści go. Żeby poprawić jakość.

Ale w jakim celu?

Co zamierza zrobić?

Obraz znów nieruchomieje.

Nie słysząc oddechu ani kroków.

Poszedł sobie?

Sirpa znów patrzy na Alberta. Wygląda na to, że niczego nie słyszał, bo grzebie w opakowaniu, szukając ostatnich kawałków frytek. Potem zdejmuje wieczko z kubka z napojem i odwraca go do góry dnem nad otwartymi ustami, żeby wypić ostatnie krople.

Sirpa już ma się skupić na drugim monitorze, gdy zauważa coś przy prawej krawędzi obrazu. Coś, czego wcześniej nie widziała. Małą prostokątną tabliczkę na ścianie za klatką.

Musiała się pojawić w kadrze, gdy mężczyzna majstrował przy kamerze.

Sirpa zapisuje ujęcie i otwiera Photoshopa, by zrobić zbliżenie i poprawić ostrość.

To zardzewiała metalowa tabliczka. Wygląda, jakby wisiała na tej skalnej ścianie od stu lat. Ale co jest na niej napisane?

Robi zbliżenie i dalej próbuje wyostrzyć obraz. Ale to nie pomaga. W skalnym pomieszczeniu jest zbyt ciemno, a tabliczka jest za daleko.

Sirpa z trudem potrafi odczytać cztery słowa i pojedyncze litery w pozostałych.

UWAGA NA K

ŚWIECI CZEROWNA AMPK WYC ŻY

Niektóre litery pokrywają plamy rdzy, inne są najwyraźniej już całkowicie przez nią przeżarte.

Sirpa znów szuka w sieci pasujących obrazów.

Pięć trafień. Dwa pierwsze odrzuca.

Ale trzecie...

Rozpoznaje pęknięcie przebiegające przez całą tabliczkę. Okrągłe plamy rdzy.

To ta sama tabliczka. Sfotografowana w znacznie lepszym świetle i lepszej jakości.

Sirpa robi zbliżenie zdjęcia w wysokiej rozdzielczości i odczytuje tekst.

UWAGA NA ŁADUNEK

GDY ŚWIECI CZERWONA LAMPKA, WYCIĄGNIK JEST W UŻYCIU

Pod zdjęciem znajduje się krótki tekst opisujący wyprawę do zamkniętego pomieszczenia w skale, ale nie napisano nic o tym, gdzie je zrobiono.

Sirpa sprawdza stronę, na której zamieszczone jest zdjęcie. To witryna dla urban explorers, ludzi, którzy w ramach hobby zapuszczają się do tuneli metra, niedostępnych pomieszczeń wykutych w skałach i starych budynków przemysłowych.

Sirpa wie, że ci ludzie zwykle nie zdradzają swoich odkryć. Robią podczas takich wypraw zdjęcia mające wzbudzić ciekawość, ale nie opowiadają, gdzie byli.

Tym razem będzie inaczej.

Twórca strony posługuje się nickiem, ale niezbyt dobrze się zakamuflował.

Może to wystarczy, by ukryć swoją tożsamość przed przeciętnym internautą, myśli Sirpa, ale nie przede mną.

Mogę was prosić o chwilę uwagi? – mówi Douglas, wychodząc na środek otwartej przestrzeni biurowej. Obok niego stoi wysoka blondynka.

Nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, myśli Deniz, patrząc na młodą kobietę. Na jej dzinsy, szary sweter, swobodnie rozpuszczone gęste włosy i niepewny uśmiech, który sprawia, że szczupłe policzki wydają się niemal okrągłe.

Douglas chrząka i mówi:

– Chcę wam przedstawić Sandrę Sjöholm. Będzie tymczasowo zastępować Niklasa. Wiem, że to szybko, ale w takiej sytuacji to nieuniknione.

Zapada cisza. Jakby dopiero teraz do nich dotarło, że Niklas naprawdę nigdy nie wróci. Że ktoś inny będzie siedział na jego miejscu. Jakby nigdy nie istniał.

Douglas prosi Sandrę Sjöholm, żeby się przedstawiła.

Kobieta mówi, że ma dwadzieścia sześć lat. Że wcześniej przez dwa miesiące pracowała w policji kryminalnej hrabstwa, a przedtem służyła w wydziale zabójstw w Uppsali.

Młoda, myśli Deniz. Za młoda.

Ale przypomina sobie, że Zack nie był starszy od niej, gdy trafił do jednostki specjalnej. Choć zawsze wydawał się starszy.

Musi być cudownym dzieckiem, myśli Deniz. Ale Sandra Sjöholm nie próbuje zrobić na nich wrażenia, a Douglas mówi tylko:

– Sandra będzie dobrym uzupełnieniem naszej grupy. Rudolf, ty się nią zajmij, może jechać dziś z tobą na przesłuchanie. W porządku?

– Zrozumiano – mówi ze swojego miejsca Rudolf.

Potem Douglas wraca do swojego gabinetu i zostawia Sandrę Sjöholm samą w biurze. Kobieta zdaje się czekać na to, że wstaną, podejdą do niej i się przywitają, ale wszyscy wracają do swoich zajęć.

Deniz wpatruje się w monitor. Wie, że powinna się przedstawić, ułatwić jakoś Sandrze początki w nowym miejscu pracy. Ale jest w stanie myśleć tylko o Niklasie. O jego rozprutym ciele, twarzy, z której uleciało życie.

– I jak tam? – pyta Rudolf Gräns, gdy już wsiedli do samochodu i jadą pod wskazany adres w Vasastan.

W ciemnych okularach Wayfarer i beżowym płaszczu wygląda jak prywatny detektyw z filmu noir z lat pięćdziesiątych.

– Dobrze – mówi szczerze Sandra Sjöholm.

Spędziła zaledwie godzinę w towarzystwie Rudolfa, ale już na sam dźwięk jego głosu czuje spokój w sercu.

Przez pierwszy kwadrans miała wrażenie, że nie będzie w stanie z nim współpracować. Zupełnie jakby szef zrobił jej okrutny dowcip. Najpierw ją oszukał, że przez co najmniej miesiąc będzie mogła pracować z najlepszymi. A potem pozwolił, by Douglas Juste przydzielił ją do pary z niewidomym staruszką. Z dziadkiem, który na domiar tego wszystkiego na początek ją poprosił, by przeczytała mu na głos jakiś

dokument sądowy.

Zupełnie jakby ją sprawdzał. Żeby się przekonać, jak to przyjmie.

I najwyraźniej przyjęła dobrze. Bo kilka minut później Rudolf zaczął z nią dyskutować o śledztwie i wtedy zrozumiała, że go nie doceniła.

Teraz, gdy Sandra Sjöholm jedzie z nim na przesłuchanie ostatniego z listy potencjalnych wrogów Petera Bunde, czuje się tak, jakby dostała wymarzonego partnera. Mądrego. Dającego poczucie bezpieczeństwa. Solidnego w starym stylu. A poza tym to policjant, który nie gapi się na jej piersi. Ocenia ją tylko według tego, co Sandra mówi i robi.

Ukończyła wyższą szkołę policyjną jako najlepsza z rocznika i samodzielnie doprowadziła do końca dwa śledztwa w Uppsali, po których zapadły trzy wyroki skazujące. Ale koledzy najczęściej widzą w niej śliczną dwudziestosześcioletnią blondynkę z dużym biustem.

Ostatnio zaczęła to wykorzystywać podczas przesłuchań i w pięciu się po szczeblach kariery. Zrozumiała, że stanik typu push-up i kilka odpiętych guzików pod szyją mogą otworzyć wiele drzwi. Ale nie z tym partnerem. Z nim jej jedyną bronią jest intelekt.

Sandra Sjöholm skręca w Norrtullsgatan i znajduje wolne miejsce zaledwie kilka metrów od wejścia na właściwą klatkę schodową.

– Jak zwykle prowadzisz przesłuchania? – pyta, wyłączwszy silnik. – Mam się nie odzywać i słuchać?

– Ja mogę zacząć, bo miałem czas się we wszystko wczytać. Ale potem możesz się włączyć – mówi Rudolf. – Chcę cię tylko prosić o jedno. Żebyś bez względu na okoliczności trzymała się uprzejmego tonu. To pozwala daleko zajść.

W budynku nie ma windy, więc wchodzą schodami na trzecie piętro. Sandra myśli o tym, że Rudolf nie musi patrzeć na obskurną klatkę schodową, na żółtą farbę łuszczącą się wielkimi płatami ze ścian.

Daniel Markuson otwiera drzwi po trzecim dzwonku.

Jego twarz przypomina torebkę z zamrażarki, pełną mętnej wody, a biały podkoszulek z rozciągniętym dekoltem nie jest w stanie ukryć wielkiego cielska w kształcie gruszki. Spodnie od dresu opinają się na udach, a ciemne kręgi pod oczami sprawiają, że choć ma trzydzieści cztery lata, wygląda na starszego.

Nie podaje im ręki na powitanie.

Ma rozbiegane spojrzenie, nie patrzy Sandrze w oczy.

Sandra się zastanawia, czy Markuson w ogóle zwrócił uwagę na to, że Rudolf jest niewidomy, czy po prostu go to nie obchodzi.

– Ach, może napijecie się kawy? – pyta mężczyzna.

Mówią, że chętnie, i idą za nim do kuchni.

Powietrze w mieszkaniu przypomina to w dziale informatycznym policji. Suche i zakurzone, ogrzane wentylatorami komputerów. Po chwili już wiedzą dlaczego. Na zabałaganionym stole w salonie tłoczy się pięć monitorów. Trzy są włączone, ekrany dwóch są czarne. Na podłodze obok leży sterta twardego dysków i dwa routery.

Na stole w kuchni stoi otwarty laptop i paczka czekoladowych płatków

śniadaniowych. Daniel Markuson zamyka laptop i odstawia go na mikrofalówkę. Potem nalewa wody do czajnika, ustawia na stole trzy różne kubki i słoik Nescafé.

– No tak, chcieliście porozmawiać o Peterze Bunde – odzywa się, zanim Rudolf zadaje mu jakiegokolwiek pytanie.

– Właśnie – mówi Rudolf.

– Ten facet ma wielki dar, potrafi manipulować innymi. Chce się wydawać taki interesujący i ekscentryczny w tych swoich kolorowych ubraniach, z tymi swoimi okrzykami, pieprzonymi cukierkami i wielkim brzuchem. Ale to wszystko blef. Uwielbia rządzić i dominować. Gdyby był politykiem, potrafiłby w jednej chwili zmienić Szwecję w taką dyktaturę jak hitlerowskie Niemcy.

Sandra jest zdziwiona otwartością Markusona. Zupełnie jakby tylko marzył o tym, by wreszcie móc wygarnąć, co sądzi o swoim byłym szefie.

Markuson nasypuje sobie trzy czubate łyżeczki kawy rozpuszczalnej do kubka i ciągnie:

– Jeśli ma się Bunde go po swojej stronie, można zajść bardzo daleko, ale jeśli odwróci się przeciw tobie, masz przerąbane. Wtedy usłyszysz, że masz niskie IQ. Wywali cię na bruk. Na początek.

– Na początek? – pyta Rudolf.

– Jeśli mogę tak sam o sobie powiedzieć, jestem naprawdę świetnym programistą, ale Bunde rozpuścił o mnie fałszywe plotki i dlatego nie mam pracy. Niedługo pewnie będę musiał się zezmącić i robić strony dla małych firm, albo coś w tym stylu, ale aż tak nisko jeszcze nie upadłem.

Woda w czajniku zaczyna się gotować i Daniel Markuson powoli wstaje. Idąc do blatu, prawie nie odrywa stóp od podłogi. Cała jego postać emanuje rezygnacją. Sandra Sjöholm wie z raportów, że inni poczynili mniej więcej takie same spostrzeżenia podczas rozmów z osobami, które Peter Bunde wskazał jako swoich potencjalnych wrogów.

Daniel Markuson nastawia kolejny czajnik, siada i mówi:

– Ale cóż, ja przynajmniej żyję. Nie o wszystkich można to powiedzieć.

– Co pan ma na myśli? – pyta Rudolf, wsypując sobie kawy do kubka.

– Słyszeliście pewnie o Ackem Johanssonie?

– Nie – mówi Rudolf. – W każdym razie ja nie słyszałem.

– Cztery miesiące temu odebrał sobie życie. Powiesił się na kablu od drukarki.

Jestem przekonany, że to Peter go do tego zmusił.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Echidna Games wylansowała rosyjską ruletkę na komórkę, grę, w której przystawiało się sobie do skroni telefon zamiast rewolweru. To był wielki sukces, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, ale Acke nie cierpiał tej gry, uważał, że jest obrzydliwa. Więcej osób tak sądziło, ale Acke jako jedyny odważył się powiedzieć to wprost. Naturalnie wyleciał, i to na oczach wszystkich. Peter paskudnie to załatwił. Stał przy jego biurku i rzygał na niego żółcią przy wszystkich pracownikach. Świetnie pamiętam, co wtedy powiedział: „Beze mnie jesteś tylko zwierzęciem w klatce. A kiedy takiemu zwierzęciu otworzyć drzwi, zwykle długo nie pociągnie”.

Rudolf wstaje.

– Przepraszam na chwilę – mówi i po raz pierwszy Sandra słyszy w jego głosie napięcie. – Muszę zadzwonić.

Wychodzi z kuchni do przedpokoju i ani przez chwilę nie wygląda to tak, jakby miał na coś wpaść.

Naprawdę jest niewidomy? – zastanawia się Sandra. A może w rzeczywistości widzi więcej niż którekolwiek z nas.

Zack i Deniz siedzą w kawiarni Hilma Sofia naprzeciwko posterunku, jedzą kanapki i piją espresso. Dopiero co wrócili z Gubbängen, gdzie rozmawiali z matką młodego mężczyzny, którego w nocy mundurowi znaleźli w skalnej grocie z dziurą w głowie, dzięki zeznaniom Alexandra Denkerta.

Matka się załamała.

Jej jedyny syn nie żyje.

Zack ją przytulił, usiłował pocieszać, a Deniz równocześnie próbowała wyciągnąć z niej potrzebne im informacje. Ale kobieta nigdy nie słyszała o Echidna Games ani o Peterze Bunde.

Dostali nazwisko najlepszego przyjaciela jej syna, ale ten od dwóch tygodni przebywa w Dubaju.

Kolejna osoba do skreślenia z listy potencjalnych sprawców. Według Douglasa przesłuchania krewnych pozostałych mężczyzn, którzy grali w rosyjską ruletkę, też nic nie dały.

Zack i Deniz milczą. Zdają sobie sprawę z tego, że zegar nad klatką Alberta cały czas tyka.

Gdy Zack wstaje, by przynieść drugą kawę, ich komórki zaczynają niemal równocześnie wibrować. Siada przy stoliku. Odbiera i słucha w skupieniu, a równocześnie zauważa, że Deniz najwyraźniej też dostała od kogoś ważne informacje.

– Ty pierwsza – mówi, gdy oboje się rozłączają.

– Dzwonił Rudolf – mówi Deniz i przekazuje, czego ich kolega dowiedział się od jednego z dawnych pracowników Echidna Games. – Rudolf sprawdził te informacje. Według policyjnego raportu Acke Johansson faktycznie się powiesił. A więc Peter Bunde musi być w to wszystko zamieszany. Kto inny posłużyłby się porównaniem do zwierzęcia w klatce? Gdyby nie siedział w niej jego własny syn, przypuszczałabym nawet, że to on jest Lwem.

– A jeśli to jednak nie jest jego syn? – mówi Zack.

Deniz patrzy na niego, unosząc brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dzwoniła Stella Bunde. Powiedziała, że Peter nie jest ojcem Alberta.

– Co takiego?

– Rok przed urodzeniem Alberta miała przelotny romans. A Peter dowiedział się o tym dopiero jakiś tydzień temu.

– Pora jeszcze raz z nim pogadać – stwierdza Deniz. – Idę po samochód. Myślisz, że w sobotę będzie w biurze?

– W każdym razie nie brzmiało to tak, jakby był w domu.

Zack patrzy, jak Deniz pędzi na drugą stronę ulicy i na skróty, przez biuro paszportowe, zbiega do garażu.

Kręci mu się w głowie. Czy to sam Peter Bunde stoi za porwaniem swojego syna? Czy dlatego postanowił zostać w pracy, kiedy Stella zadzwoniła i powiedziała

o zniknięciu Alberta?

I gdzie był tamtej nocy? Może wcale nie w Londynie, jak powiedział żonie.

Syn, który powinien być jego, ale nie jest.

Czy tak się mści na swojej żonie za zdradę?

Sam nie może być Lwem, jest na to za gruby i za niski. Ale może być mózgiem, który stoi za nagraniem. Może być organizatorem tej śmiertelnej gry.

Czy ktoś może być aż tak chory?

Chyba jakiś psychopata.

Czy Peter Bunde nim jest? Czy to dlatego tak trudno go pojąć?

– Powiedz mi, co myślisz – prosi Deniz, gdy Zack wsiada do samochodu i skręcają w Flemingatan.

– Że może Peter Bunde już od dawna planował pójść o krok dalej ze swoimi chorymi gramami i inscenizuje dziwaczne zabawy w kotka i myszkę z udziałem porwanych dzieci. Może zamierzał dalej wykorzystywać dzieci uchodźców, które przybyły same do Szwecji, dopóki nie poznał prawdy o Albercie. A wtedy zdecydował, że to jego umieści w klatce.

– W takim razie Peter Bunde wie, kim jest mężczyzna w stroju lwa. A to by oznaczało, że kryje mordercę Niklasa.

– I że jest winny współdziałaniu w morderstwie.

– Zgłosimy to Douglasowi? – pyta Deniz. – Powiemy mu, że chcemy jeszcze raz przesłuchać Bundego? Ale może się nie zgodzić. Chyba woli się z Bundem nie wychylać.

– Olejmy to – mówi Zack. – Nie możemy się teraz wstrzymać. Została nam tylko doba z hakiem.

Wytatuowana recepcjonistka w Echidna Games informuje ich, że Peter Bunde jest zajęty. Bierze udział w jakimś ważnym nadzwyczajnym posiedzeniu zarządu i nie wolno mu przeszkadzać.

Zack i Deniz ją ignorują i wchodzą do otwartego pomieszczenia biurowego.

Prawie połowa miejsc jest zajęta przez programistów pracujących w weekend. Policjanci pytają ich, gdzie się mieści sala konferencyjna, i kierują się we wskazaną stronę. Recepcjonistka biegnie za nimi, nalega, żeby tego nie robili.

– Proszę, pozwólcie mi chociaż wejść tam pierwszej i przekazać mu, że ma gości.

– Sami mu o tym powiemy – mówi Zack i szarpnięciem otwiera drzwi.

Dziesięć osób siedzi przy owalnym stole w niebiesko-czerwone paski.

U szczytu stołu, dokładnie na wprost Zacka, siedzi prezes zarządu, surowa kobieta około sześćdziesiątki. Ma ciemną marynarkę, białą bluzkę i oczy zimne jak lód. W ręce trzyma drewniany młoteczek.

Zack natychmiast ją poznaje: Olympia Karlsson, prezes koncernu Heraldus, jedna z naprawdę grubych ryb w szwedzkiej gospodarce.

Możliwe, że najgrubsza.

W ilu zarządach tak właściwie zasiada?

– Dzień dobry. W czym możemy państwu pomóc? – mówi kobieta. Jej głos jest łagodny, ale pełen niewypowiedzianej groźby. Jak sztylet owinięty w jedwab.

Patrzy na Zacka, jakby wiedziała, kim jest. I jakby go nie lubiła. Patrzy na niego

z góry, niemal z nienawiścią.

Widzi, że jestem zwykłym chłopakiem z przedmieścia, bez żadnego rodowodu? To się aż tak rzuca w oczy? A może chodzi jedynie o moją pokiereszowaną twarz?

Zack wytrzymuje jej spojrzenie. Brzydzą go jej gierki, jej poczucie wyższości. Ale kobieta nie cofa się nawet o cal, chwytając tylko inaczej młoteczek i teraz trzyma go jak pistolet.

– Musimy porozmawiać z Peterem Bunde – mówi Zack.

Szef Echidna Games, tym razem ubrany w kwiecisty kaftan z grubej bawełny, unosi brwi.

– Znowu? Jak widzicie, jestem teraz zajęty, ale jeśli wrócicie za jakieś czterdzieści pięć minut, na pewno uda nam się to załatwić.

– Teraz – mówi Zack.

Omiata wzrokiem salę i dostrzega ją.

Kobietę, z którą tańczył tamtej nocy.

Nieziemsko piękną.

Spadkobierczynię.

Córkę Olympii Karlsson.

Wciąż nie wie, jak ma na imię, ale przeraża go to, co się z nim dzieje, kiedy ich spojrzenia się spotykają.

Kobieta siedzi mniej więcej naprzeciw Petera Bunde i gdy patrzy na Zacka, na jej twarzy pojawia się przelotny uśmiech, jak zaproszenie. Potem znów pochyla się nad swymi papierami.

Poznaje mnie.

Serce Zacka bije szybciej i mocniej. Pragnie znów podchwycić jej spojrzenie, spróbować coś wyczytać z jej twarzy, ale ta chwila już minęła. Peter Bunde wstaje i zbliża się do nich, mruczając pod nosem coś o tym, że ma nadzieję szybko to załatwić, a potem wychodzą z sali konferencyjnej i zatrzymują się na korytarzu.

– Tak? – mówi mężczyzna. – Co jest takie ważne, że nie może poczekać?

– Nie jesteś ciekaw, czy znaleźliśmy twojego syna? – pyta Deniz.

– Wtedy nie wparowalibyście tu z takimi nadętymi, niezadowolonymi minami i nie przerwalibyście mi spotkania.

– A może po prostu cię to nie obchodzi, bo nie łączą cię z nim żadne więzy krwi? – naciska Deniz.

Mężczyzna w pierwszej chwili nie odpowiada.

Potem pyta:

– Stella wam powiedziała?

– Rozumiem, że musiałeś czuć się paskudnie, kiedy się o tym dowiedziałeś – mówi Deniz. – Po takiej wiadomości ludzie potrafią robić straszne rzeczy.

– Co masz na myśli?

– Sam przecież opowiadałeś, jak ciężko harujesz, żeby twój syn miał co odziedziczyć. A teraz się okazuje, że nie jest twój. Można zrozumieć, że zdradzony mężczyzna chce się jakoś zemścić.

– Sugerujecie, że miałbym mieć coś wspólnego z tym porwaniem? Jesteście

nienormalni. *PLEASE!*

Brzuch Petera Bunde trzęsie się pod kaftanem, a na okrągłe policzki występują rumieńce.

– Co robiłeś tamtej nocy, gdy zaginał Albert? – pyta Zack.

– Byłem na spotkaniu w Londynie.

– Masz na to jakiś dowód?

– Tak, mogę wam pokazać zdjęcia.

Peter Bunde wyjmuje komórkę, otwiera katalog ze zdjęciami i go przewija.

– O, tutaj. Proszę bardzo. Stoję wieczorem z kolegami i piję gin z tonikiem, z widokiem na London Eye. A tutaj...

Pokazuje im następne zdjęcie. Durne selfie, na którym jest z dwoma kolegami w barze na lotnisku i wszyscy trzymają w rękach Krwawą Mary.

– Tutaj pijemy na śniadanie na Heathrow o siódmej dwanaście rano. Wystarczy?

– Wyślij mi te zdjęcia – mówi Zack i szybko dyktuje swój numer telefonu.

Kilka sekund później jego komórka piszczy i Zack przesyła zdjęcia technikom do szybkiego sprawdzenia.

– Dlaczego Acke Johansson popełnił samobójstwo? – pyta Deniz.

– Nie mam pojęcia. Sugerujecie, że z tym też miałem coś wspólnego?

– A miałeś?

– Oczywiście, że nie. Zwolniłem go, ale to chyba nie przestępstwo? Przynajmniej na razie.

– Nazwałeś go zwierzęciem w klatce – mówi Zack.

– Ach, tego nie pamiętam, ale mogło tak być. Jeśli tak, to było bardzo udane porównanie. Był jednym z takich, którymi trzeba pokierować, żeby cokolwiek osiągnęli.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że zwierzę uwolnione z klatki rzadko długo pociągnie?

– Jakoś dużo wiecie o tym, co mówię. Założyliście mi podsłuch?

– Odpowiedz na pytanie – rzuca Deniz.

– To znaczy, że człowiek pozbawiony inicjatywy dryfuje bez celu, jeśli nie ma przełożonego, który nim odpowiednio pokieruje. Game mastera. I pewnie właśnie tak się stało.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Z tego, co słyszałem, Acke czuł się bardzo zagubiony po tym, jak stracił pracę.

– Nie zadbałeś o to, żeby nie dostał nowej? – pyta Zack.

Peter Bunde się uśmiecha.

– Nie mam aż takiej władzy. Ale jasne, od czasu do czasu wymieniam informacje z innymi szefami w branży i rozmawiamy o tym, którzy pracownicy są warci uwagi, a którzy nie. – Peter Bunde zerka na zegarek. Potem na drzwi sali konferencyjnej. – No i jak, jestem za coś aresztowany? – pyta.

– Nie – mówi Zack.

– W takim wypadku wybaczcie, ale mam teraz ważne rzeczy na głowie. I wy też, prawda? – Peter Bunde zagląda do pomieszczenia, gdzie siedzą programiści. – *CREATE, ENTERTAIN!* – woła głośno.

A potem wraca na posiedzenie zarządu.

Minęła dziesiąta w sobotni wieczór, ale na każdym wolnym miejscu w biurze Jednostki do Zadań Specjalnych siedzą wezwani do pomocy funkcjonariusze policji kryminalnej i aspiranci. Piszą, czytają, rozmawiają przez telefon, odbierają zgłoszenia albo przeglądają nowe filmy z kamer, które spłynęły z okolicy stacji benzynowej przy Järva Krog.

Wciąż jednak nie mają żadnych nowych tropów, a żadnej z osób podanych przez Petera Bunde nie udało się powiązać z porwaniem Alberta. Sirpa też nie znalazła niczego, co mogłoby im się przydać.

Na wiszącej na ścianie suchościeralnej tablicy widnieją nazwy licznych pomieszczeń w skałach w promieniu szesnastu kilometrów od Orminge. Te, które już sprawdzono, są przekreślone, ale wciąż zostało ich wiele do sprawdzenia.

Zack idzie nalać sobie kawy i pośpiesznie ogląda się przez ramię na jednego z aspirantów. Widzi przewijaną sekwencję ujęć, ludzie na mrozie poruszają się skokowo w tę i z powrotem.

Piszczą jego telefon. Wiadomość od techników. Selfie Petera Bunde z Londynu są autentyczne, ma alibi.

Zack nalewa sobie kawy i podchodzi do biurka Sirpy.

– Jak ci idzie z tym urban explorerem?

– Oto on – mówi Sirpa i daje mu jakiś dokument.

Zack przygląda się czarno-białemu zdjęciu krótko ostrzyżonego mężczyzny z hardą miną i czyta: Alexis Hamrén, dwadzieścia cztery lata, z Jordbro pod Sztokholmem. Siedmiokrotnie figuruje w rejestrze karnym, za graffiti, wandalizm i wtargnięcia na prywatny teren.

– Wygląda na to, że nie ma abonamentu na komórkę ani konta na własne nazwisko w żadnym z mediów społecznościowych – mówi Sirpa – ale znalazłam numer na kartę, którą podał jakiś rok temu, gdy wzywano go do sądu. Dzwonię na niego w równych odstępach, ale do tej pory nie udało mi się z nim skontaktować. I nie ma poczty głosowej.

– A jakaś rodzina?

– Znalazłam telefon stacjonarny i komórkowy do jego rodziców. Na obu nagrałam wiadomość.

Zack odkłada dokument i przez chwilę patrzy na transmisję na żywo z klatki, która przez cały czas jest odtwarzana na jednym z monitorów Sirpy.

Cyfry odliczają czas i każda sekunda odbija się echem w jego głowie, jak uderzenie młotka.

Zostało tylko dwadzieścia jeden godzin. Potem Lew znów wyruszy na łowy.

Zack patrzy na przestraszonego chłopca, który siedzi z podciągniętymi kolanami w kącie klatki.

Masz z tym coś wspólnego, Peterze Bunde?

Jesteś aż tak chory?

Tommy Östman w to nie wierzy. Nadal uważa, że Bunde w ogóle nie pasuje do

profilu, nawet jako organizator.

Ale jeśli się organizuje rosyjską ruletkę, to chyba jest się też zdolnym do zorganizowania morderstwa?

Zack myśli o ostatniej rozmowie z Bundem, o jego nonszalancji i lodowatym chłodzie Olympii Karlsson. O ciepłym uśmiechu jej córki. O tym, że budzi w nim zupełnie nowy rodzaj pożądania.

Jak może czuć coś takiego do człowieka, o którym nic nie wie? Z którym właściwie nawet nie rozmawiał? I co takiego właściwie czuje?

Coś obcego, coś innego niż to, że po prostu chciałby się z nią kochać. Być blisko niej. Jakby ponad tym wszystkim łączyły ich ze sobą jakieś nici utkane z uczuć, których nie potrafi nazwać.

Jakby było między nimi coś nieuniknionego.

A może ona sobie tylko z nim pogrywa?

Gra w jakąś grę?

Tak jak Peter Bunde.

Zack czasem ma wrażenie, że całe jego życie jest jak gra. Gra, w której jest pionkiem sterowanym przez kogoś innego.

Komórka wibruje w kieszeni. Zack ją wyjmuje i widzi, że ma esemesa od Abduli.

Wpadłem w gówno. Odezwij się.

Zack idzie po kurtkę i opuszcza biuro. Zjeżdża windą i wychodzi z komendy. Kawalek dalej widzi tę nową dziewczynę, Sandrę Sjöholm, schodzącą do metra przy Bergsgatan.

Ładna, myśli. Ale czy Douglas naprawdę nie mógł się wstrzymać ze znalezieniem następcy Niklasa? Nie mógł dać nam trochę czasu?

Nie.

Zamiast tego sprowadził żółtodzioba, blondynkę.

Zack żałuje tej myśli.

Sam całkiem niedawno był taki jak ona. Młoda gwiazda, błyskawicznie pnąca się po szczeblach kariery. Nie będzie jej traktował tak, jak wielu starszych kolegów traktowało jego. Musi dać jej szansę. To nie jej wina, że zamordowano Niklasa. I może zostanie z nimi tylko przez miesiąc.

Zack idzie w stronę wody. Twarz natychmiast drętwieje mu na mrozie, przy każdym oddechu czuje się tak, jakby płuca miały zamrznąć.

Wybiera numer Abduli. Przyjaciel odbiera po pierwszym sygnale. Jakby siedział i czekał na tę rozmowę.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówi.

– Co się stało?

– Wydymali mnie w dupę i to z mojej winy. Kupiłem dużą partię śniegu od dostawcy, którego porządnie nie sprawdziłem.

– Ile?

– Dziesięć kilo. Potrzebowałem gotówki na pewną inwestycję.

Dziesięć kilo.

Wystarczy, żeby na dziesięć lat trafił do więzienia.

– Co za inwestycja?

Zack czuje się, jakby prowadził przesłuchanie, i wie, że Abduli się to nie podoba.

– Mniejsza z tym. Problem polega na tym, że sprzedałem sześć kilo nowemu graczowi z Husby. Nazywa się Aarash Alam. Jest z Afganistanu, agresywny i nieobliczalny.

Zack kojarzy to nazwisko. Wie, że policja z Västerort dopatruje się w nim ważnej przyczyny wzrostu przestępczości w okolicy.

Abdula ciągnie:

– Zapłacił jak trzeba. Problem w tym, że koka była gówniana. Oszukana jak chuj. Równie dobrze mogłem mu sprzedać mąkę prosto z ICA.

Zack myśli o towarze, który wciągnął w Dovas. Kiepski był. Musiał pochodzić z tej partii.

Ale później, tamtej nocy, Abdula częstował go dobrym towarem. Może to tak go wydymali. Zaoferowali dobrą próbkę, żeby móc mu sprzedać kiepską partię.

Klasyka.

Ale Abdula chyba się nigdy nie złapał na tak prostą sztuczkę?

Wcześniej na pewno nie.

Ale odkąd ocknął się w szpitalu, nie jest już taki jak kiedyś.

– Masz jeszcze kasę? – pyta Zack.

– Tak. I właśnie tutaj pojawia się ty. Zorganizują gdzieś spotkanie, żeby anulować interes, jak to pięknie nazwali, i chciałbym, żebyś wtedy przy mnie był.

– A co z twoimi ludźmi?

– Wezmę dwóch. Ale chcę cię mieć w pobliżu, jako dodatkowe zabezpieczenie.

Zack przez chwilę milczy. Nie może się pokazać jako jakiś ochroniarz, kiedy dwóch handlarzy narkotyków będzie ubijać ze sobą interesy. Tak się po prostu nie da.

Ale chodzi o jego najlepszego przyjaciela.

Przyjaciela, który zaledwie rok temu uratował życie jemu i Deniz.

– Jak myślisz, kiedy to będzie? – I Zack myśli: kiedykolwiek, byle tylko nie teraz.

– Możliwe, że już dzisiaj. Albo jutro. Albo za tydzień.

– Dobra – mówi Zack. – Żaden problem.

Ale kiedy się rozłącza, myśli, że problem jest wręcz gigantyczny.

Aarash Alam pnie się w hierarchii i wykluczone, żeby się zadowolił przeprosinami i uprzejmym ukłonem ze strony Abduli. Musi dać przykład. Pokazać, że nie jest gościem, którego można bezkarnie wydymać.

Abdula przecież musi to rozumieć.

Ale jaki ma wybór?

Żadnego.

A teraz Zack został w to wciągnięty.

Znów powraca wrażenie, że jest tylko pionkiem w czyjejs grze. Jakby ktoś się nim bawił. Zmuszał go, by szedł w inną stronę, niż sam chce.

Dotarł na skraj wody. Riddarfjärden jest prawie całkowicie zamrożony. Lodołamacze utrzymują tylko wolną rynnę pośrodku, jak ostatni promyk nadziei.

Ale wkrótce i ją skuje lód.

Zack zerka na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści pięć.
Nie zdążymy tego rozwiązać.
Albert zginie.
Zack czuje się kompletnie wykończony.
Powinien jechać do domu, odpocząć kilka godzin, a potem wracać do biura.
Ale musi coś wziąć.
Działkę.
Tylko kilka ścieżek. Na wyostwienie zmysłów.
Widzi w wyobraźni uśmiechniętą twarz Niklasa.
Słyszy Alberta wołającego o pomoc.
Ismail.
Weź się w garść.
Teraz żadnej koki.
Ale frustracja niemal go przytłacza.
Zack macha, żeby przywołać taksówkę.

Kogo przed sobą widzę?

Czyją twarz?

Zack wciska Merę w łóżko swoim ciężarem. Czuje, jak go otacza, a on kołysze się w tę i z powrotem.

To jego działka dzisiaj w nocy. To i nic więcej. Musi mu wystarczyć.

Opada na nią ciężko, a Mera zamyka oczy. Zack napiera coraz mocniej i szybciej.

Jest gdzieś daleko.

Blisko.

Kości policzkowe Mery.

Hebe.

Spadkobierczyni.

Powieki, czoło, usta, oddech, ruchy.

Ma na imię Hebe. Sprawdził to w Internecie.

Hebe. Najpiękniejsza z pięknych.

Hebe, Mera. Teraz obie tu są i Zack czuje miękką pościel pod łokciami, wilgotne ciepło Hebe i pragnie szeptać jej imię, ale gryzie się w język i szepcze:

– Mera, Mera, Mera.

Dlaczego to mu nie wystarcza?

Próbuje przyspieszyć, ale i tak potrzebuje czasu.

Mera wydaje się tym nie przejmować, jest w innym świecie, w którym i on chciałby być.

Dochodzi krótko i gwałtownie. To nic nie znaczy.

Potem Mera zasypia z głową na jego ramieniu. Zack czuje na szyi jej ciepły oddech.

Wpatruje się w sufit. W świetle ulicznych latarni szczeblinowe okna rzucają cienie w kształcie krat.

Kraty. To właśnie widzi Albert, kiedy leży na plecach w swojej klatce.

Zack się zastanawia, czy chłopiec jest w stanie spać. Czy boi się ciemności. Czy jest świadom tego, że Lew nie zamierza pozwolić mu przeżyć kolejnej nocy.

Już nigdy.

Zack zamyka oczy. Wsłuchuje się w spokojny oddech Mery i też pragnie odpłynąć. Ale nie potrafi.

Zastanawia się, czy Mera ma w szafce w łazience coś na uspokojenie. Walium, cokolwiek.

Ale przecież nie powinienś nic brać.

Zamknij się.

Jesteś niedbały, Zack. Rozkojarzony.

Sensei Hiro miał rację.

Zack stracił to, co miał, to, co sprawiało, że był dobry. Teraz jest tylko jednym z wielu. Albo nawet nie. I dlatego Albert zginie.

Mocno zaciska powieki. Próbuje odpędzić te myśli.

Słyszy gdzieś w pobliżu słaby sygnał esemesa ze swojego telefonu. Otwiera oczy i rozgląda się za komórką na stoliku przy łóżku. Nie ma jej tam. Pewnie jest w kieszeni dzinsów, które rzucił na krzesło.

Powinienem to olać?

Nie, może chodzić o Alberta.

Telefon znów piszczy.

Ileż to razy myślał już o tym, żeby zmienić ten irytujący podwójny sygnał.

Wstaje z łóżka. Mera skarży się cicho przez sen, szuka jego ramienia. Zack wyjmując telefon z kieszeni i otwiera wiadomość.

To od Ester.

Jesteś w domu? Mogę przyjść?

Jest prawie północ. Dotąd nigdy tak późno nie wysyłała do niego esemesów.

Nie dam rady.

Nie teraz.

Odkłada telefon na stolik, nie odpisując na wiadomość.

Potem kładzie się obok Mery. Odwróciła się na bok i Zack ją obejmuje. Wtula nos w jej włosy.

Telefon znów piszczy.

Co jest, kurwa? Może by przestała być taka nachalna?

Leży jeszcze przez chwilę, ale nie potrafi się odprężyć, dopóki nie zobaczy, kto próbował się z nim skontaktować.

To mógł być ktoś z jego kolegów.

Albo Abdula.

Wszystko, byle nie to.

Na samą myśl o tym, że miałby teraz naciągnąć ubranie, wyjść na ten mróz i czatować w jakiejś uliczce, ma ochotę naciągnąć kołdrę na głowę i już nigdy się nie obudzić.

Przewraca się na drugi bok i sięga po komórkę.

To esemes od nieznanego nadawcy.

Zack

Musisz natychmiast się udać do Tegnérunden. Chodzi o twoją aktualną sprawę. Przyjedź sam i zachowaj tę informację dla siebie. Wkrótce dostaniesz kolejnego esemesa.

Znów ktoś inny kieruje grą. Siłą popycha go w stronę, w którą Zack wcale nie chce pójść.

Ale mniejsza z tym.

I tak nie mogę dalej tu leżeć.

Taksówka toczy się przez zamrożoną stolicę.

Zack opiera głowę o szybę. Po drodze nie widzi ani żywej duszy.

Wszystko zimne, wszystko martwe.

Może to i lepiej.

– To mój trzeci kurs do Tegnérunden dziś wieczorem – odzywa się taksówkarz, pięćdziesięcioletni mężczyzna z kucykiem, mówiący z silnym akcentem z południa. – Coś się tam dzieje?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiada Zack, siląc się na znudzony ton, żeby uciąć rozmowę.

– Ach tak – mówi kierowca. – Myślałem, że może coś się dzieje, bo zjeżdżacie się ze wszystkich części miasta. Z przedmieść i z Östermalmu.

Zack prostuje się na siedzeniu. Przygląda się taksówkarzowi we wstecznym lusterku.

– Skąd jechali pozostali?

– Jeden z Husby, a drugi z Fisksätra.

Husby.

Aarash Alam.

Czy to jednak ma coś wspólnego z Abdulą?

Dłoń Zacka wędruje do kabury. Czuje żłobkowaną rękojeść pistoletu. Cieszy się, że zignorował napomnienie Douglasa i nie zwrócił pożyczonej broni. A Douglas mu o tym nie przypominał.

Taksówka lawiruje przez kilka jednokierunkowych uliczek i w końcu zjeżdża do krawężnika przed jakąś restauracją przy Tegnégatan. Zack płaci i wysiada, wkłada czapkę i rękawiczki i ostatni odcinek pokonuje pieszo.

Znów piszczy jego komórka. Kolejny esemes.

Zawiera numer domu, kod do wejścia na klatkę schodową i krótkie instrukcje.

Zejdź do piwnicy. Ten sam kod. Potem idź dalej do schronu.

Zack mniej więcej wie, gdzie znajduje się wejście na klatkę. Jakiś rok temu przespał się z dziewczyną, która mieszkała zaledwie dwa domy dalej.

Nie idzie tam jednak, kieruje się dalej do parku. Wdrapuje się na wzgórze, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Próbuje trzymać się jak najdalej od ulicznych latarni i szuka świeżych śladów na śniegu albo innych oznak ludzkiej obecności.

Niczego takiego nie znajduje.

Przez nagie gałęzie drzew widzi stąd drzwi prowadzące na klatkę.

Żadnego ochroniarza.

Żadnego ruchu.

Tylko ciemność i zimna cisza.

Uderza go niechciana myśl:

Czy Abdula go tutaj zwabił, żeby to na Zacka spadł odwet, którego sam się spodziewa? Czy wmówił tym gangsterom z Husby, że to Zack stał za tą głównianą dostawą?

Opuszcza park i przechodzi na drugą stronę ulicy. Wprowadza kod i otwiera drzwi.

Robi kilka kroków w głąb. Zatrzymuje się, nasłuchuje.

Nic.

Schodzi po schodach do piwnicy. Dociera do kolejnych drzwi. Znów wprowadza kod i je otwiera.

Przed nim ciągnie się dziesięć metrów ciemnego korytarza. Po obu stronach drewniane drzwi do piwnic, zamknięte na kłódki.

Okrągły włącznik lśni czerwono w mroku. Zack go nie rusza. Skrada się cicho po

ciemku.

Na końcu korytarza znajdują się duże metalowe drzwi, jakie zwykle prowadzą do schronów.

Co się za nimi znajduje?

Zack widzi w wyobraźni uwięzione dzieci.

Brudne. Wychudzone.

Albert?

Do jakiej jaskini ma wejść tym razem?

Odsuwa ciężkie rygle. Popycha drzwi.

Kolejny korytarz.

I mężczyzna. Niski, z okrągłym brzuchem. Ubrany w białą koszulę i brązowe wełniane spodnie z rozszerzanymi nogawkami.

– Witaj – mówi, jakby spodziewał się Zacka, i zaprasza go gestem, by wszedł do środka.

Kilka metrów dalej na korytarz pada żółte światło z otwartych drzwi jakiegoś pomieszczenia.

Słysząc stamtąd dźwięki. Słaby gwar głosów.

I coś jeszcze.

Charakterystyczny odgłos obracanego bębna rewolweru.

Ester leży z rękoma pod głową i patrzy w sufit, na plamy grzyba i pęknięcie, które razem tworzą kształt twarzy.

Pościel jest świeża i po praniu pachnie kwiatami. Zanim poszła się położyć, zmieniła ją na czystą u siebie i u mamy. Liczyła na to, że mama się ucieszy, ale nawet tego nie zauważyła. Położyła się tylko w łóżku i zasnęła.

Ester też chciałaby tak łatwo zasypiać.

Teraz to potrafi ciągnąć się godzinami. Wydaje jej się, jakby nie miała tu powietrza, nawet gdy otwiera okno.

Ma dwanaście lat i czuje się tak, jakby jej życie się skończyło, jeszcze zanim zdążyło się zacząć.

Gwiazdy świecą przez brudne okienko w skale nad klatką Alberta Bunde.

Ze zmęczenia mu się zamazują, ale dalej uparcie się w nie wpatruje, choć pieką go oczy. Bo kiedy je zamyka, widzi straszne obrazy. Widzi samego siebie leżącego na podłodze, kiedy ten mężczyzna wbija w niego pazury, tak, że aż tryska krew. Jak na horrorach, które oglądał u Callego.

Nienawidzi bólu.

Zeszłej zimy przez kilka godzin leżał i płakał, bo miał dostać zastrzyk przed wyjazdem do Tajlandii, a kiedy już przyszedł do przychodni i zbliżyła się do niego pielęgniarka ze strzykawką, wymiotował.

Teraz nie będzie już żadnych igieł.

Tylko pazury.

I tryskająca krew.

On mnie zabije.

Proszę, chcę umrzeć szybko.

Niech on to zrobi, kiedy będę spać, żebym nie musiał krzyczeć.

Ale nie chcę umierać.

Nie mam jeszcze nawet trzynastu lat.

I jak mama i tata mnie znajdą, jeśli umrę? Przecież nie wiedzą, gdzie jestem.

Nawet ja sam tego nie wiem.

Jak długo już tu siedzę?

Jak długo już tkwię w tej dziurze? – myśli Zack.

Godzinę?

Dwie?

Czy kiedykolwiek istniało coś prócz tu i teraz?

Ale terazniejszość też zaczyna się rozpuszczać. Zack nie czuje już gryzącego dymu i woni potu, nie dostrzega śmierzących oddechów na karku. Widzi tylko piąty nabój wprowadzany do podniszczonego bębna belgijskiego rewolweru.

Pięć kul.

16,6 procent szans na przeżycie.

Ale muszę nacisnąć spust.

Muszę ratować to dziecko.

Przytyka sobie lufę do skroni. Zimny metal na ciepłej, wilgotnej skórze.

Już cztery razy przystawiał broń do głowy i naciskał spust. Cztery razy komora okazała się pusta.

Zack nie czuje już strachu. Żadnego oporu.

Chce mieć rewolwer przy głowie.

Musi go tam mieć.

Nic poza tym nie ma znaczenia.

Jego palec powoli naciska spust.

Mocniej, mocniej.

Nie istnieje inny sposób.

Nie. Musi jakiś istnieć.

Jeśli teraz zginiesz, Albert też zginie.

A po nim kolejne dzieci.

Palec nieruchomieje. Pomieszczenie znów nabiera ostrości. Powracają zapachy.

Zack podnosi wzrok. Facet z sępią szyją gapi się na niego wodnistymi oczami i wysuwa język z rozchylonych ust. Zack uświadamia sobie ścisk panujący wokół. Obecność wszystkich tych podeksytowanych ludzi w schronie. Gęste powietrze. Pragnienie śmierci.

Ktoś upija łyk whisky prosto z butelki. Statesman. Czterdziestoprocentowa.

Na stole przed Zackiem stoi plastikowy koszyk, a w nim leży samotna brązowa koperta.

Na początku zawierał pięć kopert. Zack otwierał jedną po każdej kuli wsuniętej do bębna rewolweru.

Wszystkie koperty były puste.

W tej piątej musi być ukryty trop.

Tylko do czego prowadzi? Do miejsca, gdzie jest przetrzymywany Albert? Do mordercy Niklasa i Ismaila?

Zack nie ma pojęcia, co jest w kopercie ani co właściwie wyprawia. Teraz zginie. Zginie ze świadomością, że dwunastoletni chłopiec już niedługo zostanie rozszarpany ostrymi pazurami. Zginie ze świadomością, że zawiódł pamięć Niklasa. I Ismaila. I że dzięki niemu Peter Bunde jeszcze bardziej się wzbogacił.

Ludzie wokół niego zakładają się w najlepsze.

Zack podnosi wzrok na faceta z sępią szyją, tego, który kieruje grą i ciągle wsuwa kolejne naboje do bębna rewolweru. Czuje nieświeży oddech z jego rozchylonych ust.

Zack się uśmiecha.

Facet też się uśmiecha pożółkłymi zębami.

I wtedy Zack rzuca się do przodu, łapie go za koszulę, ciągnie na stół i przystawia mu rewolwer do skroni.

– Teraz zrobimy tak – warczy Zack po angielsku – albo powiesz tym wszystkim idiotom, żeby odsunęli się na dziesięć kroków, albo strzelę ci w łeb.

W piwnicy zapada cisza. Nikt się nie porusza. Nikt nawet nie mrugnie.

Zack mocniej wciska lufę w skroń faceta z sępią szyją.

– Masz jedną szansę na sześc. Kto to może wiedzieć, może dziś jest twój szczęśliwy dzień?

– Cofnąć się wszyscy! – krzyczy mężczyzna. – Cofnąć się, mówiłem!

I ludzie się cofają. Powoli i niechętnie.

Zack rozgląda się szybko. Sprawdza, czy ktoś może wpaść na jakiś głupi pomysł. Ale wszyscy wydają się niezdolni do działania.

Jeden z dwóch ochroniarzy wsunął rękę pod kurtkę, ale na razie ją tam trzyma. Czeka. Drugi ochroniarz wydaje się pozbawiony jakiegokolwiek inicjatywy, tak jak gapie.

Zack wstaje, ciągnąc za sobą faceta z sępią szyją. Ustawia się za nim, plecami do ściany i wciąż wciska mu w skroń lufę rewolweru.

Teraz to Zack kieruje tą grą.

Szeptem mężczyźnie do ucha:

– To ty przysłałeś mi esemesa?

– Nie.

– W takim razie kto?

– Nie mam pojęcia. Dziś po południu, kiedy otworzyliśmy, na stole stał koszyk z kopertami. Obok leżała kartka, na której było napisane, co mamy robić, kiedy przyjdzie młody blondyn i będzie chciał grać.

Facet z sępią szyją świetnie mówi po angielsku. Jego głos drży, chude ciało trzęsie się ze zdenerwowania.

– Pokaż mi tę kartkę.

– Spaliłem ją. Tak jak było napisane.

– Jak wyglądał charakter pisma?

– Elegancki, jakby napisała to kobieta.

Kobieta? – myśli Zack. To się nie może zgadzać.

Ale mężczyzna też może mieć elegancki charakter pisma.

– Czy to Peter Bunde za tym stoi?

– Kto?

– Ten, który organizuje rosyjską ruletkę w Stocksund.

– On wypadł z gry. To coś większego. O wiele większego. Za tym stoi ktoś znacznie ważniejszy.

Ludzie w piwnicy zaczynają się niecierpliwić. Szepczą, mruczą coś pod nosem.

Do Zacka dociera, że zaraz coś się stanie.

Musi się stąd wydostać.

– Jak to, ktoś znacznie ważniejszy?

– Myślisz, że wiem?

– Nie obchodzi mnie, jacy są ważni. To miejsce już jest spalone.

Zack zerka na plastikowy koszyk na stole. Ostatnia koperta wciąż jest nieotwarta.

– Weź kopertę – mówi Zack do faceta z sępią szyją. – Już!

Mężczyzna sięga po kopertę.

– Dobra. A teraz stąd wyjdziemy, ty i ja. A ty powiesz swoim klientom, że mają się przez ten czas nie ruszać i milczeć. Dalej!

Facet z sępią szyją zaczyna mówić, a Zack ciągnie go bokiem w stronę wyjścia.

– A teraz każesz ochroniarzom się odsunąć – mówi Zack.

Mężczyzna wypowiada kilka słów po arabsku i Zack się zastanawia, czy Abdula nie jest w to jednak jakoś zamieszany.

– Znasz Abdulę? – syczy mu do ucha Zack.

– Znam wielu Abdulów. O którego ci chodzi?

Ochroniarze nawet nie drgnęli. Jeden z nich wciąż trzyma rękę pod kurtką.

– A Aarasha Alama?

– Kogo?

– Nieważne. Jeszcze raz powiedz ochroniarzom, żeby odsunęli się na bok. Tym razem po angielsku. I każ im położyć ręce na głowach.

Ochroniarze powoli wykonują polecenie. Cofają się kilka kroków i kładą wielkie łapska na jeszcze większych karkach.

Zack wyciąga faceta z sępią szyją na korytarz.

Pozostała tylko ostatnia przeszkoda: uprzejmy mężczyzna, który stał za drzwiami schodów i się z nim przywitał.

Mężczyzna patrzy wystraszony na Zacka, gdy ten wychodzi, przyciskając lufę do skroni faceta z sępią szyją.

– Skończyłem na dziś wieczór – mówi Zack. – Otwieraj drzwi.

Mężczyzna natychmiast wykonuje polecenie.

Zack przestępuje przez wysoki próg, puszcza faceta, wrywa mu z ręki kopertę, popycha go do środka, zatraskuje ciężkie drzwi i zasuwuje rygiel.

Potem puszcza się biegiem.

W zimną noc.

Mróz rozrywa płuca.

Ale odgłos kroków jakby się zbliżył.

Ktoś się kryje w cieniu tam, z tyłu. Ale kto?

Ester przyśpiesza kroku.

Żałuje, że wyszła.

Ale nie mogła postąpić inaczej.

W domu czuje się tak, jakby coś wysysało z niej energię. Jakby chór głosów wdzierał się do jej głowy i szeptał, że tak się nie da. Że już zawsze będzie tam tkwić. I że nigdy nie będzie mogła pojechać do Paryża.

Już prawie biegnie. Boi się tego, co ją ściga.

Jej buty coraz szybciej i szybciej uderzają o śnieg na chodniku.

Kto za mną idzie?

Oczy łzawią od mroźnego powietrza.

Ale trzeba wykorzystać przewagę.

Zack skręca w lewo, w Drottningatan. Potem w prawo w Rådmanngatan, w lewo w Holländargatan i wpada do Observatorielunden.

W parku zwalnia kroku. Odwraca się i rozgląda. Nie powinni wiedzieć, że tutaj jest. Jeżeli w ogóle ktoś ruszył za nim.

Zack staje pod latarnią i otwiera kopertę.

Rozkłada kartkę.

Odwraca ją na drugą stronę.

Ale tam też nic nie ma.

To nie może być prawda.

Ale tak jest.

I gdzieś głęboko rozumie, że nie mogło być inaczej.

Oszukali go, wydymali. Nigdy nie było żadnego tropu, tylko śmiertelna gra, która mogłaby się skończyć kolejnymi zwłokami z dziurą w głowie, gdyby stamtąd nie uciekł.

Osuwa się na kolana, zgniata kartkę i odrzuca ją jak najdalej od siebie.

Potem kładzie się na plecach w śniegu.

Patrzy w gwiazdy.

Oddycha trochę spokojniej.

Kto sobie ze mną pogrywa? – myśli.

Kto pragnie mojej śmierci?

Ester już go widzi. Wysoki, w ciemnej kurtce, z rękoma w kieszeniach i kapturze na głowie. Wynurzył się zza rogu dwadzieścia metrów za nią i choć w tej chwili Ester prawie biegnie, mężczyzna z każdym długim krokiem jest coraz bliżej.

Musi uciekać.

Do domu.

Natychmiast.

Ale strach sprawia, że jej ruchy są sztywne i niezdarne. Znow się odwraca, widzi, że nieznajomy mężczyzna jeszcze bardziej się do niej zbliżył, i gdy puszcza się biegiem, dociera do niej, że to o nią mu chodzi.

To dlatego tu jest.

Ester skręca za ostatni róg. Teraz biegnie już szybko. Wpada na Kungsholms strand. Wejście na klatkę schodową jest zaledwie dwadzieścia metrów dalej, ale czy zdąży? I co robi, jeśli on zobaczy, dokąd poszła?

Wtedy z cienia przy wejściu wynurza się ciemna postać i wychodzi na chodnik.

Jest ich dwóch. Dziewczynka nie ma szans.

To koniec.

– Ester? – mówi mężczyzna przed nią.

Poznaje ten głos.

Zack.

Serce wali jak oszalałe.

Ester niemal rzuca mu się w objęcia, wtula głowę w jego kurtkę, a kiedy się obraca, nikogo tam nie ma.

– Co się stało? – pyta Zack.

Dziewczyna wciąż go mocno ściska.

– Nie wiem. On za mną szedł i okropnie się wystraszyłam.

– Kto taki?

– Jakiś facet.

– Zaraz sobie z nim pogadam. Poczekaj tutaj.

Ester czuje, że Zack próbuje się uwolnić z jej objęć, ściska go jeszcze mocniej

i mówi:

– Nie idź. Nigdy mnie nie zostawiaj.

NIEDZIELA, 25 STYCZNIA

Siedzą na sofie Zacka. Ester z drugim kubkiem herbaty, Zack z drugą puszką carlsberga. Nigdy dotąd nie pił przy niej alkoholu, ale dziś w nocy czuje, że to nie ma znaczenia.

Tam na dole w piwnicy raz za razem rzucał wyzwanie śmierci. Na próżno.

Metal przy skroni. Kliknięcie.

Ciało tak przesycone adrenaliną, że mogłoby eksplodować, wszystkie inne uczucia ukryte w obliczu śmierci.

To było cudowne.

Ale co jest potem?

Wieczna nuda.

Ester odstawia kubek na stół i opiera się o niego.

Dziś opowiedziała mu o matce, o tym, jak naprawdę ma w domu. Otworzyła się przed Zackiem jak nigdy dotąd, wyrzuciła z siebie część tłumionej złości i rezygnacji.

Teraz milczą. Zdążyło się zrobić wpół do trzeciej i Ester szeroko ziewa.

Zack upija łyk piwa, myśli o mężczyźnie, który ją śledził.

Zrobiło mu się zimno, gdy rzuciła mu się w ramiona przy wejściu na klatkę. Sądził, że to morderca Niklasa i Ismaila poluje na następną ofiarę.

Gdy tylko weszli do jego mieszkania, kliknął link z transmisją na żywo i zobaczył, jak mężczyzna w lwim stroju skrada się wokół klatki ze śpiącym Albertem.

A więc to nie mógł być on.

Zack zadbał też o to, by najbliższą okolicę przeszukał patrol. Przekazał im rysopis podany przez Ester. Ale nic to nie dało.

Czy ten mężczyzna w ogóle istniał? Czy był tylko wytworem wyobraźni samotnej, przestraszonej dziewczyny?

Myśli o esemesie, którego wysłała mu wcześniej. Potrzebowała go. A on to zignorował.

Zack dopija resztę piwa z puszki, opada na oparcie sofy i kładzie nogi na stole.

Oddech Ester stał się cięższy. Zasnęła, oparta o niego.

On też powinien się przespać. Mięśnie przeszły w stan spoczynku, ale mózg dalej pracuje.

Zack znów chce poczuć rewolwer przy skroni.

Czy może istnieć jakiś silniejszy kop? Chemia nigdy mu nie zapewni równie mocnych wrażeń.

Ale to było tylko dziś w nocy. Nigdy więcej.

Myśli o pustej kartce w kopercie.

Ktoś go zwabił w pułapkę. Ktoś, kto wiedział, jak desperacko potrzebuje nowego tropu.

Kto?

Zack czuje na karku miękkie obicie sofy i zamyka oczy.

Zasypia obok dwunastoletniej dziewczynki.

Rudolf Gräns ma wielką ochotę na kawę. Wchodzą właśnie z Sandrą Sjöholm do windy w bloku w Aspudden. Tej nocy bardzo niewiele spał i ledwie zdążył wejść do biura, a już musiał je opuścić. Bez kawy.

To wina Sandry. Albo raczej jej zasługa.

– Skontaktowałam się z Ulriką Johansson. Jeśli pojedziemy do niej od razu, będzie mogła się z nami spotkać – oświadczyła, gdy tylko Rudolf przekroczył próg biura.

A więc pojechali.

Ulrika Johansson jest siostrą Ackego Johanssona, programisty, który popełnił samobójstwo po tym, jak stracił pracę w Echidna Games. Rudolf liczy na to, że kobieta opowie im coś o bracie, dzięki czemu dowiedzą się więcej na temat Petera Bunde. Albo o czymkolwiek, co ma związek z ich sprawą.

Choć wszyscy pracują prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, śledztwo stoi w miejscu. Wykluczili wszystkich potencjalnych sprawców, każdy przeszukany schron w skałach okazał się pusty. A dziś wieczorem, tuż po siódmej, kończy się czas.

Wysiadają z windy na czwartym piętrze i Sandra Sjöholm dzwoni do drzwi.

Rudolf słyszy, jak ktoś w mieszkaniu męczy się z zamkiem i ma nadzieję, że za kilka sekund poczuje zapach świeżo zaparzonej kawy.

Drzwi się otwierają – ale czuje się tylko nieswojo.

W pierwszej chwili nie rozumie dlaczego. Sądząc po głosie, kobieta wydaje się ożywiona i wesoła, a Sandra Sjöholm wchodzi do mieszkania, jakby wszystko było w porządku.

Rudolf idzie za nią do przedpokoju, podaje Ulrice rękę i wtedy do niego dociera, dlaczego czuje się tak dziwnie.

To przez ten zapach. Woń szpitala.

Jest w ubraniu tej kobiety. W jej włosach. W jej skórze. A Rudolfowi ta woń już zawsze będzie się kojarzyła z mrokiem.

W dosłownym znaczeniu.

Czuł ją, gdy kilka dni temu był na rutynowej kontroli, i szczerze jej nienawidzi.

Koledzy z policji mówią czasem różne rzeczy. Na przykład kiedy widzieli coś strasznego, opisują, że „spojrzeli w najgłębszą ciemność”. Ale nie mają o tym pojęcia.

Rudolf nigdy nie zapomni, jak ocknął się po udarze i sądził, że jest noc albo że umieścili go w całkowicie zaciemnionym pokoju. I jak potem się dowiedział, że jest środek dnia. Że okno jest otwarte, a na błękitnym niebie świeci czerwcowe słońce.

Świeci dla innych.

Nie dla niego.

Już nigdy nie zaświeci dla niego.

– Przepraszam, jeśli widać po mnie zmęczenie – mówi Ulrika. – Dopiero co skończyłam nocną zmianę. Gdybyście nie zadzwonili, już bym spała.

– To nie potrwa długo – zapewnia Sandra.

Bierze płaszcz Rudolfa i umieszcza go na wieszaku, a Rudolf wyczuwa, że Ulrika

Johansson mu się przygląda. Domyśla się, że zauważyła jego ciemne okulary i białą laskę i zastanawia się teraz, jak niewidomy może pracować w policji.

Ale Rudolf potrafi wytworzyć sobie całkiem niezły obraz człowieka, używając słuchu. Ponieważ głos Ulriki Johansson dobiega do niego po skosie, z dołu, wnioskuje, że kobieta ma mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu. Słyszy również, że jej kroki na podłodze w przedpokoju są cichsze niż u innych osób jej wzrostu, więc domyśla się, że musi być dość szczupła, może nawet chuda.

Ale jej głos mógł go zwieść. Gdyby nie wiedział, że Ulrika Johansson ma czterdzieści sześć lat, ten dźwięczny, dziewczęcy głos nasunąłby mu na myśl trzydziestoletnią kobietę.

Ulrika prowadzi ich do dużego pokoju i zapach szpitala jeszcze bardziej się nasila. Jakby używała szpitalnych środków czystości, sprzątajac u siebie w domu.

– Napijcie się kawy? – pyta.

– Nie, dziękuję. Nie pijam kawy – mówi Sandra.

– Ja też dziękuję – mówi Rudolf.

Panująca w mieszkaniu woń obudziła wspomnienia gorzkiej szpitalnej kawy i całkiem przeszła mu na to ochota.

– Acke był zamieszany w coś nielegalnego? – pyta Ulrika i Rudolf wyczuwa w jej głosie niepokój.

– Nie, nic nam o tym nie wiadomo – odpowiada. – I nie dlatego tu jesteśmy. Ale Echidna Games, jego dawne miejsce pracy, pojawiło się w naszym śledztwie i chcieliśmy tylko sprawdzić, czy Acke przed śmiercią wspominał coś o tej firmie.

Rudolf słyszy, jak kobieta nalewa kawy do kubka.

Czuje w ustach ten gorzki smak.

Przypomina mu się panika, która często go ogarniała w szpitalnym łóżku.

Zastanawiał się, czy nie zrobić tego samego co zrobił Acke Johansson. Czy nie odebrać sobie życia.

Wszystko, byle nie ta ciemność.

– Nie, po tym, jak zadzwoniliście, dotarło do mnie, że niewiele pamiętam z tych ostatnich miesięcy. Wszystko było takie pogmatwane.

– Nigdy nie opowiadał o swoim byłym szefie, Peterze Bunde?

– Oczywiście spytałam go, dlaczego stracił pracę, ale powiedział tylko, że nie da się pracować dla kogoś takiego jak ten Bunde. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, byłam przekonana, że wkrótce znajdzie pracę w jakiejś nowej firmie albo założy własną. Ale... potem Gustaf znalazł go martwego. Powiesił się w mieszkaniu. Przywiązał kabel do haka pod sufitem, założył sobie pętlę na szyję i kopnął krzesło, na którym stał. To było okropne. I niespodziewane. Gdybym wiedziała, w jaką depresję go to wpędziło, zadbałabym, żeby dostał pomoc. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że popełni samobójstwo.

– Przepraszam, ale kim jest Gustaf? – pyta Sandra.

– To mój młodszy brat. Ma trzydzieści cztery lata, jest o dwa lata młodszy od Ackego. Strasznie przeżył jego śmierć. Brat był dla niego bardzo ważny. Można niemal powiedzieć, że Acke uratował mu życie.

– W jaki sposób?

– Wcześniej Gustaf prowadził dwie wypożyczalnie filmów, jedną przy Brommaplan, a drugą w Stocksund. Ale zaciągnął duże kredyty i zbankrutował, kiedy rynek się załamał. Wtedy zupełnie stracił chęć do życia. Przestał się spotykać z ludźmi, przez całe dni przesiadywał przy komputerze. To było takie dziwne. Wcześniej Gustaf zawsze był wysportowany. Wspinał się, był grotolazem. A raczej speleologiem. Wszystkich poprawiał, że takiej nazwy powinno się używać. Ale po bankructwie stał się zupełnie bierny. – Ulrika Johansson pociera ręce, jakby coś w nie wsmarowywała. – W tym okresie tylko Acke potrafił z nim rozmawiać. Czasem wyciągał go z domu. Pojechali nawet do Prowansji. Ponoć są tam dobre miejsca do wspinaczki. Potem Gustaf trochę odżył. Ale kiedy znalazł Ackego wiszącego w mieszkaniu, czułam się tak, jakbym straciła też Gustafa.

– Co pani ma na myśli? – pyta Sandra Sjöholm.

– Strasznie zdziwaczał. Ciągle mówił o zemście. Nawet na pogrzebie.

– Kiedy widziała go pani ostatni raz?

– Właśnie wtedy, na pogrzebie Ackego.

– Kiedy to było? – pyta Rudolf.

– Piętnastego listopada. Od tego czasu niemal codziennie do niego dzwonię, ale prawie nigdy nie odbiera, a jeśli już, to tylko mruczy coś pod nosem. Znajomy, którego spotkałam w Coop, wspominał mi, że Gustaf bardzo często przychodzi na siłownię i że trenuje jak szalony. Miło było coś takiego usłyszeć. Myślałam, że przesiaduje przed komputerem.

Rudolf słyszy, jak Sandra robi notatki. Odchyła się na oparcie sofy. Ten Gustaf coraz bardziej go ciekawi.

Wspinaczka, grotty, duża wiedza o komputerach. Silny i zręczny. Prowadził wypożyczalnię w Stocksund.

Trochę za dużo elementów pasuje do tej układanki.

– Może to dziwnie zabrzmieć – mówi Rudolf – ale czy Gustaf miał jakiś szczególny stosunek do lwów?

Słyszy, jak Ulrika Johansson odstawia kubek na stół.

– Zabawne, że pan o to pyta. Uwielbiał park safari w Kolmården. Latem zawsze chciał tam jechać. I wtedy robiliśmy sobie piknik przy lwach. To była taka nasza tradycja. Acke i ja uważaliśmy, że lwy są nudne, głównie wylegiwały się na słońcu. Ale Gustaf potrafił siedzieć i godzinami im się przyglądać.

Kobieta milknie. Słysząc tylko szuranie ołówka Sandry o papier.

– Dlaczego pan spytał o lwy? – dziwi się Ulrika Johansson. – To ma jakieś znaczenie dla waszego śledztwa?

– Trudno by mi było to sobie wyobrazić – odpowiada Rudolf.

Zack i Deniz siedzą przy stole w biurze i przeglądają nowe zgłoszenia na dyżurny telefon, kiedy szybkim krokiem wchodzi Douglas i przekazuje im, czego Rudolf i Sandra dowiedzieli się o Gustafie Johanssonie.

– Mieszka w Kista przy Helsingörsgatan. Czterech antyterrorystów jest już w drodze. Jedźcie tam!

Deniz i Zack biegną po kurtki i zjeżdżają windą.

Kilka minut później Deniz wprowadza adres do GPS-u volvo, a Zack wyjeżdża z garażu.

Komórka w kieszeni zaczyna wibrować i robi mu się zimno.

Nie teraz, Abdula. Nie teraz.

Wyciąga telefon z kieszeni i czyta esemesa.

Dzięki, że mnie przenocowałeś. Umyłam kubek po herbacie.

Zack opada z powrotem na oparcie siedzenia. Wysłała Ester emotikon z uniesionym kciukiem i jadą dalej E4 na północ.

Nie wspominał nic Deniz ani pozostałym o rosyjskiej ruletce w nocy.

To i tak nic nie dało.

A oni by nigdy tego nie zrozumieli.

Winda w bloku Gustafa Johanssona jest tak zabazgrana, że Zack jeszcze takiej nie widział. Unosi się w niej słaba woń moczu.

Wysiadają na piątym piętrze, czekają na dwóch antyterrorystów, którzy poszli schodami, a potem dzwonią do drzwi.

Johansson nie otwiera.

Zack pokazuje na migi antyterrorystom, żeby zaczynali. Dwadzieścia sekund później mężczyźni są już w mieszkaniu i zdążyli sprawdzić wszystkie pokoje.

Zack i Deniz wchodzi.

Mieszkanie wydaje się anonimowe, jak pokój wystawowy w Ikei. Łóżko z białą narzutą. Na regale stoi *Kod Leonarda da Vinci*, kilka książek Johna Grishama i Jana Guillou. Szara narożna sofa. Płaski telewizor na białej szafce.

Ale nic, co by wskazywało, że Gustaf Johansson może być człowiekiem, którego szukają. Żadnych książek o grotach, plakatów z lwami ani sprzętu do wspinaczki.

Regały i stoły są zakurzone, ale tu i ówdzie w kurzu widać ślady świadczące o tym, że do niedawna coś tam stało.

Otwierają kilka szuflad i szafek. Nie znajdują nic godnego uwagi. Jedynie kolejne oznaki świadczące o tym, że Gustaf Johansson spakował najpotrzebniejsze rzeczy i się zmył.

– W każdym razie wygląda na to, że przychodzi tu i zabiera pocztę – stwierdza Zack, wracając do przedpokoju.

– Albo kazał ją przesyłać na inny adres.

– Tak, ale zawsze zdarzają się jakieś przeoczenia i coś trafia pod stary.

Zack otwiera lodówkę. Butelka keczupu, puszka tuńczyka, kilka marchewek.

Gdzie jesteś, Gustafie Johansson?

I dlaczego zabrałeś z mieszkania wszystkie osobiste rzeczy?

Sirpa Hemäläinen powiększa zdjęcie tak, że zajmuje niemal cały monitor. Potem porównuje twarz młodego mężczyzny ze znacznie nowszą fotografią paszportową.

– Spójrz sam – mówi do Douglasa, który stoi pochylony nad ekranem. – To chyba on?

Douglas przez chwilę milczy i wpatruje się w oba zdjęcia. Potem mówi:

– Dzwon do Zacka.

Sirpa wybiera numer z telefonu stacjonarnego.

– Znalazłam coś – mówi, gdy Zack odbiera. – W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym Gustaf Johansson pracował jako przewodnik w starej kopalni rudy żelaza w Stribergu. Jego siostra, Ulrika Johansson, u której Rudolf i Sandra byli dziś rano, zamieściła na swoim profilu na Facebooku stare zdjęcie z tamtego okresu.

Zack milczy i Sirpa się domyśla, że doszedł do takich samych wniosków co ona.

Możliwe, że ją znaleźli. Jaskinię lwa.

– Striberg? Gdzie to jest? – pyta Zack.

– W dawnym rejonie górniczym w Bergslagen, sześć i pół kilometra na północ od Örebro. Gustaf się tam wychował. I posłuchaj tego: sześć lat temu, po tąpnięciu, kopalnię zamknięto dla turystów. To znaczy, że ktoś, kto zna korytarze, ma ją teraz całkiem dla siebie.

– Co na to Douglas?

– Uważa, że powinniście tam natychmiast jechać. Poszedł się skontaktować z policją z Örebro i załatwić, żeby kilku ludzi wyszło wam na spotkanie.

Sirpa wysyła Zackowi współrzędne kopalni i garść informacji o jej okolicach, które zdążyła zebrać. Widzi na drugim monitorze, jak Albert siedzi oparty o pręty klatki i obraca w ręce słomkę z wczorajszego posiłku. Ma szkliste spojrzenie i wygląda, jakby nie zdawał sobie sprawy, co robią jego palce.

Cyfrowy zegar wskazuje 00.07.43:31.

Sirpa pragnie zawołać do chłopca: już jedziemy.

Jeżeli to tam jesteś.

Ale wygląda na to, że się nie mylą co do Gustafa Johanssona. Może chce się zemścić za śmierć Ackego, swojego starszego brata. A cóż może być lepszą zemstą na człowieku, który dorobił się fortuny na grach online i śmiertelnych rozrywkach? Zabrać mu dziecko, zrobić z tego dziecka obiekt śmiertelnej gry i zamieścić wszystko w Internecie.

Ale czy klatka naprawdę stoi w tej kopalni w Stribergu?

Sirpa dalej szuka Alexisa Hamréna i jego rodziców, wysłała mundurowych, by zapukali do ich drzwi, ale nic to nie dało.

Sztywno wstaje i idzie do automatu z kawą.

Myśli o Zeusie, swoim trzyletnim psie rasy rodesian ridgeback. Dziś w porze lunchu też nie da rady go wyprowadzić. Wczoraj, kiedy wróciła do domu, na podłodze w dużym pokoju zastała sporą kałużę. Jakby pies się na niej mścił, że tak często jej nie ma.

W tę pieprzoną zimę wszyscy mają ochotę się mścić, myśli Sirpa.

Striberg, w pierwszej połowie dwudziestego wieku mała, dobrze prosperująca górnicza osada. Obecnie zapadła dziura w rejonie pełnym zabitych deskami sklepów i tabliczek z napisem „Na sprzedaż”.

I lasy.

Wszędzie lasy.

Wysokie, pokryte śniegiem świerki, które stoją na baczność wzdłuż drogi, tak że mają wrażenie, jakby jechali tunelem.

Tuż za Örebro opady śniegu się nasiliły i w tej chwili sypie jak wściekły.

Mijają kilka domów po prawej stronie. W dwóch oknach stoją zapomniane adwentowe świeczniki.

– To był Striberg – mówi Deniz. – Zaraz mamy zjechać z głównej drogi.

Zack jechał najszybciej jak się dało przy tej śnieżycy. Podróż zabrała im tylko trochę ponad dwie godziny, ale żałuje, że nie mógł jechać dwa razy szybciej. Dochodzi trzecia. Została im jedynie godzina, zanim zacznie się ściemniać. A Albertowi zostało tylko cztery i pół godziny życia.

Deniz przez cały czas była w kontakcie z Douglasem i Sirpą, ale dostali jedynie złe wiadomości. Ani śladu Gustafa Johanssona ani Alexisa Hamréna, mimo obserwacji ich mieszkań. Nic w ostatnio sprawdzanych pomieszczeniach w skałach i żadnej sensownej informacji na telefon dyżurny, choć Stella i Peter Bunde w końcu wyrazili zgodę, by w mediach podano nazwisko Alberta i pokazano jego zdjęcie.

Zack skręca w krętą leśną dróżkę na południowy zachód od Stribergu. Po kilkuset metrach znów skręca w prawo i widzi policyjną furgonetkę zaparkowaną pośrodku drogi.

Zatrzymuje się za nią. Z wozu wysiadają czterej policjanci, którzy wśród zamieci wychodzą im na spotkanie.

– Cześć, jestem Tommy Nordin – mówi żyłasty komisarz, który ma chyba ze dwa metry wzrostu. – Witajcie w Bergslagen.

Zack i Deniz witają się z nim i z jego kolegami. Jeden z nich przygląda się twarzy Zacka i pyta:

– Zderzyłeś się ze ścianą?

– Prawie – odpowiada Zack. – Dzięki, że mogliście się zjawić.

– Dziś mieliśmy same wezwania z opieki społecznej, nic ciekawego się nie działo – mówi Nordin. – Niestety, nie da się dalej jechać w tym śniegu, ale zostało tylko jakieś dwieście metrów. I znaleźliśmy coś ciekawego. Chodźcie.

Obchodzi furgonetkę i kuca.

– Widzicie to?

Wzdłuż leśnej dróżki widać kontury głębokich, częściowo zasypanych śniegiem śladów.

– Nie mogą być starsze niż dwie doby, bo inaczej znikłyby pod śniegiem – wyjaśnia Nordin. – W piątek rano mocno tu sypało, ale potem nie było żadnych opadów. Zaczęło znów jakąś godzinę temu.

Zack strzepuje trochę świeżego śniegu z głębokich na dziesięć centymetrów śladów. Przymierza do nich swój but.

– Powiedziałbym, że szedł tędy mężczyzna i że miał rozmiar buta czterdzieści cztery – stwierdza.

Jeden z policjantów z Örebro wyjmuje dwie liny zabezpieczające i przewiesza je sobie przez ramię. Potem podaje czołówki Zackowi i Deniz.

Tommy Nordin rusza przodem i długimi krokami przedziera się przez śnieg.

– To ty znalazłeś te wilki w zeszłym roku, prawda? – pyta Zacka.

– Tak.

– Paskudna historia.

– Tu chyba też macie sporo gówna. Mam wrażenie, że za każdym razem, kiedy gazety piszą o jakimś morderstwie z poćwiartowaniem albo o seryjnych gwałtach, pojawia się nazwa Örebro.

– Tak, było lepiej, kiedy słynęliśmy z wieży ciśnień, która wyglądała jak grzyb – śmieje się Tommy Nordin.

Przedzierają się drogą. Z obu stron otaczają ich duże skalne bloki, a gałęzie zwisają nad nimi jak upiorne ręce, jakby las chciał pochwycić intruzów i wciągnąć ich w zamrożone chaszczki.

Po chwili Nordin skręca w lewo i rusza pod górę ścieżką, którą na pierwszy rzut oka trudno dostrzec.

– To tam. – Wskazuje na ogromną skalną ścianę u podnóża zbocza. Czarny otwór w skale zasłania metalowa krata, ale trzy pręty są wyłamane, przez co powstało szerokie na pół metra przejście.

Zbliżają się ścieżką. Kilka metrów przed wejściem Zack widzi sterczące ze śniegu fragmenty tabliczki.

Otrzeputuje ją.

ZAKAZ WSTĘPU

ZAGROŻENIE ŻYCIA

OTWARTE SZYBY

RYZIKO OBSUWU

Tommy Nordin czyta Zackowi przez ramię.

– Pomagałem ogradzać tę kopalnię po wielkim tąpnięciu kilka lat temu. Całe szczęście, że nikomu nic się nie stało – mówi. – Musimy być ostrożni.

– Jest jakieś inne wejście?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Deniz mija ich, przeciska się między prętami i wchodzi do kopalni.

Zack i pozostali ruszają za nią.

Mróz natychmiast staje się bardziej przenikliwy, mrok gęściejszy. Z ziemi sterczą jak stalagmity odwrócone sople lodu grożące przebicciem intruzów, którzy tracą

równowagę na śliskich kamieniach.

– Przytulne miejsce – mówi cicho Zack, zapalając czołówkę.

Deniz omiata światłem latarki sklepienie i ścianę grotu. Pod sufitem widzi rzędy popękanych żarówek osłoniętych metalowymi siatkami.

Nagle zatrzymuje się w pół kroku. Zack również.

– Słyszałeś to? – pyta szeptem.

– Tak, brzmiało, jakby ktoś kopnął kamień.

Zack na migi pokazuje policjantom z Örebro, żeby się przygotowali. Wyciągają broń i powoli ruszają dalej.

Zack myśli o Niklasie. O tym, jak się skradał w mrocznym pomieszczeniu w skałach i jak zaskoczył go Lew. Rozpruł mu brzuch.

Mocniej ściska broń, kieruje światło w dół i stara się źle nie stąpnąć ani nie potrącić żadnego kamyka.

Promienie czołówek przecinają zwarty mrok jak miecze świetlne i każda wypukłość na ścianach grotu rzuca ponure, długie cienie.

Na prawo otwiera się boczny korytarz, ale po kilku metrach kończy się ogromną stertą dużych głazów.

Deniz robi kilka kroków w głąb korytarza i omiata latarką oberwane skały. Przejście wydaje się zablokowane aż po strop.

– Nie przesadzali z tym ryzykiem obsuwu – szepcze.

Zack idzie dalej głównym korytarzem. Widzi zmurszałą drewnianą barierkę, która otacza kwadratową dziurę w podłożu.

Zbliża się. Ostrożnie wychyla się przez poręcz i świeci do dziury.

Stara drewniana drabina niknie w mroku na dole.

Czy to tam jest uwięziony Albert?

Pozostali do niego dołączają i ostrożnie spoglądają w dół.

– Ta drabina nie wygląda na zbyt stabilną – szepcze Tommy Nordin.

– To prawda, ale nie mamy wyboru – odpowiada Zack. – Chłopcu, którego szukamy, zostało niewiele czasu.

Prosi o jedną z lin. Mocuje koniec do słupka barierki, który wygląda najpewniej, a drugim końcem obwiązuje się na piersiach. Potem nurkuje pod barierkę i zaczyna schodzić.

Już trzeci szczebel załamuje się pod jego ciężarem. Przegniłe kawałki drewna lecą w ciemności i uderzają w coś daleko pod nim.

Świetna robota, Zack. Teraz Lew cię usłyszał i może się spokojnie na ciebie zacząć, z pazurami i skalpelem. Schodzi dalej. Otacza go najmroczniejsza ciemność, jakiej kiedykolwiek doświadczył.

Po około dziesięciu metrach w skale tuż przy drabinie otwiera się korytarz.

Zack go oświetla. Widzi rzędy przegniłych belek, które kiedyś tam umieszczono, by podeprzeć strop.

Powinien dalej schodzić na dół czy wejść tutaj?

Świeci w dół. Widzi, jak blask czołówki odbija się w czymś poniżej. Cały otwór pokrywa gładki jak lustro lód. Grota jest wypełniona wodą. Nie da się zejść niżej. Musi

iść korytarzem na wprost.

Chce zawołać Deniz, by do niego zeszła, ale boi się narobić jeszcze więcej hałasu.

Próbuje przez radio, ale system komunikacyjny RAKEL pod ziemią nie działa. Zack wyjmując komórkę i sprawdza, czy ma zasięg. Owszem, jedna kreska. Niesamowite. Ale bateria jest już bliska wyczerpania. Wczoraj zapomniał ją naładować.

Wysłała esemesa do Deniz. Potem odwiązuje linę zabezpieczającą i zapuszcza się w korytarz.

Przejęcie słabo opada w dół, a strop jest tak nisko, że Zack musi się garbić.

Jak ludzie mogli tutaj pracować?

Jak często widywali światło dzienne?

Ociera się ramieniem o jakiś wystający kamień i ma wrażenie, że dźwięk odbija się echem od skał. Jakby chciały kogoś ostrzec o jego przybyciu.

Z mroku za jego plecami wynurza się Deniz, a tuż za nią Tommy Nordin i pozostali.

– Jak jaskinia z koszmaru – szepcze do niej Zack.

– Byłam w znacznie gorszej – odpowiada mu szeptem partnerka i go wymija.

Zack patrzy za nią. Przypomina mu się, co mu kiedyś opowiadała o ucieczce przez góry w Kurdystanie. Usłyszała, że zbliżają się wilki, i razem z młodszym bratem musiała się wcisnąć do grotty z niskim sklepieniem. Widzieli, jak wilki zaglądają do środka wygłodniałymi, zimnymi oczami.

Ruszają dalej.

Ciągle w dół. Jeżeli to możliwe, zimno stało się jeszcze przenikliwsze. Wdziera się pod ubranie, chłodzi spocone plecy. Zacka przeszywa dreszcz.

Potrąca coś butem i brzęk odbija się echem w całej kopalni.

Wyciągają broń, a Zack świeci na ziemię, próbuje zobaczyć, co kopnął.

Puszka po Red Bullu.

Podnosi ją. Wącha. Czuje słodkawą woń.

Niedawno ją otwarto.

Tommy Nordin się pochyla i bierze coś do ręki.

– Co to? – pyta Zack.

– Stary pojemnik na film. Zanim przyszły czasy cyfrowych aparatów, w takich pojemniczkach przechowywało się rolki. – Otwiera go i wyjmując zrolowaną kartkę. Unosi ją do światła czołówki.

Sześć nazwisk, nabazgranych różnym charakterem pisma, jedno pod drugim. Obok widnieje data i godzina. Ostatni zapis przedwczoraj.

– Nie wydaje mi się, żeby wasz człowiek tu był – mówi Tommy Nordin. – Ktoś się tutaj bawił w geocaching.

Deniz zagłębia się dalej w korytarz, ale Zack wciąż kuca. To nie może być prawda, myśli. Szliśmy po śladach jakiegoś idioty, który się bawi w gry terenowe.

– Dalej nie ma przejścia! – woła z mroku Deniz.

Zack wstaje i szybko rusza w jej stronę. Widzi, że stożek światła z jej latarki odbija się w ciemnym lodzie zamykającym cały korytarz.

Chłopca tu nie ma.

Poświęcili bezcenne godziny, żeby zapuścić się w tę niegościnną ślepią uliczkę.

Skały kpiąco się z niego śmieją i Zack ma ochotę wrzasnąć. Wywołać to oberwanie, od którego cała góra w końcu się zapadnie.

Zerka na zegarek.

Albertowi zostały trzy godziny i trzydzieści siedem minut.

Droga powrotna ciągnie się w nieskończoność. Wycieraczki pracują na najwyższych obrotach, coraz szybciej zgarniając wielkie płatki śniegu atakujące szybę, jezdnia tonie w brei. Ruch jest spory, bo mieszkańcy Sztokholmu wracają do domów po weekendzie.

Zack i Deniz milczą, świadomi, że niedługo kończy im się czas i nie mają nawet jednego sensownego tropu.

Wydaje się, że każdy policjant we wschodnim Svealandzie pracuje w tej chwili nad tą sprawą, ale nie widać żadnych efektów.

Ruch na drodze jest coraz większy i na wysokości Enköpingu mijają ich dwie karetki jadące do poważnego wypadku pod Västerås.

Kwadrans później dzwoni Abdula.

– Afgańczycy wezwali mnie na spotkanie w Kebab Heaven w Husby. Punkt szósta. Potrzebuję cię tam.

– Nie mogę. Mamy krytyczną sytuację.

– Chodzi o dzieciaka tego dzianego kolesia? Mam dla was dobrą wiadomość.

– Jaką?

– Mój znajomy oglądał niedawno film z tym pierwszym dzieciakiem, z tym ciapatym. Poznał to miejsce, mówił, że był tam parę miesięcy temu na kompletnie pojebanej imprezce. To w...

– Gdzie? Halo? Abdula? Halo? Gdzie to jest?

Zack zerka na komórkę. Wyświetlacz jest czarny. Wyczerpała się bateria.

– Kurwa. Gdzie zapasowa ładowarka?

– Powinna być w schowku w desce rozdzielczej – mówi Deniz. – Kto dzwonił?

Zack otwiera schowek, wywala z niego książkę serwisową, papierki po cukierkach i płyty CD.

– Nie ma jej tu.

– To weź mój telefon.

– Nie znam na pamięć numeru Abduli. Zmienia go co miesiąc.

Zack szuka w schowku między siedzeniami, obmacuje podłogę pod fotelami. Potem się odwraca i przeszukuje kieszenie na oparciach.

Nigdzie nie ma ładowarki.

– Niech to szlag! Jakiś idiota musiał ją zabrać. Założę się, że to był Koltberg. Co teraz zrobimy?

– Wiesz, gdzie jest Abdula?

Zack patrzy na zegarek.

– Nie, ale wiem, gdzie będzie za czterdzieści pięć minut.

Sirpa chyba już pięćdziesiąty raz dzwoni na numer Alexisa Hamréna.

Musi ich zaprowadzić do tej jaskini, w której jest przetrzymywany Albert. Natychmiast.

– Abonent jest chwilowo nieosiągalny. Proszę zadzwonić...

Rzuca słuchawką tak mocno, że telefon stacjonarny przesuwa się kawałek po biurku.

Gdzie on jest?

Rudolfowi udało się skontaktować z rodzicami Hamréna, ale twierdzą, że nie mają pojęcia, gdzie może przebywać ich syn, i wygląda na to, że nie są z nim w najlepszych stosunkach.

Sirpa wpatruje się w monitor.

Albert cicho płacze.

Zostały dwie godziny i osiem minut.

– Nie podoba mi się to – mówi Deniz, gdy mijają Ikeę w Barkarby. – Ani trochę mi się to nie podoba.

– A masz jakiś lepszy plan? – pyta Zack.

Deniz nie odpowiada. Ale przynajmniej się uspokoiła.

Pół godziny temu, gdy opowiedział jej, w czym obiecał pomóc Abdulowi, wrzeszczała na niego tak strasznie, że łamał jej się głos.

– Jesteś chory, Zack! Wiesz o tym? Jak mogłeś się zgodzić być ochroniarzem jebanego handlarza narkotyków? Powinniśmy wsadzić tego idiotę za kratki, a nie go chronić. To tak się wzięłeś w garść?

– A ty masz niby samych porządnym przyjaciół? – zapytał. – Na przykład ta z Hässelby, Sübeide. Kilka lat temu wybijała szyby w sklepach i kradła.

– Skończyła z tym. Teraz jest trenerką personalną.

– A gdyby z tym nie skończyła, to odciąłabyś się od niej? Nie pomogłabyś, gdyby cię potrzebowała?

Deniz umilkła. Wyrzała za okno. Każdy mięsień na jej twarzy wyrażał napięcie.

– Abdula uratował też twoje życie – powiedział Zack.

– Przecież wiem.

– A teraz może nam pomóc jeszcze kogoś uratować. I jadąc do Husby, nawet nie nadkładamy drogi. Albert może być przetrzymywany w okolicy.

– A czemu nagle tak uważasz?

– Gustaf Johansson mieszka w Kista, ostatnia rozmowa Ismaila została wychwycona przy Järva Krog, i nagrał się na filmie z kamery tam i pod sklepikiem w północnej części Solny. Musi być tak, jak mówi Östman: szukajcie w najbliższej okolicy.

Przez chwilę milczeli. Zack odezwał się pierwszy:

– Wezmę się w garść, obiecuję. Niczego bardziej nie pragnę.

Ustalili taktykę.

On ma wejść do baru z kebabem i czekać na Abdulę, a Deniz będzie siedzieć w samochodzie. Jeśli Aarasha Alama i jego gangu nie będzie w pobliżu, Zack spyta Abdulę, gdzie jest przetrzymywany Albert. Potem przekaże to Deniz przez radio, żeby mogła powiadomić pozostałych i rozpocząć operację ratunkową.

Zack zostanie w barze i będzie czuwał nad przebiegiem spotkania, a potem ruszy za nimi taksówką.

Proste.

Deniz zjeżdża z drogi 275 i są już na Danmarksgatan w Husby.

– A jeśli dojdzie do strzelaniny? Jak wyjaśnisz, co tam robiłeś?

– Powiem, jak było, że miałem się spotkać z informatorem, który zamierzał mi przekazać rozstrzygające informacje o Albercie. Nie musieliśmy przecież wiedzieć, że informator miał jeszcze inną sprawę do załatwienia w tym barze.

Mijają ceglasty budynek pływalni i wjeżdżają na chodnik pod kładką dla pieszych.

Zack wysiada z wozu i się rozgląda. Śnieżyca szaleje w najlepsze i na ulicy nie widać ani żywej duszy. Otwiera bagażnik i zakłada pod puchową kurtkę kamizelkę kuloodporną. Wsuwa do uszu słuchawki, podłącza je do radia i na próbę wywołuje Deniz.

Zagłąda przez opuszczoną szybę od strony pasażera i mówi:

– Zaparkuj w zasięgu wzroku, ale nie za blisko knajpy, dobra?

Deniz kładzie dłoń na jego ręce i patrzy mu w oczy.

– Bądź cholernie ostrożny. Nie ryzykuj za bardzo.

Zack się do niej uśmiecha.

– Za chwilę się widzimy.

Wbiega po schodach na kładkę dla pieszych i szybkim krokiem brnie przez warstwę świeżego śniegu w stronę centrum Husby. Zerka na zegarek. 17.42.

Nie wspomniał Deniz, jak paskudnie może się to wszystko potoczyć. Powiedział tylko, że Abdula ma dług do zapłacenia. Nie napomknął o tym, że Aarash Alam kupił od niego kiepski towar. Mimo to ona przewidziała niebezpieczeństwo.

Bądź cholernie ostrożny.

Po drodze sprawdził w telefonie Deniz ten bar z kebabem. Niedawno otwarty. I najwyraźniej popularny. Więc może wszystko przebiegnie spokojnie? Chyba nie zastrzela Abduli w obecności wielu świadków? A może właśnie o to im chodzi? O publiczną egzekucję.

Nie, dopóki ja jestem w pobliżu, myśli Zack.

Abdula oberwał za niego kulę w Skärholmen. W pewnym sensie to dlatego teraz siedzi po uszy w gównie.

Ten pocisk nie tylko porozrywał mu mięśnie i ważne naczynia. Poszatkował mu też psychikę.

Dziś wieczorem może się to paskudnie skończyć.

Możliwe, że gang z Husby będzie chciał go ukarać dla przykładu.

A wtedy i ja mogę oberwać, myśli Zack.

Uratuję Abdulę.

Ale Albert przez to zginie.

Mężczyzna powoli wsuwa ręce w lwie łapy. Zgina palce i obserwuje ruch czarnych pazurów.

Światło żarówki odbija się w ich lśniącej czerni, a czubki wyglądają, jakby mogły przeciąć hartowaną stal.

Zostało półtorej godziny.

Potem pazury będą mogły robić to, do czego zostały stworzone.

Rozszarpywać.

Rozrywać. Mścić się.

Potwierdzić, kto jest najsilniejszy.

Z jego gardła wydobywa się warczenie. Nie musi już nawet udawać, przychodzi mu to naturalnie. Żadne inne uczucie nie wydaje mu się tak oczywiste jak to. Obojętność drapieźnika wobec ofiary i radość przed zabijaniem.

Godzina i dwadzieścia dziewięć minut.

Zastanawia się, jak się teraz czuje Peter Bunde. Czy skomle z bólu z każdą mijającą minutą. Czy żałuje. Czy głupio się czuje w swoich śmiesznych ubraniach. I czy wreszcie zaczyna rozumieć, że to rzeczywistość, a nie jakaś gra.

Najwyższa pora.

Potraktował mojego brata jak śmiecia.

Bawił się nim.

Doprowadził go do samobójstwa.

Teraz ja się pobawię.

Jego synem.

Godzina dwadzieścia osiem.

Kocim krokiem podchodzi do klatki. Widzi, jak Albert natychmiast wycofuje się w jej drugi koniec.

Jak wciska się w pręty i drży na całym ciele.

Jego zwierzyna. Jego ukochana zwierzyna.

Lew ryczy. Głośno i przeciągle.

Jestem rozwścieczonym samcem lwa z Kolmården, zwierzęciem, które pragnęłam widzieć, kiedy te prawdziwe leżały leniwe i syte w parku safari.

Jestem wszystkim tym, czym nie były te lwy w niewoli.

Jestem silny. Jestem wolny.

Pod Albertem widać rosnącą kałużę.

Widzisz ją, Peterze Bunde?

Widzisz, jak cierpi twój syn?

Czujesz jego ból? Tak jak ja czułam ból mojego brata?

Ale wtedy byłem słaby.

Padłem ofiarą okoliczności.

Nie tak jak teraz.

Teraz to ja jestem game masterem, decyduję, co się wydarzy.

Jestem Lwem.

Godzina dwadzieścia siedem.

Powoli okrążyła klatkę. Kilka razy. Lwia skóra porusza się miękko, czuje jej ciepły, szorstki dotyk. Stapia się z nią w jedno i teraz jest częścią czegoś większego. Bogowie są po jego stronie.

Przez cały czas wskazywali mu drogę.

Prowadzili go.

Zamierzał zacząć od Alberta, ale dali mu Ismaila.

Godzina dwadzieścia sześć.

Myśli o ich przypadkowym spotkaniu. Jak wyszedł właśnie z Coop z reklamówką pełną jedzenia, kiedy zbliżył się do niego Ismail i zaczął żebrać o pieniądze.

W pierwszej chwili chciał go przegonić, jak innych żebraków, ale coś sprawiło, że zmienił zdanie.

Kucnął, zapytał chłopca, kim jest i co tutaj robi. Dał mu jabłko. Sprawił, że dzieciak się otworzył i powiedział mu więcej, niż zamierzał.

Ten cudowny dreszcz, jaki poczuł, gdy dotarło do niego, że chłopak zwiął – i że nie ma żadnej rodziny, która będzie go szukać.

Ismail – dar bogów dla ich Lwa.

Obiekt do ćwiczeń.

Okazja, by udoskonalić metody.

Po raz pierwszy naprawdę stać się lwem. Poćwiczyć przed prawdziwą zemstą.

Ale to było coś więcej niż ćwiczenie. Okazało się większe i lepsze, niż mógł kiedykolwiek przypuszczać.

I stosownie podziękował za to bogom. Pokazał im Ismaila, przywiązał go wysoko, żeby księżyc i gwiazdy mogły pieścić jego ciało.

Godzina dwadzieścia pięć.

Nawet ten wścibski policjant nie mógł popsuć euforii, jaką wtedy czuł. Wręcz przeciwnie, to niespodziewane wtargnięcie do nowej jaskini lwa, którą zaczął przygotowywać, stało się kolejnym dowodem, że przeszedł już tę wielką przemianę. Zabił go szybko i skutecznie. Wykorzystał ciemność. Stał się lwem, nie przebierając się nawet w futro.

Teraz siła płynęła z niego.

Wypełniała całą jego istotę.

A tym razem nie tylko bogowie będą mogli oglądać jego ofiarę.

Jutro rano, kiedy Peter Bunde wyjrzy z gabinetu, zobaczy swój najgorszy koszmar.

Została godzina i dwadzieścia cztery minuty.

W Kebab Heaven w Husby woń niedawno wyschniętej farby miesza się z zapachem tłuszczu z grilla.

Zack wybrał stolik w kącie. Wolałby siedzieć sam, ale w barze jest spory tłok i musi dzielić stolik z jakąś parą dwudziestolatków. Na szczęście wygląda na to, że zwracają uwagę wyłącznie na siebie.

Zgniatą papierek po kebabie i ociera usta. Myślał, że będzie zbyt spięty, żeby coś zjeść, ale zapachy pobudziły apetyt. I kebab był dobry. Naprawdę dobry. Jakby właścicielom tego baru udało się znaleźć idealną równowagę między klasycznym fast foodem a świetnym francuskim kebabem przy Kungsgatan, który nawet Mera czasem jada.

Zack siedzi plecami do ściany. Próbuje się wtopić w otoczenie, ale zdaje sobie sprawę, że i tak się bardzo wyróżnia jasnymi włosami i bladą cerą.

Kelnerka o wielkich ciemnych oczach zbiera tace i śmieci ze stolików. Jakiś chłopak z przetłuszczonymi włosami i gigantycznymi słuchawkami na szyi klepie ją w tyłek i trzech jego kolegów zaczyna głośno rechotać.

Kelnerka próbuje mu coś odwarknąć, ale on w odpowiedzi gapi się na nią bezczelnie i mówi:

– Daj spokój, przecież to lubisz. Mogę ci dać to, czego chcesz.

Jego przyjaciele znów się śmieją.

Idioci, myśli Zack i zerka na zegarek. Siedemnasta pięćdziesiąt osiem.

Wyciera serwetką pot z czoła. Kamizelka kuloodporna i kurtka z grubą podszewką sprawiają, że zaczyna się rozpływać.

Bierze do ręki komórkę. Udaje, że coś czyta, i dyskretnie omiata wzrokiem lokal.

Abduli jeszcze nigdzie nie widać. Aarasha Alama najwyraźniej też nie.

Nie zdążył sprawdzić, kim są pomagierzy Afgańczyka. Ani ludzie Abduli. To może być prawie każdy. W lokalu jest sporo twardych typów. Dużo testosteronu.

Tak jak w nocy, myśli Zack.

Statystycznie rzecz biorąc, nie powinien tu teraz siedzieć.

Odsuwa tę myśl.

Dwóch starszych mężczyzn opuszcza bar, głośno rozmawiając. Wychodząc, przytrzymują drzwi wysokiemu, potężnemu mężczyźnie w lśniącej niebieskiej puchowej kurtce.

Abdula. Z czarną sportową torbą przerzuconą przez ramię. Sam, bez goryli. Na pewno czekają na zewnątrz, myśli Zack, a ja siedzę w środku, na wszelki wypadek.

Abdula idzie swobodnie między stolikami, ale rozbieganym wzrokiem omiata cały lokal.

Ich spojrzenia spotykają się tylko na chwilę, ale Zack ma wrażenie, że przyjacielowi trochę ulżyło, gdy siada przy stoliku dopiero co opuszczonym przez starszych mężczyzn.

Abdula odsuwa na bok tacę po poprzednich gościach i opiera rękę o stół. Stawia

sobie torbę między nogami i świadomie nie patrzy na Zacka.

W sumie dobra strategia, myśli Zack. Ale muszę z nim pogadać. Dowiedzieć się, gdzie jest Albert.

Zack zbiera się, by wstać i podejść do stolika Abduli. W tym momencie do lokalu wchodzi trzech mężczyzn. Dwa karczycha i jeden żylasty typ. Wyglądają, jakby jedli małe dzieci na śniadanie.

Po nich wchodzi czwarty.

Aarash Alam.

W ciemnych okularach, w garniturze i białym sztucznym futrze na ramionach. Kołnierz otacza jego długą szyję jak puszysty cumulus.

Jak afgańska parodia Snoop Dogga, myśli Zack, nie ruszając się z miejsca.

Gwar cichnie i wrażenie jest takie, jakby wszyscy goście w lokalu na siłę próbowali zachowywać się normalnie. W oczach chłopaka, który siedzi przy tym samym stoliku, pojawia się jakiś niepokój i mówi do swojej dziewczyny, żeby absolutnie się teraz nie odwracała.

Co ona oczywiście natychmiast robi.

Tak jak wiele innych osób w lokalu.

Aarash Alam sunie przez bar, jakby był jego własnością. I do Zacka dociera, dlaczego wybrał akurat to miejsce.

Żeby pokazać, do czego jest zdolny.

Pokazać, co cię spotka, jeśli spróbujesz wydymać króla Husby.

Prawa ręka Zacka wędruje do pistoletu pod kurtką. Pot spływa mu po plecach.

Zaraz coś się stanie.

Zack odchyła się na oparcie i udaje, że ogląda coś na komórce. Kątem oka próbuje kontrolować, co się dzieje.

Jeden z osiłków stanął przy drzwiach. Drugie karczycho i ten żylasty usiedli przy stoliku Abduli, ale miejsce naprzeciw niego zostawili puste.

Aarash Alam siada i zakłada nogę na nogę. Jego czarne skórzane buty lśnią jak szkliwo wulkaniczne.

Kelnerka podchodzi do ich stolika, zbiera śmieci po poprzednich gościach i mówi coś przeproszającym tonem do Aarasha Alama.

Ten ogląda sobie paznokcie i kiwa głową. Potem wbija wzrok w Abdulę i mówi coś, czego Zack nie rozumie.

Abdula coś odpowiada.

Karczycho przy drzwiach cały czas bacznie obserwuje lokal. Zatrzymuje się na Zacku, który uparcie wpatruje się w wyświetlacz komórki. Przez dłuższą chwilę nie podnosi wzroku.

Zamiast tego nasłuchuje, trudno mu zrozumieć słowa, ale rozmowa zdaje się przebiegać spokojnie. Głos Abduli brzmi wymuszenie, ale panuje nad sobą.

Po trzydziestu sekundach z nosem w komórce Zack ryzykuje i znów podnosi wzrok. Karczycho wpatruje się teraz w Abdulę, a ton rozmowy się zmienił. Stał się bardziej zajadły.

Abdula rozkłada ręce, podnosi z podłogi torbę i wygląda, jakby chciał ją podać

żylastemu typowi.

Aarash Alam śmieje się i kręci głową, jakby Abdula właśnie opowiedział dobry dowcip. Potem kiwa głową na jednego z osiłków, a ten natychmiast przykłada rękę do boku Abduli.

Zack próbuje dojrzeć broń, ale mężczyzna robi to fachowo. Dłoń trzymająca pistolet albo nóż ukryta jest w rękawie kurtki.

Abdula wygląda przez okno, jakby kogoś szukał. Aarash Alam z rozbawioną miną podąża za jego spojrzaniem i wyjmuje z kieszeni małe zawiniątko.

– Chyba dość wyraźnie daliśmy ci do zrozumienia, że masz przyjść sam – mówi głośniejsz niż dotąd. – Ale na zewnątrz znaleźliśmy dwóch twoich przyjaciół i koniecznie chcieli wetknąć palce między drzwi.

Rozwijają zawiniątko na stole i Abdula odruchowo się cofa.

Zack widzi, co tam leży.

Dwa odcięte palce. Oba z sygnetami, żeby Abdula je poznał.

Afgańczyk się uśmiecha, patrząc, jak Abdula gapi się na zakrwawione palce. Potem wstaje od stolika, a karczycho z bronią zmusza Abdulę, żeby też wstał.

Zack siedzi jak na szpilkach, z ręką na broni.

Karczycho prowadzi Abdulę w stronę kuchennych drzwi.

Niedobrze.

Ten żylasty idzie przodem z torbą, za nim karczycho z Abdulą, potem Aarash Alam i na końcu osiłek, który stał przy drzwiach.

Zack ma ochotę za nimi pobiec, ale rozumie, że to pułapka. Jeden z ludzi Alama na pewno będzie czekał tuż za drzwiami, gotów rzucić się na każdego, kto spróbuje tam wejść.

Zack podchodzi do stolika, przy którym siedzi czterech młodych chłopaków i łapie za kołnierz chojraka z przetłuszczonymi włosami, tego, który wcześniej klepnął kelnerkę.

– Co ty, kurwa, robisz? – krzyczy chłopak, ale Zack wykręca mu tylko rękę za plecy i warczy:

– Idziesz ze mną.

Żaden z pozostałych gości nie kiwa palcem.

Zack prowadzi przed sobą rzucającego przekleństwami chłopaka, idą w stronę drzwi do kuchni. Naciska łokciem klamkę i mocno popycha go do środka, drzwi się otwierają i chłopak wpada do kuchni.

Karczycho czekające za drzwiami rzuca się na niego i zaciska potężne ramię na jego gardle. Kiedy słyszy kliknięcie teleskopowej pałki, odwraca się, ale jest już za późno. Traci przytomność, zanim zderza się z podłogą.

Chłopak klęczy i z trudem łapie powietrze. Zack odsuwa go kopniakiem i wchodzi do kuchni.

Trzech mężczyzn w fartuchach i białych uniformach wpatruje się w niego z przerażeniem, kiedy szybkim krokiem zmierza do drzwi na tyłach.

Zack wychodzi na rampę dostawczą i musi osłonić oczy ręką przed zacinającym śniegiem. Mruga i widzi, jak czarne audi Q7 z przyciemnianymi szybami wpada w poślizg i prawie uderza w stojącą taksówkę, szybko wyjeżdżając z parkingu.

Mają Abdulę. I chcą go zabić.

Zack wywołuje Deniz.

– Podjedź na tyły. Już!

Słyszysz jej krzyk:

– Szlag by to trafił!

Audi po chwili znika z pola widzenia. Taksówkarz wysiada z samochodu i krzyczy coś za oddalającym się pojazdem.

– Pośpiesz się! – mówi Zack do Deniz. – Mają Abdulę.

– Mamy gumę – odpowiada partnerka i Zack słyszy przez radio, jak otwiera drzwi. – Ktoś wbił nóż w oponę.

Zack biegnie do taksówki. Kierowca wsiadł z powrotem do wozu i dalej je swojego kebaba.

– Zapłacę ci podwójnie, jeśli wyrzucisz żarcie i pojedziesz za tamtym samochodem.

Kierowca ociera sos z wąsów.

– Wskakuj.

Samochód rusza, zanim Zack zdążył zatrzaskać drzwi, i z poślizgiem wyjeżdża na ulicę, rozpryskując wokół śniegową breję.

– Cholerni debile. Ciebie też próbowali przejechać? – pyta taksówkarz, trąbiąc na kilka kobiet w burkach, które przebiegają przez drogę.

– Coś w tym stylu.

Taksówka po pokonaniu pięćdziesięciu metrów jedzie już dziewięćdziesiąt na godzinę, ale audi mknie jeszcze szybciej.

Zack zerka na zegarek. Albertowi została już tylko godzina.

Wszystko trafia szlag.

Agent biura nieruchomości Peter Larzon wsuwa klucz do zamka lokalu biurowego na trzecim piętrze przy Vasagatan 15. Jutro rano ma go pokazać kilku potencjalnym najemcom i chce się upewnić, że wszystko jest w porządku. Nie był tu ani razu przez te dwa miesiące, jakie upłynęły, odkąd lokal się zwolnił; tyle różnych spraw ciągle stało mu na drodze.

Lokalizacja jest dobra, ale w ciągu najbliższego roku budynek ma przejść kapitalny remont i większości firm nie interesuje umowa na tak krótki okres. Ale teraz zgłosiła się jakaś firma telemarketingowa.

Larzon otupuje śnieg z mokasynów marki Bally i otwiera drzwi. Uderza w niego chłodne, zastale powietrze.

Lokal składa się z pomieszczenia socjalnego, trzech biur i wspólnej kuchni. Ktoś zamknął drzwi do pokoju od strony Vasagatan, a w holu leży jakiś gruz.

Peter Larzon wzdycha poirytowany. Przecież miało nie być żadnych drobnych remontów! Właściciel nieruchomości wyraźnie dawał do zrozumienia, że przed kapitalnym remontem nie chce niczego ruszać.

Może coś wymagało natychmiastowej naprawy? – myśli Larzon, otwierając drzwi.

Co to takiego?

Na środku pokoju piętrzy się duża drewniana konstrukcja.

Obok stoi składany stół warsztatowy z jakiegoś lekkiego stopu. Narzędzia, deski, plastikowe pojemniki z gwoździami i wkrętami.

Co przypomina ta konstrukcja?

Gigantyczną szubienicę.

Bo to chyba szubienica?

Mężczyzna robi kilka kroków w głąb pokoju i teraz widzi sznur zwisający z potężnej poziomej belki. Stryczek. A na dole koła, dzięki czemu całą konstrukcję można łatwo przesuwać po podłodze.

Ścisza mu się żołądek. Odwraca się. Nasłuchuje. Ale jest tutaj sam.

Podchodzi do okien od strony Vasagatan. Na zewnątrz zacina śnieg, ludzie kulą się na wietrze. I gdy Larzon podnosi wzrok, patrzy prosto na siedzibę Echidna Games, firmę, o której ostatnio było głośno.

Spogląda na parapet.

Leży tam jakiś rysunek. Szkic szubienicy z małym chłopcem na stryczku. Okno na rysunku jest otwarte, a cała konstrukcja do niego przysunięta, tak, że szubienica wystaje, a ciało chłopca swobodnie zwisa przy fasadzie budynku, by wszyscy mogli je widzieć.

Peter Larzon zamyka oczy. Myśli o licznych doniesieniach w mediach o tamtym porwanym chłopcu, synu dyrektora Echidna Games.

Czy to może mieć z tym jakiś związek?

Wyjmuje komórkę. Wybiera 112.

Audi pachnie świeżością – ma połączaną kierownicę, czarną skórzaną tapicerkę i monitory w zagłówkach.

Abdula siedzi z tyłu wciśnięty między dwa karczycha i stara się cicho, spokojnie oddychać.

Aarash Alam siedzi na miejscu pasażera. Poprawia białe futro na ramionach, odwraca głowę i mówi do Abduli:

– Przepraszam za ten pośpiech, ale przejdziemy teraz do bardziej fizycznej strony naszego spotkania, a to wymaga trochę prywatności. Byłoby szkoda zabrudzić podłogę w naszym pięknym nowym barze, nie uważasz?

Abdula zamyka oczy, próbuje zachować spokój.

Zdarzało mu się grozić ludziom, bić ich, a nawet zabijać. Ale nigdy nikogo nie torturował. Ani sam nie był torturowany. Wie, przez co przeszedł jego ojciec, zanim udało mu się uciec z rodziną z Maroka. Chłosta. Elektrowstrząsy. Wielokrotne silne uderzenia w podeszwy stóp.

A teraz jego syn też będzie torturowany.

Słyszał o tym, jak Afgańczycy z Husby traktują swoich wrogów. Przyklejają ich taśmą do krzesła i wwiercają im grube wkręty w kolana.

W jądra.

I w oczy.

Mruga, żeby odsunąć ten obraz, i skupia się na drodze.

Dokąd jadą?

Skręcili w małą dróżkę w środku lasu.

Czy to w ogóle droga dla samochodów? Bardziej wygląda na trasę rowerową.

Domyśla się, że muszą być gdzieś między Sollentuną a Jakobsbergiem. Ale trudno coś zobaczyć, bo za szybami wiruje śnieg. Żałuje, że w ogóle coś widzi. Że nie założyli mu worka na głowę, bo to by znaczyło, że zamierzają puścić go żywego.

Patrzy na swoje ręce. Myśli o palcach w zawiniątku.

Co zrobili z André i Malikiem? Zadowolili się obcięciem im po jednym palcu?

Pewnie nie.

Widzi w wyobraźni dwójkę dzieci Malika. Zaledwie dwa tygodnie temu Abdula tarosił się z nimi na sofie.

Czy teraz ich ojciec nie żyje?

Ma nadzieję, że przynajmniej zginęli szybko.

Z ciemności wynurza się duży budynek przypominający magazyn. Audi parkuje przy nim i Abdula przełyka kwaśną ślinę. Karczycho po jego lewej stronie wysiada i każe mu iść za sobą. Teraz ma w ręce lepszą broń. To MAC-10. Klasyczna broń gangsterów. Szybkostrzelność dwadzieścia pocisków na sekundę, a przy tym nie robi za dużo hałasu.

Żyłasty Afgańczyk przekręca klucz w potężnej kłódce i otwiera drzwi.

Abdula ledwie jest w stanie odczytać wyblakłe od słońca słowa „Järva Paintball” na zardzewiałej tablicy nad drzwiami, a potem ktoś wpycha go do środka i do czoła przyklejają mu się stare pajęczyny.

Ten żyłasty zapala przenośną lampę na baterie i Abdula widzi na wprost zabazgraną ladę recepcji, a za nią kilka pustych półek na ścianie. Po lewej stronie ciągnie się szereg porozwalanych drzwi, a po prawej niknący w ciemności korytarz.

– Znaleźliśmy to miejsce dopiero parę tygodni temu – mówi Alam za jego

plecami. – Całkiem przytulnie, nie uważasz?

Idą korytarzem i wchodzi do pomieszczenia przywodzącego na myśl opuszczony hangar.

Jest tu pusto, z wyjątkiem betonowych słupów podtrzymujących strop. I metalowego krzesła, które stoi samotnie na betonowej podłodze. W zimnym świetle lampy na baterie jego chromowane nogi rzucają na ściany długie cienie przypominające szkielet.

Abdula widzi zaschnięte czarne kałuże na podłodze obok krzesła. Potem dostrzega skrzynkę z narzędziami i wtedy niemal uginają się pod nim kolana.

Sirpa rozłącza się w pół zdania i wstaje, żeby przynieść sobie kawy.

Co za upierdliwy gaduła.

Pułkownik, z którym właśnie rozmawiała, miał być ponoć ekspertem od starych podziemnych fortyfikacji w okolicach Sztokholmu. Wyjaśniła mu, o co chodzi, i poprosiła, by przyjrzał się transmisji z Albertem i spróbował rozpoznać pomieszczenie w skałach.

Ale choć wyjaśniła mu, że kończy im się czas, dziadek ciągle próbował jej opowiadać jakieś stare anegdoty.

– No cóż – powiedział drżącym głosem – trochę mi to przypomina podziemną centralę na północy Uppland, ale nie do końca. Wspaniały obiekt, może mi pani wierzyć. Mam stamtąd wiele wspomnień. Na przykład, kiedy mieliśmy...

I wtedy odłożyła słuchawkę.

Gdy kawa z automatu splywa do kubka, Sirpa słyszy w policyjnym radiu informację o dużym karambolu. Cała E4 jest zablokowana na wysokości Helenelund.

Sirpa nie mogłaby się mniej przejąć.

Myśli o szubienicy w biurze przy Vasagatan. Douglas Juste przed chwilą wysłał patrol, żeby to sprawdzić.

A więc to tak Gustaf Johansson zamierza się zemścić? Kiedy Peter Bunde wyjrzy ze swojego gabinetu, zobaczy wiszące zwłoki syna?

To się robi coraz bardziej obrzydliwe.

Sirpa pociera skronie, próbuje się skupić.

Czego jeszcze nie próbowali?

Co przeoczyli?

Telefon na jej biurku znowu dzwoni. To pewnie ten pułkownik chce wiedzieć, dlaczego się rozłączyła.

Kuśtyka z powrotem.

– Sirpa Hemäläinen – odbiera.

– Kim jesteś? – Głos młodego, rozzłoszczonego mężczyzny.

– Alexis Hamrén? – pyta Sirpa.

Wreszcie jej się udało. Teraz to rozwiążą.

– Dzwoniłaś do mnie chyba z tysiąc razy. Czego chcesz?

– Jestem ze sztokholmskiej policji i potrzebuję twojej pomocy. Widziałam twoją stronę i teraz...

– Nie pomagam jebanym glinom.

Klik.

– Halo? Halo?!

Sirpa oddzwania na jego numer.

Abonent jest chwilowo nieosiągalny.

Rzuca słuchawką tak mocno, że z jednej strony pękają widełki.

– Kurwa!

Słyszysz za plecami kroki Rudolfa i Sandry.

– To był ten urban explorer? – pyta Rudolf.

– Tak.

– Zdażyłaś się dowiedzieć, gdzie jest?

– Nie. A teraz wyłączył telefon.

Rudolf i Sandra milczą, ale ta cisza wystarcza za odpowiedź.

Przepadła nasza ostatnia szansa.

Z jakiegoś powodu Sirpa wścieka się na Sandrę Sjöholm. Ta cycata blondynka gównem im pomogła. A może jednak? Może dobrze się spisała podczas przesłuchań prowadzonych wspólnie z Rudolfem? Teraz to już nieważne. Albertowi zostały tylko czterdzieści trzy minuty życia. Nie znajdą go na czas.

Policyjne radio wciąż wyrzuca z siebie informacje o karambolu. Wygląda na to, że na wszystkich drogach w całym Norrort i Västerort utworzyły się korki, bo kierowcy wracający po weekendzie szukają innej trasy, żeby ominąć zator. Zgłoszono już, że ponad dziesięć pojazdów wypadło z drogi, między innymi radiowóz zmierzający na miejsce wypadku.

Na ekranie Albert zaczyna wędrować po klatce, jak zestresowane zwierzę w zoo. Tam i z powrotem. W kółko.

Sirpa słyszy, że chłopiec próbuje śpiewać, może chce dodać sobie otuchy, ale rwie mu się głos i brzmi to bardziej jak szept.

Zostały czterdzieści dwie minuty.

Nędzne czterdzieści dwie minuty.

Czy Albert o tym wie? To dlatego chodzi po klatce?

Nagle chłopiec zatrzymuje się w pół kroku. Wpatruje się w kamerę i wygląda, jakby nasłuchiwał. Drży na całym ciele.

Sirpa sięga po słuchawki i też nasłuchuje. Gdzieś dalej słychać jakieś stłumione dźwięki. Szuranie. I cichy pomruk.

Jakby mężczyzna w stroju lwa stał gdzieś za kamerą i się przygotowywał.

– Nie wolno ci – szepcze Sirpa. – Nie wolno ci.

I dociera do niej, że mimo wszystko aż do tej chwili miała nadzieję. Że gdzieś w głębi liczyła na to, że jakoś uda im się to rozwiązać.

Ale tak się nie stanie.

Albert zginie.

A jego matka będzie na to patrzeć. I przybrany ojciec.

Ta myśl jest nie do zniesienia.

Jej komórka zaczyna wibrować na biurku. Sirpa widzi, że to jakiś zastrzeżony numer, i coś jej podpowiada, że to będzie ważne. Czyżby Alexis Hamrén zmienił zdanie? Oby to tylko nie był ten pułkownik, który poczuł się urażony, kiedy rzuciła słuchawką.

– Halo, tu Sirpa.

– Mówi Peter Bunde, tata Alberta.

Sirpa prostuje się na krześle jak struna.

– Dzień dobry.

– Podam wam współrzędne miejsca, gdzie jest przetrzymywany Albert.

Sirpa próbuje znaleźć słowa, ale jest w stanie wydusić tylko:

– Ale jak...

– Później wyjaśnię – mówi Peter Bunde. – Kiedy już wyślecie tam ludzi. Podaję współrzędne. *Go execute*. Będę czekać na linii.

Taksówka podskakuje na wybojach, przedzierając się przez ziemię niczyją. Mrok pochłania las, mimo szybko przybywającego śniegu.

Zack próbował podać Deniz przez radio opis dojazdu, ale taksówka ma zepsuty GPS i nie wie, co z tego wyjdzie. Skręcili w drugi czy trzeci zjazd? I co było napisane na ostatniej tablicy? Wszystko ginie w mroku i zamieci. Poza tym Deniz utknęła w korku. Najwyraźniej padł jakiś rekord wypadków i kolizji.

Zack wygląda przez okno, próbuje się zorientować, gdzie jest, ale wszędzie tylko drzewa, ciemność i śnieg. Wyjący wiatr i zacinający śnieg, który rozszarpuje niebo jak ostre lwie pazury.

Gdzie my, kurwa, jesteśmy? – myśli Zack.

I gdzie się podziało czarne audi?

A wtedy widzi je w świetle reflektorów, zaparkowane na polanie przed nimi, pod jakąś wielką ciemną ścianą.

– Zatrzymaj się i wyłącz światła. Już!

Taksówkarz natychmiast wykonuje polecenie i audi znika z pola widzenia.

Zack wyciąga z kieszeni pięćset koron i mu je podaje.

– Odjedź kawałek najciszej jak się da, z wyłączonymi światłami i zaparkuj sto metrów dalej. Jak wrócę, dam ci drugie tyle.

Zack wysiada z taksówki i biegnie w stronę budynku po śladach audi. Rozgląda się za ochroniarzami, ale żadnych nie widzi. Gównu widać w tej zamieci. Jeśli zaczął się na niego ktoś z celownikiem, to będzie miał przerąbane. Ale nie ma wyboru. Biegnie dalej. Dopada do ściany budynku i zatrzymuje się, gdy słyszy krzyk.

Krzyk Abduli.

Zack przyśpiesza.

Gdzie te jebane drzwi? Tam.

Wyjmuje się sauera i naciska klamkę.

Zamknięte.

Wyciąga latarkę i świeci na zamek. Metal błyszczy i na tle zardzewiałych drzwi wygląda na całkiem nowy. Na szczęście nie jest zbyt skomplikowany.

Zack pracuje nad zamkiem, ale palce ma zeszywniałe z zimna i trwa to dłużej niż zwykle.

Trzydzieści sekund.

Czterdzieści pięć.

Rygiel zamka ustępuje.

Radio piszczy mu w słuchawce. Ma nadzieję, że to Deniz, która powie, że jest tuż za nim. Ale to Sirpa.

Zack odbiega kilka metrów od drzwi.

– Halo? – zgłasza się szeptem.

– Zack? Albert jest przetrzymywany w starej podziemnej fabryce prochu. A ty jesteś tylko trzy kilometry od tego miejsca.

Wszystko staje się wyraźniejsze. Bicie serca, zarysy drzew. Mróz na policzkach i para unosząca się z jego ust.

– Co? A skąd wiesz, że jestem w pobliżu?

– Funkcja namierzania RAKEL. Widzę twoje radio na mapie. Przed chwilą rozmawiałam z Deniz. Spróbuje tam dotrzeć pieszo, ale nie zdąży. Ty jesteś znacznie bliżej, ale masz tylko dwadzieścia minut. Nie, dziewiętnaście.

A co z Abdulą? – myśli Zack. Zginie, jeśli teraz się zmyje.

A jeśli zostaną, zginie Albert.

Kto ma żyć, a kto umrzeć?

Nie mogę o tym decydować.

Nikt nie może.

– Ile wozów jest w drodze na miejsce? – pyta.

– Pojechało tam mnóstwo patroli, ale to potrwa. Cała E4 jest zablokowana po jakimś karambolu i na wszystkich mniejszych drogach na północnych i zachodnich przedmieściach zrobił się tłok. Zresztą niektóre z nich też są zablokowane. Helikopter odpada przy tej pogodzie. Tylko ty możesz zdążyć na czas.

I tylko ja mogę uratować Abdulę, myśli Zack.

Kto ma żyć, a kto umrzeć?

Nikt nie umrze.

Wystarczy, że zginąłeś ty, Ismail. I ty, Niklas.

Uratuję ich.

– Sirpa, zgłoszę się za jakieś dwie minuty. Na razie.

– Co?

Zack wyłącza radio, znów podchodzi do drzwi i ostrożnie popycha je jedną ręką, cały czas przywierając do ściany. W każdej chwili spodziewa się ostrzału.

Dziewiętnaście minut.

Teraz pewnie już tylko osiemnaście. Albo siedemnaście.

Nic się nie dzieje. Nikt nie strzela. Zack wchodzi. Widzi światło na końcu korytarza i słyszy głosy gdzieś dalej.

Ktoś stoi dalej w korytarzu, z pistoletem w ręce, ale mężczyzna jest odwrócony plecami do Zacka i wydaje się całkowicie skupiony na czymś, co dzieje się w innym miejscu.

Zack mierzy do ochroniarza, ale opuszcza broń.

To pistolet Douglasa. Co będzie, jeśli technicy znajdą w ciele jednego z Afgańczyków kulę z broni należącej do szefa Jednostki do Zadań Specjalnych? I jak wytłumaczy, że oddał z niej strzał w tym budynku, kiedy powinien był biec ratować Alberta?

I co najważniejsze: jak Aarash Alam i pozostali zareagują na wystrzał?

Najpierw załatwią Abdulę, żeby nikt go nie odbił. Potem się ukryją i będą ostrzeliwać Zacka z trzech stron.

A wtedy będzie miał przerąbane.

Ale czas mija.

Zack wsuwa pistolet za pasek dżinsów i zaczyna się szybko skradać. Cieszy się, że

ma buty z grubą gumową podeszwą.

Słysząc jakiś głos, a potem ordynarny śmiech. Nawet ochroniarz się śmieje i Zack korzysta z okazji, by poruszać się szybciej.

Widzi już Abdulę w dużym pomieszczeniu, przytwierdzonego srebrną taśmą do krzesła. Głowa opadła mu na piersi, a z ust cieknie strużka krwawej śliny.

Żyłasty mężczyzna klęka przed Abdulą i wyjmuje coś ze skrzynki na narzędzia.

Aarash Alam i jeden z jego osiłków stoją i się przyglądają. Alam mówi coś drwiąco do Abduli i pozostali znów wybuchają śmiechem.

Wtedy Zack słyszy wkrętarkę.

Abdula wpatruje się jak urzeczony w długi osadzony w niej wkręt, a stojący wokół mężczyźni znów się śmieją.

Żyłasty przysuwa wkręt do kolana Abduli.

– Nie, nie! – krzyczy uwięziony i szarpie całym ciałem, żeby zerwać się z krzesła.

Zack klepie ochroniarza w ramię. Gdy ten się odwraca, uderza go prosto w krtań i wrywa mu z ręki glocka.

Oddaje pierwszy strzał, zanim ochroniarz wali o podłogę.

Pocisk trafia mężczyznę z wkrętarką w ramię, odrzucając go na bok.

Zack mierzy do karczycha, ale ten zręcznie przetacza się po ziemi i kula Zacka trafia w ścianę daleko za nim.

Karczycho strzela serią w stronę Zacka, ciągnąc za sobą swojego szefa.

Zack oddaje jeszcze jeden strzał za dwoma uciekającymi, dopada do Abduli, łapie krzesło za oparcie, taszczy go z powrotem na korytarz.

Abdula jest ciężki, a metalowe nogi krzesła głośno szurają o podłogę, gdy Zack zbyt wolno zbliża się w osłonięte miejsce.

No dalej, myśli. Szybciej!

Oddaje jeszcze dwa strzały, żeby trzymać Afgańczyków na dystans. Potem glock klika.

Wydaje mu się, że dźwięk odbija się echem w całym budynku.

Zack szuka sig sauera, ale nagle coś odrzuca go do tyłu, jeszcze zanim słyszy strzał. Krzesło się przewraca i Abdula krzyczy, gdy uderza głową o podłogę.

Dopiero teraz Zack czuje ból w ramieniu. Jakby oberwał maczugą od jakiegoś starożytnego olbrzyma.

Zrywa się na nogi.

Dwa pociski trafiają w ścianę za jego plecami.

Zack znów chwyta oparcie krzesła i jednym potężnym szarpnięciem wciąga przyjaciela w bezpieczne miejsce. Tuż obok leży nieprzytomny ochroniarz.

Wydaje mu się, że w ramieniu ma rozżarzoną lawę, kiedy przetrząsa kurtkę ochroniarza, szukając magazynków do glocka.

Znajduje jeden i wsuwa go do pistoletu. Potem uwalnia ręce Abduli, daje mu broń i pyta:

– W porządku?

– Teraz już tak.

Z pomieszczenia, które przed chwilą opuścili, słysząc kroki.

Zack męczy się z taśmą krępującą kostki Abduli.
Jak długo tu jestem? Dwie minuty? Trzy?
W takim razie Albertowi zostało piętnaście minut.

Nie zdążą go uratować.

Kroki są coraz bliżej.

– Spadamy – mówi Zack.

Biegną korytarzem, szarpią drzwi i wypadają z budynku dokładnie w chwili, gdy za nimi rozlega się kolejna seria z MAC-10. Grad pocisków wbija się w ścianę i na korytarzu słychać szybkie kroki.

– Szybko – mówi Zack. – Do lasu!

Smagani śniegiem pędzą za róg budynku i wbiegają między drzewa. Gałęzie świerków i chaszcze chłoszczą ich po twarzach, ale szybko zagłębiają się w las.

– Wiem, gdzie jest Albert – dyszy Abdula.

– Ja też. W starej fabryce prochu, niedaleko stąd.

Zack słyszy głosy tuż za nimi. Widzi światło latarki unoszące się w ciemności jak rozżarzona kula.

– To na co jeszcze czekasz? – pyta Abdula, zwinnie sięgając po ośnieżoną kłodę. – Leć ratować chłopca.

– A co z tobą?

Abdula się zatrzymuje i zaczyna wracać po własnych śladach.

– Co robisz? – pyta Zack. – Są za nami.

– Ci goście nigdy się nie poddają. Jeśli zajdzie potrzeba, będą iść po naszych śladach przez całą noc. Ale nie zamierzam dalej uciekać przed jakimiś jebanymi Afgańczykami.

Abdula cofa się jeszcze kilka metrów po swoich śladach i daje długi sus w bok, za gęsty świerk.

– Uciekaj – mówi. – Zajmę się tymi kretynami.

Zack patrzy na niego i znów widzi dawnego, pewnego siebie Abdulę.

Przez trzy sekundy się waha, potem puszcza się biegiem. Przecina las na ukos, kierując się do taksówki.

Proszę, niech tam jeszcze stoi.

Taksówka czeka.

I to odwrócona we właściwą stronę.

Zack do niej wskakuje.

– Jedziemy – mówi. – Gazu!

Sirpa śledzi Zacka na mapie. Nawet na sekundę nie odrywa od niego wzroku.

– Za sto metrów dojedziecie do skrzyżowania w kształcie litery T. Tam pojedziecie w lewo, krętą, bitą drogą. Zostało wam osiem minut.

Wygląda na to, że całkiem szybko im to idzie. Byle tylko nie za szybko. Nie może się skończyć tak, że samochód Zacka też wyląduje w rowie.

– Zack, pilnuj, żebyście nie wypadli z drogi.

– Taksówkarz przed chwilą mi powiedział, że wychował się w Kaszmirze – mówi Zack. – Jeździł po znacznie gorszych i bardziej zasypanych drogach. Kurwa!

– Co się dzieje?

– Wziął zakręt jak kierowca rajdowy. Ale wciąż jesteśmy na drodze. Co z pozostałymi?

– Kiepsko. Nikt nie zdąży. Na drogach panuje kompletny chaos. W centrali urywają się telefony.

Sirpa wpatruje się w monitor. Czy on naprawdę zdąży?

– A w ogóle, twoja teoria z zemstą była słuszna – mówi przez radio. – Morderca zamierzał wywiesić zwłoki Alberta z okna budynku naprzeciw gabinetu Petera Bunde. Wysłany na miejsce patrol przysłał zdjęcia, z których wynika, że ktoś tam zbudował wielką szubienicę. Zaraz dojedziecie do skrzyżowania. Jedźcie prosto, a potem już dalej tą drogą.

Sirpa słyszy, jak Zack powtarza jej wskazówki taksówkarzowi.

Znów parzy na mapę.

Czy naprawdę jadą dość szybko?

Zostało sześć minut.

Myśli o dziwnej rozmowie, jaką odbyła z Peterem Bunde, czekając, aż Zack się zgłosi.

– Jak go pan znalazł? – zapytała.

– Porównywałem klatki z filmu ze zdjęciami w Internecie.

– Ja też, ale nic z tego nie wyszło.

– Dobry pomysł. Ale ja porównywałem z lepszymi zdjęciami. Włamałem się do wojskowej bazy danych.

Peter Bunde jej opowiedział, że pracował równie ciężko jak policja nad znalezieniem Alberta. Zwołał nawet nadzwyczajne posiedzenie zarządu, żeby zebrać pomysły wpływowych ludzi.

– Dlaczego nie współpracował pan z nami? – zapytała go Sirpa.

– Bo wiedziałem, że będę musiał złamać prawo – odpowiedział. I dodał po chwili milczenia: – Albert jest moim synem. Bez względu na to, co wykaże jakiś test DNA.

Potem się rozłączył, a kilka sekund później zgłosił się Zack.

Słychać trzaski w radiu i przekleństwa Zacka.

– Co się dzieje?

– Utknęliśmy. Droga jest całkiem zasypana i koła kręcą się w miejscu. Muszę biec.

– Dobra, zostało ci jakieś osiemset metrów.
Sirpa słyszy zatrzasnięte drzwi samochodu.
Kroki Zacka na śniegu.

Cztery minuty.

Deniz jej kiedyś opowiadała, że na ostatnim teście sprawności fizycznej Zack przebiegł sto metrów w równe dwanaście sekund. Ale nie zrobił tego w zimowych butach na zasypanej śniegiem leśnej drodze.

Punkt porusza się teraz znacznie wolniej i Sirpa słyszy przez radio, jak Zack ciężko sapie.

Wydaje jej się, że cyfry na zegarze zmieniają się teraz szybciej. Zack zbliża się do celu, ale jeszcze tam nie dotarł i ma niecałe dwie minuty.

– Zack, zaraz wybiegniesz na małą łąkę. Przetnij ją i biegnij do następnego skupiska drzew. Tam powinieneś zobaczyć niskie skały.

– Dobra. Jestem już na łące.

– W tych skałach jest stara fabryka prochu. To tam jest Albert.

Sirpa oddała mapę. Deniz wciąż został ponad kilometr, a żadnego z pozostałych niebieskich punktów nie ma jeszcze w pobliżu.

– Widzę drzwi – mówi przez radio Zack. – Już tylko dwadzieścia pięć metrów.

– Nie, nie! – woła Sirpa.

– Co się dzieje? – dyszy Zack.

– Otworzył klatkę!

Odgłos wystrzału z sig sauera odbija się echem między drzewami i zamek rozlatuje się na kawałki.

Zack szarpie drzwi i ranne ramię przeszywa taki ból, że kręci mu się w głowie. Porusza się po omacku w ciemności i znajduje w kieszeni latarkę.

Wzdłuż chropowatych skalnych ścian biegną zardzewiałe rury, a podłogę gdzieniegdzie pokrywa lód.

Zack dopada do kolejnych drzwi. Otwiera je. Czuje ciepły powiew i mruga w świetle lampy gazowej, która wisi na haku pod sklepieniem.

Potem dostrzega klatkę.

Pustą klatkę.

Gdzie jest Albert?

Gdzieś z głębi fabryki słychać potężny ryk.

I desperackie krzyki dziecka.

Biegnie w tamtą stronę.

Korytarz się rozszerza i przechodzi w większe pomieszczenie. Panuje tutaj półmrok. I leży mnóstwo różnych gratów. Zardzewiały zapasowy agregat, który wygląda, jakby pochodził z czasów drugiej wojny światowej, skrzynia ze spleśniałymi maskami gazowymi, rzędy czegoś, co wygląda na ogromne prostokątne kadzie i zavalone drewniane regały.

Zack odsuwa na bok siatkę maskującą, znów czuje ból w ramieniu, ale biegnie dalej. Rozgląda się na wszystkie strony. Nigdzie nie widzi chłopca.

Przybyłem za późno?

Znów słychać ryk, głuchy dźwięk odbijający się od skalnych ścian, i krzyk Alberta.

Głośny krzyk bólu.

Zack omija gigantyczne kadzie i prawie wpada na przewrócony stół.

Czuje krew spływającą z ramienia na pierś.

A potem go widzi.

Lwa.

Pochyla się nad chłopcem, który leży na brzuchu na podłodze z rozszarpaną górami od piżamy i zakrwawionymi plecami.

Albert.

– Policja! Połóż ręce na karku! – woła Zack.

Lew powoli odwraca głowę i w pierwszej chwili Zack widzi tylko okrągłe czarne oczy, szeroki nos i wielkie kły. Potem dostrzega poniżej ludzką twarz. Twarz wykrzywioną nienawiścią.

Albert porusza się na podłodze. Jęczy.

Nie jest za późno.

– Jak śmiesz? – mówi mężczyzna i brzmi to bardziej jak warczenie niż jak ludzka mowa.

Gęsta lwia grzywa opada mu na ramiona jak peruka, a ciało zasłania długi strój

z płowego futra. Jest zapięty na piersi i sięga aż do łydek.

Mężczyzna wstaje, robi kilka stanowczych kroków w stronę Zacka, a z jego gardła wyrywa się kolejny ryk.

Zack mierzy w udo i oddaje strzał.

Lew przewraca się z krzykiem. Leży na ziemi i ciężko oddycha. Zack podchodzi krok bliżej, ale zatrzymuje się, bo Lew wstaje zwinnie, nic nie wskazuje na to, że został zraniony.

Zack się cofa, Lew znów się do niego zbliża. Oddaje kolejny strzał, teraz w drugą nogę.

Lew się wzdryga, ale wciąż stoi. Uśmiecha się i mówi drwiąco:

– Myślałeś, że twoje kule się mnie imają?

Zack cofa się jeszcze kilka kroków. Nie rozumie, co jest grane. Dlaczego on nie krwawi?

Lew unosi ręce. Pokazuje pazury.

Kapie z nich krew.

Krew Alberta.

Jeden z pazurów jest dłuższy od pozostałych.

To nie pazur, uświadamia sobie Zack. To dziesięciocentymetrowy skalpel.

Znów strzela, tym razem w pierś.

Ciało Lwa się skręca jak od uderzenia, ale szybko odzyskuje równowagę i z rykiem rzuca się na Zacka.

Sirpa siedzi jak przyklejona do krzesła i wpatruje się w ekran.

Widzi tylko pustą klatkę, ale gdzieś w tle słychać odgłosy zażartej walki.

Szybko zerka na interaktywną mapę na drugim monitorze. Widzi, że Deniz zbliża się do fabryki prochu, a trochę dalej są trzy radiowozy nadjeżdżające z innej strony.

Ale wszyscy potrzebują jeszcze kilku minut.

Teraz wszystko zależy od Zacka.

Od niego, tylko od niego.

Zack leży, przywalony ciężarem Lwa. Próbuje odwrócić głowę, by uciec przed zębami, które szukają jego gardła. Odsunąć od siebie skalpel. Ostrze połyskuje w półmroku, z łatwością może poderżnąć mu gardło.

Kły są niebezpiecznie blisko oczu Zacka, a skalpel nieuchronnie zbliża się do gardła. Zack próbuje odepchnąć rękę uzbrojoną w pazury, ale Lew jest silniejszy.

Z czym właściwie walczę?

Czy to w ogóle człowiek?

Krew ścieka Zackowi po ramieniu, ale nie czuje już bólu. Kontrolę nad ciałem przejęła adrenalina. Mocno kopie Lwa w krocze i wreszcie uzyskuje spodziewany efekt. Tamten wrzeszczy ludzkim głosem i na chwilę traci przewagę.

Skalpel się oddała.

Zack zbiera wszystkie siły i rzuca z siebie Lwa. Uchyła się przed ciosem, ale czuje, jak ostrze rozszarpuje mu kurtkę. Szybko zrywa się na nogi, wyciąga teleskopową pałkę i błyskawicznym ruchem nadgarstka wysuwa ją na całą długość.

Ale Lew także się już podźwignął. Warczy i rzuca się na Zacka. Pazury i skalpel

świszczą w powietrzu. Zack próbuje zrobić unik, ale mężczyzna jest zaskakująco szybki i rozcina mu policzek.

Ból w ramieniu przebija się przez mgłę adrenaliny i Zack widzi podwójnie. To pewnie z upływu krwi.

Słyszy echo słów sensei Hiro:

Jesteś niedbały, Zack. Rozkojarzony.

Już nie.

Mruga.

Znów widzi normalnie.

Lew ponownie atakuje, ale tym razem Zack się uchyla i uderza go pałką w skroń. Lew się chwije i Zack zadaje kolejne ciosy. W tył głowy. W nos. W plecy, w bok, w zgięcie kolan.

Lew pada.

Ma łapę uzbrojoną w skalpel.

Leży na brzuchu.

Rzęzi.

Kaszle krwią.

Nadział się na skalpel?

Zack siada na nim, wykręca mu rękę za plecy i wyjmuje kajdanki.

Nie pasują.

Ręka, albo raczej łapa, jest za gruba.

Lew warczy i próbuje się wyrwać. Wykręca ciało, wyciąga drugą rękę spod brzucha i zamachuje się, celując skalpelem w gardło Zacka. Ale on jeszcze mocniej wykręca mu drugą rękę za plecami i warczenie przechodzi w jęk bólu.

– Leż spokojnie – mówi Zack. – Koniec tej maskarady.

Próbuje ściągnąć lwia łapę, żeby móc zatrzasnąć kajdanki na nadgarstku. Chwyta pazur i z całej siły szarpie. To działa. Zsuwa się cała łapa i ukazuje się najzwyczajniejsza ludzka ręka.

Zack próbuje zrobić to samo z łapą uzbrojoną w skalpel.

Ale Lwu udaje się obrócić na plecy.

Kurwa.

Zack puszcza rękę przeciwnika i uderza go w twarz. Raz, dwa razy.

Lew z całej siły wali głową w chropowatą podłogę i nieruchomieje. Zack ściąga mu drugą łapę, odrzuca ją daleko i zatrzaskuje kajdanki na jednym nadgarstku. Potem taszczy go pod ścianę, przekłada kajdanki wokół zardzewiałej rury i zatrzaskuje je na drugiej ręce.

– Nie za ciepło ci tu w czapce? – mówi Zack, chwytając za grzywę. Ściąga lwia głowę i odsłania zaczerwienioną twarz i rozczochrane, mokre od potu włosy.

Gustaf Johansson.

Rudolf miał rację.

Słyszy płacz dziecka, odwraca się i podbiega do Alberta.

Chłopiec podźwignął się na kolana i obmacuje sobie łopatkę.

Zack kuca przy nim, zamroczony upływem krwi.

Zaraz odpłynę, myśli.

Nagle słyszy jakiś zgrzyt za plecami i widzi, jak oczy chłopca się rozszerzają.

Chwiejnie wstaje, odwraca się i widzi, że Gustaf Johansson biegnie w ich stronę.

Nadgarstki nadal ma skute, ale w rękach trzyma zardzewiałą rurę, którą wyrwał ze ściany.

Zack szybko zasłania chłopca swoim ciałem, napastnik unosi rurę i z jego gardła wyrywa się potworny ryk.

Zack odpiesa atak, wysoko kopiąc prawą nogą. Wytrąca mu rurę, rzuca się do przodu i z całych sił uderza Gustafa Johanssona prosto w krtani. Mężczyzna otwiera i zamyka usta, szybko, jak chore zwierzę, i nie widzi łokcia, który trafia go od dołu w podbródek. Głowa odskakuje do tyłu i słycać chrupnięcie kręgów w szyi. Jest martwy, jeszcze zanim uderza o podłogę.

Zack ciężko oddycha i kilka razy mruga. Znów widzi podwójnie. Czuje pulsujący ból w ramieniu, a podłoga kołysze się pod nim jak pokład łodzi.

Odwraca się chwiejnie i klęka obok Alberta. Chłopiec kuca, z zamkniętymi oczami, i zasłania uszy rękoma.

– Już po wszystkim – mówi Zack, kładąc mu rękę na ramieniu.

Uratowałem go.

Chłopca.

Zabiłem waszego mordercę, Ismailu i Niklasie.

Zrobiłem to.

Zack patrzy na Alberta i ostrożnie odsuwa mu rękę od uszu.

– Mogę obejrzeć twoje plecy? – pyta.

Chłopiec kiwa głową i Zack delikatnie podciąga mu górę od pizamy.

Na jednej łopatce widnieją trzy krwawe nacięcia. Jedno jest głębokie, ale nie ma powodów, by martwić się upływem krwi.

– Umrę? – pyta Albert.

– Nie. Pojedziesz do domu, do mamy.

A potem robi mu się ciemno przed oczami.

PONIEDZIAŁEK, 26 STYCZNIA

Zack siedzi na sofie i głaszcze Ester po włosach, czuje, że jej głowa coraz bardziej ciąży na jego kolanach. Szwy na ramieniu i na policzku się napinają, ale tabletki uśmierzają ból i ogarnia go przyjemna senność.

Telewizor jest wyłączony, roleta opuszczona. Ester oddycha spokojnie i regularnie i ten jej spokój udziela się również jemu.

Spodziewał się pochwał od Douglasa, kiedy dziś rano prosto ze szpitala poszedł do pracy. Uratował chłopca, zabił mordercę.

Ale zamiast tego dostał burę.

– Co robiłeś w Husby? – tak brzmiały pierwsze słowa szefa, gdy Zack wszedł do jego gabinetu.

– Sprawdziałem ważny cynk.

– Od afgańskich handlarzy narkotyków?

– Nie, od mojego najlepszego informatora. Powiedział mi o wiarygodnych plotkach, że w pobliskim lokalu torturowano ludzi. Myślał, że Albert też może tam być.

– Czyli nie masz pojęcia, jak to się stało, że kilka godzin temu w pobliżu znaleziono zwłoki Aarasha Alama, szefa dużej siatki przestępczej z Husby, i trzech jego ludzi?

– Nie.

Douglas przyjrzał mu się nieufnie, ale najwyraźniej zadowolił się tą odpowiedzią.

A Zack musiał się bardzo starać, żeby nie uśmiechnąć się z ulgi. Czterech zabitych, ale nie było wśród nich Abduli.

Obawiał się najgorszego, gdy nie udało mu się ze szpitala dodzwonić do przyjaciela. Ale teraz już wie. Abdula uciekł. Pewnie wyrzucił kartę SIM do kosza na śmieci i wyjechał z kraju. Za pieniądze, które miał w torbie, kupił bilet do swojej wymarzonej Brazylii.

Ale co z jego ludźmi? Może im się upiekło i tylko odrabiali im palce. Albo po prostu jeszcze nie znaleziono zwłok.

Ester porusza się przez sen i Zack podciąga koc, który zsunął jej się z ramion.

Myśli o tym, co mówiła o mężczyźnie, który za nią szedł. Zastanawia się, kto to mógł być.

Czy jest coś, o czym mu nie opowiedziała?

Najwyraźniej była wystraszona, jeszcze zanim wyszła na spacer.

Zack sięga po komórkę leżącą na stoliku przy sofie. Czyta esemesa, którego Ester przysłała mu tamtej nocy. Pytała, czy może do niego przyjść. Kasuje go. Nie chce pamiętać o tym, jak ją zignorował.

Przewija na kolejną wiadomość, którą otrzymał kilka minut później. Tę, która go doprowadziła do lokalu z rosyjską ruletką w Tegnérunden.

Chodzi o twoją aktualną sprawę. Przyjedź sam i zachowaj tę informację dla siebie.

Kto mu to przysłał?

Zgadywał, że może Peter Bunde albo nawet Abdula. Ale obu może teraz

wykluczyć.

A więc kto?

Ktoś, kto chciał sobie z nim pogrywać. Pragnął jego śmierci.

Jest takich wielu.

Zack wpatruje się w komórkę. Widzi w wyświetlaczu odbicie swojej twarzy, grubą, czerwoną pręgę biegnącą przez lewy policzek.

Według Koltberga lwia skóra była podszyta nowoczesnym materiałem kuloodpornym. Miękkim i elastycznym, lepszym od tego, z których są uszyte ich kamizelki.

Skąd bezrobotnego Gustafa Johanssona było na to stać? I gdzie coś takiego kupił? Pewnie nigdy się tego nie dowiedzą.

Tak wiele pytań bez odpowiedzi.

Ostrożnie, żeby nie obudzić Ester, Zack opiera nogi na stoliku i przypadkiem potraça czarną skórzaną teczkę. Materiały ze śledztwa w sprawie śmierci jego matki. Obok leży gruba koperta przysłana przez władze samorządowe hrabstwa. Zack po nią sięga, otwiera na chybił trafił plik wydruków i zaczyna czytać.

Kiedy miał trzy lata, trafił do izby przyjęć w szpitalu St. Görans, z siniakami na nogach i rękach. Lekarz odnotował, że podejrzewa pobicie dziecka, ale potem zmienił zdanie. Ojciec Zacka skutecznie go przekonał, jakim jego syn jest rozrabiaką, i wmówił mu, że Zack spadł z drabinek.

Tak było? A może ojciec kłamał, żeby chronić mamę? Był aż tak schorowany, że nie mógł jej się przeciwstawić? Nie mógł mnie chronić? A może wynikało to z czegoś innego?

Wygląda na to, że nie wysłano zgłoszenia do opieki społecznej.

Zack wertuje dalej.

Kolejny wpis ze szpitala, sporządzony ponad rok później.

Tym razem złamana ręka.

Właśnie to mu się przypomniało tamtej nocy.

Jak leżał na dywaniku w kuchni i czuł potworny ból w lewej ręce.

Ty musiałaś to zrobić, mamo, myśli.

I kiedy czyta słowo „złamanie”, powracają wspomnienia. Matka podnosi żeliwną patelnię, on krzyczy i próbuje uciec, ale nie może. Matka, bezgranicznie wściekła, z całej siły uderza go patelnią w rękę.

Dlaczego? Co cię tak rozzłościło, mamo?

Sądził, że wie, kim była, jaka była. Teraz już nic nie wie. Pieszczotom i łagodnym słowom, które zapamiętał, towarzyszy teraz mrok i ślepa wściekłość.

Obrazy matki, która na niego krzyczała.

Biła go.

Czyta dalej.

Złamanie ręki wyjaśniono tym, że spadł z huśtawki, gdy ta znajdowała się w najwyższej pozycji, i uderzył w ogrodzenie.

A lekarz znów uwierzył jego ojcu.

Chronił ją.

Dlaczego to robił?

Zack opada na oparcie sofy.

Wertuje kartotekę wstecz, do najwcześniejszych wpisów. Ale niczego nie znajduje tam, gdzie spodziewał się danych z oddziału położniczego. I nie ma też nic z żadnej rejonowej poradni dziecięcej do czasu, gdy skończył półtora roku. Zupełnie jakby wcześniej nie istniał.

Ktoś musiał wykasować część jego kartoteki.

Ale kto?

I po co?

Kim byłem, zanim skończyłem półtora roku?

Próbuje czytać dalej, ale litery się zamazują.

Odkłada wydruki na sofę i zamyka oczy.

Jest zmęczony, taki zmęczony.

Widzi parę oczu.

Uśmiechają się do niego.

To nie są oczy Mery. Należą do Hebe, córki Olympii Karlsson.

Hebe.

Zdobył numer jej komórki. Chciałby wysłać jej esemesa, pójść w życiu naprzód, zamiast się cofać jak w tej kartotece medycznej.

Ona pewnie wie, kim jestem. To spojrzenie, które rzuciła mu w sali konferencyjnej Echidna Games, by to potwierdzało.

Zack bierze do ręki komórkę.

Wprowadza numer, ale nie wysyła wiadomości.

Chce tego, ale nie do końca.

Na co jej ktoś taki jak ja? A mnie ktoś taki jak ona?

Jej oczy są błękitne, tak jak jego, i pragnie mieć ją przy sobie, poznać ją, nauczyć się ją kochać do szaleństwa.

Zack odpływa w mrok, w galaktykę pełną gwiazd i czarnych dziur, które wyglądają jak groty.

Chodź, Zack, szepczą czarne dziury. Chodź do nas.

Wie, że chcą go pochłonąć, unicestwić.

I wie, że musi się zagłębić w każdą z nich.

Nicznym gwiazdozbiór na nocnym niebie tworzą niepowtarzalny wzór: siedem białych punktów w mroku źrenicy.

Olympia Karlsson widzi te punkty w ściennym lustrze. Zawsze je miała w prawym oku.

Hebe ich nie ma. Ale nasze oczy i tak są takie same, mają tę samą głębię. Jakby mieścił się w nich cały wszechświat.

Jakby potrafiły spoglądać dalej niż oczy innych ludzi.

W świecie biznesu Olympia Karlsson z tego słynie. Ze zdolności zaglądania w przyszłość, z licznych decyzji, które przyniosły koncernowi Heraldus długofalowe korzyści. Z tego, że zawsze ma odwagę wprowadzać zmiany i robi to we właściwym czasie.

Olympia Karlsson odrywa wzrok od lustra i przygląda się zdjęciu leżącemu na gustawiańskim biurku z malowanego na czarno dębowego drewna z intarsją z dwudziestoczekaratowego złota. Zrobionemu z ukrycia zdjęciu tego zwyrodniałego dziecka, Ester Nilsson.

Zgniata je w kulkę i wrzuca do kosza na śmieci. Potem spogląda przez wysokie szczeblinowe okna przypominającego pałac domu na Lidingö. Widzi wielkie płatki śniegu, które opadają i pokrywają skutą lodem zatokę jak bawełna.

Opadają tak jak od wieków.

Są jak przypomnienie o istnieniu sił, nad którymi nie ma kontroli.

W końcu wszystko upadnie.

Przesuwa palcami po leżącym na biurku rewolwerze. Podnosi go i waży w dłoni. Czuje jego przyjemny ciężar.

Z szuflady wyjmuje paczkę naboji i wsuwa jeden do bębna.

Kręci nim.

Widzi swoje odbicie w lustrze.

Tego, kto się waha, wyprzedzają inni.

Ten, kto się waha, jest słaby.

Ten, kto się waha, ginie.

Ten, kto ma odwagę, jest w życiu zwycięzcą.

Przysuwa rewolwer do skroni, widzi w lustrze broń przy swojej głowie i naciska spust.

Klik.

Jeszcze raz. I jeszcze.

Klik, klik.

Znów zaczyna naciskać spust, ale zatrzymuje palec w pół drogi.

Kto tak właściwie o wszystkim decyduje?

Wpatruje się w swoje odbicie w lustrze.

Spogląda na nią sześćdziesięcioletnia kobieta o wydatnych kościach policzkowych i oczach wyzutych z człowieczeństwa.

Naciska spust.

Pocisk rozrywa twarz, a odłamki lustra sypią się jak deszcz na złotą intarsję biurka, ostrzejsze niż śnieg padający na skutą lodem Sztokholm.

WSZYSCY BOHATEROWIE RODZĄ SIĘ Z TRAGEDII